

MINETTE WALTERS

Echo

The Echo

przełożył TOMASZ KUNZ

WYDAWNICTWO LITERACKIE



Echo zaczynało w jakiś nieokreślony sposób osłabiać jej więź z życiem. [...] zdołało wyszeptać: „Patos, pobożność, odwaga - one istnieją, ale są tożsame i takie jest plugastwo. Wszystko istnieje, nic nie ma wartości”.

E. M. Forster (1879-1970)

Tłum. K. Tarnowska i A. Konarek

Ty chora jesteś, różo.
Czerw, robak niewidzialny,
Co w głębi wielkiej nocy,
W łoskocie wichru leci,

Nawiedził twoje łóżko,
Szkarłatne twe wesele.
Mroczne jego kochanie
Życie twoje spopieli.

W. Blake (1757-1827)

Tłum. Z. Kubiak

Dla Franka i Mary

ROZDZIAŁ 1

Uwagę pani Powell zwrócił najpierw zapach. Słodkawy. Dość nieprzyjemny. Wyczuła go w powietrzu w ciepłe czerwcowe popołudnie, gdy wjeżdżała do garażu. Zapomniała o nim jednak szybko, ponieważ uznała, że dochodzi z kosza na śmieci z posesji sąsiadów, którą odgradzał od jej domu jedynie niski mur. Gdy następnego dnia otworzyła drzwi, uderzyła ją wyraźna woń zgnilizny dobiegająca z wnętrza garażu. Wyprowadziła samochód na podjazd, wróciła do środka i zaintrygowana zaczęła grzebać w stercie kartonowych pudeł piętrzących się na tyłach. Z pewnością nie spodziewała się, że znajdzie zwłoki. Sądziła, że ktoś zostawił tam worek ze śmieciami, toteż przeżyła wstrząs, gdy w kącie na pogniecionych kartonach odkryła skulone ciało mężczyzny z głową bezwładnie zwieszoną na kolana.

Media zainteresowały się tą historią głównie dlatego, że mężczyznę znaleziono na terenie ekskluzywnej prywatnej posesji leżącej nad brzegiem Tamizy w starej portowej dzielnicy Londynu - a lekarz jako przyczynę zgonu podał skrajne niedożywienie. Większości dziennikarzy nie mieściło się w głowach, że pod koniec dwudziestego wieku w jednej z najbogatszych dzielnic tak bogatego miasta jak Londyn ktoś mógł umrzeć z głodu, tym bardziej że, jak podała policja, tuż obok zwłok stała ogromna zamrażarka wypełniona po brzegi jedzeniem. Reporterzy stawili się więc licznie.

Czekał ich jednak zawód. Pani Powell, nie mając ochoty na udzielanie wywiadów, zdążyła wyjechać z Londynu. Nikt nie potrafił powiedzieć o zmarłym czegoś, o czym warto byłoby napisać. Był bezdomnym włóczęgą wałęsającym się po ulicach Londynu, alkoholikiem bez rodziny i przyjaciół, parokrotnie skazanym za drobne kradzieże. W policyjnych kartotekach figurował pod nazwiskiem Billy Blake. Część policjantów znała go jako ulicznego kaznodzieję, który po pijanemu zaczepiał przechodniów, wieszcząc rychłe nadejście Sądu Ostatecznego i końca świata. Ponieważ jednak nie przysłuchiwali się nigdy uważniej jego mętnym prorocstwom, nie potrafili stwierdzić, co właściwie mówił. Ciekawe wydało się jedynie to, że gdy aresztowano go w 1991 roku po raz pierwszy, zataił przed policją swój prawdziwy wiek. W aktach został zapisany jako sześćdziesięcioletek, tymczasem lekarz sądowy - jak oficjalnie odnotowano w śledztwie - ocenił jego wiek na czterdzieści pięć lat.

Związek pani Powell z tą ponurą historią sprowadzał się do tego, że była ona

właścicielką garażu, w którym zmarł Billy. Po dwóch tygodniach, kiedy zainteresowanie prasy wyraźnie zmalało, pani Powell wróciła do domu. Cała sprawa nie dawała jej jednak spokoju, więc gdy tylko koroner mógł wydać ciało zmarłego, postanowiła opłacić kremację. Nie musiała tego robić - podobnie jak w innych przypadkach tego typu, koszty pochówku pokryto by z funduszu socjalnego. Poczula jednak, że jest to winna swojemu nieproszonemu gościowi. Wybrała jedną z tańszych ofert i stawiała się w kaplicy w wyznaczonym dniu o wyznaczonej porze. Tak jak podejrzewała, była jedyną, nie licząc księdza, osobą, która przybyła na tę uroczystość. Pracownicy zakładu pogrzebowego wyszli, gdy tylko umieścili trumnę na podeście. Msza, odprawiona przy dźwiękach muzyki odtwarzanej z magnetofonu, robiła dosyć przygnębiające wrażenie. Najpierw Elvis Presley zaśpiewał *Amazing Grace*, a potem pani Powell z księdzem brnęli przez kolejne etapy mszy (zastanawiając się, każde z osobna, czy Billy Blake był chrześcijaninem), aż w końcu walijski chór męski wykonał *Ave Maria* i trumna zniknęła w otworze pieca, za którym dyskretnie zasunęły się zasłony.

Ponieważ nie można było nic więcej powiedzieć ani zrobić, pani Powell i ksiądz rozstali się, uściskawszy sobie dłonie i podziękowawszy wzajemnie za przybycie. Zgodnie z przepisami urnę z prochami Billy'ego Blake'a, zaopatrzoną w tabliczkę z jego nazwiskiem i datą śmierci, pozostawiono w krematorium. Niestety, żadna z podanych na niej informacji nie odpowiadała prawdzie. Zmarły w rzeczywistości nie nazywał się Billy Blake, a lekarz sądowy, określając czas zgonu na podstawie temperatury ciała, pomylił się w obliczeniach o kilka godzin.

Kimkolwiek był Billy Blake - zmarł we wtorek, 13 czerwca 1995 roku.

Nikt nie zwrócił uwagi na dwóch mężczyzn, którzy kilka dni później przyszli obejrzeć tabliczkę Billy'ego Blake'a. Starszy z nich wskazał sękatym palcem na napis i zaśmiał się chrapliwym, szyderyczym śmiechem.

- A nie mówiłem? Zmarł 12 czerwca 1995. W zasrany poniedziałek. I co? Zadowolony?

- Mogliśmy przynieść kwiaty - powiedział młodszy, patrząc na sterty wieńców, którymi żałobnicy pożegnali swoich dopiero co skremowanych zmarłych.

- Nie przejmuj się, synu. Billy nie żyje, a nie widziałem jeszcze umarlaka, któremu zależałoby na tych wiechciach.

- Może i racja, ale...

- Nie ma żadnego ale - uciął stanowczo starszy. - Mówię ci przecież, że gościa już nie ma - popchnął młodzieńca do przodu. - Zobacz, że mam rację, i wychodzimy. - Rozejrzał się

wokół, a na jego pobrużdżonej twarzy pojawił się wyraz niechęci. - Nigdy nie lubiłem takich miejsc. Nie trzeba myśleć za dużo o śmierci. Zdąży przyjść i bez tego.

Chociaż w ciągu sześciu tygodni trzy różne firmy trzykrotnie czyściły garaż, pani Powell pozbyła się zamrażarki, robiła częściej zakupy, a samochód zaczęła parkować na podjeździe. Jeden z sąsiadów zwrócił na to uwagę swojej żonie, po czym stwierdził, że brakuje t u p a n a Powella. Żaden mężczyzna nie pozwoliłby na to, żeby porządny garaż stał bezużytecznie tylko dlatego, że umarł w nim jakiś włóczęga.

(Fragmenty książki Rogera Hyde'a *Niewyjaśnione zagadki dwudziestego wieku* opublikowanej w 1994 roku w wydawnictwie Macmillan)

Zaginieni

Nie wiadomo dokładnie, ile osób w Wielkiej Brytanii znika bez wieści każdego roku, ale jeśli przez „zaginięcie” będziemy rozumieć „niewiadome miejsce pobytu”, wówczas interesująca nas liczba sięgnie prawdopodobnie kilkuset tysięcy. Zaledwie niewielki procent spraw tego typu trafia na łamy gazet. Są to na ogół przypadki dzieci - uprowadzonych, a następnie zamordowanych. Dorośli znacznie rzadziej przykuwają uwagę mediów. Najgłośniejszym zaginionym ostatnich lat jest hrabia Lucan, który zniknął z domu swojej żony, żyjącej z nim w separacji, 7 listopada 1974, wkrótce po brutalnym zabójstwie Sandry Rivett, opiekunki jego dzieci, oraz usiłowaniu zabójstwa lady Lucan. Nikt nie widział go od tej pory, nie natrafiono też nigdy na ślad jego ciała, nietrudno jednak domyślić się powodów, dla których zdecydował się zniknąć. Mniej oczywiste były przyczyny nagłego zniknięcia dwóch innych „zaginionych „: Petera Fentona, kawalera Orderu Imperium Brytyjskiego - wysokiego urzędnika Ministerstwa Spraw Zagranicznych, oraz Jamesa Streetera - bankowca.

Przypadek zaginionego dyplomaty, Petera Fentona, kawalera Orderu Imperium Brytyjskiego

Zniknięcie Petera Fentona - wieczorem 3 lipca 1988 roku, zaledwie na kilka godzin przed tym, jak w sypialni domu Fentonów w Knightsbridge odkryto zwłoki jego żony - wzbudziło sensację w brytyjskiej prasie. Dom znajdował się niecałą milę od miejsca, w którym blisko czternaście lat wcześniej rozegrała się tragedia Lucanów, a podobieństwa między Peterem Fentonem i lordem „Lucky” Lucanem były uderzające. Obaj mężczyźni obracali się w tych samych kręgach, obaj mieli też zaufanych i lojalnych przyjaciół, którzy w razie potrzeby gotowi byliby im pomóc. Porzucone samochody obu mężczyzn odnaleziono na południowym wybrzeżu Anglii, co dało podstawę do przypuszczeń, że obaj zbiegli przez kanał La Manche do Francji. Co ciekawe, wykazywali się również podobieństwem fizycznym. Obaj byli wysokimi przystojnymi brunetami.

Porównania ze sprawą Lucana skończyły się, gdy policja ujawniła, że w wyniku szczegółowych oględzin domu i ciała denatki stwierdzono ponad wszelką wątpliwość, że Verity Fenton popełniła samobójstwo. Powiesiła się na strychu swojego domu wieczorem 1 lipca, gdy Peter Fenton przebywał z pięciodniową wizytą w Waszyngtonie. Analiza zabezpieczonych śladów pozwalała przyjąć, że po powrocie z Ameryki, późnym popołudniem w dniu 3 lipca, Peter Fenton na stole w korytarzu znalazł pożegnalny list żony, a następnie odkrył na strychu jej ciało. Bez wątplenia to właśnie on ją odciął, a następnie położył na łóżku w sypialni. Nie ma też wątpliwości, że także on zatelefonował do swojej pasierbicy i poprosił, aby razem z mężem zjawiała się niezwłocznie w domu w Knightsbridge. Nie uprzedził jej, co tam zastanie, nie wspomniał też o tym, że nie będzie na nią czekał, powiedział jednak, że zostawi drzwi otwarte. Pasierbica stwierdziła później, że sprawiał wrażenie „bardzo zmęczonego”.

W odróżnieniu od lorda Lucana, którego Sąd Najwyższy osądził i zaocznie uznał winnym zabójstwa Sandry Rivett, Petera Fentona całkowicie oczyszczono z zarzutów o przyczynienie się do śmierci żony. Opierając się na zeznaniach córki Verity Fenton, która stwierdziła, że matka podczas nieobecności męża sprawiała wrażenie niezwykle przygnębionej, jako oficjalną przyczynę śmierci przyjęto: „samobójstwo w wyniku załamania nerwowego”. Potwierdzała to treść listu pożegnalnego, w którym Verity napisała tylko: „Wybacz mi. Dłużej tego nie zniosę. Nie obwiniaj się, proszę. Twoje zdrady są niczym w porównaniu z moją”.

Pozostało jednak pytanie: dlaczego Peter Fenton zniknął? Wielu dziennikarzom

wydało się oczywiste, że słowo „zdrady” odnosiło się do jego romansów, w prasie pojawiły się więc sugestie, że znalazł ukojenie w ramionach kochanki. Nie tłumaczyło to jednak faktu, że porzucony samochód Fentona znaleziono niedaleko promu, ani też nie wyjaśniało, dlaczego po ogłoszeniu wyników śledztwa Fenton nadal się ukrywał. Zaczęto więc interesować się pracą Fentona w Ministerstwie Spraw Zagranicznych i przebiegiem jego dwóch służbowych pobytów w Waszyngtonie (w latach 1981-1983 i 1985-1987), gdzie, jak sądzono, miał dostęp do ściśle tajnych informacji na temat NATO.

Czy było dziełem przypadku, że Fenton zniknął zaledwie kilka tygodni po aresztowaniu w Waszyngtonie Nathana Driberga*? Dlaczego wybrał się sam w pięciodniową podróż do Waszyngtonu, skoro musiał zdawać sobie sprawę, w jak poważnej depresji znajduje się jego żona? Czy Fenton podjął desperacką próbę przekonania się o zamiarach Driberga, aby uspokoić Verity, że jest bezpieczny? Czy Verity wspominałaby w pożegnalnym liście o „zdradach”, gdyby nie wiedziała, że jej mąż był szpiegiem? Znow nasunęły się porównania, tym razem już nie z lordem Lucanem, ale z Guyem Burgessem i Donaldem Macleanem, pracownikami Ministerstwa Spraw Zagranicznych, którzy prowadzili długoletnią działalność szpiegowską w latach trzydziestych i czterdziestych, i którzy zniknęli w 1951 roku, ostrzeżeni przez Kima Philby'ego o śledztwie prowadzonym przez brytyjski i amerykański kontrwywiad. Czy Peter Fenton, podobnie jak Donald Maclean, wykorzystał swoje wysokie stanowisko w Ambasadzie Brytyjskiej w Waszyngtonie, żeby zdradzić swój kraj?

Niestety, prawdopodobnie nigdy się tego nie dowiemy, bo jeśli Peter Fenton rzeczywiście był agentem, to szpiegował dla pieniędzy, trudno więc oczekiwać, aby ujawnił się któregoś dnia, tak jak zrobili to w Moskwie w 1956 roku Burgess i Maclean, ogłaszając swoje długoletnie przywiązanie do komunizmu. Jeśli wierzyć plotkom o majątku zgromadzonym przez grupę Driberga, Fenton mógł mieć miliony ukryte w bankach szwajcarskich, które z pewnością pozwoliłyby mu na zmianę tożsamości. Ale, według słów jego pasierbicy Marilyn Burghley, błędem byłoby sądzić, że Fenton skorzystał na swojej nielojalności. „Musicie zrozumieć - mówiła - że Peter uwielbiał moją matkę. Nigdy nie

* Nathan Driberg (ur. 1941 w Sacramento, w Kalifornii) wstąpił do CIA w 1962 r. po ukończeniu studiów na Uniwersytecie Harvarda. Mimo wybitnej inteligencji nie zdołał zrobić kariery w strukturach wywiadu, co, jak mówiono, spowodowało u niego rosnącą niechęć do służb specjalnych. Na początku lat osiemdziesiątych Driberg wpadł na pomysł zawiązania grupy szpiegowskiej, której celem byłoby wyłącznie czerpanie korzyści finansowych. Członkowie grupy, znani tylko Dribergowi, dostarczali informacje, które następnie sprzedawano zainteresowanym. Na liście nabywców figurowały ponoć takie kraje, jak Rosja, Chiny, RPA, Kolumbia i Irak. W skład grupy mieli wchodzić agenci CIA, kongresmeni, zagraniczni dyplomaci, dziennikarze i przemysłowcy; ponieważ jednak Driberg konsekwentnie odmawiał podania jakichkolwiek nazwisk, ich tożsamość pozostała tajemnicą. Na ślad działalności grupy natrafiono dopiero, gdy jeden z jej członków, Harry Castilli, agent CIA, zaczął żyć zbyt rozrzutnie. W zamian za gwarancję nietykalności wydał on Driberga i zeznał przeciwko niemu podczas procesu. Wkrótce po aresztowaniu Driberga pewien francuski dyplomata i jeden z prominentnych amerykańskich kongresmenów popełnili samobójstwo. Brytyjski dyplomata Peter Fenton zniknął.

wierzyłam, że «zdrady» oznaczały romanse z innymi kobietami. Muszę zatem przyjąć, że zdradzał swój kraj i że moja matka o wszystkim wiedziała. Być może poprosił ją, żeby z nim uciekła, a gdy odmówiła, zarzucił jej, że go nie kocha. Myślę, że musiało dojść między nimi do rozstrzygającej rozmowy, która zaważyła na jej decyzji. Tak czy inaczej, Peter nie zniósłby życia bez mojej matki. Jej śmierć była dla niego karą znacznie gorszą od tej, którą mógłby mu wymierzyć sąd”.

Analiza biografii Petera Fentona i środowiska, w którym się obracał, rzuca niewiele nowego światła na tę tajemniczą sprawę. Urodzony 5 marca 1950 roku, był adoptowanym synem Jean i Harolda Fentonów zamieszkałych w Colchester, w hrabstwie Essex. Jean nazywała go zawsze swoim „małym cudem”, ponieważ decydując się na adopcję, miała czterdzieści dwa lata i straciła już nadzieję na urodzenie dziecka. Oboje z mężem byli nauczycielami; poświęcali przybranemu synowi wiele czasu i starań. Nagrodą za ich wysiłek był utalentowany stypendysta szkoły w Winchester, a następnie Uniwersytetu Cambridge, gdzie studiował języki i literaturę klasyczną. W latach młodzieńczych Peter zaczął jednak stopniowo odsuwać się od rodziców, spędzając coraz mniej czasu w Essex i wykorzystując każdą sposobność do pozostania z przyjaciółmi w Londynie. Wiele wskazuje na to, że czuł się upokorzony z powodu swojego pochodzenia i za wszelką cenę postanowił się wybić. Niewiele uczucia okazywał swoim przybranym rodzicom.

W 1971 roku Harold Fenton pisał w liście do swojego brata: „Peter złamał serce Jean i nigdy mu tego nie wybaczę. Kiedy wyrzucałem mu, że uprawia hazard, zapytał, czy wolałbym, żeby kradł i w ten sposób mógł wreszcie wyrwać się z naszego życia i naszego domu. On się nas wstydzi. Wszystko wskazuje na to, że po skończeniu studiów ma zamiar pracować w Ministerstwie Spraw Zagranicznych, w związku z tym chciał nas «ostrzec», że będziemy go widywać bardzo rzadko. Kariera jest dla niego najważniejsza. Zapytałem go, czy potrafi mi wyjaśnić, dlaczego Panu Bogu spodobało się obdarzyć nas takim niewdzięcznym dzieckiem, a on odparł: «Dałem wam powód do dumy. Czego jeszcze chcecie?». Gdyby nie było z nami Jean, dałbym mu w twarz”.

Peter Fenton trafił do Ministerstwa w 1972 roku po ukończeniu Cambridge i został szybko zauważony przez sir Angusa Frasera, późniejszego ambasadora Wielkiej Brytanii w Paryżu. Wydawało się, że dzięki poparciu Frasera przed Fentonem otwiera się błyskotliwa kariera. Jednak wiele osób uznało za poważny błąd małżeństwo zawarte w 1980 roku z Verity Standish. Gwiazda Fentona zdawała się blednąć. Verity, wdowa z dwojgiem kilkunastoletnich dzieci, była trzynastie lat starsza od swego drugiego męża i właśnie z powodu wieku uchodziła za nieodpowiednią partię dla przyszłego ambasadora. Ciekawe, że wbrew temu, co powiedział ojcu dziesięć lat wcześniej, Fenton uznał jednak swoje uczucie do Verity za ważniejsze od kariery. Okazało się, że postąpił słusznie, bo już we wrześniu 1981 roku został po raz pierwszy skierowany do pracy w Waszyngtonie.

Następne siedem lat to pozornie okres niezmałowanej harmonii małżeńskiej i gorliwej pracy. W 1983 roku Fenton został odznaczony Orderem Imperium Brytyjskiego za służbę Rządowi Jej Królewskiej Mości podczas wojny falklandzkiej, a Verity okazała się oddaną żoną, znakomicie wywiązującą się z wszelkich oficjalnych funkcji. Jej dzieci, które spędzały wakacje tam, gdzie akurat znajdowali się Fentonowie, bardzo ciepło wspominają swojego ojczyrna: „Zawsze odnosił się do nas z wielką sympatią - mówił syn Verity, Anthony Standish. - Pewnego razu wyznał mi, iż zawsze myślał, że w życiu liczą się tylko pieniądze i kariera, i dopiero moja matka nauczyła go kochać. Dlatego właśnie nie wierzę, że był zdrajcą. Nie zrobiłby tego dla pieniędzy. Moim zdaniem to matka miała romans. Była osobą, która potrzebowała nieustannych dowodów miłości. Być może dlatego, że mój ojciec był kobieciarzem, a jej pierwsze małżeństwo okazało się nieszczęśliwe. Może czuła się zaniedbywana. Peter tak ciężko wtedy pracował, i pod jego nieobecność wdała się w jakiś romans. Peter mógł dowiedzieć się o tym i zagrozić, że ją porzuci. Wyjaśniałoby to przyczynę jej samobójstwa”.

Niestety, nie wyjaśnia to niczego więcej. Dlaczego Peter Fenton zniknął? Czy wciąż jeszcze żyje? Był szpiegiem, wiarołomnym mężem czy rogakzem? Czy naprawdę mamy uwierzyć, że miłość do Verity zmieniła go z ambitnego materialisty w kochającego męża i ojczyrna? A jeśli rzeczywiście kochał swoją żonę tak bardzo, jak twierdzą jego pasierb i pasierbica, dlaczego przed wyjazdem do Waszyngtonu zrobił coś, co wprawiło Verity Fenton w tak wielką rozpacz, że zdecydowała się odebrać sobie życie? I wreszcie, czy pożegnalny list Verity - pozbawiony nagłówka i koperty - adresowany był do Petera, czy może do kogoś zupełnie innego?

Być może prawda kryje się w tym, co Jean Fenton zapisała w swoim pamiętniku w dniu piątych urodzin Petera: „Jakże on kocha wcielać się w różne role. Dzisiaj odgrywa idealne dziecko. Jutro będzie diabłem. Chciałabym wiedzieć, który Peter jest prawdziwy”.

† † †

Przypadek niewyjaśnionego zniknięcia bankiera Jamesa Streetera

James Streeter przyszedł na świat 24 lipca 1951 roku jako starszy syn Kennetha i Hilary Streeterów w Cheadle Hulme, w hrabstwie Cheshire. Uczył się w szkole średniej w Manchesterze, a następnie na Uniwersytecie Durham, gdzie studiował języki i literaturę nowożytną. Po ukończeniu studiów podjął pracę w Paryżu we francuskim banku Le Fournet, by po pięciu latach przenieść się do oddziału tegoż banku w Brukseli. Podczas pobytu w Belgii poznał Janine Ferrer, którą wkrótce poślubił. Jego małżeństwo przetrwało jednak niespełna trzy lata i po rozwodzie w 1983 roku Streeter powrócił do Wielkiej Brytanii, aby podjąć pracę w londyńskim oddziale banku Lowensteina. W 1986 roku poślubił o siedem lat młodszą obiecującą absolwentkę architektury Amandę Powell. Kenneth i Hilary Streeter twierdzą, że małżeństwo było burzliwe. „Mieli bardzo różne charaktery i potrzeby - przyznaje Hilary - co prowadziło często do kłótni, ale to śmieszne uważać, że pod wpływem przygnębienia spowodowanego problemami małżeńskimi James stał się złodziejem. Poza tym, jeśli wierzyć policji, James miał zacząć malwersacje na rok przed zawarciem małżeństwa, a więc w tym miejscu fakty nie pasują do siebie. Złości nas to, że szarga się dobre imię naszego syna tylko dlatego, że policja idzie po linii najmniejszego oporu. Powinni zająć się nie Jamesem, tylko jego mordercą”.

Na pierwszy rzut oka przyczyna zniknięcia Jamesa Streetera wydaje się równie oczywista jak w przypadku lorda Lucana. Kilka dni po tym, kiedy po raz ostatni, w piątek 27 kwietnia 1990 roku, pojawił się w banku Lowensteina, by następnie przepaść bez wieści, James Streeter został oskarżony o defraudację 10 milionów funtów. Poszlaki przemawiające przeciwko niemu okazały się silne. Zaledwie parę tygodni przed jego zniknięciem bankowa kontrola księgową wykazała nieprawidłowości, na które zwrócono uwagę zarządu. Chodziło o niezgodności w rachunkach na kwotę 10 milionów funtów, sięgające nawet pięciu lat wstecz i obciążające wydział, w którym pracował Streeter. Mówiąc najprościej, oszustwo polegało na zakładaniu fikcyjnych kont, potrzebnych do przeprowadzania wielkich międzynarodowych transakcji, i na ściąganiu z nich odsetek bankowych. Mechanizm opierał się na niewłaściwym funkcjonowaniu bankowego komputerowego systemu zabezpieczeń - który nie był w stanie wykryć istnienia fałszywych rachunków - i w ciągu kilku lat pozwolił na nielegalne wyprowadzenie z banku znacznej kwoty pieniędzy.

Aby uniknąć paniki wśród klientów banku, zarząd podjął błędną, jak się później okazało, decyzję o wszczęciu tajnego dochodzenia wewnętrznego. Nieudolnie prowadzone śledztwo, którego od początku nie udało się utrzymać w sekrecie, nie tylko nie wskazało

sprawcy, ale w dodatku mogło go przestrzec przed groźącym niebezpieczeństwem. Kiedy nocą 27 kwietnia James Streeter zdecydował się na ucieczkę, w oczywisty sposób skierował podejrzenia na siebie, zwłaszcza że jego nagłe zniknięcie nastąpiło zaledwie kilka godzin po tym, jak zarząd banku podjął spóźnioną decyzję o przekazaniu śledztwa w ręce policji.

Jednak mimo długotrwałych przesłuchań jego żony i wnikliwej analizy dokonywanych przez Streetera operacji finansowych nie odnaleziono nigdy ani jego, ani skradzionych pieniędzy. Sceptycy utrzymują, że Streeter zaplanował trasę swojej ucieczki z kilkutygodniowym, kilkumiesięcznym, a nawet kilkuletnim wyprzedzeniem, a 10 milionów funtów zdeponował zawczasu w jednym z zagranicznych sejfów. obrońcy Streetera, przede wszystkim jego rodzice i brat, twierdzą, że James padł ofiarą przestępczej działalności kogoś zupełnie innego i zamordowano go, aby odwrócić uwagę policji od prawdziwego winowajcy. Na potwierdzenie swojej tezy cytują odręcznie napisany faks, który James wysłał z biura o 15.05 w piątek 27 kwietnia 1990 roku do biura brata w Edynburgu.

„Drogi Johnie - czytamy w nim - tato chce, żebym zarezerwował miejsce na «uroczystość» ich czterdziestej rocznicy ślubu. Proponuje Park Lane, ale pamiętam, jak mama mówiła, że gdyby miała kiedykolwiek obchodzić okrągłą rocznicę ślubu, chciałaby wrócić do hotelu w Kent, gdzie urządzali wesele. A może tylko tak mi się zdaje? Czy kiedykolwiek wymieniała przy Tobie nazwę tego hotelu? Tata mówi, że było to gdzieś w Sevenoaks, ale oczywiście nie pamięta gdzie. Twierdzi, że szwankuje mu pamięć, podejrzewam jednak, że miał wtedy po prostu takiego pietra, że sam nie wiedział, gdzie jest! Pytałem ciotki i wujów, ale oni też nie potrafią sobie przypomnieć. Jeśli nie będzie innego wyjścia, obawiam się, że będziemy musieli zrezygnować z niespodzianki i zapytać mamę. Znasz ją. Zranimy jej purytańską duszę, jeśli wydamy majątek na coś, czego tak naprawdę nie chce i w efekcie nie będzie miała z tego żadnej radości. Wiem, że jest jeszcze mnóstwo czasu, warto jednak wcześniej zarezerwować miejsca. Będę w domu przez cały weekend; odezwij się, jeśli możesz. Powiedziałem tacie, że oddzwonię wczesnym popołudniem w niedzielę.

Pozdrawiam. James”.

„Policja może twierdzić co chce - mówi John Streeter - ale mój brat nie wysłałby do mnie faksu, gdyby miał zamiar jeszcze tego samego dnia wyjechać z kraju. Jeśli chciałby odwrócić uwagę od swoich prawdziwych zamiarów, mógł znaleźć dziesiątki lepszych

sposobów. Mógł na przykład wspomnieć o naszej wizycie, którą planowaliśmy na maj. «Do zobaczenia za dwa tygodnie» brzmiałoby bardziej sugestywnie niż «odezwij się, jeśli możesz». Poza tym, po co miałby mieszać w to tatę? Dlaczego miałoby mu zależeć na tym, żeby dwie osoby z jego rodziny martwiły się brakiem zapowiedzianego telefonu?»

Policja patrzy na to bardziej sceptycznie i przypomina atmosferę podejrzeń, jaka panowała już wtedy u Lowensteina. Ich zdaniem James, informując o swoich weekendowych planach, chciał uśpić czujność osób, które mogły go podejrzewać. Mimo teoretycznie poufnego charakteru wewnętrznego dochodzenia prowadzonego w banku, większość pracowników zauważyła, iż zastrzono środki bezpieczeństwa, a raporty i transakcje finansowe są dokładnie kontrolowane. Plotka rozeszła się szybko. Przynajmniej dwie osoby z wydziału Streetera zeznały, że jeszcze przed jego zniknięciem dowiedziały się o odkryciu jakichś malwersacji i podejrzaniach pod adresem ich sekcji. Jeżeli, jak utrzymuje policja, Streeter rzeczywiście wyczekiwał z decyzją do momentu, gdy śledztwo przybrało charakter na tyle poważny, że zmusiło go do ucieczki, to faks wysłany do brata był jedynie elementem zasłony dymnej, która miała zmylić prowadzących dochodzenie. Niemal każda rozmowa telefoniczna w okresie kilku tygodni przed jego zniknięciem kończyła się zaproszeniem na spotkanie w kwietniu, maju lub czerwcu. Jego żona zeznała policji, że na początku kwietnia James stał się nadzwyczaj towarzyski i namawiał ją do organizowania proszonych kolacji i przyjęć dla przyjaciół, kolegów z pracy i krewnych, z którymi umawiał się nawet na lipiec.

Według policji prowadził podwójną grę. Policjanci zwracają uwagę, że jeszcze wtedy, gdy „tajne” dochodzenie znajdowało się na bardzo wczesnym etapie, Streeter polecił sekretarce, aby zapisywała na bieżąco w terminarzu stojącym na jego biurku wszystkie zaplanowane spotkania, także te prywatne. Nietrudno zauważyć, że kwiecień, maj, czerwiec i lipiec 1990 roku są wypełnione znacznie bardziej niż rok wcześniej. John Streeter przyznaje, że zachowanie brata było nietypowe: „To prawda. Byliśmy zaskoczeni, kiedy zaprosili nas do siebie, ponieważ James zawsze powtarzał, że nudzi go przyjmowanie gości. Policja twierdzi, że była to udana próba uśpienia czujności inspektorów, którzy uwierzyli, że James nie wie o wykryciu oszustwa i będzie do ich dyspozycji przez cały ten czas, aż do lipca. Równie dobrze można jednak przyjąć, że James zachowywał się nietypowo, ponieważ tak jak inni był zaniepokojony plotkami krążącymi po banku i starał się zademonstrować swoje zaangażowanie i oddanie firmie. Z pewnością nie był jedynym pracownikiem, który w tamtym okresie skrupulatniej wypełniał swój rozkład zajęć, a większość zapisków w jego terminarzu ma związek ze sprawami zawodowymi”.

Rodzina bez przerwy powołuje się na komputerowy analfabetyzm Streetera, uznając go za kolejny dowód jego niewinności w tej nierozwikłanej sprawie. „James po prostu nie umiałby tego zrobić - twierdzi John. - Jego uparta awersja do nowoczesnej technologii była niemal anegdotyczna. Mógł posługiwać się kalkulatorem i faksem, ale myśl o tym, że

potrafiłby przeprogramować bankowy system komputerowy, jest śmieszna. Kiedy i gdzie miałby się tego nauczyć? Nie miał w domu komputera, nie znamy też nikogo, kto twierdziłby, że go uczył”.

Wiele osób powątpiewa jednak w rzekomą ignorancję Streetera. Istnieją dowody, że miał romans z kobietą nazwiskiem Marianne Filbert, która pracowała jako programistka w firmie komputerowej Softworks Limited. W 1986 roku Softworks miał przygotować opinię na temat bezpieczeństwa systemu komputerowego w banku Lowensteina, ale nie wywiązał się z umowy i nigdy nie przedstawił gotowego raportu. Osoby, które oskarżają Streetera, uważają, że właśnie dostęp Marianne Filbert do tego nie ukończonego raportu jest kluczem do zagadki, tymczasem jego obrońcy podają w wątpliwość, czy Streeter w ogóle znał Filbert. Romans, rzekomy czy prawdziwy, zakończył się z pewnością jeszcze przed odkryciem oszustwa, ponieważ w sierpniu 1989 roku Filbert przeniosła się do Stanów Zjednoczonych. Sekretarka Jamesa Streetera stwierdziła jednak, że parokrotnie widziała, jak szef korzystał z jej komputera do załatwiania prywatnej korespondencji, a jego współpracownicy zwracali w swoich zeznaniach uwagę na łatwość, z jaką Streeter posługiwał się komputerem. „Od razu znalazł błąd, który popełniłem - zauważył jeden z pracowników jego wydziału. - Mówił, że każdy dureń mógłby obsługiwać dowolny program, gdyby mu ktoś powiedział, które klawisze ma naciskać”.

Mimo wszystko, w sprawie zniknięcia Jamesa Streetera wciąż jeszcze bez odpowiedzi pozostaje kilka pytań, które, naszym zdaniem, nie zostały w ogóle postawione. Jeśli przyjmujemy, że Streeter rzeczywiście oszukał bank Lowensteina na 10 milionów funtów, to skąd wiedział, że decyzja o przekazaniu sprawy policji została podjęta przez zarząd właśnie 27 kwietnia? Policja twierdzi, że Streeter od początku planował ucieczkę, licząc się z tym, że jego malwersacje mogą wyjść na jaw, a fakt że data ucieczki zbiegła się z datą decydującego posiedzenia zarządu, był czystym zbiegiem okoliczności. Ale jeśli to prawda, dlaczego zwlekał z decyzją aż sześć miesięcy, w trakcie których w banku toczyło się wewnętrzne dochodzenie? Nie mógł przecież wiedzieć, że nie przynosi ono spodziewanych rezultatów, chyba że miał dostęp do dokumentów zarządu, co, zdaniem samej policji, jest mało prawdopodobne. I czy ów zbieg okoliczności nie wydaje się nazbyt podejrzany, jeśli wziąć pod uwagę, że ostatni weekend kwietnia - zgodnie z tym, co zapisano w biurowym terminarzu Jamesa - był jedynym weekendem w miesiącu, który jego żona miała spędzić poza domem, wyjeżdżając na zaplanowane znacznie wcześniej spotkanie z matką, co dawało Jamesowi - lub komuś innemu - gwarancję, że jego zniknięcie zostanie odkryte dopiero po dwóch dniach?

Policja utrzymuje, że Streeter wybrał na ucieczkę właśnie ten weekend, ponieważ nikt nie mógł śledzić wówczas jego kroków, i że zniknąłby niezależnie od decyzji podjętej przez zarząd. Rozumowanie to nie bierze jednak pod uwagę relacji, które łączyły Jamesa z żoną.

Według słów Kennetha jedną z przyczyn małżeńskich nieporozumień było to, że oboje więcej uwagi poświęcali swoim karierom zawodowym niż sobie nawzajem. „Gdyby James powiedział, że musi lecieć w piątek na drugi koniec kraju, żeby w poniedziałek wziąć udział w ważnym spotkaniu, jego żona nie mrugnęłaby nawet okiem. Tak właśnie wyglądało ich życie. Nie musiał wybierać akurat tego weekendu, kiedy była poza domem. Jej nieobecność zaczyna być istotna tylko wtedy, gdy przyjmujemy, że wyboru dokonał ktoś inny”.

Policja zapomina również o faksie, który James wysłał do brata: „Będę w domu przez cały weekend; odezwij się, jeśli możesz. Powiedziałem tacie, że oddzwonię wczesnym popołudniem w niedzielę”. To, że John rzeczywiście zadzwonił i nie przejmie się nieobecnością brata, było może, tak jak utrzymuje policja, całkowicie do przewidzenia, po co jednak winowajca miałby podejmować dodatkowe ryzyko? Jeśli zestawimy te fakty z zeznaniem Kennetha Streetera - sprawdzonym i zweryfikowanym za pomocą wykrywacza kłamstw - w którym stwierdza on, że James obiecał zadzwonić do niego w niedzielę i poinformować o ustaleniach dotyczących rocznicy ślubu rodziców, wówczas całe to ryzyko okaże się zupełnie zbędne. Gdyby John i Kenneth przywiązali większą wagę do zapowiedzianych telefonów, nieobecność Jamesa mogłaby wyjść na jaw wcześniej.

Linia obrony, którą przyjęli rodzice Streetera, opiera się na teorii spiskowej: ktoś stojący wyżej od Jamesa i mający dostęp do najważniejszych informacji manipulował faktami i zdarzeniami, aby samemu uniknąć odpowiedzialności. Jednak bez dowodów potwierdzających tę wersję wysiłki zmierzające do oczyszczenia ich syna z zarzutów wydają się daremne. Niestety, teorie spiskowe sprawdzają się lepiej w powieściach niż w prawdziwym życiu, a obiektywna analiza dowodów musi prowadzić do wniosku, że James Streeter rzeczywiście zagarnął 10 milionów funtów, a następnie uciekł, zmuszając rodzinę do poniesienia gorzkich konsekwencji jego czynu.

Choć państwo Streeterowie stanowczo temu zaprzeczają, to jednak zarówno James Streeter, jak i Peter Fenton wydają się klasycznymi zbiegami, którym udało się zniknąć bez śladu. Byli dojrzałymi mężczyznami prowadzącymi unormowane życie, a ich zniknięcie musiało wywołać poruszenie i w rezultacie prowadzić do wszczęcia wnikliwego dochodzenia. Zupełnie inaczej było w przypadku dwóch innych „zaginionych”: Tracy Jevons, piętnastolatki notowanej przez policję za uprawianie prostytucji, i Stephena Hardinga, opóźnionego w rozwoju siedemnastolatka kilkakrotnie karanego za kradzież samochodów...

ROZDZIAŁ 2

Pół roku później, w samym środku chłodnego, deszczowego grudnia, kiedy słoneczny czerwiec i jego prażący upał były już tylko odległym wspomnieniem, pani Powell odebrała telefon od dziennikarza pracującego w znanym z lewicowych poglądów magazynie „Street”. Dziennikarz Michael Deacon zbierał materiały do artykułu na temat biedy i losu bezdomnych i chciał porozmawiać z nią o Billym Blake'u.

- Skąd ma pan mój numer telefonu? - zapytała podejrzliwie.

- To nie było trudne. Pół roku temu pani nazwisko i adres można było znaleźć we wszystkich gazetach. Wystarczyło sprawdzić w książce telefonicznej.

- Nie mam w tej sprawie nic do powiedzenia - odparła. - Policja wie o nim więcej niż ja.

Dziennikarz nie dawał za wygraną.

- Obiecuję, że nie zabiorę pani wiele czasu. Czy mógłbym przyjść jutro wieczorem? Powiedzmy, o ósmej.

- Czego konkretnie chciałby się pan dowiedzieć?

- To zależy od pani. Przyznam, że ta sprawa bardzo mnie zaintrygowała. Zdaje się, że oprócz pani nikt się specjalnie nie przejął jego losem. Na policji powiedziano mi, że opłaciła pani koszty pogrzebu. Zastanawiałem się, dlaczego.

- Czuję, że jestem mu coś winna. - Zapadła krótka cisza. - Czy pan jest tym Michaeliem Deaconem, który pracował kiedyś w „Independent”?

- Tak.

- Szkoda, że pan odszedł. Lubiłam czytać pana teksty.

- To miłe. Dziękuję. - Deacon sprawiał wrażenie zaskoczonego, jak ktoś kto rzadko słyszy komplementy. - W takim razie na pewno zgodzi się pani na rozmowę. Ze względu na Billy'ego.

- Powiedziałam, że lubiłam kiedyś czytać pana teksty, co nie znaczy, że lubię „Street”, panie Deacon. Jedynym powodem, dla którego ktoś z tego pisma mógłby chcieć porozmawiać ze mną na temat Billy'ego, jest chęć dołożenia rządowi, a ja nie pozwolę, żeby manipulowano mną w ten sposób.

Tym razem to Deacon milczał przez chwilę, zastanawiając się nad najlepszym

posunięciem. Byłoby dobrze, gdyby wiedział, jak wygląda kobieta, której spokojny, opanowany głos słyszał w słuchawce. Byłoby jeszcze lepiej, gdyby naprawdę wierzył, że spotkanie z nią przyniesie jakiś pożytek. Cała ta rozmowa wydawała mu się stratą czasu i w gruncie rzeczy zależało mu na niej jeszcze mniej od jego rozmówczynie. A jednak...

- Nie zwykłem manipulować ludźmi, pani Powell. Interesuje mnie historia Billy'ego Blake'a. Proszę posłuchać... Co pani traci, spotykając się ze mną? Daję słowo, że zapomnimy o całej sprawie, jeśli sposób przeprowadzenia tej rozmowy nie przypadnie pani do gustu.

- Dobrze - zdecydowała nagle. - Czekam na pana jutro o ósmej wieczorem.

Odłożyła słuchawkę bez pożegnania.

Siedziba redakcji „Street” nosiła jeszcze ślady świetności przypominające o tym, że jej imienniczka, Fleet Street, była niegdyś sławnym centrum przemysłu prasowego. Budynek miał nadal wielką mosiężną tablicę umieszczoną nad frontowym wejściem, ale zdobiące ją litery były tak wyblakłe i porysowane, że stały się dla przechodniów niemal nieczytelne. Większość gazet przeniosła się już dawno do tańszych, bardziej funkcjonalnych lokali w Docklands, dlatego też nowy dynamiczny właściciel „Street”, który przymierzał się do roli magnata prasowego i nosił się z zamiarem wskrzeszenia dawnej świetności pisma poprzez obniżenie kosztów produkcji, zwiększenie sprzedaży i zmianę szaty graficznej, rozglądał się już za nową siedzibą dla swojej redakcji. Na razie pismo funkcjonowało według dotychczasowych zasad w eleganckim, ale niepraktycznym lokalu, kierowane przez naczelnego Jima Pearce'a, który tęsknił do starych dobrych czasów, gdy bogaci wyzyskiwali biednych, a każdy znał swoje miejsce.

Jim Pearce, zwany JP, wciąż nieświadomy zmian czekających redakcję w pierwszych tygodniach nowego roku (które w jego przypadku miały oznaczać odejście na przymusową wcześniejszą emeryturę), ale coraz bardziej zaniepokojony niechęcią obecnego właściciela do omawiania jakichkolwiek kwestii związanych choćby luźno z długoterminową strategią pisma, zjawił się w pokoju redakcyjnym Deacona następnego dnia po jego rozmowie z panią Powell. Jedynym ustępstwem na rzecz nowoczesnej technologii był w tym pomieszczeniu komputer i automatyczna sekretarka; poza tym pokój wyglądał tak samo jak przez ostatnie trzydzieści lat. Ściany pomalowane na kolor wiśniowy, drzwi z okładziny dębowej, pokryte tanią białą dyktą dla wyrównania nieestetycznych wybrzuszeń i pomarańczowe zasłony z motywem roślinnym w oknach - wszystko to składało się na esencję stylu burzliwych, demokratycznych lat sześćdziesiątych.

- Mike, chcę, żebyś idąc do pani Powell, wziął ze sobą fotografa - powiedział Pearce

wojowniczym tonem, który z powodu rosnących z każdym dniem obaw coraz bardziej wchodził mu w krew. - Nie można przegapić takiej okazji. Chcę mieć łyzy i spazm thatcherystki, która przejrzała na oczy.

Deacon patrzył w monitor komputera i nie przerywał pisania. Miał 180 centymetrów wzrostu, ponad osiemdziesiąt kilogramów wagi i niełatwo było go nastraszyć. Poza tym okłamał panią Powell i nie miał szczególnej ochoty, aby jego kłamstwo wyszło na jaw.

- Nie ma mowy - odparł krótko. - Kiedy ostatnim razem zjawili się u niej dziennikarze, po prostu im nawiała. Nie po to poświęcam swój cenny czas na rozmowę z jakąś głupią gęsią, żeby na widok obiektywu trzasnęła mi drzwiami przed nosem.

Pearce zignorował jego słowa.

- Powiedziałem Lisie Smith, żeby z tobą poszła. Potrafi się zachować, a jeśli wyciągnie aparat dopiero w domu, na pewno uda wam się przekonać panią Powell. - Popatrzył krytycznym okiem na pomietą marynarkę i dwudniowy zarost Deacona. - I, na miłość boską, doprowadź się do porządku, bo ta biedna kobieta dostanie na twój widok zawału. Chcę mieć na zdjęciu bogatą, nadętą toryskę, która załamuje ręce nad niesprawiedliwą polityką społeczną rządu, a nie kogoś, kto umiera ze strachu, bo wpuścił do domu podstarzałego lumpa.

Deacon odchylił się na krześle i spojrzał uważnie na swojego szefa.

- Mam gdzieś jej poglądy polityczne, bo jeśli nie powie mi niczego sensownego, nie mam zamiaru o niej pisać. Ten wywiad to twój pomysł, nie mój. Bezdomność to za poważny problem, żeby załatwiać go za pomocą zdjęcia jakiejś spasionej toryski, która wypłakuje oczy w koronkową chusteczkę. - Zapalił papierosa i poirytowany wrzucił zapalną do przepelnionej popielniczki. - Żyły sobie tutaj wypruwam i nie pozwolę zamienić gazety w magiel. Interesuje mnie szukanie rozwiązań, a nie polityczne rozróby.

Pearce podszedł do okna i spojrzał w dół na mokrą, szarą Fleet Street, po której w strugach deszczu sunął wolno sznur samochodów. Gdzieś w oknach pobłyskiwały efemeryczną radością zapalone, odświeżone przybrane choinki. Nigdy wcześniej nie czuł tak wyraźnie, że jakiś etap w jego życiu dobiega końca.

- O jakich rozwiązaniach mówisz?

Deacon zaczął grzebać w stercie papierów leżących na biurku i wyciągnął stamtąd zadrukowaną kartkę.

- O wspólnych działaniach. Zebrałem opinie polityków, duchownych i przedstawicieli różnych środowisk społecznych, żeby zobaczyć, co zmieniło się w ciągu ostatnich dwudziestu lat. - Rzucił okiem na kartkę. - Wszyscy są zgodni, że statystyki dotyczące rozbitych rodzin,

małoletnich matek i uzależnień wśród nastolatków są alarmujące. Traktuję to jako punkt wyjścia.

- To nudne, Mike. Powiedz mi coś nowego. - Pearce patrzył na przesuwaną się pod oknem pochód czarnych parasoli i widok ten przypominał mu o wszystkich pogrzebach, w których uczestniczył przez ostatnie lata.

Deacon zaciągnął się głęboko i spokojnie wpatrywał się w plecy Pearce'a.

- Na przykład?

- Powiedz mi, że masz oświadczenie ministra, który twierdzi, że wszystkie samotne matki należy wysterylizować. Wtedy może odpuszczę ci rozmowę z panią Powell. Masz coś takiego? - Na szybie pojawił się obłoczek pary.

- Nie - odparł spokojnie Deacon. - Nie wiem czemu, ale nie udało mi się jeszcze spotkać polityka, który byłby aż tak głupi. - Poskładał papiery na biurku. - A co powiesz na to: „Ubogich zawsze macie u siebie i kiedy zechcecie, możecie im dobrze czynić”^{*?}

Pearce odwrócił się od okna.

- Kto to powiedział?

- Jezus Chrystus.

- To ma być śmieszne?

Deacon wzruszył obojętnie ramionami.

- Niekoniecznie. Ma raczej dawać do myślenia. Przez dwa tysiące lat nikt nie wymyślił nic lepszego. Żaden polityk w żadnym kraju nie poradził sobie z tym problemem. Muszę cię zmartwić, ale nawet komuniści mają swoich nędzarzy.

- To pismo polityczne, a nie trybuna odrodzonego chrześcijaństwa - powiedział chłodno Pearce. - Skoro jesteś taki wrażliwy, trzeba było zostać w „Independent”. Pomyśl o tym następnym razem, zanim powiesz mi, że nie chcesz brudzić sobie rąk.

Deacon zamyślił się i wypuścił w powietrze kilka kółek dymu.

- Nie możesz mnie wylać - mruknął. - To dzięki mnie ten szmatławiec w ogóle jeszcze wychodzi. Wiesz dobrze, tak samo jak ja, że gdyby nie mój artykuł o ochronie zdrowia, o którym rozpisywała się potem cała prasa, 99,99 procent dorosłych mieszkańców tego kraju nie miałoby pojęcia, że „Street” jeszcze się ukazuje. Jestem tu złem koniecznym.

Nie było w tym wielkiej przesady. W dziesięć miesięcy po wejściu Deacona do zespołu redakcyjnego poziom sprzedaży po piętnastu latach ciągłego spadku zaczął powoli piąć się w górę. Ale była to wciąż jeszcze zaledwie jedna trzecia nakładu, który pismo

* Ewangelia według św. Marka 14,7.

osiągało pod koniec lat siedemdziesiątych i na początku osiemdziesiątych. Wskreszenie „Street” wymagało posunięć bardziej zdecydowanych niż drukowanie zaangażowanej publicystyki jednego dziennikarza, a to, zdaniem Deacona, oznaczało nowego naczelnego z nowymi pomysłami - fakt, z którego JP doskonale zdawał sobie sprawę.

Pearce posłał Deaconowi lodowaty uśmiech.

- Gdybyś napisał to tak, jak ci radziłem, wyszlibyśmy na tym jeszcze lepiej. Żaden zasrany brukowiec nie podebrałby nam tematu. Dlaczego uparłeś się, żeby nie podawać nazwisk tych dwóch dzieciaków?

- Bo dałem słowo ich rodzicom. A poza tym - dodał z naciskiem - nie uważam, żeby publikowanie zdjęć zmasakrowanych dzieci było sposobem na zwiększanie nakładu.

- I tak je opublikowali.

To prawda, pomyślał Deacon. I wciąż jeszcze czuł z tego powodu wściekłość. Zadał sobie wiele trudu, żeby zapewnić obu rodzinom anonimowość, ale pieniądze skłoniły sąsiadów i przyjaciół do mówienia.

- Nie z mojej winy.

- Zawracanie głowy. Wiedziałeś doskonale, że prędzej czy później ktoś i tak ich sprzeda.

- Powiniennem być to wiedzieć - poprawił go Deacon, mrużąc oczy od dymu z papierosa. - Bóg mi świadkiem, że dość się już nasłuchałem twoich opinii na ten temat. Sprzedałbyś własną matkę za jedną roczną prenumeratę.

- Jesteś niewdzięcznym draniem, Mike. Lojalność obowiązuje tylko jedną stronę, tak? Pamiętasz, jak przyszedłeś tu błagać mnie o pracę, kiedy Malcolm Fletter obsmarowywał ci tyłek? Od dwóch miesięcy byłeś bez pracy i zaczynało ci odbijać. - JP oskarżycielskim gestem wyciągnął palec w kierunku Deacona. - Kto cię przygarnął? Kto wyciągnął cię z domu i dał zajęcie, żebyś nie myślał w kółko o swoich osobistych problemach, które sam sobie zafundowałeś?

- Ty.

- Właśnie. Więc bądź tak uprzejmy i zrób dla mnie coś w zamian. Odśwież się, strzel grubej torysce parę fotek i przemagluj ją porządnie. I włóż w to trochę serca.

Wyszedł, trzaskając za sobą drzwiami.

Deacon był już niemal zdecydowany, żeby dogonić go na schodach i powiedzieć, że Malcolm Fletter nie dalej jak dwa tygodnie temu proponował mu powrót do „Independent”. Zrobiło mu się jednak żal.

Nie tylko JP miał poczucie, że jakiś etap w jego życiu dobiega końca.

Lisa Smith aż gwizdnęła z podziwu, kiedy Deacon o wpół do ósmej zjawił się pod budynkiem redakcji.

- Świetnie wyglądasz. Co to za okazja? Znowu się żenisz?

Deacon wziął ją pod ramię i poprowadził w stronę samochodu.

- Radzę ci, Smith, uważaj na słowa. Jestem pewien, że nie chcesz rozdrapywać moich świeżych ran. Jesteś na to zbyt miła i zbyt wrażliwa.

Lisa była śliczną, energiczną, dwudziestoczteroletnią brunetką. Miała gęste, kręcone włosy i troskliwego chłopaka. Już kilka miesięcy wcześniej wpadła Deaconowi w oko, ale nie dał jej niczego po sobie poznać. Obawiał się, że da mu kosza. A przede wszystkim bał się usłyszeć, że mógłby być jej ojcem. W wieku czterdziestu dwóch lat zaczynał coraz wyraźniej zdawać sobie sprawę, że zbyt długo i zbyt lekkomyślnie zaniedbywał swoje ciało. To, co było kiedyś szczupłym, twardym mięśniem, zmieniło się w zwiotczone fałdki tłuszczu skrywane wstydliwie pod paskiem i nie rzucające się w oczy tylko dlatego, że spodnie z miękkiego materiału tuszowały to, co jeszcze niedawno eksponowały ciasno opięte dżinsy.

- To ciekawe, Deacon, że jak się tylko trochę postarasz, robi się z ciebie od razu inny facet - powiedziała otwarcie Lisa. - W latach sześćdziesiątych mogłeś sobie pozować na *enfant terrible*, ale dzisiaj nie robi to na nikim wrażenia.

Otworzył drzwi i poczekał, aż ułożyła swój sprzęt na tylnym siedzeniu, a sama usadowiła się z przodu, odsłaniając długie nogi.

- Jak tam Craig? - zapytał, gramoląc się na siedzenie obok niej.

Pokazała mu diamentowy pierścionek na serdecznym palcu.

- Bierzemy ślub.

Deacon zapalił silnik i ruszył.

- Dlaczego?

- Bo mamy na to ochotę.

- To żaden powód. Ja każdej nocy mam ochotę przelecieć dwadzieścia panienek, ale nie robię tego, bo nie chcę sobie zrujnować zdrowia.

- Nie zrujnowałbyś sobie zdrowia, tylko reputację, bo nigdzie nie znalazłbyś dwudziestu tak zdesperowanych kobiet.

Deacon uśmiechnął się szeroko.

- Miałem ochotę poślubić obie moje żony, aż w końcu postawiłem na swoim i przekonałem się, że obie bardziej interesują się stanem mojego konta niż stanem mojego ducha.

- Wielkie dzięki.

- Za co?

- Za gratulacje i życzenia pomyślności.

- Jestem po prostu praktyczny.

- Nieprawda - odsłoniła zęby w uśmiechu. - Jesteś zgorzkniały. Jak zawsze. Craig jest inny niż ty, Mike. Po pierwsze, lubi kobiety.

- Ależ ja k o c h a m kobiety.

- No właśnie, w tym rzecz. Nie lubisz ich, ale za to kochasz je jak cholera, dopóki masz cień nadziei, że zaciągniesz je do łóżka. - Zapaliła papierosa i uchyliła okno. - Czy nigdy nie przyszło ci do głowy, że gdybyś naprawdę zaprzyjaźnił się z którąś ze swoich żon, pewnie nadal byłbyś żonaty?

- Teraz to ty jesteś zgorzkniała - odparł, skracając w stronę Blackfriars Bridge.

- Jestem po prostu praktyczna - mruknęła. - Nie chcę skończyć tak jak ty. Sama jak palec. - Przytknęła koniec papierosa do szpary w oknie i pozwoliła, żeby pęd powietrza porwał popiół. - No więc, co nas czeka dziś wieczór? JP mówił, że mam fotografować tę kobietę, kiedy będziesz rozmawiał z nią o jakimś pijaczku, którego znalazła w swoim garażu.

- Taki jest plan.

- Co to za kobieta?

- Nie mam pojęcia - przyznał Deacon. - Prasa trąbiła o tej sprawie w czerwcu, ale oprócz nazwiska i adresu nie podali żadnych szczegółów. Zniknęła z domu, zanim zjawili się dziennikarze, a kiedy wróciła, było już po sprawie. JP ma nadzieję, że baba ma dobrze po pięćdziesiątce, jest nieskazitelnie elegancka, ma zdecydowanie konserwatywne poglądy polityczne i męża maklera.

Pani Powell była rzeczywiście nieskazitelnie elegancka, ale co najmniej dwadzieścia lat młodsza, niż oczekiwał Pearce. Była też zbyt opanowana, żeby zdradzić emocje, na które liczyła Lisa. Przywitała ich z uprzedzającą, wystudiowaną uprzejmością, a następnie zaprosiła do nienagannie utrzymanego, oszczędnie urządzonego salonu, w którym unosił się zapach różanego pot-pourri. Bez wątpienia lubiła wolną przestrzeń, a Deaconowi spodobały się wyścielane kremową skórą chromowane fotele i sofa, które wraz z niskim szklanym stolikiem tworzyły rodzaj wysepki na środku brązowego dywanu. Z przestronnego okna, spomiędzy rozsuniętych zasłon, otwierał się widok na Tamizę i światła połyskujące na drugim brzegu rzeki. W pokoju znajdował się jeszcze tylko rząd szklanych półek zawieszonych nad szafką z przyciemnionego szkła, w której z pewnością stała wieża stereo - i trzy grafiki, które zdobiły przeciwległą ścianę.

Deacon skinął głową w ich stronę.

- Czyje to prace?

- Henriego Benoit. Gravure à la manière noire.

- Interesujące - odparł, przyglądając się uważnie kobiecie, choć nie wiadomo było, czy myśli o obrazach, czy o niej.

W istocie zastanawiał się nad tym, że urządzenie pokoju nie pasowało do wyglądu domu. Była to nieciekawa ceglana bryła stojąca na jednej z nowych parcel Isle of Dogs, które w żargonie agentów nieruchomości określono by pewnie jako „ciąg ekskluzywnych wolno stojących posesji z widokiem na rzekę”. Deacon domyślił się, że dom ma mniej więcej pięć lat, trzy łazienki i dwa pokoje gościnne, i ocenił, że jego wartość znacznie przekracza możliwości przeciętnej zarabiającej osoby. Dlaczego więc, zastanawiał się, kobieta bez wątplenia bogata, posiadająca dobry gust, miałaby wybierać dla siebie coś tak bezstylowego, jeśli za podobne pieniądze mogłaby kupić obszerny apartament w centrum Londynu? Może lubi domki jednorodzinne, pomyślał nieco cynicznie. Albo widok na rzekę. A może po prostu wyboru dokonał pan Powell.

- Proszę usiąść - zaprosiła ich, wskazując ruchem ręki na sofę. - Napiją się państwo czegoś?

- Chętnie - odparła Lisa, która od początku poczuła do niej niechęć. - Czarną kawę, jeśli można.

W kategoriach kobiecej rywalizacji pani Powell była stanowczo górą. Wydawało się, że ma wszystko, nie wyłączając wdzięku, a Lisa bezskutecznie próbowała znaleźć coś, co mogłaby skrytykować.

- Panie Deacon?

- Czy ma pani coś mocniejszego?

- Naturalnie. Whisky, brandy, piwo?

- Czerwone wino? - podsunął Deacon z nadzieją w głosie.

- Mam otwartą Rioję, rocznik 84. Może być?

- Tak. Dziękuję.

Pani Powell zniknęła w korytarzu i po chwili usłyszeli z kuchni odgłos napełnianego czajnika.

- Co z tobą, Smith? - mruknął Deacon. - Dają darmowy alkohol, a ty zamawiasz kawę?

- Myślałam, że mamy się zachowywać - syknęła. - I, na litość boską, nie pal tu. Nie ma popielniczek. Nie chcę, żebyś ją wkurzył, zanim zgodzi się na zdjęcia.

Deacon zauważył krytyczne spojrzenie, którym ogarnęła pokój.

- I co? Jaki werdykt?

- JP pomylił się tylko w sprawie wieku i męża. To ona jest maklerem. Założę się, że każe mówić do siebie „pani” tylko dlatego, żeby czuć się pewniej w środowisku zdominowanym przez mężczyzn. Nie ma tu śladu po żadnym facecie. Jest zbyt niewygodnie i w dodatku ten cholerny zapach. Pewnie przed naszym przyjściem spryskała pokój dezodorantem. - Wykrzywiła usta ze wstrętem. - Nienawidzę kobiet, które to robią. Chcą cię zakasować. Chcą pokazać, że ich dom jest czystszy niż twój.

Deacon uniósł z rozbawieniem brwi.

- Jesteś zazdrosna?

- A niby o co? - zachnęła się.

- O sukces - odparł cicho, kładąc palec na ustach. Z korytarza dobiegł odgłos kroków pani Powell.

- Jeśli państwo palą - powiedziała, stawiając filiżankę z kawą przed Lisą i kieliszek czerwonego wina przed Deaconem - znajdę popielniczkę.

Postawiła swój kieliszek na stole blisko fotela i spojrzała na nich pytającym wzrokiem.

- Nie, dziękuję - powiedziała Lisa, która pamiętała o instrukcjach Pearce'a.

- Tak, proszę - powiedział Deacon, który wątpił, czy zdoła wytrzymać przez całą godzinę zapach różanych płatków. Żałował, że Lisa zwróciła na niego uwagę. Zapach był duszący i przypominał mu o drugiej pani Deacon, która topiła jego skromne dochody w Chanel nr 5, zlewając się perfumami bez umiaru. Było to krótsze z jego dwóch małżeństw. Trwało zaledwie trzy lata, po czym Clara oddaliła się z dwudziestoletnim playboyem i większą częścią majątku swojego męża. Deacon wziął chiński spodeczek, który podała mu pani Powell, wsadził do ust papierosa i zapalił go. Zapach dymu natychmiast zabił woń róż i Deacon poczuł równocześnie wyrzuty sumienia i zadowolenie. Trzymając w ustach papierosa, wyciągnął z kieszeni marynarki magnetofon i notatnik i położył je przed sobą na stole.

- Czy mogę nagrywać naszą rozmowę?

- Tak.

Włączył magnetofon i jakby od niechcenia poruszył temat zdjęć.

- Pani Powell, chcielibyśmy, żeby tekstowi towarzyszył materiał zdjęciowy. Czy zgodzi się pani, żeby Lisa zrobiła pani kilka fotografii?

Spojrzała na niego uważnie, siadając w fotelu.

- Do czego potrzebne są panu moje zdjęcia, panie Deacon, skoro zamierza pan pisać o Billym Blake'u?

No właśnie, do czego?

- Niestety zdjęcia Billy'ego nie istnieją - skłamał, odkładając papierosa na brzeg popielniczki. - Pomyśleliśmy więc o pani. Czy ma pani coś przeciwko temu?

- Tak - odparła stanowczo. - Obawiam się, że tak. Mówiłam już panu, że nie pozwolę sobą manipulować.

- A ja mówiłem, że nie mam w zwyczaju manipulować ludźmi, pani Powell.

Miała zimne niebieskie oczy, takie same jak jego matka. Szkoda, pomyślał, bo poza tym jest całkiem atrakcyjna.

- A więc przyzna pan, że to absurdalne, ilustrować artykuł na temat biedy i bezdomności zdjęciem kobiety, która mieszka w eleganckim domu w eleganckiej dzielnicy Londynu. - Zrobiła pauzę, zachęcając go do odpowiedzi. Ponieważ jednak Deacon milczał, dodała: - W rzeczywistości zdjęcia Billy'ego Blake'a istnieją. Mam w domu dwa, które mogę panu pożyczyć. Jedno to fotografia policyjna zrobiona kiedy po raz pierwszy został aresztowany, drugie wykonano w kostnicy. Oba znacznie lepiej nadają się do pańskiego artykułu.

Deacon wzruszył ramionami, ale nadal milczał.

- Podobno interesuje pana Billy.

Jej głos zdradzał zdenerwowanie, co wydało się Deaconowi dziwne. Dostatecznie długo był dziennikarzem, żeby zorientować się, że to pani Powell bardziej zależało na opowiedzeniu historii Billy'ego, niż jemu na jej wysłuchaniu. Dlaczego właśnie teraz, skoro wcześniej nie chciała rozmawiać z prasą? Pytanie było intrygujące.

- No cóż, nie ma zdjęć, nie ma artykułu. - Sięgnął dłonią, żeby wyłączyć magnetofon.

- Takie mam instrukcje. Przepraszam za zmarnowany czas - popatrzył z żalem na nietknięty kieliszek.

Pani Powell obserwowała, jak zbierał swoje rzeczy, najwyraźniej rozważając coś w myśli.

- Dobrze - powiedziała nagle. - Zgadzam się na zdjęcia. Ta historia zasługuje na dalszy ciąg.

- Dlaczego? - zapytał krótko, wciskając ponownie guzik magnetofonu.

Kobieta czekała na to pytanie. Jej słowa popłynęły tak gładko, że Deacon nie miał wątpliwości, iż wcześniej przećwiczyła odpowiedź.

- Ponieważ jesteśmy chorym społeczeństwem, jeżeli sądzimy, że życie człowieka

może być tak bezwartościowe, by interesujące okazały się dla nas jedynie okoliczności jego śmierci.

- Pięknie powiedziane - odparł spokojnie - ale mało oryginalne. Wielu ludzi umiera w zapomnieniu.

- Ale dlaczego zagłodził się na śmierć? Dlaczego właśnie tu? Dlaczego nikt nic o nim nie wie? Dlaczego powiedział policji, że jest dwadzieścia lat starszy? - Wpatrywała się napiętym wzrokiem w jego twarz. - Czy pana to nie dziwi?

Jeszcze jak! Jego zdziwienie narastało z każdą chwilą, ale bardziej od mężczyzny, który zmarł w garażu, zaczynała go intrygować sama pani Powell. Na przykład, dlaczego tak bardzo przejęła się śmiercią Billy'ego, że gotowa była użyczyć swojej twarzy, żeby tylko ktoś o nim napisał?

- Na pewno go pani nie znała? - zapytał z pozorną obojętnością.

Wydawała się naprawdę zaskoczona.

- Oczywiście, że nie. Gdybym go znała, nie zaprzętałabym sobie głowy tymi pytaniami.

Deacon otworzył notatnik i zapisał: „Po co w o g ó l e zaprzętać sobie głowę zupełnie obcą osobą w pół roku po jej śmierci?”.

- Woli pani, żeby Lisa zrobiła zdjęcia teraz czy w trakcie rozmowy? - zapytał.

- W trakcie rozmowy.

Począł, aż Lisa otworzy zamek błyskawiczny w swojej torbie i wyciągnie aparat fotograficzny.

- Jak ma pani na imię?

- Amanda.

- Mam pisać Amanda Powell czy pani Powell?

- Wszystko jedno - zmarszczyła brwi i spojrzała w obiektyw aparatu.

- Wolałabym uśmiech - powiedziała Lisa i nacisnęła wyzwalacz. Pstryk. - Znakomicie.

- Pstryk. - Proszę popatrzeć w dół. Dobrze. - Pstryk. - Proszę nie podnosić wzroku. Teraz jest świetnie. - Pstryk, pstryk.

- Niech pan zaczyna, panie Deacon - powiedziała szorstko - bo za chwilę zrobi mi się niedobrze.

Uśmiechnął się.

- Proszę mówić mi Deacon albo po prostu Mike. Ile ma pani lat?

- Trzydzieści sześć.

- Zawód?

Uniosła wzrok, a Lisa zrobiła kolejne zdjęcie.

- Jestem architektem.
- Pracuje pani na własną rękę czy dla kogoś?
- Dla W. F. Meredith. - Pstryk.

Nieźle, pomyślał Deacon. Czego chcieć więcej?

- Jakie są pani poglądy polityczne?
- Żadne.
- A prywatnie?

Na jej twarzy pojawił się słaby uśmiech. Pstryknęła migawka aparatu.

- Takie same.
- Głosuje pani? - Deacon odwrócił wzrok, kiedy zorientowała się, że bacznie jej się przygląda.
- Naturalnie. Kobiety długo o to walczyły.
- Na którą partię zwykle pani głosuje?
- Na tę, która, moim zdaniem, wyrządzi najmniej zła.
- Widzę, że nie interesuje się pani zbytnio polityką. Jest jakiś szczególny powód czy to po prostu duch *fin de siècle'u*?

Znów słaby uśmiech i dłoń sięgająca po kieliszek.

- Osobiście wahałabym się przed łączeniem tak abstrakcyjnego pojęcia jak duch *fin de siècle'u* ze słowem „po prostu”, ale w przypadku pańskiego artykułu jest to pewnie bez znaczenia.

Zastanawiał się, czy pocałunek z nią byłby przyjemny.

- Czy jest pani zameżna, Amando?
- Tak.
- Co robi pani mąż?

Podniosła do ust kieliszek, zapominając na moment o wymierzonym w nią obiektywie aparatu. Zmarszczyła brwi i odstawiła go na stół, kiedy Lisa zrobiła następne zdjęcie.

- Mojego męża nie było tu, kiedy znalazłam ciało - powiedziała. - Więc jakie to ma znaczenie?

Deacon kątem oka zauważył lekko rozbawiony cyniczny wyraz twarzy Lisy.

- Zwykła ludzka ciekawość - odparł swobodnie. - Czytelnicy będą chcieli wiedzieć, kim jest mąż wziętej pani architekt.

Może domyśliła się, że jego ciekawość miała osobiste podłoże, a może rzeczywiście, jak podejrzewała Lisa, nie było w ogóle żadnego pana Powella.

- To ja znalazłam ciało - powtórzyła - więc zostaniemy przy mojej osobie. Możemy kontynuować?

Nieruchome spojrzenie jej bladoniebieskich oczu było coraz bardziej krępujące, a łagodne fantazje Deacona na temat pocałunku zaczęły tracić swój niewinny charakter. Wyobrażał sobie, jak zareagowałby Pearce, gdyby dowiedział się, ile cennych informacji udało mu się dotąd wydobyć z pani Powell. Nazwisko, stopień i numer służbowy. Wątpił, aby zdjęcia wypadły o wiele lepiej. Jej twarz przypominała kamienne oblicze jeńca wojennego stojącego pod ścianą straceń. Zastanawiał się, czy rozpałał ją czasem ogień namiętności, czy też może jej życie było całkowicie pozbawione emocji. Myśl o tym na nowo pobudziła jego wyobraźnię.

- Dobrze - zgodził się. - Porozmawiajmy o tym, jak odkryła pani ciało. To musiał być wstrząs. Czy może pani opisać dokładniej swoje reakcje? Co pani poczuła, kiedy go pani ujrzała?

- Odrazę - odparła, starając się, aby jej głos brzmiał naturalnie. - Leżał w kącie za stertą pustych pudeł zawinięty w stary koc. Kiedy go odwinęłam, poczułam okropny fetor. Cała podłoga wokół była mokra - zacisnęła usta w nagłym odruchu wstrętu i zamrugowała oślepiona fleszem aparatu. - Kiedy policja powiedziała mi, że umarł z wycieńczenia i wygłodzenia, zaczęłam się zastanawiać, dlaczego nie próbował się ratować. Nie chodzi tylko o to, że stała tam zamrażarka. - Bezradnym ruchem ręki skinęła w stronę okna. - Wszyscy są tu tak zamożni, że nawet w pojemnikach na śmieci leży pełno świeżego jedzenia.

- Przychodzi pani do głowy jakaś odpowiedź?

- Tylko taka, że kiedy znalazł mój garaż, był już tak słaby, iż zdołał tylko doczołgać się do kąta i ukryć.

- Dlaczego miałby się ukrywać?

Przez chwilę przyglądała mu się w milczeniu.

- Nie wiem. Ale jeśli się nie ukrywał, to dlaczego nie próbował zwrócić na siebie mojej uwagi? Policja twierdzi, że musiał dostać się do środka w sobotę, korzystając z tego, że po południu poszłam po zakupy i drzwi do garażu były przez pół godziny otwarte. - Okazało się, że potrafi jednak okazywać emocje. Nerwowym ruchem uniosła dłoń w kierunku ust i opuściła ją gwałtownie, przypomniawszy sobie o obiektywie aparatu. - Znalazłam ciało w następny piątek, a lekarz sądowy stwierdził, że zgon nastąpił pięć dni wcześniej. To znaczy, że w niedzielę jeszcze żył. Mogłabym mu pomóc, gdyby zawołał i dał mi znać, że tam jest. Dlaczego tego nie zrobił?

- Może się bał.

- Czego?

- Że aresztują go za wtargnięcie na prywatny teren.

Potrząsnęła przecząco głową.

- Na pewno nie. Nie bał się ani policji, ani więzienia. Wiem, że dosyć często siedział w areszcie. Dlaczego tym razem miały się przestraszyć?

Deacon robił odręczne notatki, aby móc odtworzyć później w pamięci uczucia, które malowały się na jej twarzy, gdy mówiła o Billym. Niepokój. Przejęcie. Przestach. Coraz ciekawiej. Kim był Billy Blake, że wspomnienie o nim wzbudzało w niej większe emocje niż wzmianka o mężu?

- Może nie miał już siły, żeby wzywać pomocy. Lekarz nie potrafił pewnie powiedzieć, czy tamtej niedzieli Billy był przytomny?

- Nie - odparła z namysłem. - Ale ja potrafię. W zamrażarce była torebka z kostkami lodu. Ktoś ją rozerwał. Ponieważ nie zrobiłam tego ja, zakładam, że to Billy. Na ścianie w drugim kącie garażu były ślady moczu. Jeśli miał siłę, żeby się poruszać, mógł zastukać w ścianę łączącą garaż z korytarzem. Wiedział, że jestem w domu, bo musiał mnie słyszeć. Drzwi są za cienkie, żeby wytłumić dźwięki.

- Co na to policja?

- Nic. Dla orzeczenia lekarskiego nie ma to znaczenia. Billy zmarł z głodu i wycieńczenia i nieważne, czy zagłodził się świadomie czy nie.

Deacon zapalił następnego papierosa i obserwował ją przez smuzkę dymu.

- Ile zapłaciła pani za kremację?

- Czy kwota ma tu jakieś znaczenie?

- To zależy od stopnia cynizmu, który przypisze pani przeciętnemu czytelnikowi. Może on dojść do wniosku, że nie chce pani wymienić sumy, żeby ludzie pomyśleli, że zapłaciła pani więcej niż w rzeczywistości.

- Pięćset funtów.

- Gdyby Billy żył, nie dałaby mu pani takiej kwoty, prawda?

Przytaknęła. Pstryk.

- Gdybym spotkała go żebrzącego na ulicy, uznałabym, że jestem hojna, dając mu pięć funtów.

Pstryk. Pstryk. Spojrzała z irytacją na Lisę. Wydawało się, że chce coś powiedzieć, ale po krótkiej chwili rozmyśliła się. Jej twarz przybrała znowu swój normalny skupiony wyraz.

- Powiedziała pani wczoraj, że jest mu pani coś winna. Co takiego?

- Może szacunek.

- Czy dlatego, że nikt nie okazał mu go za życia?

- Chyba tak - przyznała. - Tyle tylko, że gdy się to mówi, brzmi to strasznie sentymentalnie.

Deacon notował przez chwilę.

- Jest pani osobą wierzącą?

Odwróciła gwałtownie głowę, kiedy Lisa po raz kolejny oślepiła ją lampą błyskową.

- Może wystarczy już tych zdjęć?

Lisa nie spuszczała obiektywu z jej twarzy.

- Jeszcze kilka z opuszczonym wzrokiem. - Pstryk. - Tak, teraz bardzo ładnie. - Pstryk.

- Trochę więcej uczucia. - Pstryk. - Znakomicie. - Pstryk, pstryk, pstryk.

Deacon patrzył, jak w oczach kobiety wzbiera irytacja.

- W porządku, Smith. Skończmy już na tym.

- Może zrobię jeszcze kilka w garażu? - zaproponowała, nie chcąc marnować końcówki filmu. - To zajmie tylko chwilę.

Pani Powell wpatrywała się w czerwień wina w kieliszku i dopiero po chwili pociągnęła z niego łyk.

- Proszę się nie krępować - powiedziała, nie podnosząc głowy. - Klucze są na stoliku w korytarzu. Światło zapala się automatycznie po otwarciu bramy. Niestety, nie używam już drzwi przejściowych.

- Miałam na myśli kilka pani zdjęć - odparła Lisa. - Chciałabym, żeby poszła pani ze mną. Jeśli jest tam chłód i wilgoć, wyjdzie naprawdę dobrze. Bardziej nastrojowo.

Ponieważ pani Powell nadal siedziała nieruchomo, Lisa doszła do wniosku, że kobieta nie usłyszała jej słów. Spróbowała ponownie.

- Pięć minut i będzie po wszystkim. Mogłaby pani stanąć w miejscu, gdzie go pani znalazła, zrobić smutną minę. Coś w tym rodzaju.

W pokoju słychać było tylko tykanie zegara stojącego na kominku, które zdawało się przybierać na sile wraz z przedłużającą się ciszą. Deacon miał wrażenie, że kobieta czeka na coś, i wstrzymał oddech, czekając wraz z nią. Dźwięk jej głosu zaskoczył go.

- Przykro mi - powiedziała do dziewczyny - ale należymy do innego gatunku ludzi. Nie mogłabym pochlipywać i pozować do pani żałosnych zdjęć w miejscu, gdzie umarł Billy, tak samo jak nie mogłabym nosić pani prowokujących ubrań i wyzywającego makijażu. Nie jestem ani wystarczająco wulgarna, ani tak zdesperowana, żeby zasłużyć na pani uznanie.

W ostatnim zdaniu było za dużo syczących głosek i staranna dotąd dykcja pani Powell tym razem ją zawiodła. Deacon z lekkim zdumieniem zorientował się, że kobieta była pijana.

ROZDZIAŁ 3

Przedłużająca się cisza stawała się niebezpieczna. Milczenie nie tylko nie umniejszyło wagi jej słów, ale dodało im jeszcze ciężaru i stanowczości. Deacon uległ pokusie, żeby spojrzeć na Lisę oczami Amandy i zdziwił się trafnością jej opisu. W porównaniu z wyniosłą elegancją kobiety, która siedziała przed nim w fotelu, Lisa w swojej ciasno opiętej spódnicy, z wydatnymi ustami podkreślonymi grubą konturówką wyglądała rzeczywiście wyzywająco i Deacon poczuł się upokorzony, kiedy pomyślał, że tak długo nie zdradził się przed nią z tym, do czego zachęcała całym swoim wyglądem. Jak pies Pawłowa, śliniący się, gdy tylko podrażnić mu zmysły - pomyślał o sobie ze złością.

Wyciągnął z kieszeni kluczyki od samochodu i zaproponował, żeby Lisa wróciła ze sprzętem do redakcji.

- Złapię taksówkę, kiedy skończymy - powiedział. - Zostaw kluczyki na biurku u Glena. Odbiorę je później.

Skinęła głową z wyraźną ulgą i Deacon natychmiast pożałował swojej refleksji. Odrobina ostentacji to jeszcze nie zbrodnia. To raczej naturalna cecha młodości. Lisa zapakowała torbę, kładąc na wierzchu aparat fotograficzny, skinęła głową w kierunku Amandy i wyszła z pokoju.

Oboje usłyszeli brzęk kluczy zabieranych ze stolika w korytarzu. Amanda westchnęła.

- Byłam nieuprzejma. Przepraszam. Nie potrafię traktować śmierci Billy'ego tak lekko jak pan czy pańska przyjaciółka.

Patrzyła przez chwilę w kieliszek, jakby uświadomiła sobie, że nie ma już czego ukrywać, a następnie odstawiła go na stolik.

- Widzę, że traktuje to pani bardzo osobiście.

- Umarł w moim garażu.

- Nie ponosi pani za to odpowiedzialności.

Spojrzała na niego pustym wzrokiem.

- Więc kto ją ponosi?

Pytanie było dziecinne.

- Billy - odparł Deacon. - Był dostatecznie dorosły, żeby samemu dokonać wyboru.

Potrząsnęła głową, a następnie pochyliła się do przodu i przez chwilę wpatrywała się

uważnie w jego twarz.

- Powiedział pan wczoraj, że poruszyła pana historia Billy'ego. Więc zamiast rozmawiać o jego śmierci, może porozmawiamy o jego życiu? Mówiłam, że nie potrafię nic panu powiedzieć, ale nie byłam wtedy do końca szczerą. Wiem przynajmniej tyle, ile wie policja.

- Zamieniam się w słuch.

- Według lekarza miał czterdzieści pięć lat, około stu osiemdziesięciu centymetrów wzrostu i chociaż w chwili śmierci miał zupełnie siwe włosy, był kiedyś brunetem. Po raz pierwszy aresztowano go cztery lata temu za kradzież jedzenia z supermarketu. Powiedział wtedy, że nazywa się Billy Blake i ma sześćdziesiąt jeden lat, a więc, jeśli wierzyć lekarzowi, dodał sobie dwadzieścia. - Mówiła szybko i płynnie, jakby już od dawna miała to wszystko ułożone w głowie. - Powiedział, że żyje na ulicy od dziesięciu lat, ale odmówił podania jakichkolwiek szczegółów. Nie powiedział, skąd pochodzi, ani czy ma rodzinę. Policja sprawdziła w rejestrze osób zaginionych, ale w ciągu dziesięciu lat nie zgłoszono zniknięcia nikogo, kto odpowiadałby jego rysopisowi. Jego odciski palców, o ile można je tak nazwać, nie figurowały w policyjnej kartotece, a on sam nie miał przy sobie żadnych dokumentów, które potwierdzałyby jego tożsamość. Wobec braku innych informacji policja oparła się na danych, jakie podał Billy, i przez następne cztery lata żył jako Billy Blake. W więzieniu spędził w sumie sześć miesięcy za kradzież jedzenia i alkoholu, odsiadując wyroki od jednego do dwóch miesięcy. Kiedy był na wolności, starał się trzymać jak najbliżej Tamizy. Jego ulubionym lokum był stary, opuszczony magazyn stojący mniej więcej milę stąd. Rozmawiałam z paroma mężczyznami, którzy znają to miejsce, ale żaden z nich nie potrafił powiedzieć mi o Billym niczego więcej.

Deacon był zdumiony wysiłkiem, jaki musiała włożyć w zdobycie tych informacji.

- Powiedziała pani: „jego odciski palców, o ile można je tak nazwać”. Co to miało znaczyć?

- Policja powiedziała, że Billy co pewien czas wkładał ręce do ognia, a następnie nie leczył powstałych oparzeń. Miał całe dłonie w bliznach, a jego palce przypominały szpony. Podejrzewają, że mógł okaleczać się rozmyślnie, żeby uniknąć kary za jakieś wcześniejsze przestępstwo.

- Nieźle - mruknął Deacon.

Kobieta wstała i podeszła do szklanej szafki stojącej po drugiej stronie pokoju.

- Jak już panu mówiłam, zdjęcia Billy'ego istnieją. - Sięgnęła po kopertę leżącą na jednej z półek i wróciwszy do stołu, wysypała jej zawartość. - Dwa udało mi się wydobyć od

policji. To najlepsze z tych, które zrobił lekarz. Niezbyt miły widok. Zdaniem policji, jest mało prawdopodobne, żeby ktoś go tutaj rozpoznał. - Podała mu fotografię. - Z powodu wygłodzenia ma bardzo zapadnięte policzki, zbyt ostro zarysowane czoło i szczękę. Kiedy był zdrowy, miał prawdopodobnie znacznie pełniejszą twarz.

Deacon przyjrzał się uważnie fotografii. Miała rację. Widok nie był przyjemny. Deaconowi przypomniały się zdjęcia zrobione przez aliantów po wyzwoleniu obozu w Bergen-Belsen. Kości obciążone skórą. Kobieta podała mu drugie zdjęcie.

- To zrobiono cztery lata temu, kiedy Billy został po raz pierwszy aresztowany. Jest niewiele lepsze. Już wtedy był chudy jak szkielet, chociaż daje to już nieco lepsze pojęcie o tym, jak mógł kiedyś wyglądać.

Czy naprawdę była to twarz czterdziestoletniego człowieka? Deacon nie mógł w to uwierzyć. Starość wyżłobiła głębokie bruzdy wokół ust mężczyzny, a jego oczy, spoglądające w obiektyw aparatu, były pożółkłe i matowe. Tylko włosy, sterczące sztywno nad wysokim czołem, zachowały pewną świeżość, choć ich biel odcinała się wyraźnie od ziemistej cery.

- Czy lekarz mógł błędnie ocenić jego wiek? - zapytał.

- Wykluczone. Na wniosek policji sporządzono drugą ekspertyzę, która potwierdziła wcześniejsze ustalenia. Przyszło mi do głowy - ciągnęła - że ktoś, kto posiadałby odpowiednie oprogramowanie, mógłby odtworzyć jego wygląd. Niestety, nie znam nikogo, kto zajmuje się takimi rzeczami. Jeśli w pańskiej redakcji ktoś umiałby to zrobić, można by zamieścić zdjęcie wraz z pańskim artykułem.

- Dlaczego nie zajęła się tym policja?

- Nie byli tym zainteresowani, bo Billy nie popełnił przed śmiercią żadnego przestępstwa. Przypuszczam, że sprawdzili jego rysopis w komputerowej bazie danych, niczego nie znaleźli i dali sobie spokój.

- Czy mogę pożyczyć te zdjęcia? Zrobię kilka odbitek i natychmiast je pani zwrócę.

Kobieta skinęła głową i Deacon wetknął zdjęcia między strony swojego notatnika.

- Czy policja przedstawiła jakąś przekonującą wersję wydarzeń, czy zadowolili się tym, że Billy wybrał pani garaż, bo akurat tego dnia drzwi do niego były otwarte?

Usiadła ponownie w fotelu i splotła dłonie. Deacon ze zdumieniem zauważył, że kostki jej palców stały się niemal zupełnie białe.

- Podejrzewają, że mógł mnie śledzić w drodze z pracy do domu, chociaż nie potrafili podać żadnego sensownego powodu, który mógłby go do tego skłonić. Gdyby uznał, że warto za mną iść, poprosiłby mnie o pomoc. Nie sądzi pan?

Podawała racjonalne argumenty, ale Deacona zainteresowało bardziej delikatne drżenie kącika jej ust. Nie zauważył go wcześniej. Teraz zaczynał rozumieć, że jej pozorne opanowanie skrywało gwałtowne emocje.

- To prawda - odparł. - Nie śledzi się ludzi bez powodu. Więc może jednak był jakiś powód?

- Na przykład?

- Może wydawało mu się, że panią zna.

- Skąd?

- Nie wiem.

- Czy nie sądzi pan, że gdyby rzeczywiście mnie znał, tym bardziej chciałby ze mną pomówić?

Rzuciła to pytanie tak szybko, że Deacon domyślił się, iż wcześniej zadawała je sobie wielokrotnie. Potarł w zamyśleniu brodę.

- Może nie miał już na to siły i po prostu położył się i umarł. Gdzie pani pracuje?

- Jakies dwieście metrów od starego magazynu, w którym Billy zwykle nocował. Cały ten teren przeznaczony jest pod rozbudowę. Nasza firma wynajmuje biura w domu przerobionym przed trzema laty z podobnego magazynu. Policja uważa, że wybór Billy'ego mógł być nieprzypadkowy, ale trudno mi się z tym zgodzić. Dwieście metrów w mieście takim jak Londyn to spora odległość.

Wyglądała na przybitą i Deacon domyślił się, że nawet dla niej nie brzmiało to przekonująco.

Rozchylił kartki notatnika, żeby jeszcze raz przyjrzeć się fotografii.

- Czy ten dom projektował Meredith? - zapytał, nie podnosząc wzroku. - Kupiła go pani okazyjnie jako pracownik firmy?

Nie odpowiedziała od razu.

- Myślę, że to nie pańska sprawa.

Deacon zaśmiał się krótko.

- Być może. Ale taki dom kosztuje majątek. Na meblach również pani nie oszczędzała. Musi się pani dobrze powodzić, skoro stać panią na to wszystko, a przy okazji lekką ręką wydaje pani pięćset funtów na opłacenie pogrzebu obcego człowieka. Jestem po prostu ciekawy, Amando. Albo jest pani rzeczywiście bardzo wziętym architektem, albo ma jakieś dodatkowe źródło dochodów.

- Powiedziałam już, że to nie pańska sprawa, panie Deacon. - Przez chwilę znów miała kłopoty z poprawną dykcją. - Czy możemy wrócić do Billy'ego?

Deacon wzruszył ramionami.

- Przypuszczalnie zauważyłaby pani, że ktoś taki panią obserwuje? - zapytał, stukając palcem w twarz na fotografii.

Wyprostowała się powoli, a na jej twarzy pojawił się wyraz zakłopotania.

- Nie, raczej nie.

- Jak można nie zauważyć takiego człowieka?

- Unikając kontaktu wzrokowego - odparła z ociąganiem. - To jedyny sposób, żeby uniknąć nagabywania. Nawet jeśli daję już komuś pieniądze, rzadko na tego kogoś patrzę. Na pewno nie umiałabym później opisać tej osoby.

Deacon przypomniał sobie bezdomnych nastolatków, z którymi rozmawiał kilka dni wcześniej, zbierając materiał do artykułu, i doszedł do wniosku, że miałby kłopoty z opisaniem choćby jednego z nich. To smutne, ale musiał przyznać jej rację. Unikamy patrzenia na ludzką nędzę, bo jej widok wprawia nas w zakłopotanie.

- No dobrze - powiedział. - Załóżmy, że Billy wybrał pani garaż przez czysty przypadek. W takim razie ktoś musiał zauważyć, że kręcił się w okolicy. W takiej dzielnicy jak ta na pewno rzucał się w oczy. Czy któryś z pani sąsiadów zeznawał jako świadek?

- Nic mi o tym nie wiadomo.

- Czy policja kogoś przesłuchiwała?

- Nie mam pojęcia. Załatwili wszystko w jakieś trzy, cztery godziny. Kiedy przyjechał doktor i stwierdził zgon, było właściwie po wszystkim. Doktor orzekł, że Billy zmarł śmiercią naturalną, a dyżurny policjant, który odebrał moje zgłoszenie, oświadczył, że prędzej czy później Billy Blake musiał skończyć w ten sposób. Powiedział dosłownie: „Ten głupi skurwiel wykańczał się systematycznie od kilku lat. Przy takim trybie życia nikt długo nie pociągnie”.

- Zapytała go pani, co miał na myśli?

- Powiedział, że Billy jadał porządnie tylko wtedy, gdy był w więzieniu. Na wolności wystarczał mu alkohol.

- No cóż - westchnął Deacon, patrząc na jej szklanke. - Życie w znieczuleniu było pewnie łatwiejsze do zniesienia.

Nawet jeśli zrozumiała aluzję, nie dała tego po sobie poznać.

- Sugeruje pani, że ten człowiek nie nazywał się naprawdę Billy Blake i że przyjął to nazwisko cztery lata temu, kiedy został po raz pierwszy aresztowany. Skąd zatem brał pieniądze na alkohol? Żeby dostawać zasilek, musiał się zarejestrować.

Pokręciła przecząco głową.

- Pytałam o to mężczyzn, którzy mieszkają w starym magazynie. Powiedzieli mi, że Billy nie korzystał z pomocy społecznej. Żył z tego, co dostał od ludzi. Rysował obrazki na chodniku na nabrzeżu przy porcie rzeczonym, a to, co dostawał od turystów, wystarczało mu na alkohol. Tylko zimą, kiedy brakowało wycieczek, posuwał się do kradzieży. Gdyby obejrzał pan jego kartotekę, przekonałby się pan, że zawsze zatrzymywano go w zimie.

- Wygląda na to, że miał całkiem dobrze zorganizowane życie.

- To prawda.

- Czy wie pani, co rysował?

- Zawsze to samo. Sądząc z opisów, była to Święta Rodzina. Zaczepiał też przechodniów, ostrzegając przed wiecznym potępieniem, które czeka wszystkich grzeszników.

- Był chory psychicznie?

- Na to wygląda.

- Czy zawsze rysował w tym samym miejscu?

- Nie. Wiem, że dosyć często usuwała go stamtąd policja.

- Ale zawsze rysował tę samą scenę?

- Z tego co wiem, tak.

- Miał talent?

- Ci z magazynu twierdzili, że tak. Mówili, że był prawdziwym artystą. - Zaśmiała się nieoczekiwanie, a w jej oczach pojawił się figlarny błysk. - Byli pijani, kiedy z nimi rozmawiałam, więc nie wiem, czy można zaufać ich gustom estetycznym.

Błysk zniknął równie szybko, jak się pojawił, ale Deacon ponownie puścił wodze fantazji. Wyobraził sobie, że Amanda nie zaznała jeszcze prawdziwego pożądania, i że przydałby się doświadczony mężczyzna, który potrafiłby obudzić w niej namiętność.

- Czego jeszcze zdołała się pani dowiedzieć?

- Obawiam się, że to już wszystko.

Deacon pochylił się, żeby wyłączyć magnetofon.

- Powiedziała pani, że historia Billy'ego zasługuje na opowiedzenie - przypomniał. - Ale wszystko, co pani o nim wie, można by streścić w dwóch albo trzech zdaniach. A szczerze powiedziawszy, nawet tego byłoby za wiele. - Zastanowił się przez chwilę, porządkując w głowie informacje. - Był alkoholikiem karany za drobne kradzieże, który ukrywał swój faktyczny wiek i posługiwał się fałszywym nazwiskiem. Uciekał przed kimś lub przed czymś, może przed żoną i nieudanym małżeństwem, i popadł w skrajną nędzę z powodu niezaradności albo choroby psychicznej. Był uzdolniony artystycznie i umarł w pani

garażu, ponieważ mieszka pani blisko rzeki, a drzwi do garażu były akurat otwarte. - Popatrzył na swojego papierosa, który dopalał się w kupce popiołu na spodeczku. - Czy coś pominąłem?

- Tak. - Delikatne drżenie w kąciku warg stało się nagle bardziej widoczne. - Nie wyjaśnił pan, dlaczego zagłodził się na śmierć i dlaczego przypalał sobie dłonie.

Deacon uniósł rękę w przeproszającym geście.

- Chroniczni alkoholicy cierpiący na poważną depresję często postępują w ten sposób. Kiedy piją, zapominają o jedzeniu, dlatego przyczyną śmierci było wyniszczenie organizmu. Okaleczają się, manifestując w ten sposób swoją agresję wobec życia, które nie daje im żadnej nadziei. Myślę, że pani Billy był człowiekiem poważnie chorym, a ponieważ leczył się alkoholem, skończył martwy w pani garażu.

Z wyrazu rezygnacji, który pojawił się na jej twarzy, Deacon wywnioskował, że nie powiedział niczego, do czego sama nie doszłaby już wcześniej, a to tylko wzmogło jego ciekawość. Skąd ta obsesja na punkcie Billy'ego Blake'a? Chodzi tu o coś więcej, pomyślał, niż tylko o zwykłe współczucie czy szlachetną wiarę w społeczną wartość człowieka.

- Nie spotkałam nikogo, komu zależałoby na poznaniu prawdy o tym człowieku - powiedziała cicho, pochylając głowę nad miseczką pot-pourri i bawiąc się leżącymi w niej płatkami. - Policjanci byli uprzejmi, ale znudzeni. Napisałam do Ministerstwa Spraw Wewnętrznych, prosząc, aby spróbowali odszukać jego rodzinę, ale odpowiedzieli mi, że nie należy to do ich obowiązków. Jedyni ludzie, którzy okazali mi zrozumienie, to członkowie Armii Zbawienia. Wciągnęli jego rysopis do swojej kartoteki i obiecali dać mi znać, jeśli ktoś będzie go szukać. Nie robili jednak wielkich nadziei. - Wyglądała na bardzo przybitą. - Nie wiem, co mogę jeszcze zrobić. Po sześciu miesiącach jestem nadal w punkcie wyjścia.

Deacon obserwował ją przez dłuższą chwilę, zafascynowany nagłym wybuchem emocji, które malowały się na jej twarzy. Domyślił się, że jej smutek należało przypisać autentycznej tęsknocie za kimś bardzo konkretnym.

- Jeśli to dla pani takie ważne, dlaczego nie wynajmie pani prywatnego detektywa? - zapytał.

- Ma pan pojęcie, ile to kosztuje?

- A więc sprawdziła to pani?

Przytaknęła.

- Nie potrafiłabym usprawiedliwić takiego wydatku. Dowiedziałam się, że może to trwać tygodniami, a nawet miesiącami i że nie ma żadnej gwarancji, że poszukiwania przyniosą skutek.

- Ustaliliśmy już, że jest pani bogatą kobietą, więc przed kim miałyby się pani usprawiedliwiać?

Przez moment wydawała się zaskoczona (zakłopotana?) pytaniem.

- Przed sobą.

- Nie przed mężem.

- Nie.

- Czy chce pani powiedzieć, że mąż nie miałby nic przeciwko temu, gdyby wydała pani majątek, próbując odszukać rodzinę obcego, nieżyjącego mężczyzny? - Tajemniczy pan Powell zaintrygował Deacona.

Kobieta nie odpowiedziała.

- Oddała pani hołd Billy'emu, płacąc za jego pogrzeb. Dlaczego to pani nie wystarcza?

- Ponieważ liczy się życie, a nie śmierć.

- To nie jest wystarczający powód. A w każdym razie nie tłumaczy obsesji, której pani uległa.

Znów się zaśmiała, ale tym razem jej śmiech zabrzmiał nienaturalnie i nieco histerycznie. Deacon nie potrafił powiedzieć, czy stało się tak dlatego, że była trochę pijana (a może raczej przestraszona?). Zdobyła się na wyraźny wysiłek, żeby nad sobą zapanować.

- Pan wie coś na temat obsesji, prawda, panie Deacon?

- Wiem, że w tej historii jest coś, o czym mi pani nie powiedziała. Wygląda na to, że jest pani gotowa do niezwykłych poświęceń, żeby poznać prawdziwą tożsamość Billy'ego Blake'a i odszukać jego rodzinę. Zupełnie tak - powiedział z namysłem - jakby uważała to pani za swój obowiązek. Myślę, że rozmawiała z nim pani i że poprosił panią o jakąś przysługę. Mam rację?

Patrzyła na niego z takim samym wyrazem rozczarowania, jaki widział na twarzy matki podczas ostatniego z nią spotkania. Tak często żałował, iż nie spróbowali się wtedy pogodzić, że postanowił teraz, w dziwnym, niezrozumiałym odruchu, zrobić dla tej obcej kobiety to, czego nie zrobił dla Penolopy. Położył dłoń na przedramieniu Amandy, chcąc okazać jej współczucie, ale jej skóra była chłodna i nie zareagowała na dotyk. Jeśli Amanda w ogóle zauważyła jego gest, nie dała tego po sobie poznać.

Odchyliła głowę na oparcie fotela i wpatrywała się w sufit. Deacon poczuł, że zatrząskują się drzwi i znika za nimi bezpowrotnie utracona szansa.

- Czy może mi pan odesłać klucze od garażu, kiedy wróci pan do redakcji? - zapytała uprzejmie. - Obawiam się, że pańska przyjaciółka zabrała je ze sobą.

- Co on pani powiedział, Amando?

Przyglądała mu się przez chwilę, ale jej wzrok wyrażał tylko znudzenie. Deacon przestał ją już interesować.

- Zmarnowałam swój i pański czas, panie Deacon. Mam nadzieję, że bez problemu znajdzie pan taksówkę. Najlepiej jeśli skręci pan w lewo i dojdzie do głównej ulicy.

Żałował, że nie znał się lepiej na kobietach. Był pewien, że go okłamała, ale kobiety okłamywały go przez całe lata, a on nigdy nie potrafił zauważyć tego w porę.

Na biurku leżała kartka i dwa zestawy kluczy.

Co za wredne babsko! Mam nadzieję, że wyszedłeś stamtąd o własnych siłach. Włożyłam jej cholerne klucze do kieszeni i kompletnie o nich zapomniałam. Zostawiam je razem z kluczykami od samochodu. Będzie lepiej, jeśli ty je oddasz! Film jest u Barry'ego. Obiecał, że wywoła go dziś w nocy. Do jutra. Całuję. Lisa.

Deacon uznał, że nigdzie mu się nie spieszy i poczłapał na trzecie piętro do pokoju Barry'ego Grovera, w którym mieściła się ciemnia fotograficzna i redakcyjne archiwum. Barry był dosyć odstręczającą postacią. Odludek, nieco po trzydziestce, niski, tęgawy, o owadzych oczach ukrytych za wypukłymi soczewkami okularów, z pasją kolekcjonera ślęczący nad wycinkami prasowymi i zdjęciami z gazet, do późnych godzin kręcił się po redakcji, najwyraźniej nie spiesząc się do domu. Żeńska część redakcji starała się go unikać i wymyślała na jego temat rozmaite złośliwe plotki. Ich repertuar przez lata ulegał zmianie, choć za każdym razem panie z równym przekonaniem uznawały go albo za pedofila, albo za podglądacza i ekshibicjonistę, bo tylko w ten sposób potrafiły wytłumaczyć sobie jego namiętność do zdjęć. Deacon, który, podobnie jak one, nie darzył Barry'ego sympatią, mimo wszystko współczuł mu. Facet miał naprawdę pieskie życie.

- Ty jeszcze tutaj? - zawołał z udawaną serdecznością, otwierając drzwi. Barry siedział przy biurku pochylony nad wycinkami z gazet.

- Jak widzisz, Mike.

Deacon przysiadł na brzegu biurka.

- Lisa napisała mi, że wywołujesz jej zdjęcia. Pomyślałem, że wpadnę i zobaczę, jak wyszły.

- Pokażę ci stykówki. - Barry wymknął się pospiesznie z pokoju niczym dorodny biały karaluch i Deacon, obserwując go krytycznym wzrokiem, doszedł do wniosku, że tym, co najbardziej drażniło ludzi, był właśnie sposób, w jaki Barry się poruszał. Było coś zniewieściałego w jego nerwowych małych kroczkach. Deacon pomyślał nie po raz pierwszy, że faktycznym problemem Barry'ego może być raczej tłumiony homoseksualizm, a nie

perwersje, o które podejrzewały go kobiety.

Zapalił papierosa i wziął do ręki wycinek z gazety czytanej przez Barry'ego.

„The Guardian”, 6 maja 1990

Żona bankiera oczyszczona z podejrzeń

Po dwóch dniach przesłuchań policja zwolniła wczoraj Amandę Streeter, lat 31, nie przedstawiając jej żadnych zarzutów. „Jesteśmy przekonani - powiedział nam rzecznik londyńskiej policji - że pani Streeter nie była zamieszana w sprawę kradzieży 10 milionów funtów z banku Lowensteina i nie dysponuje żadnymi informacjami na temat miejsca pobytu swojego męża”. Rzecznik potwierdził, że James Streeter, lat 38, opuścił prawdopodobnie kraj w nocy z 27 na 28 kwietnia. „Przekazaliśmy jego rysopis oddziałom Interpolu na całym świecie i spodziewamy się, że uda się go odszukać w ciągu najbliższych paru dni. Gdy się tylko dowiemy, gdzie przebywa, niezwłocznie rozpoczniemy starania o jego ekstradycję”.

Adwokat Amandy Streeter przekazał prasie oświadczenie następującej treści: „Pani Streeter jest głęboko poruszona wypadkami, które zaszły w ciągu ostatnich ośmiu dni, i udzieliła policji wszelkich informacji

mogących pomóc w odnalezieniu jej męża. Teraz, kiedy została wyłączona ze śledztwa, prosi o uszanowanie jej prywatności. Pani Streeter nie ma żadnych dodatkowych informacji, poza tymi które znajdują się już w posiadaniu policji”.

James Streeter jest podejrzany o to, że przez ostatnie pięć lat wykorzystywał swoje stanowisko w banku Lowensteina, fałszując rachunki i zagarniając w ten sposób ponad 10 milionów funtów. Sprawa wyszła na jaw przed sześcioma tygodniami, ale trzymano ją w sekrecie, aby nie wzbudzać paniki wśród klientów banku. Gdy stało się jasne, że wewnętrzne śledztwo nie przyniesie spodziewanych rezultatów, zarząd banku postanowił zawiadomić o wszystkim policję. W kilka godzin po podjęciu tej decyzji James Streeter zniknął. Prokuratura postanowiła wydać nakaz jego aresztowania, oskarżając go zaocznie o dokonanie malwersacji finansowych na szkodę banku.

- Poznałem ją na zdjęciu.

Deacon nie zauważył powrotu Barry'ego i wzdrygnął się, słysząc nagle nad uchem jego lekko zdyszany głos. Patrzył, jak pulchny palec mężczyzny odsuwa wycinek na bok i wskazuje na niewyraźną fotografię leżącą pod spodem.

- To ona z mężem przed jego ucieczką. Lisa mówiła o niej pani Powell, ale to ta sama kobieta. Pewnie pamiętasz tę sprawę. Nigdy go nie złapali.

Deacon wpatrywał się w fotografię trzydziestojednoletniej Amandy Powell-Streeter. Nosiła okulary, miała krótsze i ciemniejsze włosy, a jej twarz uchwycona była z półprofilu. Z pewnością sam by jej nie rozpoznał, ale teraz, kiedy wiedział na kogo patrzy, dostrzegał podobieństwo. Przez chwilę przyglądał się uważnie jej mężowi, porównując go z Billym Blakem, ale nie miał żadnych wątpliwości, że były to dwie różne osoby.

- Jak ty to robisz? - zapytał Barry'ego.

- Za to mi płacą.

- Ale jak to robisz?

Barry uśmiechnął się pod nosem.

- Niektórzy mówią, że to dar, Mike. - Położył stykówki na biurku. - Lisa marnie się spisała. Najwyżej pięć albo sześć nadaje się do druku. Musi to powtórzyć.

Deacon podniósł zdjęcia do światła i przyjrzał się im uważnie. Wszystkie były równie słabe. Nieostre albo tak niedoświetlone, że twarz Amandy Powell wyglądała na nich jak wykuta z granitu. Dopiero ostatnie sześć zdjęć, przedstawiających wnętrze pustego garażu, było bez zarzutu. Deacon zgasił papierosa w popielniczce, która stała na biurku Barry'ego pod sporych rozmiarów tabliczką z napisem: „Uszanuj moje zdrowie - nie pal”.

- Co to ma być, do cholery? - zapytał poirytowany.

Barry z grymasem wstrętu opróżnił popielniczkę do plastikowego kosza na śmieci.

- Pewnie coś jest nie tak z jej aparatem. Zadzwoń jutro do serwisu. Szkoda. Na ogół dobrze się spisuje.

Biorąc pod uwagę fatalną jakość fotografii, wydawało się jeszcze bardziej niezwykle, że Barry był w stanie skojarzyć obie twarze. Deacon wyciągnął z kieszeni płaszcza swój notatnik i wydobyl spomiędzy kartek dwa zdjęcia Billy'ego Blake'a.

- Jego pewnie nie poznajesz?

Barry starannie ułożył fotografie na biurku, jedną obok drugiej, i przyglądał się im przez dłuższą chwilę.

- Kto wie... - odparł wreszcie.

- Co to znaczy, kto wie? Tak czy nie?

Barry sprawiał wrażenie zakłopotanego.

- Nic nie rozumiesz, Mike. Przypuśćmy, że zagram ci kilka taktów Mozarta. Być może rozpoznasz, że to Mozart, ale nie będziesz w stanie powiedzieć, z jakiego to utworu.

- Jaki to ma związek?

- Nie zrozumiałbyś. To dosyć skomplikowane. Musiałbym nad tym popracować.

Deacon, nie po raz pierwszy tego wieczoru, poczuł się przywołany do porządku. Ale

słowa Barry'ego nie wywarły już na nim takiego wrażenia jak słowa kobiety, która przypomniała mu o matce.

- Mógłbyś zrobić dla mnie kilka porządných odbitek? Niewykluczone, że facet wyglądał zupełnie inaczej, kiedy był w dobrej formie. Może udałoby się podretuszować trochę to zdjęcie w komputerze. Zaokrąglić nieco twarz. Miałbyś wtedy lepszy punkt wyjścia.

- Pewnie tak. Skąd masz te zdjęcia?

- Od pani Powell. Gość umarł w jej garażu. Podobno nazywał się Billy Blake, ale jej zdaniem używał fałszywego nazwiska. - Deacon streścił Barry'emu informacje, które uzyskał od Amandy. - Kobieta staje na głowie, żeby poznać prawdę i odszukać jego rodzinę.

- Dlaczego?

Deacon wskazał palcem na wycinki leżące na stole.

- Nie wiem. Może ma to coś wspólnego z historią jej męża.

- Z odbitkami nie będzie większych problemów. Na kiedy są ci potrzebne?

- Dasz radę na jutro rano?

- Zrobię to od razu.

- Dzięki, Barry.

Deacon wstał, spojrział na zegarek i stwierdził ze zdumieniem, że minęła już dziesiąta.

- Zmiana planów - powiedział zdecydowanym głosem, ściągając płaszcz Barry'ego z wieszaka stojącego przy drzwiach. - Zabieram cię na drinka. Chryste, człowieku, to pismo nie jest ciębie warte. Dlaczego nie pošlesz nas czasem do wszystkich diabłów?

Barry Grover pozwolił Deaconowi zaciągnąć się do pubu, choć zrobił to bez większego entuzjazmu. Brał już wcześniej udział w takich eskapadach i z góry przewidywał, co go czeka. Wiedział, że Deacon zaprosił go tylko po to, żeby uspokoić własne sumienie, że po pięciu minutach zapomni o nim i przestanie zwracać na niego uwagę. Kumple Deacona będą tłoczyć się przy barze, a on, Barry, będzie stał z boku, nie chcąc się narzucać i obawiając się wyjść, aby niechcący nie zwrócić na siebie uwagi.

A jednak, jak zwykle, gdy zbliżali się do pubu, czuł się rozdarty między obawą i nadzieją. Obawiał się nieuchronnego odrzucenia, ale jednocześnie chciał, żeby Deacon potraktował go jak swojego przyjaciela, bo właśnie Mike Deacon od chwili pojawienia się w redakcji okazał mu więcej sympatii niż ktokolwiek inny przez ostatnie lata. Barry był gotów zadowolić się jednym wieczorem. Z pewnością nie miał wygórowanych ambicji. Chciał choć raz poczuć się akceptowany przez innych, opowiedzieć dowcip, wywołać śmiech i móc powiedzieć następnego dnia: „Byłem na drinku z kumplem”.

Barry zatrzymał się gwałtownie przed pubem i zaczął zawzięcie polerować szkła swoich okularów wielką białą chustką do nosa.

- Wiesz co, Mike, pójdę lepiej do domu. Nie miałem pojęcia, że jest tak późno, a jeśli mam zrobić te odbitki, nie mogę jutro zasnąć.

- Jedno piwko ci nie zaszkodzi - odparł pogodnie Deacon. - Gdzie mieszkasz? Jeśli to gdzieś po drodze, podrzucę cię.

- W Camden.

- Nie ma sprawy. Ja jadę do Islington. - Deacon objął Barry'ego przyjacielskim gestem i wspólnie przekroczyli drzwi pubu.

Ale Barry nie mylił się w swoich przeczuciach. W ciągu paru minut Deacon dał się całkowicie pochłonać przedświątecznej atmosferze i zniknął w tłumie przekrzykujących się mężczyzn, podczas gdy Barry stał samotnie pod ścianą, starając się zachować beztroski wyraz twarzy i pokryć w ten sposób swoje zakłopotanie. Kiedy zorientował się, że Deacon jest zbyt pijany, żeby móc odwieźć go do domu, czy choćby przypomnieć sobie o złożonej propozycji, poczuł jak narasta w nim straszliwe poczucie krzywdy. Uczucie podziwu dla Deacona zmieniło się nagle w zaprawioną goryczą niechęć. Niech go diabli, jeśli Deacon dowie się kiedykolwiek od niego, kim naprawdę był Billy Blake.

23.00 - Kapsztad, Afryka Południowa

Była ciepła letnia noc. Elegancko ubrana kobieta siedziała samotnie w oszklonej sali restauracyjnej „Victoria and Alfred Hotel” nad filiżanką czarnej kawy. Była stałą klientką, choć obsługa hotelowa wiedziała o niej niewiele, poza tym że nazywała się pani Metcalfe. Składała skromne zamówienia i kelnerzy zachodzili w głowę, dlaczego w ogóle przychodzi. Wydawało się, że samotne posiłki sprawiają jej niewielką przyjemność, starała się jednak zawsze, gdy tylko było to możliwe, siadać tyłem do innych gości. Wołała patrzeć przez okno w kierunku portu, gdzie za dnia dostrzegłaby mewy szybujące między zacumowanymi statkami. Nocą widok z okna był mniej atrakcyjny i na jej twarzy, jak zwykle, malowało się znużenie.

O jedenastej, kiedy w hallu pojawił się jej kierowca, wyszła, regulując wcześniej rachunek. Kelner schował do kieszeni suty napiwek i, nie po raz pierwszy, spróbował odpowiedzieć sobie na pytanie, dlaczego w każdą środę wieczorem spędzała tutaj beczynn timerzy monotonne godziny.

Gdyby była przyjaźnie usposobiona, mógłby zapytać ją o to wprost, ale była typową

białą kobietą, wyniosłą i kościstą, a ich kontakty miały charakter wyłącznie służbowy.

ROZDZIAŁ 4

Jeśli nawet Deacon poczuł się przez moment zaskoczony, że Barry Grover wyszedł z pubu bez słowa pożegnania, z pewnością się tym nie przejął. Wypił dostatecznie dużo, żeby nie zaprzętać sobie głowy takimi drobiazgami. Poczul w każdym razie ulgę, że nie musi odwozić go do domu. Nie był wprawdzie tak pijany, jak sądził Barry, z pewnością jednak przeholował, dlatego postanowił zostawić samochód pod redakcją i wrócić taksówką. W miarę zbliżania się do Islington, gdzie wynajmował mieszkanie na poddaszu, Deacon coraz bardziej kulił się na swoim siedzeniu. Pomyślał, że on i Barry mieli jednak z sobą coś wspólnego, jeśli przyczyną, dla której Barry przesiadywał w pracy po godzinach, była istotnie niechęć przed powrotem do domu. Ta nieoczekiwana zbieżność zaintrygowała go. Dlaczego Barry nie lubił wracać do domu? Czy tak jak Deacon bał się pustego mieszkania, które wydawało się obce, bo nie było w nim niczego, co przypominałoby o przeszłości?

Popadał w coraz głębsze przygnębienie, w pijackim rozrzewnieniu obwiniając się za wszystko. Za śmierć ojca. Za swoje nieudane małżeństwa. Za cierpienia rodziny, która w końcu go odrzuciła. (Dałby wiele, żeby wymazać z pamięci wzrok tej przeklętej kobiety. Przez cały wieczór nawiedzało go wspomnienie matki). Bez dzieci. Bez przyjaciół, bo wszyscy trzymali stronę jego pierwszej żony. Musiał postradać zmysły. Zostawił jedną kobietę tylko po to, żeby przekonać się, że ta druga nie była tego warta.

Od czasu do czasu taksówkarz posyłał mu w lusterku wyrozumiałe spojrzenie. Znał dobrze ten rodzaj melancholii. Londyn przed świętami pełen był mężczyzn, którzy zapijali swoje smutki.

Deacon obudził się z poczuciem celu, co nie zdarzało mu się często. Przypisał to temu, że podczas snu podświadomie odtwarzał w myśli rozmowę z Amandą Powell, podsycając w ten sposób swoje zainteresowanie jej osobą. Dlaczego wspomnienie o Billym Blake'u, człowieku zupełnie obcym, wywołało u niej tak silne emocje, podczas gdy wzmianka o mężu, Jamesie Streeterze, nie spowodowała żadnej reakcji? Nawet poirytowania.

Deacon zastanawiał się nad tym, stojąc w swojej nieprzytulnej kuchni, mieszając kawę i patrząc z dezaprobatą na puste, białe ściany i puste, białe sprzęty kuchenne. Pomyślał o sobie. Czy któraś z jego żon okazałaby jakiegokolwiek emocje, gdyby ktoś wymienił przy nich jego imię? A może był w ich życiu tylko epizodem, o którym zdążyły już zapomnieć?

Mógł umrzeć jak Billy Blake, paść trupem w tej zatechłej norze, a jego zwłoki odkryłaby dopiero po paru dniach jakaś zupełnie obca osoba. Kto mógłby go szukać? JP? Lisa? Kumple z pubu?

Na litość boską! Czy jego życie było naprawdę tak samo puste (i bezwartościowe?) jak życie Billy'ego Blake'a?...

Przyjechał wcześniej do redakcji, zajrzał do książki telefonicznej i przewodnika po Londynie, zostawił na biurku informację, że wróci później, po czym wziął samochód z parkingu i ruszył wzdłuż brzegu rzeki w stronę dawnego portu rzeczno-jezernego. Jak w wielu podobnych miejscach na całym świecie, barki i doki przeładunkowe zastąpione zostały przez statki turystyczne, luksusowe domy i przystanie.

Deacon jechał teraz wzdłuż zachodniego brzegu Isle of Dogs i mógł przyjrzeć się uważnie przebudowanym pomieszczeniom magazynowym, w których W. F. Meredith urządził swoje biura. Chwilę później skręcił w kierunku odrapanej, zabitej deskami rudery, w niczym nie przypominającej sąsiadujących z nią zabudowań, wyjąwszy prostokątny kształt i spadzistą linię dachu. Nie trzeba było wielkiej fantazji, żeby wyobrazić sobie, jak mogłaby wyglądać ta smętna pozostałość wiktoriańskiego Londynu. Deacon mieszkał w stolicy dostatecznie długo, by pamiętać, jak na jego oczach stare budynki portowe zmieniały się w architektoniczne cacka. Wystarczyło rozejrzeć się wokół, by uświadomić sobie skalę zachodzących zmian.

Zaparkował samochód, wyjął ze schowka latarkę i butelkę whisky i precyzyjnie przeszedł przez dziurę w ogrodzeniu, ruszył w stronę frontowego wejścia. Dopiero gdy przekonał się, że drzwi i okna zabite są na głucho deskami, skierował się na tyły magazynu. Najwyżej pięć, może sześć, metrów zarośniętej krzakami ziemi oddzielało tylną ścianę budynku od rzeki. Deacon otulił się mocniej płaszczem, kiedy lodowaty podmuch wiatru znad Tamizy smagnął go prosto w twarz. Nie rozumiał, jak można było wytrzymać w takim miejscu, a jednak w szeroko otwartej bramie magazynu, wokół kosiaka z płonącym drewnem, siedziało kilku skulonych mężczyzn, najwidoczniej przywykłych do przejmującego porannego chłodu i wilgoci. Obserwowali go podejrzliwie.

- Cześć - powiedział, kucając przy ogniu i stawiając butelkę między nogami. - Nazywam się Michael Deacon. - Wyciągnął z kieszeni paczkę papierosów i poczęstował wszystkich. - Jestem dziennikarzem.

Jeden z mężczyzn, znacznie młodszy od pozostałych, parsknął śmiechem i odezwał się, naśladując staranny sposób mówienia Deacona.

- Cześć. Nazywam się Michael Du Peck. Jestem menelem. - Wziął papierosa. -

Wypalę go sobie przy poobiednim drinku, jeśli nie ma pan nic przeciwko temu.

- Jak pan uważa, panie Du Peck. Szkoda jednak czekać aż do obiadu.

Chłopak miał niestaránie wygoloną głowę i chudą, zapadniętą twarz.

- Jestem Terry. Czego tu, kurwa, szukasz?

Deacon pomyślał, że chłopak jest naprawdę bardzo młody, ale ma w sobie uliczne cwaniactwo, które można było wyczytać z agresywnego ruchu szczęki i cynicznego spojrzenia wąskich oczu. Nagle przyszło mu do głowy, że Terry wziął go za homoseksualistę, który zawędrował tu w poszukiwaniu towarzystwa.

- Informacji - odparł krótko. - O człowieku nazwiskiem Billy Blake, który mieszkał tu, jeśli nie był akurat w więzieniu.

- A skąd wiesz, że go znamy?

- Od kobiety, która zapłaciła za jego pogrzeb. Powiedziała mi, że była tu i dowiedziała się paru rzeczy.

- Pamiętam - odezwał się jeden z mężczyzn. - Pamiętam. Spotkałem ją niedawno. Dała mi piątaka.

Terry przerwał mu niecierpliwym ruchem dłoni.

- Po jasną cholere jakiś pismak zajmuje się Billym Blake'em? Facet nie żyje od pół roku.

- Sam jeszcze nie wiem - odparł szczerze Deacon. - Może po prostu chcę udowodnić, że jego życie miało jakiś sens. - Zaciśnął dłoń na szyjce butelki. - Ten, kto powie mi coś istotnego, dostanie whisky.

Starszy mężczyzna wpatrywał się w butelkę. Terry wpatrywał się w twarz Deacona.

- A co to znaczy: istotne? - zapytał ironicznie. - Wiem na przykład, że Billy miał wszystko głęboko w dupie. Czy to jest istotne?

- Tego mogłem się domyślić, wiedząc, jak umarł. Istotne jest coś, o czym jeszcze nie wiem, albo coś, co doprowadzi mnie do osoby, która przekaże mi jakieś nowe informacje. Zaczniemy od jego prawdziwego nazwiska. Kim był, zanim stał się Billym Blake'em?

Pokręcili przecząco głowami.

- Rysował na chodnikach - odezwał się jeden z mężczyzn. - Miał takie miejsce niedaleko przystani.

- Wiem o tym. Amanda mówi, że rysował zawsze tę samą scenę. Czy ktoś wie, dlaczego?

Znowu przeczące ruchy głów. Deacon pomyślał, że mężczyźni wyglądają trochę jak postacie z *Gwiezdnych wojen*. Pomarszczone drobne małpoludy zakutane w zbyt obszerne

płaszcz, o świdrujących, ruchliwych oczach, w których czaiła się przebiegłość.

- Billy rysował rodzinę, którą każdy mógł rozpoznać - odparł Terry. - Był niegłupi i potrzebował forsy. Pisał pod spodem: „Błogosławieni ubodzy” i kładł się obok. Przeważnie wyglądał tak kiepsko, że ludzie czuli się winni, kiedy zobaczyli rysunek i przeczytali podpis. Wychodził na swoje. Robił się agresywny, dopiero jak się zalał. Odwalał wtedy te swoje kazania i odstraszał ludzi. Wracał bez grosza i musiał wytrzeźwieć.

Twarze wokół Deacona rozjaśniły się na to wspomnienie.

- Jak był trzeźwy, był dobrym artystą - wtrącił mężczyzna w wytartej uszance, który odezwał się już wcześniej. - Jak się napił, był do niczego. - Zachichotał i garbowana skóra na jego policzkach zapadła się w głąb twarzy. - Na trzeźwo rysował niebo, a po pijaku - piekło.

- To znaczy, że robił dwa rysunki?

- Robił ich setki. Jeśli miał na czym. - Stary wskazał głową w kierunku biurowców. - Wieczorem wyciągał papier z kontenerów i rysował przez całą noc, do rana.

- Co działo się z rysunkami?

- Nic. Paliliśmy je.

- Billy nie protestował?

- Nie - odezwał się ktoś inny. - Musiał się ogrzać, tak jak my. Nawet go to bawiło. - Mężczyzna narysował palcem kółko na czole. - Facet miał świra. Bez przerwy bredził coś o ogniu piekielnym i oczyszczeniu w płomieniach. Wsadził kiedyś rękę do ognia i trzymał tak długo, aż w końcu ktoś go odciągnął.

- Dlaczego to robił?

Obojętne wzruszenie ramion przebiegło przez ich ciała niczym jakaś niema odmiana meksykańskiej fali. Wydawali się zgodni: wariata nikt nie zrozumie.

- Zawsze tak robił - powiedział Terry. - Czasami wkładał obie, częściej jedną. Pieprzony szajbus. Były dni, że przez te pęcherze w ogóle nie mógł ruszać palcami. Ale cały czas rysował. Wtykał kredkę między dwa palce i ruszał całą ręką. Mówił, że musi czuć ból tworzenia.

- Po mojemu, to Billy był schizolem - oświadczyła garbowana twarz w uszance. - Terry mówił mu, żeby brał lekarstwa, ale Billy miał to gdzieś. Powiedział, że nie jest psychiczny i nie będzie łąził po doktorach. Że wyleczy go dopiero śmierć.

- Próbował odebrać sobie życie?

Terry znów parsknął śmiechem i powiódł ręką wokół.

- A co to jest według ciebie? Życie czy umieranie?

Deacon skinął ze zrozumieniem głową.

- Chodziło mi o to, czy kiedykolwiek targnął się na swoje życie?

- Nie - odparł stanowczo chłopak. - Powiedział kiedyś, że za mało w życiu wycierpiał i dlatego musi umierać powoli. - Otulił się szczelniej płaszczem, gdy od strony rzeki uderzył kolejny silny podmuch wiatru, unosząc w górę iskry z płonącego ogniska. - Posłuchaj, koleś, facet miał schizofrenię. Tak jak Walt - Terry trącił łokciem zakutanego w łańchmany mężczyznę, który siedział obok z głową opuszczoną na kolana. Deacon pomyślał, że tak właśnie musiał wyglądać Billy, kiedy Amanda Powell znalazła go w swoim garażu. - Walt dostaje lekarstwa, ale zapomina je brać. Właściwie powinien być w szpitalu, tylko że nie chcą go tam trzymać. Kiedy lekarze uznali, że poradzi sobie sam, mieszkał przez chwilę z matką, ale nastraszył ją kilka razy i staruszka wyrzuciła go na ulicę. - Odwrócił głowę i popatrzył w głąb magazynu. - Jest tu jeszcze takich ze dwudziestu. Ci, którzy są zdrowi, opiekują się chorymi. Kompletna paranoja.

Deacon przyznał mu w duchu rację. Dokąd zmierza społeczeństwo, w którym opiekę nad psychicznie chorymi muszą sprawować bezdomni włóczędzy?

- Czy Billy wspominał kiedyś, że był w szpitalu?

Terry potrząsnął przecząco głową.

- On w ogóle rzadko mówił o przeszłości.

- A co z więzieniem? Wiesz może, gdzie siedział?

Terry wskazał w kierunku garbowanej twarzy.

- Tom siedział z nim kiedyś przez miesiąc w Brixton.

- Gdzie go trzymali? - zapytał Toma Deacon. - Na oddziale szpitalnym czy w celi?

- W celi. Tak samo jak mnie.

- Dostawał jakieś lekarstwa?

- Z tego, co wiem, nie.

- Więc w więzieniu nie stwierdzono u niego schizofrenii?

Tom pokręcił głową.

- Nikt nie ma tam czasu ani ochoty, żeby przejmować się jakimś pijakiem, który odsiaduje w pudle cztery tygodnie. Tyle czasu trwa porządny detoks, więc nawet jeśli wrzeszczysz jak opętany, znaczy, że masz normalną delirkę.

- Czy Billy w więzieniu zachowywał się tak samo jak na wolności?

Tom wykonał niezdecydowany ruch dłonią.

- Miał lepsze i gorsze dni. Bywał przygnębiony, ale poza tym było OK. Chodził do kaplicy i zachowywał się jak trzeba. Moim zdaniem, wariował od picia. Odbijało mu tylko wtedy, kiedy się zalał. Na trzeźwo zachowywał się jak każdy.

Deacon ponownie poczęstował mężczyzn papierosami i sam zapalił, unosząc połę płaszcza, żeby zasłonić się przed wiatrem.

- I żaden z was nie wie, skąd się wziął, kim mógł być, ani dlaczego postanowił nazwać się Billy Blake?

- Skąd wiesz, że naprawdę nazywał się inaczej? - zapytał Terry, który tym razem postanowił nie czekać do obiadu i sięgnął do ogniska po rozżarzony patyk, żeby przypalić sobie papierosa.

Deacon wzruszył ramionami.

- Domyślałam się tylko. - Zaciągnął się mocno, bo papieros zaczął przygasać. - Czy mówił z jakimś szczególnym akcentem?

- Raczej nie. Zapytałem go kiedyś, czy był aktorem, bo jak zaczynał te swoje gadki, mówił zupełnie jak aktor.

- Co wtedy robił?

- Wygadywał pierdoły. Czasem do rymu, ale nie wiem, czy sam to wszystko wymyślał, czy kogoś cytował. Coś tam pamiętam - szczególnie jeden kawałek, który w kółko powtarzał. Kompletnie pokręcony, o tym, że matka jęczy, ojciec płacze, a z chmur skaczą demony.

- Potrafisz to zacytować?

Terry popatrzył na pozostałych mężczyzn, jakby szukał u nich natchnienia.

- Nie bardzo - przyznał, widząc, że nie znajdzie u nich pomocy. - Zawsze zaczynał tak: „Matka jęczała, ojciec łkał”, ale zapomniałem, co było dalej.

Deacon osłonił papierosa dłońmi i zaczął szukać głęboko w pamięci.

- „Matka jęczała, ojciec łkał - wymamrotał pod nosem i dokończył głośniejszym głosem - Straszny był świat, gdzieś susa dał / Nagi, bezbronny, z cienkim krzykiem, / Jakbym zza chmury był diablikiem”^{*}.

- Tak! - zawołał chłopak z nieukrywaniem podziwem. - Skąd wiedziałeś?

- Ten wiersz to *Smutek nowonarodzonego*. William Blake. Pisałem o nim pracę magisterską. Był osiemnastowiecznym poetą i malarzem. Współcześni uważali, że ma fioła, bo twierdził, że miewa wizje. - Deacon uśmiechnął się pod nosem. - William Blake pisał wspaniałe wiersze, ale żył i umarł w biedzie, ponieważ na jego geniuszu poznano się dopiero po jego śmierci. Podejrzewam, że twój przyjaciel dość dobrze znał jego twórczość.

^{*} W. Blake, *Smutek nowonarodzonego*, przeł. J. Kozak, w: W. Blake, *Wiersze i poematy*, wybór i oprac. K. Puławski, Izabelin 1997.

- No, tak - zauważył błyskotliwie Terry. - William Blake, Billy Blake. Znasz coś jeszcze?

- „O Tygrysie, w gęstwinie nocy / Gorejący, jakiej mocy” - Deacon zrobił pauzę, zachęcając chłopaka, aby dokończył.

- „Nieśmiertelna dłoń lub oczy / Mogły stworzyć twej symetrii grozę”! - wyrecytował z dumą młodzieniec. - Billy bez przerwy go powtarzał. Mówiłem mu, że to się nie rymuje, a on na to, że to rym wewnętrzny i trzeba akcentować na „stworzyć”.

Deacon przytaknął. Czy Billy Blake był nauczycielem?

- W następnej zwrotce jest taki wers: „Na jakich skrzydłach wzniósł się płomień / I jakie go chwyciły dłonie?”*. Czy to właśnie mógł mieć na myśli, kiedy wkładał rękę do ognia?

- Diabli wiedzą. Zależy, co to znaczy.

- Tygrys symbolizuje siłę, energię i okrucieństwo. Poeta opisuje jak to piękne, ale nieokielznane stworzenie hartuje się w ogniu, a następnie pyta, dlaczego stwórca odważył się powołać do życia tak groźną istotę. - Deacon zauważył, że mężczyźni przestali go słuchać, ale na twarzy Terry'ego widać było autentyczne zainteresowanie. - To dłoń stwórcy odważyła się „pochwycić płomień”, więc może Billy sądził, że zrobił coś, nad czym nie umiał potem zapanować?

- Może - chłopak wpatrywał się nieobecny wzrokiem w przestrzeń po drugiej stronie rzeki. - Czy tym stwórcą jest Bóg?

- Tak, ale Blake nie mówi dokładnie, jaki.

- Billy uważał, że jest cała masa bogów. Bogowie wojny. Bogowie miłości. Bogowie rzek. Jacy tylko chcesz. Cały czas ich przeklinał. „To wszystko wasza wina, dranie - krzyczał - więc zostawcie mnie w spokoju i pozwólcie mi umrzeć”. Powiedziałem mu, że powinien przestać w nich wierzyć, a wtedy nie będzie musiał ich nienawidzić. Logiczne, prawda? - Wychudła twarz obróciła się z powrotem w stronę ognia.

- Billy wierzył, że bogowie ponoszą za coś winę. Za co?

- Nie chodzi o to, w co wierzył - odparł Terry, starannie akcentując słowa - ale, co wiedział. - Wyciągnął przed siebie ręce i zacisnął palce w powietrzu. - Udusił kogoś, bo tak zdecydowali bogowie. Dlatego wkładał rękę do ognia. Mówił, że jego ręka to „narzędzie zbrodni” i że „taka ofiara jest konieczna, jeśli ma odwrócić od siebie gniew bogów”. Biedny

* W. Blake, *Tygrys*, przeł. R. Klewin, w: *Poeci języka angielskiego*, wybór i oprac. H. Krzeczkowski i in., t. 2, Warszawa 1971.

popyrtań. Czasem nie mógł się nawet porządnie podetrzeć.

Zgodnie z instrukcją Terry'ego Deacon zostawił butelkę whisky pod opieką starszego mężczyzny w uszance i dopiero wtedy udał się za chłopakiem w głąb magazynu, żeby obejrzyć miejsce, gdzie spał Billy.

- To strata czasu - mruknął Terry. - Billy nie żyje od pół roku. Co tam chcesz znaleźć?

- Cokolwiek.

- Słuchaj, przez ten czas spało tam ze stu różnych kolesi. Niczego tam nie ma. - Mimo to poprowadził Deacona w ciemną czeluść magazynu. - Odbiło ci? - zapytał z rozbawieniem, widząc pod stopami ruchomą plamkę światła z latarki Deacona. - To nic nie da. Poczekaj chwilę. Zaraz się przyzwyczaisz. Przez drzwi wpada tu dosyć światła.

Z ciemności wylaniał się z wolna szary księżycowy krajobraz. Rumowisko pogiętego metalu, gruzu i rupieci niewiadomego pochodzenia wyglądało jak miejsce po nalocie bombowym, pełne zdeformowanych, trudnych do rozpoznania przedmiotów. O obecności ludzi świadczył jedynie unoszący się w powietrzu kwaśny odór moczu.

- Jak długo tu mieszkasz? - zapytał Deacon, który wśród tego pobojuwiska dostrzegł kilka śpiących ludzkich sylwetek.

- Z przerwami jakieś dwa lata.

- Dlaczego tu? Dlaczego nie w jakimś pustostanie albo w schronisku?

Chłopak wzruszył ramionami.

- Przerabiałem to. Nie jest tu tak źle. - Terry minął pryzmę cegieł i wskazał ręką na prowizoryczną zasłonę z folii i starych kocy. Odchylił jeden z nich i wyciągnął dłoń, żeby zapalić stojącą na ziemi sztormówkę.

- Wejdz - zaprosił. - To moje legowisko.

Deacon doznał osobliwego uczucia zazdrości. Stał w namiocie skleconym pośrodku cuchnącego uryną lejka po bombie, a jednak miejsce to wydawało się urządzone z większą dbałością niż jego własne mieszkanie. Zdjęcia półnagich kobiet przypięte pinezkami do foliowych ścian, na ziemi materac z patchworkową narzutą, jakieś drobiazgi ustawione na metalowej szafce, wiklinowe krzesło przykryte szlafrokiem i czerwone plastikowe róże w słoju na małym stoliku. Deacon wszedł do środka i usiadł na krzesle, składając starannie szlafrok na kolanach.

- Nieźle. Naprawdę fajnie to urządziłeś.

- Ważne, że mnie się podoba. Większość tych przedmiotów znalazłem na śmietniku. Ludzie wyrzucają zupełnie niesamowite rzeczy.

Terry precyzyjnie się obok Deacona i położył się na materacu. Wyglądał teraz młodziej

niż wtedy, gdy siedział skulony przy ognisku.

- W schronisku nie ma tyle swobody, a w pustostanach ludzie bez przerwy wchodzą sobie w drogę.

- Masz jakąś rodzinę?

- Nie. Od szóstego roku życia mieszkałem w sierocińcach. Jeden gość powiedział mi, że moja matka jest w więzieniu i że dlatego wylądowałem w opiece, ale nigdy tego nie sprawdzałem. Uznałem, że nie warto jej szukać. Olewam to.

Deacon postanowił przyjrzeć się uważnie twarzy chłopca. W jego rysach nie było jednak niczego, co zapadałoby w pamięć. Wyglądał jak dziesiątki wygolonych wyrostków w jego wieku; był tak samo bezbarwny i tak samo nieciekawym. Deacona zastanowiło, dlaczego Terry nie wspomniał ani słowem o ojcu, ale domyślił się, że ojciec był nieznany, a więc bez znaczenia. Pomyślał o kobietach, z którymi sam spał przez te wszystkie lata. Może któraś z nich zaszła z nim w ciążę i urodziła jakiegoś Terry'ego, którego następnie porzuciła?

- Takie życie musi być jednak mało zabawne.

- Nie ja pierwszy i nie ostatni. Mówiłem ci już - olewam. Człowiek nie robi rzeczy, do których nie jest zdolny.

Ostatnie zdanie zabrzmiało dziwnie w ustach kogoś takiego jak Terry.

- Czy tak mówił Billy?

Chłopak obojętnie wzruszył ramionami.

- Może. Bez przerwy prawił mi kazania. - Jego głos przybrał nieco teatralny, napuszony ton. - „Za każdy czyn trzeba ponieść odpowiedzialność, Terry. Pycha jest największym grzechem człowieka, ponieważ człowiek gubi swoją duszę, zajmując miejsce Boga. Bądź gotów, bo Dzień Sądu jest bliżej niż myślisz”. - Wrócił do swojego zwykłego, twardego akcentu. - Mówię ci, facet miał gadane. Był z niego kawał świra, ale miał swój rozum i myślę, że nauczyłem się od niego paru rzeczy.

- Na przykład czego?

Terry uśmiechnął się szeroko.

- Na przykład tego, że mądry nie odpowiada na głupie pytania.

Deacon także się uśmiechnął.

- Ile masz lat?

- Osiemnaście.

Deacon nie mógł w to jakoś uwierzyć. Bystrość umysłu i wygadanie sprawiały, że chłopak miał tu mocną pozycję, ale na jego policzkach nie było nawet śladu męskiego zarostu. Terry miał nieproporcjonalnie długie kończyny i szczupłą, chłopięcą sylwetkę.

Wielkie, kościste ręce kołysały się jak wiatraki, a pierś i ramiona nie nabrały jeszcze właściwego dla mężczyzny kształtu. Tym bardziej zaciekawił go ów dziwny „nauczyciel”, który okazał mu przyjaźń.

- Jak długo znałeś Billy'ego? - zapytał.

- Parę lat.

A więc odkąd zamieszkał w magazynie.

- Urządził się tu jakoś?

Terry potrząsnął przecząco głową.

- On chciał cierpieć. Mówiłem ci, że był stuknięty. W zeszłym roku o tej porze spotkałem go, jak paradował kompletnie goły. Był cały siny od mrozu. Co ty, kurwa, wyprawiasz, pytam, a ten idiota na to, że umartwia ciało. - Terry przerwał na moment, zastanawiając się, czy użył właściwego słowa. - Albo coś w tym rodzaju. Nigdy nie miał tu własnego miejsca. Po prostu zawijał się w koc i kładł się spać przy ogniu. Niczego nie miał, niczego nie potrzebował, o nic nie dbał. Wiedział, że bogowie w końcu po niego przyjdą i postanowił ułatwić draniom zadanie.

- Dlatego, że był mordercą?

- Może.

- Czy powiedział kiedyś, kogo zamordował? Kobiętę czy mężczyznę?

Terry skrzyżował ręce pod głową.

- Nie pamiętam.

- Dlaczego powiedział o tym tylko tobie?

- Skąd wiesz, że nie powiedział innym?

- Widziałem ich twarze.

- Są na okrągło pijani, dlatego nic nie pamiętają. - Terry zamknął oczy. - Kto wie, może dziesięć funciaków przywróciłoby mi pamięć.

Deacon parsknął śmiechem tak nagle, że podmuch uniósł w górę róg jednego z plakatów.

- Masz mnie za idiotę, synku? - Wyciągnął z portfela wizytówkę i rzucił ją na pierś Terry'ego. - Zadzwoń do mnie, kiedy będziesz miał coś, co będę mógł sprawdzić. Ale nie zawracaj mi głowy bzdurami. Radzę ci, żeby twoje informacje były coś warte, jeśli naprawdę chcesz dostać za nie pieniądze. - Wstał z krzesła i popatrzył z góry na twarz chłopca. - Ile lat masz naprawdę, Terry? - Deacon dawał mu nie więcej niż szesnaście.

- Dostatecznie dużo, żeby poznać się na takiej wrednej kutwie jak ty.

Wróciwszy do redakcji, Deacon znalazł na biurku list od Barry'ego Grovera wraz z oryginałami zdjęć Billy'ego Blake'a w przezroczystej plastikowej koszulce. *Chyba nie mam tego faceta w swoim archiwum, pisał Barry, ale dałem negatywy i odbitki Paulowi Garrety. Zobacz, co da się zrobić na komputerze. B. G.*

Paul Garrety, redaktor graficzny „Street”, potrząsnął tylko głową, gdy Deacon odszukał go i zapytał, jak radzi sobie ze zdjęciami Billy'ego Blake'a. JP dał się przekonać do tego, by zainwestować w najnowszy sprzęt komputerowy dla działu graficznego, skuszony obietnicą, że nowoczesna technologia wpłynie na zmianę wizerunku pisma, a w efekcie przyniesie zwiększenie sprzedaży, czego nie potrafił dokonać wcześniej cały sztab zatrudnionych w redakcji grafików. JP był jednak zbyt przywiązany do dawnego wyglądu pisma, żeby dać Paulowi wolną rękę, dlatego Garrety, podobnie jak Deacon, spędzał większą część dnia na jałowych dyskusjach ze swoim szefem.

- Potrzebujesz eksperta, Mike - powiedział. - Mogę zrobić dziesiątki różnych wersji jego twarzy, ale musisz znaleźć kogoś, kto zna się na fizjonomice, żeby powiedział ci, która jest najwłaściwsza. - Wskazał na ekran komputera. - Popatrz. Możesz mu zrobić pełniejszą twarz, a więc zaokrąglić rysy. Możesz wypełnić policzki, a więc zrobić to samo tylko z dolną częścią twarzy. Możesz zrobić podwójny podbródek, kaprawe oczka, gęstsze włosy. Możliwości są nieskończone i za każdym razem pojawia się ktoś inny.

Deacon przyglądał się zmianom na ekranie.

- Rozumiem, co masz na myśli.

- To nauka. Najlepiej, jeśli znajdziesz kogoś, kto specjalizuje się w rekonstrukcji twarzy. Możemy wybrać dowolną wersję, ale prawdopodobnie nie będzie ona w niczym przypominać twojego nieboszczyka.

- Nie ma szans, żeby JP puścił to zdjęcie razem z moim artykułem?

Garrety roześmiał się.

- Żadnych. I tu akurat się z nim zgadzam. Ludziom odebrałoby apetyt. Przyznaj uczciwie. Kto ma ochotę jeść płatki kukurydziane, patrząc na pomarszczoną twarz starego włóczęgi, który umarł z głodu?

- Miał tylko czterdzieści pięć lat - odparł łagodnie Deacon. - Był trzy lata starszy ode mnie i dziesięć lat młodszy od ciebie. Kiedy tak na to spojrzeć, robi się mniej zabawnie, prawda?

W artykule Michaela Deacona na temat ubóstwa i bezdomności, który ukazał się w następnym numerze „Street”, nie było ani słowa o Amandzie Powell i Billym Blake'u.

Ostateczna wersja artykułu odpowiadała jednak dokładnie początkowym zamierzeniom. Była to wszechstronna analiza ważnego problemu społecznego, która skupiała się na przyczynach i rozwiązaniach długoterminowych. JP wątpił, czy zainteresuje to czytelników („To cholernie nudne, Mike. Co to, na Boga, obchodzi przeciętnego człowieka?”), ale bez porządných fotografii Billy'ego albo pani Powell nie było sensu przytaczać jej banalnych i ogólnikowych stwierdzeń na temat bezdomności. JP jeszcze raz zagroził, że „Street” nie odnowi z Deaconem umowy, jeśli ten nie zrozumie wreszcie, że obrzucanie przeciwników politycznych błotem należy do jego zawodowych obowiązków, na co Deacon odparł z przekąsem, że poziom sprzedaży pisma wskazuje na to, że czytelnicy „Street”, podobnie zresztą jak reszta elektoratu, lubią, żeby powątpiewano w ich inteligencję.

Amanda Powell, która otrzymała pocztą swoje klucze od garażu i dwie fotografie Billy'ego wraz z nie podpisaną kartką ze standardowymi pozdrowieniami od redakcji „Street”, była rozczarowana, choć nie zaskoczona, tym, że Deacon nie wspomniał w tekście ani o niej, ani o Billym. Przeczytała jednak artykuł z zainteresowaniem, zwłaszcza fragment opisujący opuszczony magazyn i mieszkających w nim psychicznie chorych ludzi, którymi opiekowało się para starych mężczyzn i pewien młody chłopak.

Odłożyła gazetę z wyraźnym uczuciem ulgi.

ROZDZIAŁ 5

Deacon, korzystając z nieco spokojniejszego popołudnia, dotarł do nazwisk i adresów rodziców i brata Jamesa Streetera, a także do fantastycznych (i rozmyślnie oszczerczych?) oświadczeń dla prasy sygnowanych przez Stowarzyszenie Przyjaciół Jamesa Streetera, którego adres pokrywał się z adresem brata Jamesa w Edynburgu. Ostatnie z nich pochodziło z sierpnia 1991 roku.

Mimo naszych, trwających już rok, usilnych zabiegów i starań, żadna z gazet nie wyraziła zainteresowania doniesieniami Stowarzyszenia Przyjaciół Jamesa Streetera, które utrzymuje, że James został zamordowany w piątek w nocy, 27 kwietnia 1990 roku. Jego śmierć miała zapewnić bezkarność członkom zarządu banku Lowensteina i uchronić bank przed upadkiem, który byłby nieuniknionym następstwem utraty zaufania do jego kierownictwa.

Sprawiedliwość wymaga wzięcia pod uwagę następujących faktów:

- James Streeter nie dysponował wiedzą niezbędną do dokonania malwersacji, o które został oskarżony. Przyjęto, że obsługi skomplikowanych programów komputerowych nauczył się podczas swoich zagranicznych pobytów we Francji i Belgii. Stowarzyszenie dysponuje zeznaniami jego wcześniejszych pracodawców oraz pierwszej żony, które zaprzeczają temu twierdzeniu. (Patrz załączniki).
- James Streeter nie miał dostępu do informacji o postępach wewnętrznego śledztwa prowadzonego w banku ani o decyzjach zarządu, dlatego też nie mógł wybrać „idealnego” momentu do opuszczenia kraju. Stowarzyszenie uzyskało odpowiednie oświadczenia w tej sprawie od sekretarki Jamesa oraz pracowników jego działu. (Patrz załączniki).
- Pół roku przed swoim zniknięciem James Streeter zwracał uwagę współpracowników na niekompetencję szefa działu, Nigela de Vriessa, który w 1990 roku był członkiem zarządu banku i który w niedługi czas potem odszedł ze swojego stanowiska. Stowarzyszenie dysponuje zaprzysiężonymi zeznaniami trzech osób, które stwierdzają, że James powiedział w styczniu 1990 roku, że pan de Vriess jest „w najlepszym razie niekompetentny, w najgorszym zaś kieruje się kryminalnymi pobudkami”. (Patrz załączniki).

- Istotną rolę w całej sprawie odegrały obciążające zeznania złożone na policji przez Amandę Streeter, żonę Jamesa. Zeznała ona że: 1) James miał romans z kobietą nazwiskiem Marianne Filbert, która pracowała jako programistka w firmie komputerowej, a której obecnego miejsca pobytu nie udało się ustalić; 2) James miał kiedyś powiedzieć: „Każdy dureń mógłby obsługiwać dowolny program, gdyby ktoś powiedział mu, które klawisze ma naciskać”; 3) miał obsesję na punkcie bogactwa.
- Stowarzyszenie stanowczo odpiera te zarzuty. Zarzuty 1) i 3) znajdują oparcie wyłącznie w słowach Amandy Streeter. Zarzut 2) odnosi się do stwierdzenia jednego ze współpracowników Jamesa, który przyznał, że nie jest pewien, czy rzeczywiście James był autorem tej uwagi.

Ponadto:

- Stowarzyszenie uzyskało dowody, które świadczą o tym, że to Amanda Streeter miała romans, a jej kochankiem był Nigel de Vriess. Dysponujemy kserokopiami rachunków i zeznaniami naocznych świadków, którzy potwierdzają, że para spotkała się dwukrotnie w 1986 i 1989 roku w hotelu George w Bath. Pierwsze spotkanie odbyło się zaledwie kilka tygodni przed ślubem Amandy z Jamesem, drugie - trzy lata po nim. (Patrz załączniki).

Oskarżamy Amandę Streeter i Nigela de Vriessa

- Zabójcy Jamesa Streetera nie zostali ukarani. Jeśli prasa nie otrząśnie się z letargu i nie podejmie natychmiastowych działań, ludzie winni tej zbrodni będą nadal korzystać ze śmierci niewinnego człowieka. Stowarzyszenie Przyjaciół Jamesa Streetera domaga się gruntownego zbadania działalności Nigela de Vriessa i jego kochanki, Amandy Streeter. Pomoc i/lub bliższe informacje można uzyskać pod podanymi wyżej numerami faksu i telefonu. John i Kenneth Streeter są w każdej chwili do dyspozycji dziennikarzy.

Dwa dni później, nie mając nic lepszego do roboty, Deacon wykręcił numer Johna Streetera w Edynburgu. Telefon odebrała kobieta.

- Hallo - odezwała się z lekkim szkockim akcentem.

Deacon przedstawił się jako londyński dziennikarz, który chciałby rozmawiać z rzecznikiem Stowarzyszenia Przyjaciół Jamesa Streetera.

- O mój Boże!

Deacon odczekał chwilę.

- Czy coś się stało?

- Nie, nie, tylko, widzi pan, prawdę mówiąc, minął ponad rok... Proszę się nie rozłączać, dobrze? - Kobieta zasłoniła dłonią słuchawkę. - JOHN! JO-OHN! - Odsunęła dłoń.

- Osoba, z którą chce pan rozmawiać, to mój mąż.

- Świetnie.

- Przepraszam, nie zapamiętałam pańskiego nazwiska.

- Michael Deacon.

- Mąż podejdzie za sekundę. - Znów dłoń na słuchawce, ale tym razem jej głos był rzeczywiście przytłumiony. - Na miłość boską, pośpiesz się. To dziennikarz. Chce rozmawiać o Jamesie. Nazywa się Michael Deacon. Nie, nie, musisz podejść. Obiecałeś ojcu, że się nie poddasz. - Jej głos ponownie zabrzmiał głośniej. - Oddaję słuchawkę mężowi.

- Słucham - zabrzmiał głęboki męski głos. - Mówi John Streeter. Czym mogę służyć?

Deacon wyciągnął długopis i położył przed sobą notatnik.

- Czy to, że od czasu wysłania ostatniego oświadczenia dla prasy minęło trzy i pół roku, oznacza, że pogodził się pan z winą brata? - zapytał wprost.

- Czy jest pan zatrudniony w którymś z dużych dzienników, panie Deacon?

- Nie.

- Więc działa pan na własną rękę?

- W sprawie pańskiego brata - tak.

- Czy zdaje pan sobie sprawę z iloma niezależnymi dziennikarzami rozmawiałem w ostatnich latach? - Mężczyzna zrobił pauzę, ale Deacon nie dał się sprowokować. - Chyba z trzydziestoma - ciągnął. - Nie opublikowali nawet jednej kolumny tekstu, ponieważ temat nie zainteresował żadnego wydawcy. Obawiam się, że odpowiadając na pańskie pytania, zmarnuję tylko nasz wspólny czas.

Deacon poprawił słuchawkę, którą przytrzymał sobie ramieniem i zaczął rysować kółka na pustej kartce papieru.

- Trzydziestu to jeszcze nic, panie Streeter. Znam podobne kampanie, których uczestnicy rozmawiali z setkami dziennikarzy, zanim cokolwiek uzyskali. Poza tym, większość z tego, co napisali państwo w swoim oświadczeniu, to pomówienia. Szczerze mówiąc, macie szczęście, że uniknęliście procesów o zniesławienie.

- Co samo w sobie już o czymś świadczy, nie sądzi pan? Jeżeli są to tylko oszczerstwa, dlaczego nikt nie pozwał nas do sądu?

- Bo wasi adwersarze nie są głupi. Po co mają podsycać waszą kampanię, skoro i tak umiera śmiercią naturalną? Co innego, gdyby udało się wam przekonać któregoś z wydawców. Czy naprawdę nie opublikowano niczego w obronie pańskiego brata?

- Tylko krótki fragment w książce na temat nie wyjaśnionych zagadek, która wyszła w ubiegłym roku. Spędziłem dwa dni na rozmowach z autorem, Rogerem Hyde'em, a on napisał prymitywne streszczenie, z którego wynika, że James był winny. - Mężczyzna sprawiał wrażenie poirytowanego i zniechęconego. - Bicie głową w mur zaczyna mnie męczyć.

- Więc może nie jest pan już tak mocno przekonany o niewinności swojego brata jak pięć lat temu?

Z ust mężczyzny wyrwało się stłumione przekleństwo.

- Właśnie tego byście chcieli, prawda? Potwierdzenia winy Jamesa.

- Zapomina pan, że namawiam do wystąpienia w jego obronie, z czego, zdaje się, nie ma pan specjalnej ochoty skorzystać.

John Streeter pomiął tę uwagę milczeniem.

- Mój brat pochodzi z uczciwej, ciężko pracującej rodziny. Czy zdaje pan sobie sprawę, przez co przeszli moi rodzice? Ich syna uznano za złodzieja. Są przyzwoitymi, szanowanymi ludźmi, którzy nie potrafią zrozumieć, dlaczego dziennikarze tacy jak pan nie chcą ich wysłuchać. - Wzburzenie odebrało mu na chwilę głos. - Nie interesują pana fakty, chce pan tylko dalej oczerniać niewinnego człowieka.

- A czy pan nie postępuje tak samo? - W głosie Deacona nie było śladu współczucia. - O ile dobrze zrozumiałem wasze oświadczenie, obrona Jamesa opiera się w całości na pomówieniach kierowanych pod adresem Nigela de Vriessa i Amandy Streeter.

- Mam podstawy, by ich podejrzewać. Amanda twierdziła, że James miał romans, choć nie przedstawiła na to żadnych dowodów. Tymczasem my mamy dowody, które świadczą o tym, że to ona miała romans z de Vriessem. De Vriess ukradł z banku dziesięć milionów, a ona podsunęła mu myśl, żeby obciążyć winą Jamesa, i pomogła w realizacji planu.

- To poważne oskarżenia. Potrafi je pan udowodnić?

- Bez uzyskania wglądu w ich konta i operacje bankowe - nie. Ale wystarczy zobaczyć, jak mieszkają, żeby zorientować się, że musieli skądś dostać spory zastrzyk gotówki. Kilka miesięcy po zniknięciu Jamesa Amanda kupiła dom nad Tamizą wart 600 tysięcy funtów, a de Vriess, wkrótce potem, posiadłość w Hampshire.

- Nadal się widują?

- Raczej nie. De Vriess miał w ciągu ostatnich trzech lat przynajmniej pięć różnych kochanek. Amanda żyje samotnie i na razie z nikim się nie związała.

- Jak pan myśli, dlaczego?

Głos Johna Streetera zabrzmiał twardo.

- Prawdopodobnie z tego samego powodu, dla którego nigdy nie wystąpiła o rozwód. Chce podtrzymać wrażenie, że James nadal żyje.

Deacon zajrzał do kserokopii oświadczeń prasowych.

- No dobrze. Porozmawiajmy o rzekomym romansie Jamesa z... - odszukał właściwy fragment - z Marianne Filbert. Jeśli nie ma dowodów na istnienie tego związku, dlaczego policja uwierzyła słowom Amandy? Kim jest Marianne Filbert? Gdzie jest teraz? Co ona ma na ten temat do powiedzenia?

- Odpowiem panu po kolei. Policja uwierzyła słowom Amandy, ponieważ były dla niej wygodne. Potrzebowali specjalisty od komputerów, a Marianne pasowała do ich układanki. Należała do zespołu badawczego, który w połowie lat osiemdziesiątych pracował dla Softworks Limited. W roku 86 Softworks miał przygotować raport dla banku Lowensteina, ale nie wiadomo, czy Marianne Filbert brała udział w tym przedsięwzięciu. W trzy lata później wyjechała do Ameryki. - Zrobił krótką pauzę. - Przez pół roku pracowała w Wirginii dla spółki komputerowej zajmującej się oprogramowaniem, a następnie przeniosła się do Australii.

- Co było dalej? - zapytał Deacon, bo głos w słuchawce nagle zamilkł.

- Potem wszelki ślad po niej zagaął. Jeśli rzeczywiście wyjechała do Australii, co wydaje się wątpliwe, musi posługiwać się innym nazwiskiem.

- Kiedy odeszła ze spółki?

- W kwietniu 1990 roku - odparł tamten niechętnie.

Deaconowi zrobiło się go żal. John Streeter nie był głupcem i z pewnością wolałby nie opierać swojej linii obrony jedynie na ślepej wierze w niewinność brata.

- A więc policja widzi związek między jej zniknięciem i zniknięciem Jamesa? Mówiąc prościej, pański brat powiedział jej, kiedy ma uciekać.

- Tyle tylko, że nikt nigdy nie ustalił, czy James i Marianne rzeczywiście się znali. - Deacon usłyszał w słuchawce pełen irytacji głośny wdech. - Naszym zdaniem to de Vriess i Amanda pomogli jej zniknąć.

- A zatem spisek trzech osób?

- Dlaczego nie? Nasza wersja jest równie wiarygodna jak wersja policji. Niech pan posłucha. To Amanda podała policji nazwisko Marianne Filbert i Amanda powiedziała o jej wyjeździe do Ameryki. Gdyby nie to zeznanie, wątek komputerowy pozostałby nie wyjaśniony, a bez tego James nie mógłby dokonać kradzieży. Cała argumentacja policji opiera się na założeniu, że James miał dostęp do fachowej wiedzy, ale zeznanie Amandy o jego rzekomym romansie z Marianne Filbert nie zostało nigdy zweryfikowane.

- Trudno mi w to uwierzyć, panie Streeter. Zgodnie z tym, co pisały gazety, Amanda została zatrzymana przez policję i była przesłuchiwana przez dwa dni. Oznacza to, że znalazła się w ścisłym kręgu podejrzanych. Oznacza to również, że musiała przedstawić policji coś bardziej przekonującego niż samo nazwisko. Co to było?

- To nie był żaden dowód - odparł z uporem Streeter.

Deacon zapalił papierosa, czekając na ciąg dalszy.

- Jest pan tam jeszcze? - zaniepokoił się Streeter.

- Tak.

- Nie potrafiła udowodnić, że coś ich łączyło. Nie potrafiła nawet udowodnić, że się znali.

- Proszę mówić, słucham.

- Amanda przekazała policji pewne fotografie. W większości były to zdjęcia samochodu Jamesa zaparkowanego przed blokiem, w którym mieszkała Marianne Filbert przed wyjazdem do Stanów Zjednoczonych. Przedstawiła m.in. trzy niewyraźne ujęcia całującej się pary. Zdaniem Amandy byli to James i Marianne. Na jednym z nich widniały plecy mężczyzny ubranego w płaszcz podobny do tego, który nosił James. Mężczyzna wchodził do budynku, w którym mieszkała Filbert. Jak już powiedziałem, to niczego nie dowodzi.

- Kto wykonał te zdjęcia?

- Prywatny detektyw wynajęty przez Amandę.

(Czyżby ten sam, z którym konsultowała się w sprawie Billy'ego Blake'a?)

- Czy były na nich daty?

- Tak.

- Kiedy zostały zrobione?

- Między styczniem a sierpniem 89 roku.

- Powiedział pan, że na większości zdjęć widać samochód Jamesa. Czy James siedział w środku?

- Ktoś siedział, ale jakość fotografii nie pozwala stwierdzić, czy był to James.

- Może Nigel de Vriess - mruknął Deacon z ironią, która uszła uwadze jego rozmówcy. Deacon zaczynał dochodzić do wniosku, że obsesja Amandy na punkcie prawdziwej tożsamości Billy'ego Blake'a była niczym w porównaniu z fanatycznym uporem, z jakim John Streeter starał się dowieść niewinności swojego brata. Czy rzeczywiście ludzie, którzy zostali oszukani, tak łatwo popadają w paranoję?

- Jesteśmy przekonani, że tym mężczyzną był de Vriess - oświadczył Streeter.

- A więc oboje z premedytacją postanowili go zrobić?

- Tak.

- To jakiś jeden wielki spisek. - Tym razem w głosie Deacona pojawił się sarkazm. - Twierdzi pan, że tych dwoje zaplanowało z rocznym wyprzedzeniem, że zamordują zupełnie niewinnego człowieka, bez względu na to, co jeszcze się wydarzy. I zadowala pana ten scenariusz? - Popiół z papierosa Deacona spadł na klapę jego marynarki. - Czy pana szwagierka jest potworem, panie Streeter? Chyba tak, skoro potrafiła mieszkać tak długo pod jednym dachem z człowiekiem, którego postanowiła zamordować. No więc? O kim my właściwie mówimy? O Meduzie?

Zapadło milczenie.

- Poza tym tylko idiota mógłby opierać swój plan na założeniu, że taka sytuacja będzie trwała w nieskończoność. James był wolnym człowiekiem. Mógł w każdej chwili rozstać się z żoną albo porzucić pracę, i co wtedy? - Deacon przerwał, czekając na odpowiedź tamtego. - Policja przyjęła jedyne logiczne wyjaśnienie - podjął, nie doczekawszy się odpowiedzi - James miał romans z Marianne Filbert. Amanda postanowiła z tym skończyć, więc kazała go śledzić i zgromadziła dowody. Następnie doprowadziła do tego, że Marianne wyjechała dobrowolnie lub została zmuszona do wyjazdu.

- Amanda powiedziała policji, gdzie szukać Marianne. Skąd miała te informacje?

- Amanda nie jest głupia. Warunkiem ratowania małżeństwa musiała być pewność, że Marianne zniknie z ich życia. Taką pewność dawało jedynie coś, co można było sprawdzić. Na przykład adres albo umowa o pracę z pieczętą konkretnej firmy.

- Kontaktował się pan z nią?

- Z kim?

- Z Amandą?

- Nie - skłamał Deacon. - Jest pan pierwszą osobą, z którą rozmawiam o tej sprawie. Natknąłem się na wasze oświadczenia i zaciekały mnie na tyle, że postanowiłem zadzwonić. Proszę mi powiedzieć - kontynuował z wprawą zawodowego oszusta - co skłoniło pana do szukania powiązań między Amandą i de Vriessem?

- Amanda poznała Jamesa przez de Vriessa na jakimś oficjalnym przyjęciu. De Vriess był już wtedy żonaty, ale nie ukrywał, że zamierzał rozstać się z żoną, żeby związać się z Amandą. Afiszowali się razem, gdy tylko jego żona gdzieś wyjeżdżała. Kiedy zorientowaliśmy się, że za całą sprawą kryje się de Vriess, udział Amandy wydał nam się logiczny, postanowiliśmy więc zebrać dowody, że ich związek miał trwały charakter.

- Tyle tylko, że wasze dowody są równie nieprzekonujące jak wasze rozumowanie. -

Deacon położył przed sobą odpowiednie kserokopie. - Macie rachunek z hotelu podpisany przez de Vriessa w 1986 roku oraz rysopis kobiety, którą mogła być Amanda Streeter. Zeznania z roku 1989 mają jeszcze mniejszą wartość. - Odsunął kartkę leżącą na wierzchu i przebiegł długopisem po tekście znajdującym się pod spodem. - Kelner z hotelu twierdzi, że zaniósł jakiejś parze szampana do pokoju 306. Jego zdaniem, były to te same osoby, ale tym razem nie ma już podpisanego rachunku, który potwierdzałby jego słowa. Nie potrafi pan nawet udowodnić, że tym mężczyzną był de Vriess, nie wspominając już o Amandzie.

- Za drugim razem płacił gotówką.

- Jakie nazwisko widnieje na rachunku?

- Smith.

Deacon zgasił papierosa.

- I wciąż dziwi pana, że nikt nie zdecydował się na publikację? Żaden z waszych zarzutów nie wytrzymuje krytyki.

- Mamy ograniczone fundusze i ograniczone wpływy. Potrzebujemy dziennikarza z dużej gazety, który zrobiłby wokół całej sprawy trochę szumu. Powiedziano nam, że w księgach hotelowych moglibyśmy znaleźć więcej informacji, gdybyśmy byli gotowi za nie zapłacić.

- To będzie kosztowna eskapada, która niczego nie zmieni.

- Jestem gotów bronić uczciwości mojego brata wszelkimi środkami.

- A więc okłamuje pan sam siebie - odparł bez ogródek Deacon. - Ponieważ to właśnie jego brak uczciwości jest bezdyskusyjny. Oszukiwał swoją żonę, która potrafiła to udowodnić, i tylko gniew uzasadnia pańskie zaślepienie. Powinien pogodzić się pan z myślą, że to James był głównym sprawcą swojego nieszczęścia.

- Wiedziałem, że marnuję tylko czas - powiedział ze złością tamten.

- Atakuje pan niewłaściwe osoby, panie Streeter. To właśnie w ten sposób marnuje pan swój czas.

Mężczyzna odłożył słuchawkę.

*

Wizyta w komisariacie policji na Isle of Dogs przyniosła niewiele nowego. Deacon zasugerował, że Billy Blake mógł popełnić morderstwo i ku swojemu zaskoczeniu dowiedział się, że policja badała tę ewentualność, gdy po raz pierwszy aresztowano Billy'ego.

- Na prośbę śledczego przejrzałem jeszcze raz jego akta - powiedział policjant, który prowadził sprawę Billy'ego. - Aresztowano go po raz pierwszy w 1991 za kradzież żywności

z supermarketów. Był w fatalnym stanie i zastanawiano się nawet, czy wnieść przeciwko niemu oskarżenie czy objąć dobrem policyjnym. Ostatecznie skierowano go na obserwację psychiatryczną z powodu samookaleczeń, które uniemożliwiały zdjęcie odcisków palców. Jakiś mądrała doszedł do wniosku, że Billy przypalał sobie dłonie, żeby uniknąć oskarżenia o morderstwo. Zaczęli więc główkować, czy nie stanowi przypadkiem zagrożenia dla społeczeństwa.

- I co?

Policjant wzruszył ramionami.

- Przesłuchiwali go w Brixton i niczego nie znaleźli. Zdaniem psychiatry stanowił większe zagrożenie dla siebie niż dla innych.

- Jak wytłumaczył jego oparzenia?

- O ile dobrze pamiętam, mówił o chorobliwej fascynacji cierpieniem. Nazwał Billy'ego pokutnikiem.

- Co miał na myśli?

Ponowne wzruszenie ramion.

- Może powinien pan spytać tego psychiatrę?

Deacon wyciągnął notatnik.

- Zna pan jego nazwisko?

- Mogę poszukać.

Wrócił po dziesięciu minutach i wręczył Deaconowi kartkę z nazwiskiem i adresem.

- Czy jeszcze coś? - zapytał, dając do zrozumienia, że ma na głowie pilniejsze sprawy niż zajmowanie się martwym włóczęgą.

Deacon wstał z ociąganiem.

- Informacje, które uzyskałem, były dość precyzyjne. - Schował notatnik do kieszeni marynarki. - Billy Blake powiedział podobno, że kogoś udusił.

Policjant okazywał pewne zainteresowanie, dopóki Deacon nie przyznał, że jego informator nie potrafił podać żadnych bliższych szczegółów i opierał się jedynie na tym, co usłyszał pewnej nocy od Billy'ego, który wił się wtedy w pijackim amoku.

- Czy ofiara była mężczyzną czy kobietą?

- Nie wiem.

- Czy zna pan nazwisko ofiary?

- Nie.

- Gdzie popełniono morderstwo?

- Nie wiem.

- Kiedy?

- Nie wiem.

- W takim razie, obawiam się, że nie będziemy w stanie panu pomóc.

Deacon zajrzał na przystań Westminster, gdzie cumowały statki turystyczne. Nie znalazł jednak nikogo, kogo mógłby zapytać o człowieka, który zarabiał na życie rysowaniem obrazków na chodniku. Zaskoczyło go, jak nieprzyjaźnie wyglądała rzeka w zimie, jak ukradkiem rozbijały się jej fale o burty statków pogrążonych w zimowym letargu, jak czarna i posepna wydawała się woda. Przypomniał sobie słowa Amandy: „...starał się trzymać jak najbliżej Tamizy”. Ale dlaczego? Jaka siła przyciągała go do tej wielkiej arterii przecinającej środek Londynu? Przechylił się przez barierkę i dłuższą chwilę trwał tak, wpatrując się w wodę.

Jakaś starsza kobieta, która przechodziła akurat obok, zatrzymała się przy nim.

- Przedwczesna śmierć nie jest żadnym rozwiązaniem, młody człowieku. Stwarza tylko nowe komplikacje. Czy wziął pan pod uwagę, że po tamtej stronie może czekać coś, na co nie jest pan jeszcze przygotowany?

Deacon odwrócił się, ale nie wiedział, czy powinien poczuć urazę czy wdzięczność.

- Wszystko w porządku. Nie mam zamiaru popełniać samobójstwa.

- Może nie dziś - odparła. - Ale myślał pan o tym.

Staruszka trzymała na smyczy małego białego pudła; piesek machał w kierunku Deacona krótkim ogonkiem.

- Potrafię rozpoznać ludzi, którzy miewają takie myśli. Szukają odpowiedzi, ale one nie istnieją, ponieważ Bóg nie chce ich jeszcze ujawniać.

Kucnęła, żeby podrapać za uchem swojego pieska.

- Myślałem o swoim przyjacielu, który zabił się pół roku temu. Zastanawiałem się, dlaczego nie skoczył do rzeki. Miałby łagodniejszą śmierć od tej, którą wybrał.

- Ale czy wówczas myślałby pan o nim?

Deacon wyprostował się.

- Chyba nie.

- Więc może właśnie dlatego wybrał taki rodzaj śmierci.

Deacon sięgnął po portfel i wyciągnął z niego pierwsze zdjęcie Billy'ego.

- Możliwe, że go pani widziała. Latem rysował tu obrazki na chodniku. Rysował zwykle Świętą Rodzinę i pisał pod spodem: „Błogosławieni ubodzy”. Poznaje go pani?

Przez kilka chwil kobieta przyglądała się wychudzonej twarzy na zdjęciu.

- Tak, chyba tak - powiedziała wolno. - Pamiętam oczywiście człowieka, który rysował na chodniku, i wydaje mi się, że to właśnie on.

- Rozmawiała z nim pani?

- Nie. - Zwróciła zdjęcie. - Nie miałam mu nic do powiedzenia.

- Do mnie się pani odezwała - przypomniał jej Deacon.

- Bo pomyślałam, że pan mnie wysłucha.

- Sądziła pani, że on nie będzie słuchał?

- W i e d z i a ł a m , że nie będzie. Pański przyjaciel chciał cierpieć.

Ponieważ Deacon liczył na to, że Billy mógł być nauczycielem, odszukał w centrali Związku Nauczycieli jednego ze swoich znajomych i umówił się z nim na lunch. Opowiedział mu o całej sprawie i poprosił, aby znalazł w dokumentach związku nazwiska wszystkich nauczycieli języka angielskiego, którzy na przestrzeni ostatnich dziesięciu lat bez uzasadnionego powodu przestali opłacać składki.

- Mam nadzieję, że nie mówisz tego poważnie - powiedział znajomy z lekkim rozbawieniem. - Zdajesz sobie sprawę, ilu pracuje w tym kraju nauczycieli i jak duża jest rotacja? Według ostatnich szacunków mamy ponad czterysta tysięcy samych anglistów, nie licząc nauczycieli akademickich. - Odstawił na bok talerz. - A poza tym, co to znaczy „bez uzasadnionego powodu”? Depresja? To dosyć powszechne. Kalectwo spowodowane przez piętnastoletnich bandziorów? Powszechniejsze, niż myślimy. Podejrzewam, że większość nauczycieli nie wykonuje dzisiaj swojego zawodu. Kto pójdzie uczyć do szkoły, jeśli znajdzie jakąś bardziej cywilizowaną pracę? Każesz mi szukać igły w stogu siana. Byłeś też łaskaw zapomnieć o istnieniu ustawy o ochronie danych, która oznacza, że nawet, gdybym mógł znaleźć te informacje, nie mógłbym ci ich udostępnić.

- Ten człowiek nie żyje od pół roku - odparł Deacon - więc nie zdradzisz żadnych tajemnic, a składki przestał prawdopodobnie płacić przynajmniej cztery lata wcześniej. Musiałbyś sprawdzić członków związku, którzy odeszli pomiędzy, powiedzmy, 1984 a 1990 rokiem. - Nagle zrezygnował i uśmiechnął się. - Masz rację. Wyglądałem się, ale chciałem przynajmniej spróbować.

- Wyglądałem się? Powiedziałbym raczej, że upadłeś na głowę albo kompletnie ci odbiło. Nie znasz jego nazwiska, nie wiesz, skąd pochodził, nie wiesz nawet, czy był członkiem naszego związku. Mógł należeć gdzie indziej. Albo nie należeć nigdzie.

- Wiem o tym.

- Nie wiesz nawet, czy był nauczycielem. Podejrzewasz tak, bo znał na pamięć

wiersze Williama Blake'a. - Mężczyzna uśmiechnął się serdecznie. - Bądź tak miły, Deacon, i nie zwracaj mi głowy. Jestem przepracowanym, marnie opłacanym urzędnikiem, a nie jakimś cholernym jasnowidzem.

Deacon roześmiał się.

- W porządku. To był kiepski pomysł.
- Ale właściwie nie wyjaśniłeś mi, dlaczego to dla ciebie takie ważne?
- Bo może nie ma tu nic do wyjaśnienia.
- Więc dlaczego chcesz się dowiedzieć, kim był ten człowiek?
- Ciekawi mnie, dlaczego wykształcony człowiek postanawia się unicestwić.
- Ach tak, rozumiem - odparł tamten ze współczuciem. Więc to sprawa osobista.

THE STREET, FLEET STREET, LONDON EC4

Dr Henry Irvine,
St Peter's Hospital,
London SW10

10 grudnia 1995

Szanowny Panie Doktorze, podano mi Pańskie nazwisko w związku ze sprawą pewnego więźnia, którego badał Pan w Brixton w 1991 roku. Człowiek ten nazywał się Billy Blake. Być może czytał Pan w gazetach o jego śmierci. Umarł z głodu, w garażu luksusowej posesji nad Tamizą, w czerwcu tego roku. Zainteresowałem się tą historią i dlatego zwracam się do Pana, licząc, że będzie Pan mógł udzielić mi informacji, które pomogą w ustaleniu prawdziwej tożsamości i pochodzenia tego mężczyzny.

Sądzę, że przybrał nazwisko Williama Blake'a, ponieważ dostrzegł w życiu tego poety pewne podobieństwa do swojego życia. Podobnie jak William Blake, Billy był całkowicie pochłonięty myślą o Bogu (i/lub bogach), ale kiedy zwracał się do przypadkowych przechodniów, jego przesłanie okazywało się zbyt hermetyczne, a przez to niezrozumiałe. Obaj byli artystami i wizjonerami i obaj zmarli w biedzie oraz zapomnieniu. Być może zaciekawi Pana, że pisałem pracę magisterską o Williamie Blake'u, dlatego też owe podobieństwa wydają mi się szczególnie interesujące.

Z nielicznych informacji, które udało mi się dotąd zebrać, wynika, że Billy był osobą autentycznie cierpiącą, być może chorą na schizofrenię. Prócz tego, jeden z moich informatorów (niezbyt wiarygodny) twierdzi, że Billy przyznał się do uduszenia człowieka. Czy wie Pan o czymś, co potwierdzałoby lub podważało te informacje?

Jestem w pełni świadomy, że Pańskie rozmowy z Billym objęte są tajemnicą lekarską, uważam jednak, że okoliczności jego śmierci wymagają wyjaśnienia, dlatego też będę wdzięczny za wszelką pomoc, jakiej mógłby mi Pan udzielić. Zapewniam Pana, że uzyskane informacje posłużą mi jedynie do wyświeatlenia prawdy o życiu Billy'ego.

Być może zna Pan niektóre moje artykuły, na wszelki wypadek załączam jednak kilka wycinków. Mam nadzieję, że przekonają Pana o tym, że można mi zaufać.

Z poważaniem

A handwritten signature in black ink that reads "Michael Deacon". The script is cursive and fluid, with the first letter of each word being capitalized and prominent.

Michael Deacon

Dr Henry Irvine,
St Peter's Hospital,
London

17 grudnia 1995

Szanowny Panie,

dziękuję za list z 10 grudnia. Moje orzeczenie dotyczące przypadku Billy'ego Blake'a zostało ujawnione w 1991 roku, nie uważam zatem, abym łamał tajemnicę lekarską, przekazując informacje, o które Pan prosi. Zgadzam się też, że okoliczności jego śmierci domagają się wyjaśnienia. Byłem bardzo zawiedziony, że nie mogę kontynuować leczenia Billy'ego, doszedłem bowiem do wniosku, że jego samookaleczenia były prawdopodobnie wynikiem silnego urazu psychicznego i nie wiązały się z chęcią ukrycia kryminalnej przeszłości. Jestem przekonany, że dalsza terapia przyniosłaby pozytywne efekty. Kiedy opuścił więzienie, zaproponowałem mu darmowe leczenie, nie mogłem jednak zmusić go do przyjęcia mojej propozycji i, jak można się domyślać, straciłem z nim kontakt. Pański list jest jedynym sygnałem dotyczącym tego przypadku, jaki od tego czasu otrzymałem.

Zostałem zaangażowany w tę sprawę, ponieważ policja nie wierzyła, że kradzież jedzenia z supermarketu była pierwszym przestępstwem Billy'ego Blake'a. Wiedzieli, że używa fałszywego nazwiska, ich podejrzenia wzbudziły też rany na rękach, które uniemożliwiały zdjęcie odcisków palców. Mimo długich przesłuchań nie udało im się jednak „złamać” Billy'ego i musieli poprzestać na oskarżeniu go o kradzież. Przed orzeczeniem wyroku poproszono mnie o wydanie opinii psychiatrycznej. Mówiąc krótko, miałem stwierdzić, czy Billy stanowi zagrożenie dla społeczeństwa. Policja podejrzewała, że nie okaleczyłby sobie tak dotkliwie palców, gdyby nie obawiał się oskarżenia o jakieś wcześniejsze, poważne przestępstwo.

Chociaż spotkałem się z nim tylko trzykrotnie, wywarł na mnie niezwykle wrażenie. Niewiarygodnie chudy, z gęstą czupryną siwych włosów, był zawsze bardzo opanowany, mimo że zdradzał silne objawy zespołu abstynencyjnego. Miał silną osobowość i dużo uroku. Gdybym miał opisać go jednym słowem, użyłbym określenia „fanatyk” lub „święty”. Zdaję sobie sprawę, że brzmi to w naszych czasach dziwnie, ale jego zaangażowanie w sprawę zbawienia innych przy równoczesnych cierpieniach, które sam znosił, sprawia, iż właśnie takie określenia same się narzucają, o ile,

oczywiście, wykluczemy poważniejsze zaburzenia psychiczne. Moim zdaniem Billy Blake nie był chory psychicznie.

Załączam końcowy fragment opinii psychiatrycznej i zapis rozmowy z Billym, który może Pana zainteresować. Muszę przyznać, że przeoczyłem asocjacje z Williamem Blake'em, ale wypowiedzi Billy'ego miały z pewnością wizjonerski charakter. Gdybym mógł Panu jeszcze jakoś pomóc, proszę kontaktować się ze mną bez wahania.

Serdecznie pozdrawiam



Henry Irvine

Ps Co do samej rozmowy: najwięcej mówią o nim oczywiście te odpowiedzi, których postanowił nie udzielać.

Opinia psychiatryczna

Dot.: Billy Blake * */5387

- strona 3 -

Wnioski:

Billy posiada w pełni rozwiniętą zdolność rozumienia kategorii moralno-etycznych, ale uważa je za „rytualne środki służące podporządkowaniu jednostki woli zbiorowości”. Wnioskuje z tego, że jego własna moralność pozostaje w sprzeczności ze społecznymi i prawnymi definicjami dobra i zła. Jest wyjątkowo opanowany i nie udziela żadnych informacji na temat swojej przeszłości. Billy Blake to niemal na pewno fałszywe nazwisko, ale pytania dotyczące konkretnych rodzajów przestępstw nie wywołują u niego żadnej reakcji. Posiada wysoki iloraz inteligencji. Trudno ocenić, dlaczego odmawia rozmowy na temat swojej przeszłości. Wykazuje chorobliwą fascynację piekłem i cierpieniem, ale stanowi zagrożenie raczej dla siebie niż dla innych. Nie stwierdzam żadnych objawów poważnych zaburzeń psychicznych. Można domniemywać, że istnieje racjonalny powód, dla którego wybrał taki styl życia - nazwałbym go życiem pokutniczym - i sądzę, że powoduje nim prawdopodobnie jakiś silny uraz doznany w przeszłości, nie mający związku z żadnym przestępstwem.

Zachowuje się w sposób bierny, chociaż zdradzał pewne ożywienie, kiedy pytania dotyczyły tego, gdzie przebywał i co robił, zanim został zatrzymany przez policję. Nie można wykluczyć, że w przeszłości badany popełnił jakąś zbrodnię, uważam to jednak za mało prawdopodobne. On sam od początku odmawiał rozmowy na ten temat i wydaje się wątpliwe, aby udało się nakłonić go do większej otwartości. Jestem jednak przekonany, że terapia przyniosłaby w tym przypadku korzystne efekty. Uważam też, że dalsze życie na marginesie społeczeństwa, w połączeniu z niemal fanatyczną potrzebą cierpienia, ciągłym niedożywieniem i biedą doprowadzą do jego niepotrzebnej i przedwczesnej śmierci.



Henry Irvine

Zapis rozmowy z Billym Blake'em nagranej 12.07.91

(fragment)

IRVINE: Uważasz, że twój prywatny system etyczny stoi wyżej od moralnych nakazów religii?

BLAKE: Uważam, że się od nich różni.

IRVINE: W czym?

BLAKE: W mojej moralności nie ma miejsca na wartości absolutne.

IRVINE: Możesz to bliżej wyjaśnić?

BLAKE: Różne uwarunkowania wymagają przyjęcia różnych norm etycznych. Na przykład kradzież nie zawsze jest grzechem. Gdybym był matką i moje dzieci cierpiałyby głód, popełniłbym większy grzech, pozwalając im umrzeć z głodu.

IRVINE: To zbyt prosty przykład, Billy. Większość ludzi przyznałaby ci rację. A co z zabójstwem?

BLAKE: To samo. Uważam, że istnieją okoliczności, które usprawiedliwiają zamierzone bądź nieumyślne zabójstwo. *(Milczenie)* Nie sądzę jednak, żeby można było żyć normalnie ze świadomością popełnionej zbrodni. Tabu związane z zakazem zabijania przedstawicieli własnego gatunku jest bardzo silne, a tabu trudno zracjonalizować.

IRVINE: Mówisz to z własnego doświadczenia?

BLAKE: *(Brak odpowiedzi)*

IRVINE: Wydaje mi się, że chcesz ukarać się za coś, co zrobiłeś w przeszłości, i dlatego oparzyłeś sobie ręce. Jak już pewnie wiesz, policja podejrzewa, że zrobiłeś to celowo, żeby uniemożliwić zdjęcie odcisków palców.

BLAKE: Myślę tak tylko dlatego, że nie przychodzi im do głowy żaden inny powód, dla którego człowiek mógłby zdecydować się na wyrażenie swoich przeżyć za pomocą jedynej rzeczy będącej naprawdę jego własnością - za pomocą ciała.

IRVINE: Samookaleczenia są zwykle świadectwem zaburzeń psychicznych.

BLAKE: Czy mówiłbyś to samo, gdybym oszpecił swoje ciało tatuażami? Skóra jest materiałem dla indywidualnej twórczości. W moich rękach widzę to samo piękno, które dostrzega kobieta malująca twarz przed lustrem. *(Milczenie)* Wydaje się nam, że panujemy nad swoimi reakcjami. Ale tak nie jest. Można nimi bez trudu manipulować. Pozbaw kogoś środków do życia, a stanie się zawistny. Uczyń z kogoś bogacza, a stanie się pyszny. Święci i grzesznicy to jedyne wolne umysły w naszym uległym społeczeństwie.

IRVINE: Do której grupy ty się zaliczasz?

BLAKE: Do żadnej. Moja myśl nie jest swobodna. Mam spętany umysł.

IRVINE: Przez co?

BLAKE: Przez intelekt. Z panem jest tak samo, doktorze. Jest pan zbyt rozsądny, żeby działać na własną szkodę, dlatego w pańskim życiu brakuje spontaniczności. Umrze pan w łańcuchach, które pan sobie sam nałożył.

IRVINE: Aresztowano cię za kradzież. Czy to nie było działanie na własną szkodę?

BLAKE: Byłem głodny.

IRVINE: Przebywanie w więzieniu jest, twoim zdaniem, rozsądne?

BLAKE: Na zewnątrz jest zimno.

IRVINE: Opowiedz mi o tych łańcuchach, które sam sobie nakładam.

BLAKE: One tkwią w pańskim umyśle. Podporządkowuje się pan wzorcom zachowań, które inni wymyślili za pana. Nie robi pan tego, na co naprawdę ma pan ochotę, bo ulega pan woli zbiorowości.

IRVINE: Powiedziałeś, że twój umysł jest spętany tak samo jak mój, a przecież nie jesteś konformistą, Billy. Gdybyś nim był, nie siedziałbyś w więzieniu.

BLAKE: Więźniowie są najdoskonalszymi konformistami. Gdyby było inaczej, w miejscach takich jak to dochodziłoby do nieustannych buntów i zamieszek.

IRVINE: Nie to miałem na myśli. Wydajesz się człowiekiem wykształconym, a jednak żyjesz jak włóczęga. Czy samotność na ulicy jest lepsza niż posiadanie domu i rodziny?

BLAKE: *(Długie milczenie)* Żeby odpowiedzieć na to pytanie, muszę najpierw wiedzieć, jakie znaczenie przypisuje pan tym pojęciom. Co pan rozumie przez dom i rodzinę, doktorze?

IRVINE: Dom to miejsce, które zapewnia naszej rodzinie - żonie i dzieciom - poczucie bezpieczeństwa. To miejsce, które większość z nas kocha, ponieważ żyją w nim ludzie, których kochamy.

BLAKE: A więc nie straciłem takiego miejsca, kiedy trafiłem na ulicę.

IRVINE: A co straciłeś?

BLAKE: Nic. Noszę wszystko w sobie.

IRVINE: Masz na myśli wspomnienia?

BLAKE: Interesuje mnie tylko terażniejszość. To, jak przeżywamy naszą terażniejszość, rozstrzyga o naszej przeszłości i przyszłości.

IRVINE: Innymi słowy, dzisiejsze szczęście jest źródłem naszych radosnych wspomnień i optymistycznej wizji przyszłości?

BLAKE: Tak, można to tak ująć.

IRVINE: A jak ty byś to ujął?

BLAKE: Szczęście to jeszcze jedno pojęcie, którego nie rozumiem. Nędzarz jest zadowolony, kiedy znajdzie na ulicy niedopałek, którego bogacz brzydziłby się wziąć do ust. Dla mnie źródłem zadowolenia jest wewnętrzny spokój.

IRVINE: Czy picie pomaga ci osiągnąć ten spokój.

BLAKE: Picie przynosi zapomnienie, a niepamięć daje wewnętrzny spokój.

IRVINE: Nie lubisz swoich wspomnień?

BLAKE: (Brak odpowiedzi)

IRVINE: Możesz mi opowiedzieć o jakimś niedobrym wspomnieniu?

BLAKE: Widziałem ludzi, którzy umarli z zimna na ulicy. Widziałem ludzi, którzy umarli gwałtowną śmiercią, bo gniew doprowadza wielu z nas do szaleństwa. Umysł ludzki jest tak słaby, że każda silniejsza namiętność potrafi obalić wpisane weń prawa moralne.

IRVINE: Interesują mnie bardziej wspomnienia z czasów, kiedy nie żyłeś jeszcze na ulicy.

BLAKE: (Brak odpowiedzi)

IRVINE: Czy myślisz, że można wyleczyć się z tego szaleństwa, o którym wspomniałeś?

BLAKE: Masz na myśli powrót do zdrowia czy zbawienie?

IRVINE: Jedno i drugie. Wierzysz w zbawienie?

BLAKE: Wierzę w piekło. Nie w ogień piekielny i męczarnie, o których mówili inkwizytorzy. Wierzę w lodowate piekło wieczystej rozpacz, gdzie nie ma miłości. Jeśli Bóg nie istnieje, trudno pojąć, w jaki sposób mieszkańcy tego miejsca mieliby dostąpić zbawienia. Tylko boska interwencja może uratować dusze skazane na wieczną samotność w bezdennej otchłani.

IRVINE: Wierzysz w Boga?

BLAKE: Wierzę, że każdy z nas nosi w sobie cząstkę boskości. Jeśli zbawienie jest możliwe, może nastąpić tylko tu i teraz. Pan i ja będziemy sądzeni za to, co zrobiliśmy dla ratowania duszy drugiego człowieka przed wieczną rozpaczą.

IRVINE: Czy ratując duszę drugiego człowieka, zapewniamy sobie wstęp do nieba?

BLAKE: (Brak odpowiedzi)

IRVINE: Czy możemy zasłużyć sobie na zbawienie?

BLAKE: Tylko wówczas, gdy nie zawiedzimy innych.

IRVINE: Kto będzie nas sądził?

BLAKE: Sami dokonujemy sądu. Nasza przyszłość, na ziemi czy po śmierci, rozstrzyga się w teraźniejszości.

IRVINE: Czy zawiodłeś kogoś, Billy?

BLAKE: (Brak odpowiedzi)

IRVINE: Mogę się mylić, ale wydaje mi się, że ty już osądziłeś i potępiłeś siebie. Dlaczego, skoro wierzysz w zbawienie innych?

BLAKE: Nadal szukam prawdy.

IRVINE: To bardzo ponura filozofia, Billy. Czy w twoim życiu nie ma miejsca na odrobinę szczęścia?

BLAKE: Upijam się, gdy tylko mam taką możliwość.

IRVINE: I wtedy czujesz się szczęśliwy?

BLAKE: Oczywiście, ale dla mnie szczęście oznacza brak świadomości. Pan podałby pewnie inną definicję szczęścia.

IRVINE: Czy zechcesz powiedzieć mi o tym, dlaczego jedynym sposobem, w jaki potrafisz radzić sobie ze wspomnieniami, jest ucieczka w ośpienie i zapomnienie.

BLAKE: Ja cierpię teraz, a nie w przeszłości, doktorze.

IRVINE: Dobrze jest cierpieć?

BLAKE: Tak, jeśli cierpienie skłania do współczucia. Tylko miłosierdzie Boga może wydobyć nas z piekła.

IRVINE: Po co w ogóle zstępować do piekła? Czy nie możesz już teraz dostąpić zbawienia?

BLAKE: Nie interesuje mnie moje własne zbawienie.

(Billy odmówił dalszej rozmowy na ten temat. Przez kilka minut rozmawialiśmy jeszcze o sprawach ogólnych, po czym zakończyliśmy sesję).

ROZDZIAŁ 6

Rano na swoim biurku Deacon znalazł dwie kartki świąteczne. Pierwsza była od jego siostry, Emmy.

Hugh widział twoje teksty w „Street”, więc mam nadzieję, że dostaniesz moją kartkę - pisała. - Nie ubywa nam lat, Mike, więc może czas na zawieszenie broni? Jeśli nie chcesz dzwonić do mamy, zadzwoń przynajmniej do mnie. To chyba nie takie trudne, powiedzieć przepraszam i zacząć wszystko od nowa.

Drugą kartkę przysłała jego pierwsza żona, Julia.

Spotkałam przypadkiem Emmę, która powiedziała mi, że pracujesz w „Street”. Twoja matka w zeszłym roku poważnie chorowała, ale Emma obiecała, że o niczym ci nie powie, bo Penelopa nie chce, żebyś wracał do niej z poczucia winy albo z litości. Ponieważ ja niczego jej nie obiecywałam, uznałam, że powinieneś o tym wiedzieć. Jeśli jednak przez ostatnie pięć lat nie zmieniłeś się radykalnie, prawdopodobnie wyrzucisz tę kartkę do kosza i wszystko zostanie po staremu. Byłeś zawsze bardziej uparty niż Penelopa.

Zgodnie z przypuszczeniem Julii, Deacon wyrzucił jej kartkę do kosza. Tę od Emmy zostawił jednak na biurku.

Mimo że Deacon spędził kilka godzin przy komputerze Paula Garrety'ego, próbując dopasować do siebie twarze Billy'ego Blake'a i Jamesa Streetera, jego starania nie przyniosły żadnych efektów. Paul powtarzał, że Deacon nie osiągnie niczego, jeśli nie zdobędzie lepszego zdjęcia Streetera.

- Porównujesz rzeczy nieporównywalne - tłumaczył. - Zdjęcia Billy'ego wykonano *en face*, a Streeter uchwycony jest z półprofilu. Musisz iść jeszcze raz do jego żony i przejrzeć z nią stare albumy.

- To na nic - odparł z rezygnacją Deacon. Odsunął krzesło od biurka i przyglądał się przez chwilę obu twarzom. - To dwaj różni ludzie.

- Powtarzam ci to od trzech dni. Dlaczego nie chcesz się z tym pogodzić?

- Bo nie wierzę w przypadki. Ta historia ma sens pod warunkiem, że Billy to James. Inaczej jest niedorzeczna. - Zaczął wyliczać: - James miał powód, żeby odszukać swoją żonę. Amanda zapłaciła za pogrzeb z poczucia winy, ale jej zachowanie staje się logiczne tylko wtedy, jeśli rzeczywiście skremowała swojego męża. Amanda chce się za wszelką cenę dowiedzieć, kim był Billy, ale po co miałyby to robić, gdyby był to ktoś zupełnie obcy? - Zabębnił palcami po blacie biurka.

- Myślę, że naprawdę nie wiedziała, że był w garażu, i że naprawdę go nie poznała. Ale jestem przekonany, że p o p e w n y m c z a s i e doszła do wniosku, że mężczyzną, który umarł w jej garażu, był James.

Paul wydawał się nieprzekonany.

- Dlaczego nie powiedziała o tym policji?

- Bała się, że uznają, iż celowo zamknęła go w garażu.

- Więc po co wciągała w to ciebie? Po co do tego wraca?

Deacon wzruszył ramionami.

- Przychodzą mi do głowy dwa powody. Pierwszy to zwykła ciekawość. Chce się dowiedzieć, co działo się z Jamesem od czasu gdy zniknął. Drugi to chęć odzyskania wolności. Dopóki nie uznają go oficjalnie za zmarłego, Amanda pozostaje jego żoną.

- Została porzucona. Gdyby chciała, może dostać rozwód nawet jutro.

- Dopóki nie udowodni jego śmierci, James dla wielu osób pozostanie żywy. A to oznacza, że ludzie tacy jak ja będą ją dalej nachodzić i zadawać pytania.

Paul potrząsnął głową.

- To marna argumentacja, Mike. Gdybyś powiedział, że chce dowieść jego śmierci z pobudek finansowych, byłbym skłonny zgodzić się z twoim rozumowaniem. Powiedzmy, że rozmawiał z nią przed śmiercią i zdradził jej, jak zgarnąć jego majątek. Jako wdowa byłaby główną spadkobierczynią. Pomyśl o tym, przyjacielu.

- Moje rozumowanie ma sens tylko wtedy, jeśli zakładamy, że Amanda z nim n i e r o z m a w i a ł a - oświadczył spokojnie Deacon. - Jeśli było inaczej, mamy do czynienia z zupełnie nową sytuacją. Tak czy owak, wygląda na to, że majątek zgarnęła już dawno.

- To i tak bez znaczenia. Bo ten facet - Paul postukał palcem w zdjęcie Billy'ego Blake'a - to nie James Streeter.

- No więc kto to był i co, do cholery, robił w jej garażu?

- Spytaj Barry'ego. To najlepsze, co możesz zrobić.

- Pytałem. Barry nie wie. Nie ma go w swoim archiwum.

Paul Garrety wyglądał na zaskoczonego.

- Tak ci powiedział?

Deacon skinął głową.

- Więc dlaczego mnie zwodzi całym tygodniem, zanim wreszcie przyzna się do porażki?

- Może za tobą nie przepada - odparł Deacon z niezamierzoną ironią.

W przedświąteczny weekend, korzystając z wolnego czasu, Deacon zadzwonił do Kennetha Streetera. Wspomnił o swojej rozmowie z Johnem i zapytał, czy mógłby przyjechać do Bromley, żeby porozmawiać na temat Jamesa. Kenneth wydawał się życzliwszy i bardziej zdeterminowany od swojego syna i umówił się z Deaconem na niedzielę wieczór.

Państwo Streeterowie mieszkali w szeregowym podniszczonym domu przy niezbyt eleganckiej ulicy. Deacona uderzył kontrast między ich domem a domem Amandy. Skąd wzięła na to pieniądze? Nacisnął dzwonek i uśmiechnął się przyjaźnie do starszego mężczyzny, który otworzył drzwi.

- Michael Deacon - przedstawił się, wyciągając dłoń.

Mężczyzna zignorował ten gest, ale wpuścił go do środka.

- Pozwoliłem panu wejść - powiedział szorstko - ale tylko dlatego, że nie chcę, żeby sąsiedzi słyszeli to, co mam panu do powiedzenia.

Zamknął drzwi, ale zatrzymał Deacona w ciemnym hallu.

- Nie lubię, gdy się mnie nabiera, panie Deacon. Dał mi pan do zrozumienia, że John byłby zadowolony z naszego spotkania, tymczasem rozmawiałem z nim dziś rano i usłyszałem coś wręcz przeciwnego. Nie pozwolę, żeby dziennikarze konfliktowali mnie z synem, dlatego obawiam się, że facygował się pan na próżno. - Położył dłoń na klamce. - Życzę miłego wieczoru.

- Pański syn źle mnie zrozumiał. Kiedy powiedziałem, że James był głównym sprawcą swojego nieszczęścia, nie miałem na myśli kradzieży dziesięciu milionów, ale zachowanie jego żony. - Deacon przesunął się nieco do przodu, czując na plecach napierające drzwi. - Krótko mówiąc, jeśli chcę, żeby moja żona wspierała mnie w biedzie, nie romansuję z innymi kobietami, bo w ten sposób tracę jej zaufanie.

- To ona miała romans. Nigdy nie zerwała z de Vriessem - odparł twardo Kenneth Streeter.

- Jest pan tego pewien? Dowody są bardzo kruche. - Deacon zaczął mówić szybciej, kiedy zorientował się, że napór drzwi nieco zelżał. - Powiedziałem pańskiemu synowi, że

zwraca się przeciwko niewłaściwym osobom; nie powiedziałem, że James jest winny kradzieży. Załóżmy, że James rzeczywiście został zamordowany. Jak chcecie dotrzeć do prawdy, jeśli zaprzeczacie, że miał romans z Marianne Filbert? Jeśli przedstawione dowody przekonały policję, powinny przekonać również was.

W oczach mężczyzny pojawiły się łzy.

- Jeśli ustąpimy w tej sprawie, nie zostanie nam nic poza wiarą w uczciwość Jamesa. A jaką wartość ma wiara ojca w uczciwość jego syna? Kto mi uwierzy?

- Nikt - odparł brutalnie Deacon. - Będzie pan musiał przedstawić dowody.

- W tym kraju trzeba udowodnić winę, a nie niewinność - powiedział stanowczo mężczyzna. - Walczyłem o to prawo pół wieku temu i uważam za oburzające, że ogłoszono wyrok bez zebrania dostatecznych dowodów.

- Zgadzam się z panem, ale jak dotąd obrona Jamesa była prowadzona fatalnie. Nie można opierać swojej kampanii na kłamstwie. Poza tym zraziliście do siebie osobę, która mogła najbardziej wam pomóc.

- Ma pan na myśli Amandę?

Deacon przytaknął.

- Uważamy, że jest współwinna śmierci Jamesa.

- Nie macie nawet dowodów, że James został zamordowany.

- Nigdy się z nami nie skontaktował. To wystarczający dowód.

Deacon wyciągnął zdjęcie Billy'ego Blake'a z wewnętrznej kieszeni płaszcza.

- Czy ten człowiek przypomina panu Jamesa?

Na twarzy mężczyzny pojawił się wyraz zaskoczenia.

- Ależ skąd! Jest za stary.

- Pół roku temu, gdy zrobiono to zdjęcie, miał tylko czterdzieści parę lat.

Streeter otworzył szeroko drzwi, żeby przyjrzeć się zdjęciu w dziennym świetle.

- To nie jest mój syn - powiedział. - Skąd, na Boga, przyszło to panu do głowy?

- Był ulicznym kłozardem, używał fałszywego nazwiska i zmarł w garażu pana synowej. Nie rozmawiał z nią przed śmiercią, ale zapłaciła za jego pogrzeb, a teraz próbuje się dowiedzieć, kim był naprawdę. Być może obawia się, że był to James. Wtedy jej zainteresowanie staje się zrozumiałe.

Zapadła długa cisza, podczas której Streeter przyglądał się uważnie twarzy Billy'ego Blake'a.

- To niemożliwe - powiedział wreszcie, ale w jego głosie nie było już wcześniejszej pewności. - Jak mógłby się tak postarzeć w ciągu pięciu lat? I dlaczego miałby żyć na ulicy,

skoro zawsze mógł tu wrócić?

- Gdyby się tu zjawił, zostałby aresztowany. Nie ukryłby pan jego obecności przed sąsiadami.

- Czy chce mi pan powiedzieć, że to jest James?

- Niezupełnie - odparł Deacon. - Twierdzą tylko, że pańska synowa nie mogła brać udziału w rzekomym morderstwie swojego męża, jeśli w pięć lat później przyszło jej do głowy, że mężczyzną, którego zwłoki odkryła w swoim garażu, może być James.

- Więc co się z nim stało? - zapytał Streeter zdesperowanym głosem. - James nie był złodziejem, panie Deacon. Wychowaliśmy go na uczciwego człowieka. On po prostu nie pozwoliłby sobie na coś takiego. Widzi pan, Jamesowi zależało nie tylko na samym majątku, ale także na szacunku, jaki daje jego posiadanie. Dlatego nigdy nie posunąłby się do kradzieży i nie ryzykowałby więzienia. - Zmarszczył brwi, jakby nagle coś sobie przypomniał. - Na krótko przed zniknięciem syna, James i Amanda zainwestowali wszystkie pieniądze w starą szkołę w Teddington, w której chcieli urządzić luksusowe mieszkania na wynajem. Oboje byli tym bardzo przejęci. Gdyby wszystko się powiodło, liczyli na spore zyski. Ale dlaczego ktoś, kto trzyma w garści dziesięć milionów, miałby się ekscytować marnym pół miliona?

Ponieważ te pół miliona daje możliwość wyprania reszty pieniędzy, pomyślał cynicznie Deacon.

- Co stało się z ich planami?

- Inwestycja została ukończona w 1992 roku przez firmę budowlaną Lowndes, nie wiemy jednak, czy Amanda przeprowadziła wszystko sama, czy też Lowndes odkupił od niej nieruchomość. Pytaliśmy o to wielokrotnie w listach, ale nigdy nie otrzymaliśmy odpowiedzi. Tak czy inaczej, chcielibyśmy wiedzieć, skąd w 1991 roku wzięła pieniądze na kupno swojego obecnego domu. Jeśli sprzedała szkołę, nie mogła otrzymać więcej niż czterysta tysięcy funtów, które zainwestowali wcześniej z Jamesem. Najprawdopodobniej jednak było tego znacznie mniej, biorąc pod uwagę, że przez dziewięć miesięcy musiała spłacać odsetki od kredytu. Na pewno nie straczyłoby na kupno kosztownego domu nad Tamizą. Jeśli nie sprzedała szkoły i sama doprowadziła inwestycję do końca, to w roku 1991 nie miała ani grosza. - Uśmiechnął się gorzko. - Rozumie pan teraz, dlaczego jesteśmy wobec niej tacy podejrzliwi.

- Może zainwestowali jeszcze gdzieś i nie powiedzieli panu o tym.

Ale Kenneth Streeter stanowczo temu zaprzeczył. Czterysta tysięcy funtów to i tak ogromna kwota, jak na młode małżeństwo, które - podkreślił z naciskiem - zarobiło je

uczciwie. James sprzedał obligacje i papiery wartościowe, żeby zebrać potrzebną sumę. Słyszając to, Deacon uśmiechnął się. To wyjaśniałoby, dlaczego Amanda nie chciała rozwodu. Jeśli inwestowali wspólnie, mogła rozporządzać całością majątku, o ile nie rozwiązała swojego związku z Jamesem przed upływem siedmiu lat od jego zniknięcia, po których sąd uzna go za zmarłego. A jeśli James sam zainwestował jakieś pieniądze (zarobione mniej uczciwie?), musiała również odczekać jeszcze dwa lata, żeby móc dziedziczyć jako wdowa.

O ileż prostsze byłoby wszystko, gdyby pół roku temu to James zmarł w jej garażu...

- Czy mógłby mi pan pożyczyć jakieś zdjęcie Jamesa? Najlepiej *en face*. Odeślę je panu we wtorek.

... chyba, że nie dałoby się tego udowodnić...

- Po zniknięciu Jamesa policja na pewno sprawdzała jego konta bankowe - powiedział Deacon, chowając do kieszeni zdjęcie, które wręczył mu Kenneth Streeter. - Czy znaleziono coś podejrzanego?

- Oczywiście, że nie. Wszystko było w porządku.

- Czy informował pan policję o swoich podejrzeniach dotyczących majątku Amandy?

Na twarzy mężczyzny pojawił się wyraz rezygnacji.

- Tak często, aż w końcu otrzymałem oficjalne upomnienia za nieuzasadnione nękanie policji. Naprawdę nie tak łatwo udowodnić czyjaś niewinność, panie Deacon.

Deacon zadzwonił do starego znajomego, emerytowanego dziennikarza, który przez większą część życia zajmował się sprawami gospodarczymi. Umówił się z nim na wieczór w jednym z pubów w Camden Town.

- Nie wolno mi wypić nawet kropli alkoholu - mruknął do słuchawki Alan Parker. - Dlatego nie zapraszam cię do domu. Kompletna posucha.

- Myślę, że kawa mi nie zaszkodzi - odparł Deacon.

- Ale m n i e zaszkodzi. Spotkajmy się „Pod Trzema Gołębiami” o ósmej. Jeśli przyjdiesz pierwszy, zamów mi podwójną whisky.

Deacon był wstrząśnięty wyglądem Alana, którego nie widział od kilku lat. Mężczyzna był niewiarygodnie chudy, a jego skóra miała chorobliwie żółty odcień.

- Może nie powinienem tego robić? - zapytał Deacon, płacąc za drinki.

- Nie mów mi tylko, że wyglądam jak upiór, Mike.

Rzeczywiście tak właśnie wyglądał, ale Deacon uśmiechnął się tylko i podał mu whisky.

- Co u Maggie? - zapytał, mając na myśli żonę Alana.

- Urwałaby mi głowę, gdyby wiedziała, gdzie teraz jestem i co robię. - Podniósł do ust szklankę i pociągnął z niej spory łyk. - Moja stara nie chce zrozumieć, że sam wiem, co jest dla mnie dobre, lepiej od tych nadętych konowałów.

- Więc o co chodzi? Dlaczego kazali ci skończyć z piciem?

Alan zachichotał.

- To najnowsza forma tyranii, Mike. Umieranie jest w złym tonie, dlatego musisz żyć za wszelką cenę. Nie wolno mi palić, pić ani jeść niczego, co ma jakiś smak, bo to może mnie zabić. Najwidoczniej można skonać z nudów i jest to politycznie poprawne, ale absolutnie nie wolno umrzeć z powodu czegoś przyjemnego.

- Nie wykituj mi tu tylko, na miłość boską, bo wtedy Maggie urwie moją głowę. Nawiasem mówiąc, gdzie teraz jesteś? W kościele?

- Maggie doskonale wie, gdzie jestem, ale to tyran o miękkim sercu. Zrobi mi piekło, kiedy wrócę, lecz w głębi duszy będzie zadowolona, że przez pół godziny czułem się szczęśliwy. No więc? O czym chciałeś ze mną pomówić?

- O człowieku nazwiskiem Nigel de Vriess. Wiem tylko, że mieszka w wiejskiej posiadłości w Hampshire, którą kupił w 1991 roku, i że był w zarządzie banku Lowensteina. Słyszałeś coś o nim? Interesuje mnie, skąd wziął pieniądze na kupno posiadłości.

- To proste. Nie musiał jej kupować, bo już do niego należała. O ile dobrze pamiętam, jego żona wzięła dom w Hampstead, a on zostawił sobie Halcombe House. Nie wiem tylko, czy było to przy pierwszym, czy drugim rozwodzie. Chyba przy drugim. Poszło gładko, bo byli bezdzietni. De Vriess miał dzieci z pierwszego małżeństwa.

- Słyszałem, że kupił tę posiadłość.

- Tak. Kiedy zarobił pierwszy milion. Ale to było ponad dwadzieścia lat temu. W latach osiemdziesiątych omal nie zbankrutował. Zainwestował w akcje linii lotniczych, które niespodziewanie poszły w dół. Zdołał jednak zachować nieruchomości. Zahaczył się u Lowensteina tylko po to, żeby przeczekać dekonstrukcję. Płacili mu cholernie duże pieniądze, ale to właśnie on rozkręcił ich interesy na Dalekim Wschodzie i wyprowadził firmę na szerokie wody. Odwalił kawał dobrej roboty. Swoją dzisiejszą pozycję zawdzięczają w dużej mierze de Vriessowi.

- A co z facetem nazwiskiem James Streeter, który gwizdnał im dziesięć milionów?

- A co ma być? Dziesięć milionów to dzisiaj pestka. Żeby rozłożyć Baring Bank potrzeba było o s m i u s e t milionów. - Alan pociągnął kolejny łyk whisky. - Lowenstein popełnił błąd, zmuszając faceta do ucieczki i dopuszczając do tego, że sprawa wyszła na jaw. Odkuli się w ciągu jednej sesji giełdowej. Znacznie więcej kosztowała ich utrata

wiarygodności, związana z całym tym zamieszaniem.

Deacon wyciągnął z kieszeni paczkę papierosów i poczęstował Alana, unosząc brwi.

- Nie powiem Maggie, jeśli sam się nie wygadasz.

- Porządny z siebie chłop, Mike. - Alan z namaszczeniem włożył do ust papierosa. -

Rzuciłem palenie tylko dlatego, że ta stara kłępa bez przerwy płakała. Wyobrażasz to sobie? Twoje dni są policzone, a żona mówi, że nie będzie patrzeć spokojnie, jak wpędzasz się do grobu przez papierosy. A zawsze powtarzała, że to ja jestem największym egoistą na świecie.

Deacon roześmiał się, chociaż nie przyszło mu to łatwo.

- Ma rację - powiedział. - Nigdy nie zapomnę, jak zaprosiłeś mnie na obiad, a potem kazałeś mi zapłacić rachunek, bo rzekomo zostawiłeś portfel w domu.

- Bo zostawiłem.

- Bzdura. Widziałem, jak wypychał ci kieszeń.

- Byłeś wtedy bardzo młody i naiwny, Mike.

- A ty, stary draniu, skwapliwie to wykorzystałeś.

- Dobry był z ciebie kumpel.

- Co to znaczy był? Wciąż jestem dobrym kumplem. A kto niby zapłacił za whisky? -

Deacon zauważył, że twarz Alana posepnieje, i szybko zmienił temat. - Co porabia teraz de Vriess?

- Kupił firmę komputerową pod nazwą „Softworks”, przemianował ją na „de Vriess Softworks”, w skrócie DVS. Zwolnił połowę pracowników i w ciągu dwóch lat postawił interes na nogi, wypuszczając na rynek tańszą wersję Windowsów dla prywatnych użytkowników. De Vriess to kawał drania, ale ma dryg do robienia pieniędzy. Zaczynał w wieku trzynastu lat od roznoszenia gazet, a potem konsekwentnie piał się w górę.

- Mówiłeś, że w latach osiemdziesiątych omal nie zbankrutował - przypomniał Deacon.

- Wypadek przy pracy. Stąd ta posiadłość u Lowensteina. Teraz znowu wrócił do gry. Akcje poszły w górę, a DVS to dzisiaj mała żyła złota.

- W Softworks pracowała kiedyś pewna kobieta. Marianne Filbert. Mówi ci coś to nazwisko?

Alan potrząsnął przecząco głową.

- Jaki to ma związek z de Vriessem?

Deacon przedstawił mu pokrótce spiskową teorię Johna Streetera.

- Obawiam się, że to wszystko fantazje, ale z drugiej strony ciekawe, że de Vriess kupił akurat tę firmę, w której James Streeter znalazł swoją specjalistkę od komputerów.

- Znając de Vriessa, można to było przewidzieć. Myślę, że bank wziął Softworks pod lupę, żeby przekonać się, czy skradzione pieniądze nie trafiły przypadkiem na ich konta, a wtedy de Vriess zwęszył swoją szansę. To szczwany lis.

- Mówisz, jakby ci imponował - zauważył Deacon.

- Bo tak jest. Facet ma jaja. To prawda, nie przepadam za nim - mało kto go lubi - ale takie drobnostki na pewno nie spędzają mu snu z powiek. Kobiety go kochają, a tylko na tym naprawdę mu zależy. Jurny z niego byczek. - Alan znowu zachichotał. - Bogaci goście często są tacy. W odróżnieniu od nas stać ich na to, żeby płacić za swoje błędy.

- Zawsze byłeś cynicznym draniem - powiedział z udaną afektacją Deacon.

- Umieram na raka wątroby, Mike, ale przynajmniej mój cyniczny charakter ma się dobrze.

- Ile ci dają?

- Pół roku.

- Boisz się?

- Jestem przerażony, ale powtarzam sobie ostatnie słowa Heinego: „Bóg mi wybaczy, to Jego fach”.

*

Barry trzymał w dłoni zdjęcie Jamesa Streetera i studiował je uważnie w świetle lampy.

- Lepsze ujęcie - przyznał bez entuzjazmu. - Będzie ci łatwiej.

Deacon przysiadł niedbale na brzegu biurka i wisząc nad głową Barry'ego w sposób, którego tamten nie znosił, wetknął do ust papierosa.

- To ty jesteś ekspertem - powiedział. - Czy to Billy?

- Czy mógłbyś tu nie palić? - wymamrotał Barry i poirytowany wskazał na swoją tabliczkę: *Uszanuj moje zdrowie - nie pal.* - Mam astmę i dym mi szkodzi.

- Dlaczego nie powiedziałeś mi tego wcześniej?

- Wydawało mi się, że umiesz czytać. - Barry przesunął tekturowy segregator w kierunku Deacona, starając się zepchnąć go z biurka, ale Deacon tylko się uśmiechnął.

- Zapach dymu z papierosa jest sto razy przyjemniejszy od zapachu twoich skarpetek. Kiedy ostatni raz kupiłeś sobie nowe buty?

- To nie twoja sprawa.

- Nosisz zawsze czarne półbuty, a jeśli ja to zauważyłem, to zaręczam ci, że cała cholerna redakcja też już to zauważyła. Zaczynam podejrzewać, że masz tylko jedną parę, co

tłumaczyłoby twoją astmę.

- Jesteś strasznie grubiański.

Deacon uśmiechnął się szerzej.

- Pohulało się wczoraj, co? Stąd ten podły nastrój.

- Tak - skłamał Barry. - Byłem na drinku z kumplami.

- W porządku. Jeżeli masz kaca, przyniosę ci kodeinę, a jeśli nie, to weź się w garść i, na miłość boską, powiedz mi, co myślisz o tym zdjęciu. Czy ten facet przypomina ci Billy'ego?

- Nie.

- Są dosyć podobni.

- Mają inne usta.

- Za dziesięć milionów można sobie zrobić operację plastyczną.

Barry zdjął okulary i przetarł oczy.

- Identyfikacja nie polega na porównywaniu dwóch fotografii i tłumaczeniu ewentualnych różnic ingerencją chirurga. To naprawdę trochę bardziej skomplikowane, Mike.

- Zamieniam się w słuch.

- Wielu ludzi jest do siebie podobnych, zwłaszcza na zdjęciach, dlatego musisz brać pod uwagę również to, co o nich wiesz. Jeśli jeden facet mieszka w Ameryce, a drugi we Francji, wynajdywanie rzekomych podobieństw mija się z celem.

- O to właśnie chodzi. James zniknął w 1990 roku, a Billy po raz pierwszy trafił na komisariat w 1991 ze zrogowaciałymi od poparzeń palcami, z których nie można było zdjąć odcisków. Możliwe, że to jedna i ta sama osoba.

- Możliwe, ale bardzo mało prawdopodobne. - Barry raz jeszcze popatrzył na fotografię. - Co stało się z resztą pieniędzy?

- Nie rozumiem.

- Dlaczego w kilka miesięcy po operacji plastycznej znalazł się na ulicy bez grosza przy duszy? Co stało się z resztą pieniędzy?

- Dowiem się tego. - Deacon domyślił się, że nieokreślony grymas, który pojawił się na swojej twarzy Barry'ego, miał wyrażać krytyczne niedowierzenie. - Dobrze już, dobrze. Przyznaję, że to mało prawdopodobne. - Wstał. - Obiecałem, że jeszcze dzisiaj odeślę to zdjęcie. Możesz mi zrobić odbitkę?

- Właściwie jestem teraz zajęty. - Barry, jakby na potwierdzenie swoich słów, zaczął przekładać na biurku jakieś papiery.

Deacon skinął głową.

- Nie ma sprawy. Poproszę Lisę.

Po wyjściu Deacona Barry wyciągnął z górnej szuflady biurka dużą fotografię Jamesa Streetera. Gdyby Deacon zobaczył to ujęcie - pomyślał - nie miałby wątpliwości. Podobieństwo do Billy'ego Blake'a było uderzające.

Deacon, wiedziony czystą ciekawością, zadzwonił do firmy budowlanej Lowndes i poprosił o rozmowę z kimś, kto mógłby udzielić mu informacji na temat budynku w Teddington, który adaptowano na cele mieszkalne w 1992 roku. Podano mu dokładny adres, ale nie było nikogo, kto mógłby powiedzieć coś bliższego na temat przebiegu samej inwestycji.

- Prawdę mówiąc - w głosie sekretarki pojawiło się pewne podniecenie - wydaje mi się, że zajmował się tym pan Merton. Zwolniono go dwa lata temu.

- Dlaczego?

- Nie jestem pewna. Podobno brał kokainę.

- Czy mogę się z nim jakoś skontaktować?

- Wyjechał z kraju. Nie sądzę, abyśmy mieli jego adres.

Deacon zapisał nazwisko Mertona, zamierzając dowiedzieć się po świętach czegoś więcej na jego temat.

Był dwudziesty pierwszy grudnia. Deacon posuwał się wolno w samochodowym korku i czuł, jak myśl o zbliżającym się obowiązkowym przyjęciu w redakcji z każdą chwilą coraz bardziej psuje mu humor. Jeden Bóg wiedział, że szczerze nienawidził świąt! Oto najlepszy dowód, jak jałowe było jego życie.

Spędził popołudnie, rozmawiając z prostytutką, która twierdziła, że dzięki fałszywej przepustce, pozwalającej jej wchodzić na teren parlamentu, gościła regularnie w prywatnych pokojach posłów, którym świadczyła usługi seksualne. Dobry Boże! I to miała być sensacja? Deacon pogardzał zamiłowaniem swoich rodaków do grzebania się w cudzych brudach, bo mówiło ono więcej o zahamowaniach seksualnych przeciętnego Brytyjczyka niż o mężczyznach i kobietach, których grzeszki wałkowano w gazetach. Tak czy inaczej, był pewien, że kobieta kłamie, ponieważ nie znała dostatecznie dobrze wewnętrznego rozkładu budynków. Był również pewien, że Pearce, który trzymał się zasady: „jeśli fakty nie pasują do historii, tym gorzej dla faktów”, każe mu sto razy sprawdzać te żalosne plotki w nadziei, że tkwi w nich ziarno prawdy. Jezu Chryste? Czy tylko o to w tym wszystkim chodzi?

Deacon obwiniał o swoją depresję święta. Bał się nawet pomyśleć, że mogły to być objawy dziedzicznej choroby. Wszystko, co najgorsze w jego życiu, zdarzało się zawsze w

grudniu. To nie mógł być przypadek. Jego ojciec zmarł w grudniu, obie żony zostawiły go w grudniu, w grudniu zwolnili go z „Independent”. I dlaczego? Dlatego, że w czasie świąt nie umiał powstrzymać się od alkoholu i podczas kłótni o artykuł uderzył redaktora działu. (Gdyby się nie hamował, już dawno uderzyłby Pearce'a z tego samego powodu). W lecie potrafił spojrzeć na to na tyle obiektywnie, by przyznać, że wpadał w błędne koło - sprawy szły źle w okresie świąt, ponieważ na okrągło się upijał, a upijał się dlatego, że sprawy szły źle - ale zawsze brakowało mu chłodnego spojrzenia wtedy, gdy najbardziej tego potrzebował.

Skreślił z zatłoczonej Whitehall w stronę pałacu Buckingham. Chłodny, wschodni wiatr, który wiał przez ostatnich kilka dni, zamienił się w deszcz ze śniegiem, ale po drugiej stronie szyby przecieranej miarowym ruchem wycieraczek Londyn szykował się w najlepsze do świętowania. Wszystko przypominało mu o nadchodzących świątach: bajecznie oświetlona choinka, która co roku przyćmiewała admirała Nelsona na Trafalgar Square, kolorowe lampki, którymi ozdobiono sklepy i biura, tłumy, które przewalały się ulicami. Deacon obserwował to wszystko posępnym wzrokiem, rozmyślając o tym, co miało nadejść nieuchronnie wraz z przerwą świąteczną.

Oczekiwanie na ponowne otwarcie redakcji.

Puste mieszkanie.

Próżnia.

Pearce uznał, że historia prostytutki „trzyma się kupy” i kazał Deaconowi „pogrzebać trochę w tym szambie”.

Jeśli na przyjęciu w biurze ktoś dobrze się bawi, to na pewno dzieje się to w pokoju obok. Deacon, który czuł się jak nieproszony uczestnik jakiejś nie kończącej się stypy, bez większego entuzjazmu zaczął przystawiać się do Lisy i został srogo skarcony za swoje nieporadne awanse.

- Opamiętaj się, Mike - powiedziała Lisa z przekąsem. - Mógłbyś być moim ojcem.

Deacon opuścił przyjęcie z rodzajem ponurej satysfakcji, zamierzając naprawdę porządnie się upić.

ROZDZIAŁ 7

Dochodziła północ. Amanda Powell zignorowałaby odgłos dzwonka u drzwi, gdyby tylko ten, kto ją obudził, był uprzejmy zdjąć palec z przycisku. Gdy po pół minucie dzwonienie nie ustało, zeszła jednak na dół i wyjrzała przez wizjer. Kiedy zobaczyła, kto stoi na progu, spojrzała z namysłem na schody, jakby zastanawiała się, czy nie lepiej wrócić z powrotem do sypialni, w końcu jednak uchyliła drzwi.

- O co chodzi, panie Deacon?

Mężczyzna zdjął rękę z dzwonka i oparł się całym ciężarem ciała o drzwi, otwierając je szeroko, po czym, tracąc równowagę, wtoczył się do środka i runął na delikatne wyplatane krzeselko stojące w hallu. Wykonał nieokreślony ruch ręką w kierunku ulicy.

- Przechodziłem obok - wyartykułował z wyraźnym trudem - i pomyślałem, że wpadnę. Sądziłem, że może czuć się pani samotna bez pana Streetera.

Przyglądała mu się przez chwilę w milczeniu, a następnie zamknęła drzwi.

- Krzesło, na którym pan siedzi, to wyjątkowo cenny antyk - powiedziała spokojnym głosem. - Wolałabym, żeby przeniósł się pan do salonu. Mam tam solidniejsze meble. I zamówię panu taksówkę.

Deacon wodził za nią oczami z głupkowskim wyrazem twarzy.

- Jest pani piękną kobietą, pani Streeter. Czy James kiedyś to pani mówił?

- Powtarzał to bez przerwy. Dzięki temu czuł się zwolniony z konieczności wymyślenia czegoś bardziej oryginalnego. - Wzięła go pod ramię i spróbowała podnieść.

- Postąpił naprawdę nieładnie - ciągnął Deacon, nie zrażony jej sarkazmem. - Zastanawia się pani pewnie: „dlaczego mi to zrobił?”.

Z jego ust czuć było mocny zapach whisky.

- Tak - odparła, odwracając głowę. - Czasami.

Deacon spojrzał na nią szklistym wzrokiem.

- Nie kochał cię, prawda? - Położył dłoń na jej dłoni w miejscu, w którym stykała się z jego ramieniem i pogłaskał ją niezdarnie. - Biedna Amando. Wiem, jak to jest. Człowiek czuje się taki samotny, kiedy nikt go nie kocha.

Zdecydowanym ruchem zgięła palce drugiej dłoni i wbiła ostre paznokcie w jego podbródek.

- Czy zechce pan wstać, panie Deacon, zanim połamię mi pan krzesło, czy mam podrapać pana do krwi?

- To tylko pieniądze.

- Ciężko zarobione.

- John i Kenneth twierdzą co innego. - Deacon rzucił jej złośliwe spojrzenie. - Mówią, że to kradzione pieniądze i że wspólnie z Nigelem zamordowała pani biednego Jamesa.

Wbiła mocniej paznokcie, zmuszając go, żeby spojrzał jej w oczy.

- I co pan im odpowiedział, panie Deacon?

- Odpowiedziałem, że nie wzięłaby pani Billy'ego za Jamesa, gdyby James już nie żył.

Jej twarz przybrała na powrót swój zwykły niewzruszony wyraz.

- Jest pan mądrym człowiekiem.

- Zastanawiałem się nad tym. W Londynie jest pięć milionów kobiet, ale Billy wybrał właśnie ciebie. - Deacon pogroził jej palcem. - Dlaczego to zrobił, Amando, skoro cię nie znał? Właśnie to chciałbym wiedzieć.

Jeszcze raz, bez ostrzeżenia, wbiła mu paznokcie w podbródek. Deacon bezskutecznie próbował uchwycić spojrzenie jej chłodnych błękitnych oczu.

- Przypominasz mi moją matkę. Też jest piękna. - Zaczął się niezdarnie podnosić, bo jej palce zadawały ból. - Ale nie wtedy, gdy się złości. Wtedy jest okropna.

- Ja też. - Amanda zaciągnęła go do salonu i bezceremonialnie pchnęła na sofę. - Jak pan się tu dostał?

- Na nogach. - Deacon zwinął się na sofie i wsunął ramię pod głowę.

- Dlaczego nie poszedł pan do domu?

- Chciałem przyjść do pani.

- Nie może pan tu zostać. Zadzwoń po taksówkę. - Sięgnęła po słuchawkę. - Gdzie pan mieszka?

- Nigdzie nie mieszkam - wymamrotał w kremowe obicie sofy. - Wegetuję.

- Nie może pan wegetować w moim domu.

Pomyliła się, bo Deacon stracił właśnie przytomność i żadna ludzka siła nie była w stanie go obudzić.

Otworzył oczy i w szarym świetle poranka rozejrzał się wokół. Był cały przemarznięty, ale zbyt zdrętwiały, żeby jakoś temu zaradzić. Bezruch dawał ukojenie, więc wszelkie działania było niewskazane. Zegar na szklanej półce wskazywał wpół do ósmej. Miał wrażenie, że poznaje pokój, ale nie mógł sobie przypomnieć, jak się w nim znalazł ani

kto jest jego właścicielem. Wydawało mu się, że słyszy jakieś głosy (w głowie?), ale otępienie wzięło górę nad ciekawością i po chwili zapadł z powrotem w twardy sen.

Śniło mu się, że tonie we wzburzonym morzu.

- Obudź się! OBUDŹ SIĘ, DO CHOLERY!

Czyjaś dłoń uderzyła go siarczyście w policzek i Deacon otworzył oczy. Leżał na podłodze zwinięty w kłębek, z nogami pod brodą. Poczul obrzydliwy fetor zgnilizny. Kłuło go w gardle.

- Ojcobójco - wymamrotał - oto się odnawia niewysłowiona męka.

- Myślałam, że pan nie żyje - powiedziała Amanda.

Przez krótką chwilę, zanim całkowicie nie oprzytomniał, Deacon zastanawiał się, kim jest stojąca nad nim kobieta.

- Jestem mokry - odparł wreszcie, dotykając przemoczonego kołnierzyka koszuli.

- Oblałam pana wodą. - Deacon zauważył pusty kubek, który trzymała w ręce. - Szarpałam pana przez dziesięć minut, ale nawet pan nie drgnął. - Była bardzo blada. - Myślałam, że pan nie żyje - powtórzyła.

- Martwi ludzie nie są straszni - powiedział dziwnym tonem. - Są tylko kłopotliwi.

Usiadł z wyraźnym trudem i skrył twarz w dłoniach.

- Która godzina?

- Dziewiąta.

Poczul, jak żołądek podchodzi mu do gardła.

- Gdzie jest ubikacja?

- Na prawo, na końcu korytarza. - Odsunęła się, żeby zrobić mu przejście. - Jeśli ma pan zamiar wymiotować, proszę, żeby łaskawie wyczyścił pan po sobie muszlę. Nie mam zamiaru sprzątać ubikacji po nieproszonych gościach.

Deacon posuwał się chwiejnym krokiem wzdłuż ściany korytarza. Jezu Chryste, co ja tu robię?

Kiedy wrócił, okna w pokoju były otwarte, a w powietrzu unosił się zapach odświeżacza. Wyglądał nieco lepiej: wytarł twarz i uporządkował ubranie, ale wciąż miał dreszcze, a ziemisty kolor skóry świadczył o tym, że męczyły go mdłości.

- Zupełnie nie wiem, co powiedzieć - odezwał się, stojąc w drzwiach. - Mogę tylko przeprosić.

- Za co? - Siedziała w tym samym fotelu co przedtem, ale tym razem Deacon poczul

się lekko oszołomiony nasyceniem i jaskrawością kolorów. Wydawało mu się, że jej włosy i skóra opalizują, a materiał jasnożółtej sukienki załamuje się wzdłuż łydek i opada niczym cytrynowa kaskada na dywan barwy jesiennych liści.

Za dużo kolorów. Poczul ból w oczach i końcami palców potarł powieki.

- Wprowadziłem panią w zakłopotanie.

- Jeśli ktoś z nas czuje się zakłopotany, to z pewnością nie ja. - Wyrozumiała - pomyślała. A może okrutna? Potrzebował odrobiny czułości.

- W takim razie - powiedział słabym głosem - pójdę już sobie.

- Może przynajmniej napije się pan przed wyjściem kawy?

Marzył o tym, żeby czym prędzej uciec. Pokój wypełnił się znowu wonią róż i Deacon nie chciał, żeby jego nieświeży oddech i zapach przeпоconego ubrania zepsuły osiągnięty efekt. O czym rozmawiali wczoraj w nocy?

- Szczerze mówiąc, wolałbym już iść.

- Domyślam się - odparła. - Ale niech pan wykaże chociaż minimum uprzejmości i wypije kawę, którą panu przygotowałam. Będzie to najgrzeczniejsza rzecz, jaką zrobi pan od chwili przekroczenia progu mojego domu.

Wszedł do pokoju, ale nie usiadł.

- Przepraszam. - Sięgnął po filiżankę.

- Proszę - wskazała dłonią sofę - niech pan usiądzie. A może woli pan krzeselko z hallu, którego nie udało się panu wczoraj połamać?

Czy był agresywny? Uśmiechnął się niepewnie.

- Przepraszam.

- Wolałabym, żeby pan już przestał to powtarzać.

- A co mam powiedzieć? Nie wiem, co tutaj robię ani skąd się tu wziąłem.

- Sądzi pan, że ja wiem?

Pokręcił przecząco głową, na tyle delikatnie, żeby nie sprowokować nudności.

- Musi się to pani wydawać dziwne - wymamrotał słabym głosem.

- Ależ nie - odparła z lodowatą ironią. - Dlaczego pan tak sądzi? Przyzwyczyłam się ostatnio do tego, że pijani mężczyźni leżą u mnie w domu pokotem. Billy wybrał garaż, pan wybrał salon. Co za różnica? Oczywiście jestem panu wdzięczna, że był pan uprzejmy nie umrzeć pod moim dachem. - Zmrużyła oczy, ale nie potrafił odgadnąć, czy była to oznaka gniewu czy zdziwienia. - Czy pańskim zdaniem jest we mnie lub w moim domu coś szczególnego, co prowokuje do takich zachowań, panie Deacon? I niech pan wreszcie siada, na miłość boską! - warknęła w nagłym odruchu zniecierpliwienia. - Stoi tu pan jak

potępieniec.

Opadł ciężko na oparcie sofy i starał się poskładać w jakąś całość strzępki wspomnień z poprzedniej nocy. Wysiłek okazał się jednak zbyt wielki i jego wargi ułożyły się w bezradny uśmiech:

- Obawiam się, że muszę znowu iść do ubikacji.

Wyciągnęła zza pleców świeży ręcznik i podała Deaconowi.

- Może lepiej byłoby to przetrzymać, ale jeśli to niemożliwe, zna pan drogę. - Siedziała przez kilka chwil w milczeniu, dopóki Deacon nie opanował mdłości. - Dlaczego mówił pan dziś rano o ojcobójstwie i o tym, że znowu zaczyna się niewysłowiona męka? To dosyć dziwny komentarz do całej sytuacji.

Popatrzył na nią pustym wzrokiem, ocierając pot z czoła.

- Nie wiem. - Dostrzegł na jej twarzy wyraz irytacji. - NIE WIEM! - podniósł głos w przyływie złości. - Byłem skołowany. Nie wiedziałem, gdzie jestem. Czy w tym domu jest to dozwolone? A może wszyscy muszą tu przez cały czas nad sobą panować? - Pochylił głowę i przycisnął ręcznik do twarzy. - Przepraszam - odezwał się po chwili. - Nie chciałem być niegrzeczny. Jestem trochę oszołomiony. Nie pamiętam niczego z ostatniej nocy.

- Zjawił się pan o północy.

- Byłem sam?

- Tak.

- Dlaczego mnie pani wpuściła?

- Bo inaczej nie przestałby pan dzwonić.

Jezu Chryste! O co mi chodziło? - dalej nic nie pamiętał.

- Co jeszcze mówiłem?

- Że przypominam panu matkę.

Opuścił ręcznik na kolana i zaczął starannie go składać.

- Czy właśnie dlatego tu przyszedłem?

- Nie.

- A więc dlaczego?

- Nie wiem. Nie podał pan powodu.

Na jego napiętej, spoconej twarzy pojawił się wyraz tak wielkiej ulgi, że kobieta nie mogła powstrzymać uśmiechu. - Zamiast tego nazywał mnie pan panią Streeter, mówił pan o moim mężu, moim szwagrze i moim teściu i insynuował pan, że ten dom i wszystko, co się w nim znajduje, pochodzi z kradzieży. Niech to diabli!

- Przestraszyłem panią?

- Nie - odparła spokojnie. - Już dawno przestałam się bać czegokolwiek.

Był ciekaw dlaczego. Jego - życie wciąż przerażało.

- Pewna osoba w redakcji zapamiętała pani twarz z okresu, kiedy po zniknięciu Jamesa przesłuchiwała panią policja - powiedział, próbując się wytłumaczyć. - Zainteresowało mnie to na tyle, że postanowiłem dowiedzieć się czegoś więcej.

Kobieta milczała, ale jej górna warga zaczęła znów lekko drżeć.

- Postanowiłem oczywiście porozmawiać przede wszystkim z Johnem Streeterem, więc zatelefonowałem do niego i wysłuchałem jego wersji. John odnosi się do pani z pewnością... by tak rzec... daleko posuniętą rezerwą.

- Nie wiem, czy jest to najszcześniejsze określenie w przypadku kogoś, kto nazywa swoją szwagierkę dziwką, morderczynią i złodziejką, ale widocznie zależy panu bardziej od niego na uniknięciu procesu.

Deacon znów przycisnął ręcznik do ust. Musiał przyznać, że nie miał siły na tę rozmowę. Czuł się jak pacjent oszołomiony narkozą, który, leżąc na stole operacyjnym, czeka na pierwsze cięcie skalpela.

- Gdyby oddała pani sprawę do sądu, wygrałaby pani ogromne odszkodowanie - oznajmił. - John nie ma żadnych dowodów na poparcie swoich oskarżeń.

- Oczywiście, że nie. Ponieważ wszystkie są wysane z palca.

Dopił resztę kawy i odstawił filiżankę na stół.

- „Ojacobójco, oto się odnawia niewysłowiona męka” to cytat z Williama Blake'a - powiedział nagle, tak jakby przez ostatnie chwile myślał tylko o tym. - Pochodzi z jednego z wierszy, w których mówi się o rewolucji i przewrotach politycznych. Poszukiwanie wolności oznacza zniszczenie dotychczasowych autorytetów, które symbolizują rodzice, a to z kolei oznacza, że każde pokolenie przechodzi przez te same męczarnie. - Wstał i popatrzył przez okno na rzekę. - William Blake - Billy Blake. Pani nieproszony gość był wielbicielem poety, który zmarł prawie dwieście lat temu. Dlaczego tu jest tak zimno? - zapytał niespodziewanie, otulając się szczelniej płaszczem.

- Wydaje się panu. Ma pan kaca. Stąd te dreszcze.

Spojrzał na nią uważnie. Siedziała w fotelu promienna jak słońce w swojej drogiej eleganckiej sukience, otoczona drogimi sprzętami. Ale jej promiennosc była pozorna. Za fasadą opanowania i nienaganej dyscypliny Deacon wyczuwał desperację.

- Kiedy się zbudziłem, poczułem zapach śmierci - powiedział. - Czy właśnie ten zapach stara się pani zabić za pomocą pot-pourri i odświeżaczy powietrza?

Sprawiała wrażenie zaskoczonej.

- Nie wiem, o czym pan mówi.

- Pewnie mi się zdawało.

Posłała mu cierpki uśmiech.

- Mam nadzieję, że gdy tylko wróci pan do zdrowia, przestaną pana męczyć koszmary.

Do widzenia, panie Deacon.

Podszedł do drzwi.

- Do widzenia, pani Streeter.

*

Niedaleko domu Amandy Deacon znalazł niewielki skwer z ławką zwróconą w kierunku rzeki. Opatulił się szczelnie płaszczem i usiadł, licząc na to, że na powietrzu alkohol szybciej wywietrzeje mu z głowy. Była pora odpływu i na mulistym nabrzeżu, naprzeciw jego ławki, czterech mężczyzn grzebało w rupieciach, które w nocy woda wyrzuciła na brzeg. W nieokreślonym wieku, tak jak on zakutani w ciężkie płaszcze, byli doskonale anonimowi i wszelkie domysły, które mógłby snuć na ich temat, byłyby prawdopodobnie równie fałszywe jak ich domysły na jego temat. Tak samo jak wtedy, gdy spotkał Terry'ego, uderzyła go pospolitość i nieokreśloność większości ludzkich twarzy. Zdał sobie sprawę, że gdyby zobaczył tych mężczyzn ponownie w innych okolicznościach, nie potrafiłby ich rozpoznać. Ostatecznie, w rozmaitych układach oczu, nosa, uszu i ust można dostrzec więcej podobieństw niż różnic i dopiero kosmetyka i sposób wyrazu nadają im indywidualny charakter. Wystarczy je zmienić, pomyślał, i stajemy się anonimowi.

- No więc jak, Michael? - zapytał łagodny głos obok niego. - Czy ktoś z nas zasługuje na zbawienie, czy wszyscy jesteśmy potępieni?

Deacon obrócił się w stronę wątego siwego staruszka, który przysiadł niepostrzeżenie na ławce i równie uważnie jak on obserwował krzątanie na brzegu. Zmarszczył czoło, próbując przypomnieć sobie jego twarz. Pomyślał, że jest to ktoś, z kim przeprowadzał wywiad, ale rozmawiał w życiu z wieloma ludźmi i rzadko zapamiętywał ich nazwiska.

- Lawrence Greenhill - odpowiedział staruszek. - Przeprowadzałeś ze mną wywiad dziesięć lat temu w związku z artykułem o eutanazji, który zatytułowałeś: *Prawo do śmierci*. Byłem wtedy praktykującym adwokatem i napisałem list do „Timesa”, wskazując na praktyczne i etyczne zagrożenia związane z tą formą zalegalizowanego samobójstwa. Miałeś w tej sprawie inne zdanie i nazwałeś mnie niezbyt pochlebnie „szlachetnym sędzią, który przypisuje sobie najwyższe cnoty moralne”. Nigdy nie zapomnę tych słów.

Deacon skulił się w sobie. Nie zasługiwał na to, a przynajmniej po tym, co przeżył

dziś rano.

- Pamiętam - powiedział.

Aż za dobrze. Niewzruszone przekonanie, z jakim jego rozmówca powoływał się wtedy na autorytet Pisma Świętego, doprowadzało Deacona do białej gorączki. Ale Greenhill nie mógł wiedzieć, jak bardzo osobiście Deacon podchodził wówczas do tego problemu. Każda forma samobójstwa jest złem, Michael... skazujemy się na potępienie, jeśli przypisujemy sobie władzę, którą posiada tylko Bóg...

- No cóż, przykro mi - dodał szybko. - Ale nadal się z panem nie zgadzam. W mojej filozofii życiowej nie ma miejsca na potępienie. - Zgasił papierosa, zastanawiając się nad tym, czy wierzy w to, co mówi. Dla Billy'ego Blake'a potępienie było czymś najzupełniej realnym. - Ani na zbawienie, bo cała ta idea wydaje mi się naciągana. Mamy być zbawieni od czegoś, czy do czegoś? W pierwszym przypadku nasze prawo do życia według własnych standardów etycznych jest zagrożone przez totalitaryzm moralny, w drugim musimy podporządkować się ślepo negatywnej logice, która głosi, że po śmierci czeka nas coś lepszego. - Deacon spojrzał ostentacyjnie na zegarek. - A teraz, niestety, musi mi pan wybaczyć.

Staruszek zaśmiał się cicho.

- Zbyt łatwo się poddajesz, przyjacielu. Czy twoja filozofia jest tak krucha, że boisz się o niej rozmawiać?

- Bynajmniej - odparł Deacon. - Ale mam lepsze rzeczy do roboty niż osądzanie życia innych ludzi.

- W odróżnieniu ode mnie?

- Właśnie.

Jego towarzysz uśmiechnął się.

- Z tym tylko, że ja staram się nigdy nikogo nie osądzać. - Milczał przez chwilę. - Znasz te słowa Johna Donne'a: „Śmierć każdego człowieka umniejsza mnie, albowiem jestem zespolony z ludzkością”.

- „Przeto nigdy nie pytaj, komu bije dzwon; bije on tobie”^{*} - dokończył Deacon.

- Więc powiedz mi, czy to źle, prosić człowieka, żeby żył dalej, mimo swego cierpienia, skoro jego życie ma dla mnie większą wartość niż jego śmierć?

Deacon miał wrażenie, jakby cofnął się w czasie. W głowie dudniły mu słowa. Ojcobójco... oto się odnawia niewysłowiona męka... Czy życie człowieka może być tak bezwartościowe, by interesujące okazały się dla nas jedynie okoliczności jego śmierci?

* Przeł. B. Zieliński.

Wpatrywał się w Lawrence'a nieco nieprzytomnym wzrokiem.

- Co pan tutaj robi? Pamiętam, że rozmawialiśmy w Knightsbridge.

- Przeprowadziłem się siedem lat temu po śmierci żony.

- Rozumiem. - Deacon potarł energicznym ruchem czoło, żeby rozgonić skłębione myśli. - A teraz naprawdę przepraszam, ale muszę już iść. - Wstał. - Miło się z tobą rozmawiało, Lawrence. Wesołych świąt.

W oczach mężczyzny pojawił się nagły błysk.

- A z czego tu się cieszyć? Jestem Żydem. Myślisz, że lubię, gdy mi się przypomina, że większość cywilizowanego świata potępia mój naród za to, co zrobił dwa tysiące lat temu?

- Nie mylisz przypadkiem Bożego Narodzenia z Wielkanocą?

Lawrence wznosił oczy do nieba.

- Ja mówię o dwóch tysiącach lat izolacji, a on się spiera o kilka miesięcy.

Deacon zwlekał z odejściem, ujęty nagłym ożywieniem staruszka i niewiarygodną formą emocjonalnego szantażu.

- No więc wesołej Chanuki. A może mi powiesz, że to też jest niemożliwe, bo nie masz z kim obchodzić swoich świąt?

- A cóż innego może powiedzieć bezdzietny wdowiec? - Staruszek zauważył wahanie na twarzy Deacona i poklepał dłonią miejsce obok siebie. - Usiądź i dotrzyмай mi jeszcze przez parę minut towarzystwa. Jesteśmy starymi znajomymi, Michael, a ja tak rzadko mam okazję porozmawiać z inteligentnym człowiekiem. Może się uspokoisz, jeśli powiem, że zawsze był ze mnie lepszy prawnik niż Żyd, więc rozmawiając ze mną, nie narazisz na szwank swojej duszy.

Deacon tłumaczył się przed sobą, że siada jedynie z czystej ciekawości, w istocie jednak nie potrafił obronić się przed słabością Lawrence'a. Zapowiedź niedalekiej śmierci rysowała się na twarzy staruszka równie wyraźnie jak na twarzy Alana Parkera, a Deacon wraz z nadejściem świąt stawał się szczególnie wrażliwy na punkcie śmierci.

- Właściwie myślałem o tym, jak bardzo jesteśmy do siebie podobni i jak łatwo byłoby porzucić swoje dotychczasowe życie i zacząć wszystko od nowa - powiedział Deacon, wskazując głową w kierunku mężczyzn na nabrzeżu. - Potrafiłbyś ich rozpoznać, gdybyś, dajmy na to, spotkał ich za jakiś czas w Dorchester.

- Rozpoznałiby ich przyjaciele.

- Chyba że spotkaliby się w zupełnie innych okolicznościach. Rozpoznawanie polega na łączeniu z sobą wielu znanych faktów. Zmień fakty i wszystko bierze w łeb.

- Czy zastanawiasz się nad zmianą tożsamości, Michael?

Deacon przesunął dłonią po szorstkim podbródku.

- To dosyć pociągające. Nigdy nie myślałeś o tym, żeby rzucić wszystko i zacząć od zera?

- Oczywiście. To typowy objaw kryzysu wieku średniego.

Deacon roześmiał się.

- Szczerze mówiąc, Lawrence, miałem nadzieję, że powiesz mi coś innego. „Typowy objaw” to ostatnia rzecz, którą chciałby usłyszeć na swój temat ambitny, niespełniony mężczyzna. Chyba znowu zbojkotuję te święta - dodał po chwili, zapalając kolejnego papierosa. - Wolałbym siedzieć w pracy, niż udawać, że mnie to wszystko bawi.

- Na czym polega twój bojkot?

Deacon wzruszył ramionami.

- Na przeczekiwaniu. Trzeba spuścić głowę i poczekać, aż będzie po wszystkim, i życie wróci do normy. Nie mam dzieci. Może byłoby inaczej, gdybym je miał.

- Tak. To straszne, kiedy nie mamy nikogo, kogo moglibyśmy kochać.

- Myślałem, że jest na odwrót - odparł Deacon, przyglądając się, jak jeden z mężczyzn ciągnie po ziemi kawał drewna oblepiony błotem. - Że to straszne, kiedy nie mamy nikogo, kto mógłby nas kochać.

- Może masz rację.

- Mam rację. Miałem dwie żony i wychodziłem ze skóry, żeby okazać im miłość.

Lawrence uśmiechnął się.

- Mój biedaku - mruknął. - Tyle zachodu na nic. Co za potworna strata energii.

Deacon spojrzał na niego z ukosa.

- To naprawdę takie zabawne?

- Przypomina mi to historię o kobiecie, która kupiła mężowi piłę, bo powiedział, że ma ochotę na porządne rżnięcie.

- Czy ta historia ma jakiś morał?

- Co najmniej pięć lub sześć, w zależności od tego, czy było to zwyczajne nieporozumienie, czy lekcja dobrych manier.

- Chodzi o to, że, zdaniem tej kobiety, mąż traktował ją instrumentalnie, tak? Tylko że ja nigdy nie traktowałem tak żadnej z moich żon, w każdym razie dopóki nie stało się jasne, że małżeństwo się rozpada. To one traktowały mnie instrumentalnie. - Deacon spochmurniał i zaciągnął się głęboko dymem. - Wycisnęły ze mnie ostatniego pensa. Musiałem sprzedać dwa porządne domy, żeby każdej z nich zostawić połowę majątku, straciłem po drodze większość swoich oszczędności, a teraz koczuję w nędznym, wynajętym mieszkanku w Islington. Czy i

na tę okazję masz jakąś umoralniającą przypowieść?

Lawrence zachichotał.

- No cóż. Teraz nie jestem już nawet pewien, kto kogo chciał tu przetrząść. Dlaczego się z nimi żeniłeś, Michael?

- Jak to dlaczego? Kochałem je, a przynajmniej tak mi się zdawało.

- Ja kocham swoje koty, ale nie mam zamiaru żenić się z żadnym z nich.

- Więc po co w ogóle się żenić?

- Czy nie powinieneś sam sobie odpowiedzieć na to pytanie, zanim spróbujesz znowu?

- Wolnego - odparł Deacon. - Nie mam zamiaru po raz trzeci kłaść głowy pod topór.

- Wyglądasz, jakbyś stracił humor, Michael.

- Klara, moja druga żona, twierdziła, że przechodzę męskie klimakterium. Mówiła, że interesuje mnie tylko seks.

- Naturalnie. Chęć posiadania dzieci nie jest wyłącznym przywilejem kobiet. Ja nadal chciałbym mieć dzieci, a mam osiemdziesiąt trzy lata. Po co Bóg dał mi nasienie, jeśli nie po to, żebym płodził dzieci? Popatrz na Abrahama. Był starcem, kiedy urodził mu się Izaak.

Na wymiętej twarzy Deacona pojawił się szeroki uśmiech.

- Teraz ty tracisz humor, Lawrence.

- Nie, Michael. Ja się żalę. Ale starcy mają prawo się żalić, bo niezależnie od tego, w jakiej są formie, muszą dokonywać cudów, żeby kobieta przed czterdziestką zgodziła się pójść z nimi do łóżka. Wiem to z własnego doświadczenia.

- Nie będę udawał, że chodziło o pożądanie. Klara była... jest piękna.

- Sam widzisz. Pół roku temu musiałem wykastrować swojego kocura, bo sąsiedzi skarżyli się, że bez przerwy gwałci ich kotki.

- Nie było ze mną aż tak źle, Lawrence.

- Z moim kotem też nie, Michael. Robił tylko to, do czego został stworzony, a fakt, że wybierał rasowe kotki, świadczy tylko o jego dobrym guście.

- Nie wydaje mi się, żebym kiedykolwiek powiedział Klarze, że chcę mieć dzieci. Rozmawiałem o tym parę razy z Julią, ale zawsze mówiła, że mamy jeszcze czas.

- Mielście czas. Dopóki nie porzuciłeś jej dla Klary.

- Sądziłem, że chcesz osłabić moje poczucie winy. Czy nie zrobiłem tego z desperacji, dla podtrzymania rodu Deaconów?

- Nie ma usprawiedliwienia dla twojej nieskuteczności, Michael. Jeśli dzieci są tym, czego chcesz, musisz znaleźć kobietę, która też ich pragnie. Oczywisty morał z opowieści o pile jest taki, że ludzie mają w życiu różne priorytety.

- No więc co, twoim zdaniem, powinienem zrobić? - zapytał szyderczo Deacon. - Wstąpić do klubu samotnych serc? Iść do agencji matrymonialnej? A może dać ogłoszenie do gazety?

- Wydaje mi się, że to przewodniczący Mao powiedział kiedyś: „Każda podróż zaczyna się od pierwszego kroku”. Dlaczego twój pierwszy krok musi być aż tak trudny?

- Nie rozumiem.

- Nabierz trochę wprawy, zanim znów skoczysz na głęboką wodę. Zapomniałeś, jak prostą rzeczą jest miłość. Zaczynaj od podstaw.

- To znaczy?

- Mówiłem ci już. Kocham swoje koty, ale nie mam zamiaru się z nimi żenić.

- Doradzasz mi, żebym kupił sobie kota?

- Niczego ci nie doradzam, Michael. Jesteś wystarczająco inteligentny, żeby zrozumieć, o co chodzi. - Lawrence wyciągnął wizytówkę z wewnętrznej kieszeni płaszcza. - To jest mój numer telefonu. Możesz dzwonić o dowolnej porze. Przeważnie jestem w domu.

- Możesz tego żałować. Skąd wiesz, czy nie skorzystam z zaproszenia i nie zacznę zadrećcać cię ciągłymi telefonami?

Deacon dostrzegł w oczach staruszka błysk autentycznego podniecenia.

- Mam nadzieję, że tak będzie. Ostatnio tak rzadko mam poczucie, że jestem komuś potrzebny.

- Jesteś najperfidniejszym oszustem, jakiego w życiu spotkałem.

- Dlaczego tak mówisz?

- „Ostatnio tak rzadko mam poczucie, że jestem komuś potrzebny” - powtórzył Deacon. - Założę się, że mówisz to wszystkim przypadkowo napotkanym osobom. A tak na marginesie, czy zawsze stosujesz szantaż emocjonalny, czy może jestem jakoś szczególnie uprzywilejowany?

Staruszek zarechotał radośnie.

- To kwestia doboru właściwych środków. Nakarmić możesz tylko głodnego, Michael.

Ostatnie zdanie dotknęło Deacona. Stał mu przed oczami obraz chudego jak szkielet Billy'ego Blake'a. Sięgnął do portfela i wyjął z niego zdjęcie zmarłego mężczyzny.

- Czy rozmawiałeś kiedyś z tym człowiekiem? Był bezdomny. Przemieszkował w starym magazynie o jakąś milę stąd, a pół roku temu umarł z głodu na terenie posesji, którą masz teraz za plecami. Nazywał się Billy Blake, ale nie sądzę, żeby używał prawdziwego nazwiska. Chcę się dowiedzieć, kim był naprawdę.

Lawrence przez dłuższą chwilę przyglądał się fotografii, a następnie z żalem pokręcił

głową.

- Obawiam się, że nigdy go nie spotkałem. Jestem pewien, że bym go zapamiętał.

Taką twarz niełatwo zapomnieć, prawda?

- Masz rację.

- Przypominam sobie tę historię. Przez dzień lub dwa było tu sporo zamieszania.

Dlaczego się nim interesujesz?

- Właścicielka garażu, w którym zmarł Billy, poprosiła mnie, żebym dowiedział się, kim był - odparł Deacon.

- Pani Powell.

- Tak.

- Widziałem ją raz czy dwa. Jeździ czarnym BMW.

- Zgadza się.

- Czy pani Powell ci się podoba, Michael?

Deacon zastanawiał się przez chwilę nad odpowiedzią.

- Jeszcze nie wiem. Jest skomplikowaną kobietą. - Wzruszył ramionami. - To długa historia.

- Więc zostaw ją sobie na telefon.

- Możliwe, że nigdy nie zadzwonię, Lawrence. Moje żony zawsze powtarzały, że nie można na mnie polegać.

- Jeden krótki telefon, Michael. Czy proszę o tak wiele?

- Tylko że nie skończy się na jednym krótkim telefonie, prawda? - odburknął Deacon.

- Jesteś wampirem, Lawrence, i nie myśl, że o tym nie wiem.

Lawrence spojrział na tył fotografii.

- Czy mogę to zatrzymać? Znam wielu bezdomnych. Ktoś z nich może go rozpoznać.

- Jasne. - Deacon wstał z ławki. - Ale to wcale nie znaczy, że do ciebie zadzwonię, więc nie rób sobie specjalnych nadziei. Jutro będę się pewnie wstydził naszej rozmowy. - Uścisnął rękę staruszka. - Szalom, Lawrence. I dzięki za wszystko. Wracaj do domu, bo zamarznie tu na śmierć.

- Dobrze. Szalom, przyjacielu.

Lawrence odprowadził wzrokiem Deacona, który szedł wolno przez trawnik. W chwilę później uśmiechnął się do siebie, wyciągnął notes z adresami i wpisał doń starannie nazwisko mężczyzny oraz adres i numer telefonu redakcji „Street”, które Barry Grover umieścił zapobiegliwie na odwrotnej stronie fotografii. Zrobił to, chociaż był pewien, że nie będą mu potrzebne. Lawrence wierzył bezgranicznie w tajemnicze zrządzenia Opatrzności i

wiedział, że telefon od Michaela jest tylko kwestią czasu.

Staruszek odwrócił twarz w stronę rzeki i słuchał, jak odgłosy wiatru mieszają się z miarowym uderzeniem fal.

ROZDZIAŁ 8

Krwawą bójkę, która wybuchła w starym magazynie, wywołał jeden z bardziej agresywnych schizofreników. Przekonany o tym, że jego sąsiad chce go zabić, wyciągnął z kieszeni nóż sprężynowy i dźgnął tamtego w brzuch. Krzyki rannego mężczyzny zaalarmowały pozostałych mieszkańców. Część z nich rzuciła się na ratunek, pozostali wpadli w panikę. Terry Dalton i stary Tom chwycili w garść ołowiane rurki, które wały się po ziemi, i ruszyli rozdzielać walczących, ale napastnik, niczym rozwścieczony bulterier, nie zwracał uwagi na grad ciosów spadających na jego plecy, skoncentrowany wyłącznie na swojej ofierze. Bójka, podobnie jak w większości takich wypadków, skończyła się dopiero wtedy, gdy mężczyzna, posiniaczony i potłuczony, opadł z sił i półprzytomny od odniesionych ran odczołgał się na bok.

Tom ukląkł przy drobnym, zwiniętym w kłębek ciele ofiary.

- To staruszek Walter - stwierdził. - Ten skurwiel Denning paskudnie go załatwił. Nie wyjdzie z tego.

Terry, który cały dygotał jeszcze z podniecenia, rzucił na ziemię swój kawałek rurki i zdjął z ramion płaszcz.

- Okryj tym Walta i pilnuj, żeby nie zmarł. Dzwonię po pogotowie - powiedział. - I przygotujcie się na przyjazd glin. Tym razem udupię Denninga na dobre. Tym razem, kurwa, przesadził.

- Skończ z tą gadką, synu - powiedział Tom, okrywając ciało mężczyzny płaszczem. - I nie licz na to, że ktoś ci podziękuje, jeśli ściągniesz nam na głowę psy. Wyniesiemy stąd Walta, żeby gliniarze myśleli, że wszystko stało się na ulicy. Krwawi jak zarżnięte prosię. Na chodniku będzie pełno krwi, więc pomyślą, że to robota jakichś bandziorów.

- Nie! - warknął Terry. - Jeśli wyniesiesz go na ulicę, będzie po nim. - Zaciśnął pięści.
- Mamy takie same prawa jak wszyscy, Tom. Walt ma prawo, żeby dać mu szansę, a my mamy prawo pozbyć się tego świra Denninga.

- W piekle nie obowiązują żadne prawa, synu - odparł chłodno Tom. - To Billy wbił ci do łba te pierdoły o ludzkiej godności. Jeśli sprowadzisz tu mendy, nie tylko Denning dostanie w dupę. Pomyśl o tym, co masz w kieszeniach, zanim narobisz tu bydła. - Przyłożył sękatą dłoń do twarzy rannego. - Z Walta nic już nie będzie, więc nie ma znaczenia, czy

umrze tu, czy na zewnątrz. A sprawę z Denningiem załatwimy sami. Wróci na ulicę i niech zdycha tam z zimna. I tak jest ledwie żywy, więc nie będzie z tym problemu.

Tom mówił to wszystko tonem nie znoszącym sprzeciwu, bo to on, a nie Terry - wbrew temu, co podejrzewał Deacon - miał tam ostatnie słowo. A w filozofii Toma nie było miejsca na sentymenty. Zbyt często oglądał śmierć, żeby przejmować się specjalnie agonią Walta.

- Nie! - wrzasnął chłopak, rzucając się do wyjścia. - Jeśli wyniesiesz stąd Walta, odpowiesz mi za to. Nie jesteśmy, kurwa, dzikusami! Słyszysz? - Rozwścieczony torował sobie drogę łokciami przez tłum mężczyzn, którzy tłoczyli się przy drzwiach.

Deacon wyszedł właśnie spod prysznic, kiedy w pokoju rozległ się dzwonek telefonu.

- Poproszę z Michaeliem Deaconem - odezwał się niecierpliwy głos w słuchawce.

- Przy telefonie - odparł, wycierając włosy ręcznikiem.

- Pamiętasz stary magazyn, w którym byłeś kilkanaście dni temu?

- Tak. - Deacon rozpoznał swojego rozmówcę. - Czy to ty, Terry?

- Aha. Słuchaj. Dalej zbierasz informacje o Billym Blake'u?

- Owszem.

- Więc przyjedź do magazynu w ciągu pół godziny i weź ze sobą aparat. Możesz to zrobić?

- Po co ten pośpiech?

- Bo jadą tam gliny, a w środku jest coś, co należało do Billy'ego. Najdalej za pół godziny będzie tam ostra zadyma. Więc jak?

- Będę tam.

Terry Dalton, ubrany w starą kurtkę z oślej skóry i czarną bejsbolówkę nasuniętą głęboko na czoło, stał oparty o ścianę ukryty za rogiem budynku, czekając na przyjazd Deacona. Kiedy samochód Deacona wjechał na krawężnik i zatrzymał się naprzeciwko pustego policyjnego radiowozu, Terry wyszedł na spotkanie.

- Faceta pchnięto nożem - powiedział szybko do wysiadającego mężczyzny. - To ja wezwałem gliny. Pomyślałem, że nie zaszkodzi, jeśli będzie przy tym ktoś z prasy. Tom mówi, że gliny potraktują to jako pretekst, żeby wyrzucić nas z magazynu, a przy okazji oskarżyć o inne rzeczy. Ale mamy swoje prawa i chcę, żeby ich przestrzegano. Jeśli mi pomożesz, powiem ci wszystko, co wiem o Billym. Zgoda? - Popatrzył w dół ulicy i

zauważył następny wóz policyjny wyłaniający się zza rogu. - Zabierajmy się stąd. Mamy mało czasu. Wzięłeś aparat?

Deacon, nieco oszołomiony chaotyczną relacją Terry'ego, ruszył w ślad za nim wzdłuż bocznej ściany budynku.

- Mam go w kieszeni.

Terry ręką wskazywał drogę.

- Dostaniemy się do środka przez okno, tak żeby gliny nas nie zobaczyły. Jeśli znajdziesz się wewnątrz, pomyśl, że byłeś tam przez cały czas.

- A co z policjantami, którzy są już w środku?

- Jest ich tylko dwóch. Zjawili się tu dopiero po przyjeździe karetki. Nie mają pojęcia, kto był w środku, a kogo nie było. Jest za ciemno, a poza tym zajmowali się głównie ratowaniem Walta. Zaczęli zadawać pytania dopiero po odjeździe karetki, jakieś pięć minut temu. - Terry odsunął na bok obłuzowaną deskę. - No dobra, pamiętaj. Nożem dostał Walt, a pchnął go świr nazwiskiem Denning. Jeśli byłeś w środku, musisz wiedzieć, co zaszło.

Deacon położył dłoń na ramieniu chłopca, w chwili gdy ten miał właśnie zamiar wskoczyć przez okno do środka.

- Zaczekaj moment. Nie jestem prawnikiem. Czego właściwie ode mnie oczekujesz? W jaki sposób mam bronić waszych praw?

Terry odwrócił głowę.

- Rób zdjęcia. Zresztą sam nie wiem. Wymyśl coś. - Terry zmienił ton, kiedy Deacon z powątpiewaniem pokręcił głową. - Słuchaj, frajerze, powiedziałaś, że chcesz udowodnić, że życie Billy'ego miało jakąś wartość. No więc udowodnij najpierw, że my: Walt, Tom, ja i każdy zasraniec, który siedzi tam w środku, jesteśmy coś warci. Wiem, że to zasyfiała nora, ale mamy do niej prawo i właśnie tu mieszkamy. To ja zadzwoniłem na policję. Sami nie przyszliby tu węszyć, więc nie mają prawa traktować nas jak śmieci. - Zmrużył oczy w nagłym porywie desperacji. - Billy zawsze powtarzał, że wolna prasa jest najskuteczniejszą bronią zwykłych ludzi. Chcesz mi powiedzieć, że nie miał racji?

- No, dobra, gnojki - odezwał się znekany głos policjanta, popychając opornych w stronę drzwi magazynu. - Chodźcie do światła, żebyśmy mogli was sobie obejrzeć. - Chwył jednego z mężczyzn za ramię i obrócił twarzą do wyjścia. - No już! Wychodzić! Wychodzić!

Światło lampy błyskowej tak go zaskoczyło, że obrócił się z otwartymi ze zdumienia ustami w stronę Deacona, który tym razem strzelił mu fleszem prosto w twarz. W magazynie zapadła nagle całkowita cisza przerywana tylko szybką serią krótkich trzaśnień migawki i

lampy błyskowej.

- Trafia na pierwszą stronę - powiedział Deacon, obracając aparat w kierunku drugiego policjanta, który trącał nogą śpiącego mężczyznę. - Z podpisem: „Bezdomni ofiarami brutalności policji. Policja sięga po metody obozowych kapo”. - Ponownie skierował aparat w stronę pierwszego policjanta, wysuwając obiektyw, żeby zrobić zbliżenie twarzy. - Dlaczego nie „Raus! Raus! Raus!”? To mogłoby dodać nieco pikanterii.

- A ten skąd się tu wziął, do cholery?

- A ten p a n skąd się tu wziął, do cholery? - poprawił Deacon, opuszczając aparat i wręczając policjantowi swoją wizytówkę. - Michael Deacon. Jestem dziennikarzem. Czy mogę prosić o pana nazwisko i nazwiska pozostałych obecnych tu funkcjonariuszy? - Wyciągnął z kieszeni notatnik.

Stojący nieco z boku, ubrany po cywilnemu mężczyzna odezwał się jako pierwszy.

- Jestem detektyw sierżant Harrison. Może będę mógł panu jakoś pomóc?

Był dobrze zbudowanym trzydziestokilkulatkiem, o miłej aparycji i przeredzonych blond włosach, które rozwiewał mu teraz wiatr nadchodzący od strony rzeki. Spoglądał na Deacona z przyjaznym wyrazem twarzy.

- Może mógłby pan zacząć od wyjaśnienia, co się tu właściwie dzieje?

- Naturalnie. Właśnie staramy się przekonać tych gentelmenów, aby umożliwili nam oględziny miejsca, w którym usiłowano dokonać zabójstwa. Ponieważ nie ma tu dosyć wolnej przestrzeni, poprosiliśmy ich o opuszczenie budynku.

Deacon znów uniósł aparat, skierował obiektyw w stronę rozległego wnętrza magazynu i nacisnął wyzwalacz.

- Jest pan tego pewien, sierżancie? Mam wrażenie, że jest tu mnóstwo wolnego miejsca. A tak przy okazji, od kiedy to policja stosuje takie zwyczaje?

- Jakie zwyczaje?

- Od kiedy zmusza mieszkańców domu, w którym popełniono zbrodnię, do jego opuszczenia. Czy zazwyczaj nie prosi się ich o przejście do innego pomieszczenia, na przykład do kuchni, gdzie mogą napić się herbaty i uspokoić nerwy?

- No cóż, jak pan widzi, sytuacja jest dość nietypowa. Popełniono poważne przestępstwo. Brakuje światła. Połowa z tych ludzi jest nieprzytomna od alkoholu lub narkotyków. Żeby móc się zorientować, co właściwie tu zaszło, musimy wyprosić wszystkich na zewnątrz i zaprowadzić tu jakiś porządek.

- Naprawdę? - Deacon nie przerywał robienia zdjęć. - Zawsze sądziłem, że powinno się najpierw poprosić świadków zdarzenia o złożenie zeznań.

Opanowana twarz sierżanta przybrała na chwilę pogardliwy wyraz i Deacon wykorzystał ten moment do zrobienia zdjęcia.

- Ci ludzie nie wiedzą, co to znaczy współpraca z policją. Ale skoro panu na tym zależy... - Sierżant podniósł głos. - Kilkadziesiąt minut temu ugodzono tu nożem człowieka. Osoby, które były świadkami tego zdarzenia albo wiedzą coś na temat jego przebiegu, proszone są o wystąpienie. - Odczekał sekundę lub dwie, a następnie z wyraźnym zadowoleniem uśmiechnął się do Deacona. - Jest pan usatysfakcjonowany? Jeśli tak, to pozwoli pan, że przejdziemy do wykonywania naszych obowiązków.

- Ja byłem przy tym - powiedział Terry, wysuwając się zza pleców Deacona. W ciemnościach, które panowały dookoła, starał się wypatrzyć sylwetkę Toma. - Nie ja jeden, ale sądząc po zachowaniu reszty, wychodzi na to, że tylko ja coś widziałem.

Nikt nie zareagował na jego słowa.

- Jesteś naprawdę żaloszny - mówił dalej drwiąco. - Nic dziwnego, że gliniarze traktują cię jak śmiecia. To wszystko, co potrafisz? Położyć się w rynsztoku i pozwolić po sobie deptać każdemu, kto ma na to ochotę. - Splunął pod nogi. - Właśnie tyle jest wart ktoś, kto zamiast wstać i choć raz w życiu upomnieć się o swoje prawa, woli krzyć jakiegoś szajbusa, a potem dać mu zdechnąć na ulicy.

- Dobrze już, dobrze, synu - odezwał się zrzędlawy głos ze środka tłumu. - Przestań już, na litość boską. - Tom przepchał się do przodu i rzucił Terry'emu wrogie spojrzenie. - Gadasz, jakbyś był co najmniej arcybiskupem Canterbury. - Skinął głową w stronę sierżanta. - Ja też przy tym byłem. Jak leci, panie Harrison?

Sierżant Harrison rozpromienił się na widok Toma.

- Wielki Boże! Tom Beale! Myślałem, że nie żyjesz. Twoja pani też tak myślała.

Tom skrzywił się z niesmakiem.

- Dla niej rzeczywiście mógłbym już nie żyć. Kazała mi się wynosić, kiedy ostatnio mnie pan posadził. Od tej pory nie widziałem jej ani razu i nie wiem, co się z nią dzieje.

- Bzdury! Przez kilka miesięcy po twoim zwolnieniu suszyła mi głowę, żebym cię odszukał. Dlaczego nie wróciłeś do domu, jak Pan Bóg przykazał?

- Nie mogłem - odparł posepnie Tom. - Wyraźnie powiedziała, że nie chce mnie widzieć. Tak czy owak, staruszka wzięła i umarła. Parę lat temu postanowiłem ją odwiedzić. Przychodzę, a w domu pełno obcych ludzi. Nie uwierzy pan, jak to przeżyłem.

- Na litość boską! To jeszcze nie znaczy, że umarła. Opieka społeczna przeniosła ją do innego mieszkania pół roku po twoim zniknięciu.

Tom wyglądał na uradowanego.

- Naprawdę? Myśli pan, że chciałyby się ze mną zobaczyć?

- Stawiam wszystkie pieniądze - roześmiał się sierżant Harrison. - A może zabralibyśmy cię do domu na święta? Nie wiem czemu, ale wydaje mi się, że twoja pani ucieszyłaby się z takiego prezentu. - Obrócił do światła tarczę zegarka. - Mam dla ciebie jeszcze lepszą wiadomość. Jeżeli uporamy się szybko z tym bałaganem, zawieziemy cię do domu na kolację. I co ty na to?

- Trzymam pana za słowo, panie Harrison.

- No więc dobrze. Zacznijmy od nazwisk i rysopisu sprawców.

- Był tylko jeden sprawca. - Tom wskazał ruchem głowy w kierunku śpiącego mężczyzny i stojącego nad nim policjanta. - To jego szukacie. Nazywa się Denning. Teraz ledwie dycha, bo jest wykończony, ale lepiej na niego uważać. Terry ma rację. Denning to świr, a poza tym cały czas ma przy sobie nóż. - Tom zachichotał i wyciągnął z kieszeni cygaro. - Nie chcemy tu żadnych kłopotów, skoro wszystko idzie tak dobrze. Coś panu powiem, panie Harrison. Nigdy w życiu nie cieszyłem się tak bardzo na widok gliniarza. Proszę wziąć ode mnie to cygaro.

Ponieważ Deacon był profesjonalistą, utrwalił tę scenę na zdjęciu, które sprzedał następnie za kilka funtów agencji fotograficznej. Zdjęcie ukazało się zaraz po świętach w jednym z londyńskich brukowców opatrzone nagłówkiem: „Cygaro pokoju”, wraz z wzruszającym opisem sceny pojednania Toma z żoną i wzmianką na temat chwalebnej roli, jaką w całej historii odegrał sierżant Harrison. Była to parodia prawdy, tandetna opowiadka wymyślona przez reportera gazety dla poprawienia noworocznego samopoczucia czytelników. W rzeczywistości bowiem Tom wolał towarzystwo swoich kumpi, jego żona wolała towarzystwo swojego kota, a sierżant Harrison wpadł w furję, kiedy odkrył, że cygaro było częścią łupu skradzionego podczas napadu na ciężarówkę.

Całe to zdarzenie napełniło Deacona niesmakiem. Był zde gustowany tym, że normalne traktowanie przez policję mogło zależeć od sympatii, jaką pewien sierżant darzył akurat pewnego bezdomnego. Rzeczywistość wyglądała inaczej. Rzeczywistością był cuchnący stary magazyn, w którym królowało bezprawie i w którym okoliczności śmierci człowieka były jedyną rzeczą budzącą zainteresowanie.

Terry dogonił Deacona, kiedy ten otwierał już drzwi do samochodu.

- Mówią, że mam z nimi jechać i złożyć zeznanie.

- Coś nie tak?

- Jasne. Nie chcę tam jechać.

Deacon spojrział ponad głowę Terry'ego na idącego w ich kierunku policjanta.

- Musisz się zdecydować. Jeśli chcesz, żeby respektowano twoje prawa, powinieneś okazać w zamian trochę dobrej woli.

- Pojadę, jeśli pojedziesz ze mną.

- To bezcelowe. Przy przesłuchaniu mogą być obecni tylko adwokaci. - Przyjrzał się uważnie niespokojnej twarzy chłopca. - Skąd ta zmiana nastroju? Dwadzieścia minut temu paliłeś się do składania zeznań.

- Ale nie sam i nie na policji.

- Będzie z tobą Tom.

Chłopak wykrzywił pogardliwie wargi.

- On ma w dupie i mnie, i Walta. Będzie lizał sierżantowi tyłek, żeby tylko odwieźli go do jego starej. A jak będzie trzeba, wpakuje mnie po uszy w gówno i nie mrugnie nawet okiem.

- Czy Tom wie o tobie coś, czego nie wie reszta?

- Tak. Że mam dopiero czternaście lat i że nie nazywam się Terry Dalton. Uciekłem z domu dziecka, kiedy miałem dwanaście lat i nie zamierzam tam wracać.

Słodki Jezu.

- Dlaczego? Było aż tak źle?

- Jeden skurwiel, który był naszym wychowawcą, dobierał się nam do tyłków. - Terry zacisnął pięści. - Dałem słowo, że go zabiję, jeśli tylko będę miał okazję, i zrobię to, jeśli mnie tam odeślą. Nie żartuję. - Mówił z rosnącą agresją. - Billy wiedział, że nie żartuję. Dlatego miał mnie na oku. Mówił, że nie chce mieć na sumieniu drugiego morderstwa.

Deacon zamknął z powrotem drzwi samochodu.

- Dlaczego mam wrażenie, że mój los upodabnia się do losu Billy'ego Blake'a?

- Nie rozumiem.

- Słyszałeś kiedyś o śmierci głodowej? - Deacon dał chłopcu lekkiego kuksańca w tył głowy. - Nie mam w domu nic do jedzenia - burknął. - Dziś po południu chciałem zrobić wszystkie zakupy. Jutro w sklepach będzie obłęd. - Obrócił Terry'ego w stronę policjanta. - Nie panikuj - powiedział łagodniejszym tonem, wyczuwając jego napięcie. - Nie zostawię cię. W odróżnieniu od Toma nie spieszę się do żadnej ze swoich żon.

- Czy to ty, Lawrence? Mówi Michael. Michael Deacon... Tak, właściwie mam pewien problem. Potrzebuję szanowanego prawnika, który potwierdzi kilka niewinnych kłamstewek... Tylko policji. - Deacon trzymał komórkę w sporej odległości od ucha. - Słuchaj, to ty

powiedziałeś mi, żebym znalazł sobie jakieś stworzenie, więc powinieneś mi teraz pomóc... Nie, to nie jest groźny pies i nikogo nie pogryzł. To nieszkodliwy mały znajda... Nie potrafię udowodnić, że jestem jego właścicielem i mogą zabrać go na święta do azylu... Tak, też uważam, że byłoby szkoda... To wszystko. Potrzebuję tylko poręczenia... Zrobisz to? Porządny z ciebie chłop. Komisariat policji na Isle of Dogs. Zwrócę ci za taksówkę.

Terry siedział zgarbiony na przednim siedzeniu samochodu Deacona, który stał zaparkowany na jednej z bocznych uliczek East Endu.

- Powinieneś powiedzieć mu prawdę. Facet zdębieje, kiedy przyjedzie i zobaczy, co jest grane. Na pewno nie będzie nadstawiał karku za kogoś, kogo nie zna. - Terry położył dłoń na klamce. - Powiniennem spadać, póki sprawy nie zaszły za daleko.

- Nawet o tym nie myśl - powiedział spokojnie Deacon. - Obiecałem sierżantowi, że będziesz o piątej w komisariacie i mam zamiar dotrzymać słowa. - Poczęstował chłopca papierosem i wziął jednego dla siebie. - Posłuchaj. Nikt nie zmusza cię do składania tych zeznań. Robisz to dobrowolnie, więc nie będzie żadnego maglowania, chyba że Tom postanowi cię sypnąć. Ale nawet wtedy będziesz specjalnie traktowany, bo niepełnoletnich można przesłuchiwać tylko w obecności dorosłego. Gwarantuję ci, że do tego nie dojdzie, ale gdyby tak się stało, Lawrence cię z tego wyciągnie.

- No dobra, ale...

- Zaufaj mi. Jeśli Lawrence powie, że nazywasz się Terry Dalton i masz osiemnaście lat, policja mu uwierzy. Jest bardzo przekonujący. Wygląda jak skrzyżowanie papieża z Albertem Einsteinem.

- Ale to pieprzony prawnik. Jeśli powiesz mu prawdę, pójdzie i powtórzy ją glinom. Tak robią prawnicy.

- Nieprawda - odparł Deacon z nieszczerym przekonaniem. - Prawnicy reprezentują interesy swoich klientów. Ale, na wszelki wypadek, powiem Lawrencowi tylko tyle, ile będę musiał.

Terry wyszedł z przesłuchania uśmiechnięty od ucha do ucha.

- Idziecie? - zapytał Deacona i Lawrence'a, mijając ich w poczekalni.

Mężczyźni dogonili go dopiero na ulicy.

- I co? - dopytywał się Deacon.

- Spoko. Nawet nie przeszło im przez myśl, że mógłbym nie być tym, za kogo się podaję. - Terry nie mógł powstrzymać się od śmiechu.

- Co w tym takiego zabawnego?

- Ostrzegli mnie przed tobą i Lawrencem. Ich zdaniem jesteście parą napalonych ciot,

które chcą mnie bzyknać. Gdyby było inaczej, nie włączylibyście się za mną. Przecież miałem tylko złożyć zeznania.

- Dobry Boże - jęknął Deacon. - I co im powiedziałaś?

- Powiedziałem, żeby się nie martwili, bo nie robię takich rzeczy.

- Świetnie! My mamy zszarganą opinię, a ty wychodzisz na niewiniątko.

- Tak to mniej więcej wygląda - odparł Terry, na wszelki wypadek chowając się za plecami Lawrence'a.

Lawrence zachichotał pogodnie.

- Szczerze mówiąc, pochlebia mi, że ktoś posądza mnie jeszcze o taką żywotność. - Wziął Terry'ego pod ramię i poprowadził go w kierunku pubu na rogu ulicy. - Jak ty to powiedziałeś? Napalone cioty? Jestem oczywiście stary i nie znam waszych nowych określeń, ale wydaje mi się, że geje brzmi lepiej. - Zatrzymał się przed drzwiami pubu, czekając, aż Terry je otworzy. - Dziękuję - powiedział, chwytając chłopca za rękę dla utrzymania równowagi i ostrożnie pokonując stopień przy wejściu.

Terry za plecami Lawrence'a posłał Deaconowi udęczone spojrzenie, które miało oznaczać: „Ten stary pryk trzyma mnie za rękę i próbuje się do mnie przystawiać”, ale Deacon zmroził go lodowatym uśmiechem.

- Należało ci się - oświadczył beznamiętnie, wchodząc za nimi do środka.

Barry Grover spojrzał nieco zmieszany na ochroniarza, który niespodziewanie stanął w drzwiach jego pokoju.

- No, synu, kończ już na dzisiaj - powiedział stanowczym tonem Glen Hopkins. - Redakcja jest zamknięta, a ty powinieneś się rozerwać.

Glen Hopkins był prostolinijnym, emerytowanym podchorążym marynarki. Po dłuższym namyśle, nasłuchawszy się złośliwych plotek na temat Barry'ego, rozpuszczanych przez kobiety, postanowił wziąć sprawy w swoje ręce. Dobrze wiedział, co gnębi Barry'ego, wiedział też, że nie ma takich problemów, z którymi nie można by się uporać dzięki praktycznej radzie i szczerzej rozmowie. Spotykał się z takimi przypadkami w marynarce, chociaż trzeba przyznać, że byli to na ogół mężczyźni młodszy od Barry'ego.

Barry zasłonił wycinki rozłożone na biurku.

- Pracuję nad czymś ważnym - odburknął.

- Nieprawda. Obaj wiemy, co robisz.

Barry zdjął okulary i spojrzał w stronę drzwi niewidzącym wzrokiem.

- Nie rozumiem, o czym pan mówi.

- Doskonale rozumiesz. I wiesz, że to, co robisz, jest niezdrowe. - Glen ruszył ciężko

w kierunku biurka. - Posłuchaj mnie, synu. Mężczyzna w twoim wieku powinien używać życia, a nie zamykać się w ciemnym pokoju i przeglądać zdjęcia. Mam tu kilka wizytówek z adresami i numerami telefonów. Zrobisz najlepiej, jeśli wybierzesz sobie którąś z nich i zadzwonisz. Zapłacisz parę funtów i będziesz musiał włożyć prezerwatywę, ale obsłużą cię jak należy. Wiesz, co mam na myśli... To żaden wstyd, skorzystać na początku z pomocy przyjaciela. - Położył na biurku wizytówki kilku prostytutek i poklepał Barry'ego ojcowskim gestem po plecach. - Przekonasz się, że to o niebo lepsze niż wszystkie twoje fotki.

Barry zaczerwienił się po uszy.

- Pan mnie źle zrozumiał, panie Hopkins. Pracuję nad materiałem dla Michaela Deacona. - Odsłonił zdjęcia Billy'ego Blake'a i Jamesa Streetera. - To poważna sprawa.

- I dlatego Mike siedzi przy biurku obok i pomaga ci - powiedział ironicznie Glen - zamiast balować jak zwykle. Daj spokój, synu. Nie istnieje nic takiego, czego nie można odłożyć na później. Możesz uznać, że to nie moja sprawa, ale znam się na ludziach i wiem, że siedząc tutaj, nie poradzisz sobie ze swoimi kłopotami.

Barry odsunął się od niego.

- To nie to, co pan myśli - wymamrotał.

- Czujesz się samotny i nie wiesz, jak sobie z tym poradzić. Twoja matka ma wścibski charakter - nie zapominaj, że to ja odbieram telefony, kiedy dzwoni tu wieczorem. Nie pogniewaj się za szczerość, ale moim zdaniem już dawno powinieneś wydorosnąć. Musisz tylko nabrać trochę pewności siebie, a nigdzie nie jest powiedziane, że nie możesz za to zapłacić. - Jego ponura twarz rozjaśniła się w uśmiechu. - A teraz zmiataj stąd i zrób sobie niezapomniany świąteczny prezent.

Barry poczuł się tak upokorzony, że mógł tylko wziąć wizytówki ze stołu i wyjść. Chciało mu się płakać ze wstydu i kiedy brama redakcji zamknęła się za jego plecami, stał przez chwilę na chodniku, mrugając bezradnie oczami. Tak bardzo się bał, że Glen będzie wypytywał go o wrażenia, że w końcu skierował się do budki telefonicznej i zadzwonił pod pierwszy z brzegu numer telefonu wyczytany na wizytówce. Gdyby Barry wiedział, że Glen, w prostodusznym przeświadczeniu o uniwersalnie dobroczynnych skutkach uprawiania seksu, wręczał wizytówki prostytutek wszystkim znajomym mężczyznom, którym, jego zdaniem, nie wiodło się w życiu, być może pomyślałby dwa razy nad tym, co robi. Obawiał się jednak, że jeśli nie sprost oczekiwaniom Glena, jego dziewictwo stanie się publiczną tajemnicą, i bardziej z lęku przed złośliwymi docinkami w pracy niż z chęci przeżycia erotycznej przygody zgodził się zapłacić sto funtów za spotkanie z Fatimą, Rozkoszną Turczynką.

ROZDZIAŁ 9

- A teraz - powiedział Lawrence, kiedy wszyscy trzej zasiedli już przy stoliku - może Terry zechce mi wyjaśnić, co właściwie tutaj robię.

Terry zanurzył nos w kuflu piwa, udając, że nie dosłyszał pytania.

- To całkiem proste... - zaczął Deacon.

- W takim razie prosiłbym, aby Terry mi to wytłumaczył - przerwał starszek z zaskakującą stanowczością. - Uwielbiam prostotę, Michael, ale póki co wprawiasz mnie tylko w coraz większe zdumienie. Wątpię, żeby Terry był rzeczywiście tym, za kogo się podaje, a to oznacza, że obaj: i ty, i ja możemy zostać oskarżeni o poplecznictwo, jeżeli chłopak zataił prawdę na temat przestępstwa, którego dopuścił się w przeszłości.

Na twarzy Terry'ego pojawił się wyraz rezygnacji.

- Od razu wiedziałem, że to kiepski pomysł - zwrócił się do Deacona, wyraźnie przybity. - Po pierwsze, nie rozumiem ani słowa z tego, co on gada. To zupełnie jak z Billym. Bez przerwy używał słów, które reszta z nas słyszała po raz pierwszy w życiu. Powiedziałem mu kiedyś, żeby zaczął wreszcie gadać po ludzku, a on zaczął się śmiać, jakbym powiedział coś wyjątkowo zabawnego. - Zmierzył Lawrence'a lodowatym spojrzeniem. - Wszyscy chrzanią tylko w kółko o nazwisku! - wybuchnął. - Co takiego jest w nazwisku? Albo w wieku? Ważne jest to, jak się zachowujesz, a nie, ile masz lat. W porządku. Może nie nazywam się Terry i może nie mam osiemnastu lat, ale liczy się tylko to, czy mnie szanują. Pewnego dnia będę kimś, a ludzie tacy jak wy będą chcieli mnie poznać bez względu na to, jak się nazywam. Liczę się ja - wskazał palcem na swoją pierś - a nie moje nazwisko.

Deacon poczęstował Terry'ego papierosem.

- Nie ma mowy o żadnym przestępstwie, Lawrence - zauważył rzeczowo.

- Skąd wiesz?

- A nie mówiłem? - odparował gwałtownie Terry. - Pieprzeni prawnicy. Teraz będzie mi wmawiał, że kłamię.

Deacon wykonał uspokajający ruch ręką.

- Dwa lata temu, kiedy miał dwanaście lat, Terry uciekł z domu dziecka. Nie chce, żeby odesłali go z powrotem, bo ich opiekun był pedofilem. Więc dodał sobie cztery lata i pod przybranym nazwiskiem zamieszkał w starym magazynie razem z bezdomnymi. Oto cała

historia.

Lawrence cmoknął zniecierpliwiony językiem, nie zrażony niedawnym wybuchem złości Terry'ego.

- Mówisz tak spokojnie o tym, że dzieciak przeżył w koszmarnych warunkach, bez szkoły i opieki rodziców, dwa z najważniejszych lat swojego życia? Może powinienem ci przypomnieć, że nie dalej jak pięć godzin temu mówiłeś mi, że chciałbyś zostać ojcem. - Uniósł swoją chudą, niemal przezroczystą dłoń w kierunku Terry'ego. - Teraz, kiedy uniemożliwiłeś policji roztoczenie nad nim opieki, ten młody człowiek nie jest już nieszkodliwym przybłądą, którego możesz puścić samopas. Wymaga opieki i troski, które w cywilizowanym społeczeństwie...

- Był jeszcze Billy - przerwał mu gwałtownie Terry. - On się o mnie troszczył.

Lawrence obserwował go przez chwilę, a następnie wyjął z portfela zdjęcie, które dał mu Deacon.

- Czy to jest Billy?

Terry rzucił okiem na wychudłą twarz i odwrócił głowę.

- Tak.

- Musi ci go brakować.

- Bez przesady. - Terry spuścił głowę. - Nie był znowu taki super. Jak zaczynał świrować, to ja musiałem się nim zajmować.

- Ale kochałeś go?

Chłopiec zacisnął pięści.

- Jeśli chcesz mi powiedzieć, że ja i Billy byliśmy ciotami, to nie ręcę za siebie.

- Mój drogi chłopcze - odparł spokojnie staruszek - nie przeszło mi to nawet przez myśl. To straszne, że wypadło ci żyć w świecie, w którym mężczyźni boją się okazywać sobie uczucie z powodu tego, co inni mogliby o nich pomyśleć. Istnieją tysiące rozmaitych form miłości, a miłość fizyczna jest tylko jedną z nich. Myślę, że kochałeś Billy'ego jak ojca, a z tego, co o nim mówisz, wnoszę, że on kochał cię jak syna. Czy jest to coś tak wstydliwego, że trzeba temu zaprzeczać?

Terry nie odpowiedział i zapadła cisza. Deacon przerwał ją wreszcie, bo zaczynała być krępująca.

- Nie wiem jak wy, ale ja mam za sobą okropną noc i niewiele lepszy dzień. Moim zdaniem Terry to bystry dzieciak, który miał w życiu cholernego pecha - ale z pewnością ma więcej oleju w głowie niż ja w jego wieku. Mam w domu wolne łóżko, a ponieważ wygląda na to, że czekają mnie kolejne samotne święta, nie miałbym nic przeciwko towarzystwu. Co

ty na to, Terry? Wolisz spędzić następnych kilka dni u mnie czy w magazynie? Możemy zrobić sobie ferie, a Lawrence pomyśli w tym czasie o twojej przyszłości.

- Podobno nie masz nic do jedzenia - odburknął Terry.

- To prawda. Możemy wziąć dzisiaj coś na wynos, a jutro postaramy się o indyka.

- Tak naprawdę nie masz ochoty na moje towarzystwo. Pomyślałeś o tym tylko dlatego, że Lawrence uważa, że nie nadajesz się na ojca.

- Racja. Ale jednak o tym p o m y ś l a ł e m , więc jak? - Deacon popatrzył na siedzącego z opuszczoną głową chłopca. - Słuchaj no, ty cholerny mały upierdliwcu, przez cały dzień nie dałem ci powodów do narzekań. Zgoda, o ojcostwie nie mam bladego pojęcia, ale należy mi się chyba przynajmniej krótkie „dziękuję” za to, co dla ciebie robię.

Terry uśmiechnął się i podniósł głowę.

- Dzięki, tatku. Dobrze się spisałeś. Co powiesz na hinduskie zarcie?

W chłodnych oczach chłopaka pojawił się błysk triumfu, zbyt krótki, by Deacon zdołał go zauważyć. Ale Lawrence dostrzegł go wyraźnie. Wiek i doświadczenie sprawiły, że podświadomie oczekiwał takiej reakcji.

*

Lawrence odmówił, gdy Deacon zaproponował, że podwiezie go do domu, poprosił jednak o adres w Islington, na wypadek gdyby skontaktowała się z nim policja. Poradził Terry'emu, żeby zastanowił się przez najbliższe dni, czy powrót do magazynu jest rzeczywiście najlepszym rozwiązaniem. Ostrzegł, że jego prawdziwy wiek i tożsamość wyjdą bez wątpienia na jaw, kiedy zostanie wezwany do złożenia zeznań przed sądem, i zasugerował, żeby pomyślał o dobrowolnym uregulowaniu swojej sytuacji, zanim zrobi to za niego policja. Następnie poprosił Terry'ego, żeby poszedł do baru i zamówił mu taksówkę, a kiedy chłopak znalazł się dostatecznie daleko, by nie słyszeć jego słów, Lawrence ostrzegł Deacona przed naiwnością.

- Zachowaj zdrowy sceptycyzm, Michael. Nie zapominaj o tym, jakie życie prowadził Terry i jak mało w gruncie rzeczy o nim wiesz.

Deacon uśmiechnął się.

- A już się bałem, że powiesz mi, abym przycisnął go do serca i okazał prawdziwe uczucie. Dam sobie radę. Zdrowy sceptycyzm to moja specjalność.

- Ależ, mój drogi. Nie sądzę, żebyś był rzeczywiście tak twardy, jak myślisz. Uwierzyłeś we wszystko, co ci powiedział bez mrugnięcia okiem.

- Uważasz, że chłopak kłamie?

Lawrence wzruszył ramionami.

- Martwi mnie, że w naszej rozmowie tak często powracał temat homoseksualizmu. Jeśli zabierzesz go do domu, możesz się narazić na oskarżenie o usiłowanie popełnienia gwałtu. A wtedy nie będziesz miał innego wyjścia, jak tylko zapłacić mu tyle, ile zażąda.

Deacon zmarszczył brwi.

- Daj spokój, Lawrence. Chłopak ma na tym punkcie kompletną paranoję. Nie pozwoliliby mi się nawet dotknąć, więc jak miałby oskarżyć mnie o gwałt?

- O u s i ł o w a n i e gwałtu, mój drogi. I zwróc, proszę, uwagę, jak skutecznie rozwiązałeś twoje obawy; doszedłeś do wniosku, że możesz bezpiecznie zaprosić go do domu, do czego, prawdę powiedziawszy, nie mam całkowitego przekonania.

- Więc dlaczego mnie do tego zachęcałeś?

Lawrence westchnął.

- Wcale cię nie zachęcałem, Michael. Miałem nadzieję przekonać was obu, że Terry powinien wrócić do domu dziecka. - Obserwował chłopca, który rozmawiał przy barze. Barman próbował mu wręczyć książkę telefoniczną, ale Terry wyraźnie nie chciał z niej skorzystać. - Powiedz, co zrobisz, jeśli zaczniesz krzyczeć i targać na sobie ubranie, i zagrozi, że pobiegnie do któregoś z twoich sąsiadów, żeby opowiedzieć mu historię o uwięzieniu i molestowaniu seksualnym?

- Dlaczego miałby to zrobić?

- Na przykład dlatego, że robił tak wcześniej i wie, że to skutkuje. Mój drogi, musisz spojrzeć prawdzie w oczy.

- Znakomicie - westchnął Deacon, chowając twarz w dłoniach. - Więc co mam teraz zrobić? Powiedzieć gówniarzowi, żeby się wypchał?

Lawrence zachichotał.

- Ajajaj! Jak łatwo upadasz na duchu. Najmniej szlachetnie, ale prawdopodobnie najrozsądniej byłoby odstawić go z powrotem na policję i pozwolić, żeby zajęli się nim pracownicy opieki społecznej. Byłoby to jednak postępowanie bardzo nieuprzejme, biorąc pod uwagę, że zaproponowałeś temu nieszczęśnikowi spędzenie świąt pod twoim dachem. Poza tym - przeczony zawsze ubezpieczony. Myślę, że musisz podtrzymać swoje zaproszenie, ale przez cały czas mieć się na baczności.

- Może powinieneś się na coś zdecydować? - odburknął Deacon. - Pół minuty temu ten n i e s z c z ę s n i k miał zamiar oskubać mnie z kasy.

- Jedno nie wyklucza drugiego. Terry jest pozbawionym miłości, niewykształconym, psychicznie nieufornowanym młodzieńcem, który nauczył się w swoim trudnym życiu kilku

nieskomplikowanych sztuczek zapewniających pieniądze na ubranie, jedzenie, picie i narkotyki. Może się okazać, że będziesz właśnie tą osobą, która pomoże mu wrócić na właściwą drogę.

- Przerobi mnie na szaro - odparł posepnie Deacon.

- Na pewno nie - mruknął Lawrence, patrząc w kierunku baru, gdzie Terry poprosił w końcu barmana o znalezienie w książce telefonicznej numeru radio-taxi. - Ty przynajmniej umiesz czytać.

Barry czuł jedynie upokorzenie, stojąc naprzeciwko Fatimy, która na domiar złego mówiła bardzo słabo po angielsku. Światło w jej pokoju było przyćmione, a Barry z mieszaniną lęku i obrzydzenia spoglądał na wygniecioną pościel, która wciąż jeszcze zdawała się nosić na sobie ślady bytności poprzedniego klienta. W pokoju panowała duszna, orientalna atmosfera, której źródłem były nie tyle kadzidełka, płonące rzędem na toalecie, co raczej sama Fatima.

Była pulchną, niemłodą już kobietą i zachowywała się z profesjonalną rutyną, nie pozwalając sobie na marnowanie czasu. Szybko zorientowała się, że ma do czynienia z prawiczkim i niecierpliwie spoglądała na zegarek, podczas gdy Barry bąkał coś niewyraźnie pod nosem i zastanawiał się rozpaczliwie, jak, nie obrażając kobiety, wybrnąć z tej okropnej sytuacji.

- Sto - przerwała mu niecierpliwie, wykonując charakterystyczny ruch dłonią. - Ty ściągać spodnie. Kto pyta, jak ty na imię? Ja mówić złotko. Co ty lubić, złotko? Normalnie? Od tyłu? - Ściągnęła usta tak, że przypominały dojrzały pączek róży. - Ty ładny, czysty chłopiec. Za sto i pięćdziesiąt Fatima zrobić chlap-chlap. Ty lubi chlap-chlap? No jak, złotko?

Barry, bojąc się, że nie będzie mógł wyjść, jeśli wcześniej nie zapłaci, wygrzebał portfel z kieszeni płaszcza i pozwolił kobiecie, żeby wyciągnęła z niego pięć dwudziestofuntowych banknotów. Popęłił błąd. Gdy tylko pieniądze zmieniły właściciela, a Barry nie zaczął zrzucać z siebie ubrania, Fatima postanowiła go w tym wyręczyć. Była silną kobietą i widać było, że ma zamiar uczciwie wywiązać się z umowy.

- No dalej, złotko. Nie trzeba wstydzic. Fatima znać wszystkie sztuczki. O tak, nie ma żaden problem. Ty duży chłopiec.

Wprawnym ruchem wyciągnęła z szuflady prezerwatywę, założyła ją z doskonałą zręcznością i ochoczo zabrała się do prezentowania swoich umiejętności.

Barry nie dostroił się do jej poziomu i cała sprawa zakończyła się po kilkunastu sekundach.

- No już, złotko - powiedziała. - Wszystko zrobione, wszystko zadowolone. Ty naprawdę duuuży chłopiec. Ty przyjść zawsze, jak mieć sto. Fatima zawsze chętna. Następnym razem mniej gadać, więcej robić, okay? Ty płacić za dobra seks i Fatima dawać dobra seks. Może ty lubić od tyłu, może ty lubić ładna okrągła dziurka Fatimy? Teraz ty wkłada spodnie i mówi pa, pa.

Otworzyła drzwi, zanim Barry zdążył się do końca ubrać, a ponieważ nie wiedział, co zrobić z prezerwatywą, wsunął ją ukradkiem do kieszeni. Kiedy był już na schodach zawołała za nim: „Ty wrócić szybko, Bari”, a on poczuł, jak przepelnia go wstręt do niej i tego, co z nim zrobiła.

- Co ci nagadał staruszek, kiedy stałem przy barze? - dopytywał się podejrzliwie Terry, kiedy wspólnie z Deaconem wracali do samochodu.

- Nic takiego. Zastanawiał się nad tym, co byłoby dla ciebie najlepsze.

- Dobra, dobra. Jeśli wytnie mi numer i pójdzie na policję, nie chcę być w jego skórze.

- Obiecał ci, że tego nie zrobi. Nie wierzysz mu?

Terry kopnął w krawężnik.

- Kto go tam wie. Poza tym wkurza mnie, że łapał mnie za rękę i mówił do każdego „mój drogi”. Myślisz, że jest ciotką?

- Nie. A robiłoby ci to różnicę?

- No pewnie. Nie zadaję się z pedałami.

Deacon wsadził kluczyk do zamka, ale zanim go przekreślił, spojrzał raz jeszcze ponad dachem samochodu na swojego przyszłego pasażera.

- Więc po co w kółko o nich mówisz? - zapytał. - Jesteś jak alkoholik, który nie może powstrzymać się od gadania o gorszale, bo skręca go, żeby się napić.

- Nie jestem pieprzonym pedałem - odparł z oburzeniem Terry.

- Więc przestań o tym gadać.

- W porządku. Możemy podjechać pod magazyn?

Deacon zmierzył go uważnym spojrzeniem.

- Po co?

- Chcę zabrać parę rzeczy. Trochę ciuchów. Nieważne.

- Dlaczego nie możesz zostać w tym, co masz na sobie?

- Bo nie jestem jakimś pieprzonym włóczęgą.

*

Po dziesięciu minutach bębnienia palcami w kierownicę i oczekiwania na powrót Terry'ego, Deacon zaczął się zastanawiać, czy nie powinien pójść go poszukać. Słyszał już w głowie głos Lawrence'a: „Więc tak wygląda twoja opieka, Michael? Pozwalasz, żeby czternastoletni chłopak szedł sam do złodziejskiej meliny, i, twoim zdaniem, na tym polega odpowiedzialność?”

Odłożył jedną trudną decyzję, podejmując inną. Sięgnął po swój telefon komórkowy i wystukał numer siostry.

- Emma? - zapytał, słysząc kobiecy głos po drugiej stronie słuchawki.

- Nie, Antonia.

- Masz taki sam głos jak twoja matka.

- Przepraszam, kto mówi?

- Twój wujek Michael.

- O Boże! - powiedział nieco wystraszony głos po drugiej stronie. - Słuchaj, nie rozłączaj się, dobrze? Zawołam mamę. - Deacon słyszał, jak dziewczyna odkłada na stół słuchawkę i woła matkę. - Mamo, mamo, prędko! To Michael.

W słuchawce odezwał się zdyszany głos jego siostry.

- Halo, halo! Michael?

- Uspokój się i złap oddech - powiedział z lekkim rozbawieniem. - Jestem przy telefonie.

- Zdyszałam się. Gdzie jesteś?

- W samochodzie przed magazynem na East Endzie.

- Co tam robisz?

- Nic szczególnego. - Wyglądało na to, że rozmowa może pozostać na etapie niezobowiązującej pogadanki, bo Emma, podobnie jak Deacon, wykazywała sporą wprawę w odwlekaniu trudnych spraw. - Słuchaj, dostałem twoją kartkę. Dostałem też kartkę od Julii. Podobno z mamą nie jest najlepiej.

Zapadła krótka cisza.

- Julia nie powinna ci o tym pisać - powiedziała nieco rozczarowana. - Miałam nadzieję, że nie dzwonisz z poczucia winy, ale dlatego, że chcesz skończyć tę głupią szarpaninę.

- Nie dzwonię z poczucia winy.

- A więc z litości.

Czy odczuwał litość? Najsilniejszym uczuciem był nadal gniew.

„Nie waż się nigdy przyprowadzić tej dziwki do mojego domu”, powiedziała jego

matka, kiedy oświadczył jej, że ożenił się z Klarą. „Zhańbiłeś nazwisko swojego ojca pozwalając, żeby nosiła je jakaś drobna kurewka. Czy nie wystarczy ci, że go zabiłeś, Michael?” Działo się to pięć lat temu i od tego czasu nie odezwał się do niej ani słowem.

- Wciąż czuję złość, Emmo, więc może dzwonię po prostu z poczucia obowiązku. Nie mam zamiaru przeproszać ani jej, ani ciebie - jeśli o to ci chodzi - ale przykro mi, że jest chora. Co chcesz, żebym zrobił? Chętnie się z nią zobaczę, jeśli jest gotowa trzymać język na wodzy, ale wyjdę, jeśli znowu zacznie swoje. To jedyny układ, na jaki mogę się zgodzić, więc decyduj, czy mam przyjść, czy nie.

- Nie zmieniłeś się ani trochę, prawda? - Jej głos zdradzał rozdrażnienie. - Twoja matka jest właściwie ślepa, z powodu cukrzycy grozi jej amputacja nogi, a ty mówisz o układach. Poczucie obowiązku... Przez większą część września leżała w szpitalu, a teraz ja i Hugh wydajemy majątek na pielęgniarkę, która opiekuje się nią na farmie, bo matka nie chce zamieszkać razem z nami. To jest poczucie obowiązku, Michael. Pewność, że twoja matka ma właściwą opiekę, nawet jeśli oznacza to poważne wyrzeczenia.

Deacon spojrzał w stronę magazynu, marszcząc mimowolnie brwi.

- A co się stało z jej lokatami? Pięć lat temu miała z nich całkiem dobry dochód, więc dlaczego sama nie płaci za swoją opiekę?

Emma nie odpowiedziała.

- Jesteś tam?

- Tak.

- Dlaczego nie płaci sama?

- Matka postanowiła wziąć na siebie edukację dziewczynek i opłaciła z góry czesne za ich szkołę - wyznała z oporem Emma. - Zostawiła sobie pieniądze na życie, ale nie starczyło tego na nic więcej. Nie prosiliśmy jej o to - dodała zapobiegliwie. - To był jej pomysł, ale nikt z nas nie mógł przypuszczać, że choroba przykuje ją praktycznie do łóżka. Nie braliśmy cię pod uwagę, bo z tego, co wiem, miałeś się już do nas nigdy więcej nie odezwać.

- To prawda - przyznał chłodno. - Rozmawiam z tobą tylko dlatego, że Julia była tak cholernie pewna, że tego nie zrobię.

Emma westchnęła.

- Czy tylko dlatego dzwonicz?

- Tak.

- Nie wierzę ci. Dlaczego nie możesz po prostu powiedzieć przepaszam i puścić wszystkiego w niepamięć?

- Ponieważ nie mam za co przeproszać. To nie moja wina, że tata nie żyje, niezależnie

od tego, co ty i mama na ten temat myślicie.

- Nie o to miała do ciebie żal. Chodziło jej o sposób, w jaki potraktowałeś Julię.

- To nie jej sprawa.

- Julia była jej synową. Była do niej bardzo przywiązana. Ja też.

- To nie wyście się z nią ożeniły.

- Nie stać cię na zbyt wiele, Michael.

- No cóż, przynajmniej o was nie można tego powiedzieć. W każdym razie nie teraz, kiedy ty i Hugh zgarnęliście całą kasę - odparł z przekąsem Deacon. - Nigdy nie wziąłem od mamy ani centa i nie mam zamiaru robić tego teraz, a więc jeśli chce się ze mną zobaczyć, musi się to odbyć na moich warunkach, ponieważ nie jestem jej nic winny, bez względu na to, ile cholernych nóg może stracić.

- Nie mogę uwierzyć, że to powiedziałeś - warknęła jego siostra. - Czy w ogóle nie przejmujesz się jej chorobą?

Jeśli nawet się przejmował, nie zamierzał się do tego przyznać.

- Na moich warunkach, Emmo, albo wcale. Masz coś do pisania? Podam ci mój domowy numer telefonu. - Deacon podyktował cyfry. - Przypuszczam, że spędzicie święta na farmie, więc proponuję, żebyś omówiła to z mamą i dała mi znać. I pamiętaj, obiecałem Hughowi, że kiedy następnym razem go spotkam, porachuję mu kości, weź więc to pod uwagę, zanim podejmiesz decyzję.

- Nie możesz tego zrobić - powiedziała z oburzeniem. - On ma pięćdziesiąt trzy lata.

Deacon wyszczerzył zęby do słuchawki.

- Jeden cios powinien wobec tego wystarczyć.

Znów zapadło milczenie.

- Właściwie, to on już dawno chciał cię przeprosić - powiedziała słabym głosem. - Powiedział wtedy za wiele. Po prostu nerwy mu puściły. Później bardzo tego żałował.

- Biedny Hugh. Będzie to dla niego podwójnie bolesne, kiedy złamię mu nos.

Terry wyłonił się z magazynu z dwiema brudnymi walizkami, które rzucił na tylne siedzenie auta. Wyjaśnił, że w magazynie roіło się od pieprzonych złodziei i dlatego postanowił chronić swój dobytek, zabierając go z sobą. Deacon pomyślał, że wyglądało to raczej na generalną przeprowadzkę do bardziej luksusowego lokalu.

- Czy nieustanne powtarzanie słowa „pieprzony” nie staje się po jakimś czasie nudne?
- mruknął, zjeżdżając z krawężnika.

Zjedli swoje porcje przed restauracją, siedząc na masce samochodu Deacona. Groziło

to zamrażaniem, ale Deacon wołał nie ryzykować poplamienia tapicerki czerwonym sosem z kurczaka tandoori. Terry chciał wiedzieć, dlaczego nie weszli do środka.

- Nie sądzę, żeby w ogóle nas tam obsłużyli - powiedział Deacon dosyć surowym tonem - po tym jak nazwałeś ich asfaltami.

Terry uśmiechnął się szeroko.

- A jak ty o nich mówisz?

- Ludzie.

Siedzieli przez chwilę w milczeniu, wpatrując się w przestrzeń ulicy. Na szczęście była ona niemal całkowicie wyludniona, nie zwracali więc na siebie szczególnej uwagi. Deacon zastanawiał się, który z nich byłby bardziej zakłopotany, gdyby spotkał ich teraz jakiś znajomy.

- Co robimy? - zapytał Terry, pakując do ust ostatnią cebulkę bhaji. - Wpadniemy do pubu? Może do klubu? Idziemy balować?

Deacon, który marzył tylko o tym, żeby wyciągnąć nogi przed kominkiem i pogapić się w telewizor, westchnął cicho sam do siebie: puby, kluby, balangi? Czuł się stary i zmęczony. Nadpobudliwość chłopca - całe to nerwowe kręcenie się, drapanie, zmienianie pozycji, którego świadkiem był od ponad godziny, nasuwało niepokojącą myśl o pchłach, wszach i pluskwach. To z kolei sprawiło, że Deacon zaczął głowić się nad tym, jak wpakować Terry'ego do wanny, a jego ciuchy do pralki, nie będąc przy tym źle zrozumianym.

Jedno było pewne. Nie zamierzał podporządkować się dzikim obyczajom Terry'ego.

Kłótnia między Emmą i Hughiem Tremayne'ami stawała się coraz głośniejsza i Hugh, jak zwykle w takich momentach, sięgnął po butelkę whisky.

- Masz pojęcie, jak to jest być jedynym mężczyzną w domu pełnym apodyktycznych bab? - dopytywał się podniesionym głosem. - Czy myślisz, że nie korciło mnie nigdy, żeby rzucić to wszystko jak Michael i iść sobie w cholere? Gderać, gderać, gderać. Tylko to naprawdę umiecie, ty i twoja matka!

- To nie ja nazwałam Michaela żalonym palantem - odparła z furią Emma. - To był twój pomysł. Chociaż do dziś nie potrafię zrozumieć, jakim prawem kazałeś mu się wynosić z jego własnego domu. Jesteś w naszej rodzinie tylko dlatego, że ożeniłeś się ze mną.

- Masz rację - powiedział gwałtownie Hugh, napełniając ponownie szklanekę. - I co ja tu jeszcze, do cholery, robię? Czasami myślę, że jedyną osobą w twojej rodzinie, którą naprawdę lubiłem, był twój brat. Jest na pewno najmniej wredny z was wszystkich.

- Nie bądź dziecinny - warknęła.

Przyglądał się jej ponurym wzrokiem znad uniesionej szklanki.

- Nigdy nie lubiłem Julii. Była wyrachowaną suką. I na pewno nie obwiniałem Michaela za to, że związał się z Klarą. A jednak dałem się wciągnąć w tę awanturę i stanąłem po waszej stronie, chociaż powinienem był powiedzieć Michaelowi, żeby pieprzył cały ten dom razem z tobą i z Penelopą. Moim zdaniem miał absolutną rację. Darłyście się na niego jak dwie wściekłe przekupy przez ponad godzinę, zanim w końcu stracił cierpliwość, a ty miałaś czelność nazwać jego żonę pospolitą zdzirą. - Potrząsnął głową i skierował się w stronę drzwi. - Nic mnie to już nie obchodzi. Jeśli chcesz pomocy Michaela, to lepiej przekonaj swoją matkę, żeby okazała mu choć odrobinę szacunku.

Emma była bliska płaczu.

- Jeśli jej to powiem, w ogóle nie będzie z nim rozmawiać. To wina Julii. Gdyby nie powiedziała mu o chorobie mamy, pewnie i tak by zadzwonił.

- Niedługo zabraknie ci osób do oskarżania.

- Co robić, co robić? - lamentowała. - Ona musi sprzedać tę farmę.

- To twoja parszywa rodzinka - warknął. - Więc radź sobie sama. Dobrze wiesz, że nigdy nie chciałem brać pieniędzy od twojej matki. Czuję, w co się pakujemy. - Trzasnął za sobą drzwiami. - I nie jadę na święta na farmę! - wrzasnął z hallu. - Robiłem to przez szesnaście cholernych lat, szesnaście lat katuszy.

- Zrobimy tak - powiedział Deacon, stając przed drzwiami swojego mieszkania i stawiając na ziemi walizkę, którą niósł przez trzy kondygnacje schodów. - Wyciągniesz z walizek wszystko, co nadaje się do prania, i zostawisz tutaj. Następnie zapakujemy to do plastikowych worków i włożymy do pralki, kiedy będziesz się kąpał. To, co masz na sobie, zostawisz pod drzwiami łazienki, zamkniesz się w środku, a ja zabiorę twoje ciuchy i podrzucę ci do ubrania coś ze swoich rzeczy. Zgoda?

W półmroku korytarza Terry wyglądał na znacznie więcej niż czternaście lat.

- Mówisz, jakbyś się mnie bał - zauważył z zaciekawieniem. - Co ci naprawdę naopowiadał ten stary zgred Lawrence?

- Powiedział mi, że zapewne poświęcałeś zbyt mało uwagi higienie osobistej.

- Dobra, dobra - Terry wyglądał na rozbawionego. - Jesteś pewien, że nie mówił ci o numerze z gwałtem?

- To też - odparł Deacon.

- Sprawdzona rzecz. Spotkałem kiedyś kolesia, który naciął w ten sposób faceta na pięć stówek. Jakiś stary pierdziel zaprosił go do domu, a w chwilę potem chłopak darł się już na całe gardło, że próbują go zgwałcić. - Terry uśmiechnął się przyjaźnie. - Założę się, że

Lawrence nieźle ci nagadał. Potrafi być upierdliwy. Ale nie ma racji, jeśli myśli, że cię przekreśli. Billy nauczył mnie jednej rzeczy: nigdy nie gryź ręki, która cię karmi. Więc nie masz się czego bać. Z mojej strony nic ci nie grozi.

Deacon otworzył drzwi do mieszkania i sięgnął ręką, żeby zapalić światło.

- Miło to słyszeć, Terry. Więc obaj możemy odetchnąć.

- Obaj? Czy to znaczy, że przygotowałeś coś na wszelki wypadek?

- Nazywają to zemstą.

Terry uśmiechnął się szeroko.

- Nie możesz mścić się na nieletnim. Gliniarze by cię ukatrupili.

Deacon odwzajemnił się dość kwaśnym uśmiechem.

- Dlaczego zakładasz, że byłbyś jeszcze wtedy nieletni, albo, że zrobiłbym to sam? Jest jeszcze jedno powiedzenie, którego Billy powinien był cię nauczyć: zemsta jest rozkoszą bogów. - Nagle zniżył głos niemal do szeptu: - Będziesz miał ułamek sekundy, żeby sobie o tym przypomnieć, kiedy jakiś psychol załatwi cię tak, jak Denning załatwił dzisiaj Waltera. A jeśli będziesz miał dość szczęścia, p r z e ż y j e s z tylko po to, żeby przez resztę życia żałować tego, co zrobiłeś.

- No, ale tak nie będzie, prawda? - wymamrotał Terry, trochę zaniepokojony tonem Deacona. - Mówiłem już, z mojej strony nic ci nie grozi.

Mieszkanie Deacona nie przypadło Terry'emu do gustu. Nie podobało mu się, że drzwi wejściowe otwierały się wprost na salon. – „Jezu, musisz tu mieć zawsze posprzątane”; nie podobał mu się wąski korytarz, który prowadził do łazienki i dwóch sypialni. - „Gdyby nie te kretyńskie ściany, byłoby tu więcej miejsca”; tylko kuchnia okazała się do przyjęcia, ponieważ tworzyła z salonem jedną przestrzeń. - „Można przynajmniej pooglądać telewizję przy jedzeniu”. Kiedy wymoczył się już w wannie, ubrany w zbyt obszerne dżinsy i bluzę Deacona paradował jeszcze przez jakiś czas po mieszkaniu, kręcąc głową nad panującym w nim bezguściem. Rozsiewał wokół silny zapach wody po goleniu Jazz („Buchnąłem z perfumerii”, wyznał z dumą), który, Deacon musiał to uczciwie przyznać, wprowadził do panującej w mieszkaniu atmosfery nieobecny tam dotąd element egzotyki.

Końcowy werdykt był druzgoczący.

- Nie jesteś sztywniakiem, Mike, więc jak to się stało, że masz taką beznadziejną chatę?

- Dlaczego jest, twoim zdaniem, beznadziejna? - Deacon z najwyższą ostrożnością za pomocą drewnianej łyżki z bardzo długą rączką wpychał patchworkowy pled Terry'ego do

wnętrza pralki automatycznej. Przygotowany na pchli desant, zamierzał gromić ewentualnych intruzów trzymaną w ręku łyżką, ale na szczęście żaden wróg nie pojawił się w zasięgu wzroku.

Terry zatoczył ręką szerokie koło.

- Jedyne sensowny pokój w tym mieszkaniu to twoja sypialnia, i to tylko dlatego, że masz tam sprzęt i kupę książek. W twoim wieku powinienes się już jakoś urządzić. Mam chyba więcej pieprzonych - przepraszam - gratów od ciebie, a nie żyję na świecie nawet połowy tego, co ty.

Deacon sięgnął po papierosy i poczęstował chłopca.

- Więc się nie żeń. Oto do czego mogą doprowadzić dwa rozwody.

- Billy zawsze powtarzał, że kobiety są niebezpieczne.

- Był żonaty?

- Chyba tak. Ale nigdy o tym nie mówił. - Terry otworzył drzwiczki jednej z szafek kuchennych. - Czy w tym lokalu jest coś do picia?

- W lodówce jest trochę piwa, a na półce pod ścianą otwarta butelka wina.

- Mogę dostać piwo?

Deacon wyjął z lodówki dwie puszki i rzucił jedną Terry'emu.

- Szklanki są w szafce po prawej.

Terry wołał pić prosto z puszki. Twierdził, że to w amerykańskim stylu.

- Wiesz coś o Ameryce? - zagadnął go Deacon.

- Tylko to, co mówił mi Billy.

Deacon podsunął sobie krzesło i usiadł na nim okrakiem.

- A co mówił Billy?

- Nie przepadał specjalnie za Ameryką. Uważał, że jest zepsuta przez pieniądze. Billy wołał Europę. I bez przerwy gadał o komuchach. Mówił, że są jak Jezus.

Zadzwoił telefon, ale ponieważ żaden z nich nie podniósł słuchawki, włączyła się taśma automatycznej sekretarki. „Michael, mówi Hugh - odezwał się pijany głos. - Będę jutro w porze lunchu w Czerwonym Lwie na Deanery Street. Nie będę teraz przepraszał, bo najpierw powinienes dać mi w pysk. Przepraszę, jak już to zrobisz. Mam nadzieję, że tak będzie uczciwie”.

Terry zmarszczył brwi.

- O czym on mówił?

- O zemście - odparł Deacon.

ROZDZIAŁ 10

Trzy mile od domu Deacona, na Fleet Street, Barry Grover czaił się ukryty w mroku, czekając aż Glen Hopkins skończy służbę. Gdy jego zmiennik, Reg Linden, zjawił się wreszcie na posterunku, Barry odczekał jeszcze piętnaście minut, po czym przebiegł przez ulicę i zapukał do drzwi. Reg, który pracował na nocnej zmianie i rzadko miewał styczność z pracownikami „Street”, już dawno przestał się dziwić nocnym wizytom Barry'ego, a nawet polubił je, bo dawały okazję do zamienienia kilku słów. Interesował się efektami pracy Barry'ego nie mniej niż on sam, a nie mając okazji do wysłuchiwania plotek na jego temat, był przekonany, że Barry cierpi na bezsenność. W ów szczególny nieskomplikowany sposób zastrzeżony dla osób, które nie pragną wiedzieć o sobie zbyt wiele, Reg i Barry byli zaprzyjaźnieni.

Reg uśmiechnął się serdecznie.

- Dalej ślęczysz nad sprawą tego włóczęgi?

Barry przytaknął. Gdyby Reg był bardziej spostrzegawczy, być może zastanowiłoby go dziwne podniecenie Barry'ego, a może zwróciłby nawet uwagę na rozpięty rozporek swojego gościa, ale natura nie obdarzyła go przesadną bystrością.

- Może ci się to przyda - powiedział, wyciągając spod biurka książkę w miękkiej oprawie. - Rozdział piąty: zaginieni. Niestety, nie ma zdjęć, ale znajdziesz tam parę ciekawych informacji na temat Jamesa Streetera. Pani Linden znalazła ją przypadkiem w księgarni i pomyślała, że być może chciałbyś przejrzeć. Pani Linden zawsze interesuje się tym, co robisz. - Reg zbył machnięciem ręki podziękowania Barry'ego i obiecał, że przyniesie mu na górę filiżankę herbaty, kiedy będzie ją zaparzał dla siebie.

*

Deacon wrzucił do pralki zawartość kolejnej plastikowej torby.

- Powiedziałeś, że w magazynie jest coś, co należało do Billy'ego - przypomniał. - Mówiłeś prawdę, czy chodziło ci tylko o to, żebym tam przyjechał?

- Mówiłem prawdę. Ale jeśli chcesz to obejrzyć, musisz najpierw zapłacić.

- Gdzie to jest?

Terry skinął głową w kierunku walizek, stojących w kącie pokoju.

- Tam.

- Dlaczego nie miałbym tam zajrzeć sam?

- Dlatego. - Chłopak zacisnął prawą dłoń w pięść. - Dostaniesz w paszczę, a jeśli mi oddasz, będę miał dowód napastowania. - Uśmiechnął się ujmująco. - Seksualnego, albo innego: jak mi się spodoba.

- Ile chcesz?

- Mój kumpel wyciągnął od starego pięć stów.

- Chyba ci odbiło, Terry. Chrzanię twojego Billy'ego. Już mnie to nudzi.

- Akurat. Kręci cię to tak samo jak mnie. Czterysta.

- Dwadzieścia.

- Sto.

- Pięćdziesiąt i radzę ci, nie podskakuj - teraz Deacon zacisnął pięść - albo poczujesz, jak to smakuje. I gwizdnę na konsekwencje. Mówię poważnie.

- W porządku. Niech będzie pięćdziesiąt. - Terry otworzył dłoń. - Forsa na rękę albo nie było rozmowy.

Deacon skinął głową w kierunku szafek kuchennych.

- Trzecia szarka od okna, puszka po herbatnikach. Weź pięć dziesiątek, a resztę włóż z powrotem.

Patrzył, jak chłopak znajduje puszkę, wyjmując z niej zwitek banknotów i odlicza z niego pięćdziesiąt funtów.

- Jezu, Mike, jesteś nieźle porąbany - powiedział Terry, siadając z powrotem na swoim miejscu. - Były tam jeszcze co najmniej dwie stowy. Jaką masz pewność, że ich nie zwinę, jeśli wiem, gdzie są?

- Żadnej - odparł Deacon. - Poza tym, że są moje, a ty ich nie zarobiłeś. Przynajmniej na razie.

- A jak mógłbym je zarobić?

- Naucz się czytać. - Deacon zauważył cyniczne spojrzenie Terry'ego. - Mogę ci pomóc.

- Aha. Przez całe dwa dni. A jak po dwóch dniach dalej nie będę umiał czytać, dostaniesz szału i będzie po zabawie.

- Dlaczego Billy cię nie nauczył?

- Próbował raz czy dwa - odparł niechętnie chłopak. - Ale miał za słaby wzrok, żeby uczyć czegoś poza tym, co miał w głowie. To jeszcze jedna z jego kar. Któregoś dnia wbił sobie w oko szpilkę i od tej pory nie mógł za długo czytać, bo bolała go głowa. - Wziął następnego papierosa. - Mówiłem ci, że facet miał poważną korbę. Lubił, żeby go bolało.

Nie było tego wiele: wytłuszczona pocztówka, trochę kredek, srebrna dolarówka i dwa listy - tak zaczytane, że niemal przezroczyste.

- To wszystko? - zapytał Deacon.

- Już ci mówiłem. Niczego nie potrzebował i niczego nie miał. Trochę tak jak ty.

Deacon rozłożył przedmioty na stole.

- Dlaczego nie miał ich przy sobie w chwili śmierci?

Terry wzruszył ramionami.

- Bo kazał mi je spalić na kilka dni przed swoim zniknięciem. Przechowałem je na wypadek, gdyby zmienił zdanie.

- Powiedział ci, dlaczego chce je spalić?

- Właściwie nie. Dostał akurat szajby. Wrzeszczał, że wszystko jest prochem, a potem kazał mi wrzucić ten kram do ognia.

- Prochem jesteś i w proch się obrócisz - mruknął Deacon, podnosząc pocztówkę i obracając ją w dłoni. Była nie zapisana. Na odwrocie widniała reprodukcja *Madonny z Dzieciątkiem i świętą Anną* Leonarda da Vinci. Pocztówka była wytarta na brzegach, a na lśniącej powierzchni widać było liczne załamania, ale mimo to rysunek Leonarda nadal robił wrażenie.

- Dlaczego ją nosił?

- Rysował to na chodniku. To właśnie ta rodzina. - Terry wskazał palcem na postać Jana Chrzciciela po prawej stronie obrazu. - Wymazywał to dziecko. - Palec powędrował w stronę twarzy świętej Anny. - Zamiast tej kobiety rysował mężczyznę, a tę drugą z dzieckiem na kolanach zostawiał tak jak jest. Potem to wszystko kolorował. Rewelacja. Na rysunku Billy'ego widziałeś co jest co, a na tym wszystko jest trochę pochranione, no nie?

Deacon parsknął śmiechem.

- To jedno z największych arcydzieł na świecie, Terry.

- Nie umywa się do Billy'ego. Popatrz na nogi. Są poplątane, więc Billy je rozplątał. Facet miał brązowe nogi, a kobieta niebieskie.

Deacon, z trudem tłumiąc śmiech, oparł się czołem o blat stołu. Ukradkiem wyciągnął z kieszeni chusteczkę, wydmuchał nos i dopiero wtedy ponownie się wyprostował.

- Przypomnij mi, żebym ci kiedyś pokazał oryginał - powiedział trochę niepewnym głosem. - Jest w National Gallery na Trafalgar Square. Nie jestem przekonany, czy nogi rzeczywiście wymagają, hmm... rozplątania. - Pociągnął łyk piwa prosto z puszki. - Powiedz mi, jakim cudem Billy robił swoje rysunki, skoro źle widział.

- Jakoś sobie radził. Potrafił rysować całą noc. A rysunki na chodniku robił naprawdę

duże. Tylko od czytania bolała go głowa.

- A co z napisem, który umieszczał pod rysunkiem?
- Napis był wielkości rysunku. Inaczej nikt by go nie zauważył.
- Skąd znasz jego treść, skoro nie umiesz czytać?
- Od Billy'ego. Umiem to nawet napisać.

Położył przed sobą notatnik i ołówek Deacona i starannie wykaligrafował litery na kartce.

Błogosławieni ubodzy

- Jeśli tyle już potrafisz - zauważył rzeczowo Deacon - to rzeczywiście nauczysz się czytać w dwa dni.

Wziął do ręki jeden z listów i rozłożył go ostrożnie na stole.

Cadogan Square

4 kwietnia

Kochany,

dziękuję za Twój piękny list, choć tak bardzo bym chciała, żebyś potrafił cieszyć się chwilą i zapomnieć o przyszłości. To cudowne, że chcesz powiedzieć całemu światu o tym, iż mnie kochasz, ale czy to, co mamy teraz, nie jest doskonalsze właśnie dlatego, że jest naszą tajemnicą? Piszesz: Zwierciadło nie przekona cię o twej starości, dopóki moja młodość zda się wiecznotrwała, ale pamiętaj, najdroższy, że Szekspir nigdy nie zdradził imienia swojej ukochanej, bo wiedział, jak okrutny bywa świat. Czy chcesz, żeby mówiono, że jestem wyrachowaną dziwką gotową uwieść każdego mężczyznę, który zapewni mi bezpieczeństwo? A tak właśnie się stanie, jeśli nadal będziesz nalegał na ujawnienie naszego związku. Wielbię Cię całym sercem, ale nie zniosłabym, gdybyś przestał mnie kochać z powodu tego, co mówią ludzie. Proszę Cię, p r o s z ę , niech wszystko zostanie tak jak jest. Twoja V.

Deacon rozłożył drugi list i położył go obok pierwszego. Był pisany tą samą ręką.

Paryż

Piątek

Kochany,

nie myśl, że oszalałam, ale tak bardzo boję się śmierci. Miewam czasem koszmarne sny. Unoszę się w czarnej otchłani, dokąd nie sięga już miłość. Czy myślisz, że to właśnie jest piekło? Wiedzieć, że istnieje miłość i być skazanym na wieczne istnienie bez miłości? Jeśli tak, będzie to moja kara za szczęście, którego zaznałam z Tobą. To straszne, kochać kogoś tak bardzo, by nie móc znieść rozłąki. Błagam, błagam, nie zostawiaj mnie samej ani chwili dłużej, niż to konieczne. Życie bez Ciebie nie ma sensu. V.

- Czy Billy czytał ci je kiedyś?

Terry potrząsnął przecząco głową.

- To listy miłosne. Bardzo piękne listy miłosne. Chcesz posłuchać?

Deacon potraktował wzruszenie ramion Terry'ego jako zachętę i zaczął czytać na głos. Kiedy skończył, czekał przez chwilę na reakcję, ale chłopiec siedział w milczeniu.

- Czy słyszałeś, żeby Billy wspominał o kimś, kogo imię zaczynało się na literę „v”? - zapytał. - Zdaje się, że była od niego znacznie młodsza.

Chłopak nie odpowiedział od razu.

- Kimkolwiek była, założę się, że nie żyje - odezwał się wreszcie. - Billy powiedział mi kiedyś, że piekło to wieczna samotność, z którą nie można już nic zrobić. A potem zaczął płakać. Powiedział, że zawsze płacze, kiedy pomyśli o kimś, kto jest aż tak samotny, ale zdaje się, że naprawdę płakał z powodu tej laski. To smutne, prawda?

- Taak - odparł Deacon powoli. - Zastanawiam się, dlaczego sądził, że trafiła do piekła.

Przeczytał jeszcze raz po cichu oba listy, ale nie znalazł w nich nic takiego, co tłumaczyłoby pewność Billy'ego co do losów V.

- Billy wierzył w to, że sam pójdzie do piekła. Nie bardzo się tym przejmował. Mówił, że zasługuje na każdy rodzaj kary, który przygotowują mu bogowie.

- Ponieważ był mordercą?

- Chyba tak. Gadał w kółko o tym, że życie jest świętym darem. Tom dostawał świra od tego gadania. Mówił Billy'emu - Terry zmienił głos, naśladując sposób mówienia Toma – „Jeśli jest takie święte, to co my, do kurwy nędzy, robimy w tej pieprzonej zasyfiałej norze?” A Billy na to - Terry przybrał poważniejszy ton głosu – „Jesteście tu z własnego wyboru, ponieważ dar życia wiąże się z wolną wolą. Decydujcie więc, czy chcecie ściągnąć na swoje głowy gniew bogów. Jeśli nie, obierzcie inną drogę”.

Deacon parsknął śmiechem.

- Naprawdę tak mówił?

- Jasne. Czasami robiłem to za niego, kiedy był już tak urażony, że nie mógł mówić sam. - Znow zaczął parodiować głos Billy'ego. - „Jesteś tu z własnego wyboru, ponieważ dar życia wiąże się z wolną wolą”. Ple, ple, ple. Czasami zachowywał się jak czubek. Nie rozumiał, że wkurza ludzi. A może po prostu miał to gdzieś. Potem dostawał pierdolca i zaczynał wrzeszczeć. To było jeszcze gorsze, bo nikt nie wiedział, o co mu chodzi.

Deacon wyciągnął z lodówki jeszcze dwie puszki piwa, a puste wrzucił do kosza.

- Czy Billy mówił coś na temat skruchy? - zapytał, opierając się o kuchenny blat.

- Chodzi o to, że żałuje się za grzechy?

- Tak.

- Wołał często: „Żałujcie za grzechy! Żałujcie za grzechy, bo czas jest bliski!” Tamtej nocy, kiedy w środku zimy zdjął z siebie ubranie, łąził i krzyczał: „Żałujcie za grzechy! Żałujcie za grzechy!”

- Wiesz na czym polega skrucha?

- Na tym, że jest ci głupio i przepraszasz za to, co zrobiłeś.

Deacon przytaknął.

- Więc dlaczego Billy nie posłuchał własnej rady, gdy chodziło o jego morderstwo? Mógłby mieć wtedy nadzieję, że zamiast do piekła, pójdzie do nieba.

Terry zastanawiał się przez chwilę.

- Chyba kojarzę, o co ci chodzi - odezwał się wreszcie. - Ale nigdy wcześniej o tym nie myślałem. Problem z Billym polegał na tym, że był za głośny, a od słuchania tego, co mówił, mogło się poprzestawiać w głowie. Tylko raz wspomniał o morderstwie. Stało się coś złego. - Terry wbił wzrok w pustą przestrzeń. - Zresztą zaraz potem wsadził sobie rękę do ognia i trzeba go było ratować. Nikt nie miał wtedy głowy, żeby pytać, czy czuje skruchę. - Wzruszył ramionami. - Myślę, że to całkiem proste. Ta kobieta poszła do piekła przez niego, więc Billy uważał, że też powinien tam iść.

Deacon przypomniał sobie o wątpliwościach, które poczuł, kiedy po raz pierwszy usłyszał tę historię. Wydało mu się wówczas oczywiste, że Terry mówi o czymś, o czym pozostali mieszkańcy magazynu nie mieli pojęcia. Pamiętali historię z ręką, ale nie słyszeli o żadnym morderstwie.

- A może nie było powodów do skruchy - podsunął. - Do piekła można również trafić, niszcząc boski dar życia przez s a m o b ó j s t w o . Przez wieki samobójców grzebano w niepoświęconej ziemi, żeby pokazać, że odrzucili Boże miłosierdzie. Czy nie tak było z Billym?

- Już raz mnie o to pytałeś i już raz ci odpowiedziałem: Billy nigdy nie próbował się zabić.

- Zagłodził się na śmierć.

- Bzdura. Po prostu zapominał o jedzeniu. A to co innego. Przeważnie był tak zalany, że nie wiedział, co robi.

- Mówiłeś, że Billy kogoś udusił, ponieważ tak chcieli bogowie - przypomniał Deacon. - Czy tak właśnie powiedział?

- Nie pamiętam.

- Spróbuj sobie przypomnieć.

- Coś w tym rodzaju.

Deacon popatrzył sceptycznie.

- Powiedziałeś też, że przypalał sobie rękę, żeby odwrócić gniew bogów. Ale dlaczego miałby to robić, skoro chciał iść do piekła?

- Jezu! - westchnął bezradnie Terry. - Skąd mam to wiedzieć? Facet był szurnięty.

- W porządku. Tyle tylko, że inaczej rozumiemy to słowo - odparł z rozdrażnieniem Deacon. - Nie przyszło ci do głowy, że Billy bredził i gadał od rzeczy, bo mieszkał z bandą kretynów, którzy nie rozumieli ani słowa z tego, co miał im do powiedzenia? Nic dziwnego, że upijał się w trupa.

- To nie nasza wina - odburknął chłopak. - Próbowaliśmy mu pomóc, ale są jakieś granice.

- Dobrze, zapytam o coś innego. Wspomniałeś, że zanim Billy powiedział ci o morderstwie, stało się coś złego. Co to było?

Terry nie odpowiedział.

- Czy zaszło coś między wami? - zapytał Deacon, wiedziony nagłą intuicją. - Czy dlatego nikt inny o tym nie wiedział? - Czekał przez chwilę na odpowiedź. - Co się wydarzyło? Doszło do bójki? Może Billy próbował cię udusić, a potem chciał to odpokutować, wsadzając rękę do ognia?

- Nie, było na odwrót - powiedział cicho chłopak. - To ja omal go nie udusiłem. Przypalił sobie rękę po to, żebym pamiętał, jak łatwo mogłem zostać mordercą.

Barry uświadomił sobie całą ironię sytuacji dopiero wówczas, gdy znalazł się w półmroku swojego redakcyjnego pokoju i zorientował się, że patrzenie na fotografie pięknych mężczyzn i snucie fantazji na temat intymnych sytuacji, w których mógłby się z nimi znaleźć, nie sprawia mu już przyjemności.

Kiedy odkładał na bok zdjęcia Amandy Powell, poczuł lekkie drżenie rąk.

Wiedział o niej wszystko. Wiedział, gdzie mieszka. I wiedział, że mieszka sama.

Terry twierdził, że wszystko wydarzyło się dwa tygodnie po jego czternastych urodzinach, w ostatnim tygodniu stycznia. Od kilku dni pogoda była podła, a nastroje w magazynie fatalne. Kiedy było zimno, zawsze robiło się groźnie, tłumaczył Terry, bo jeśli choć raz dziennie nie poszło się na ciepły posiłek do kuchni dla bezdomnych, nie dało się przeżyć. Starsi i bardziej zniedołężniali często nie chcieli w ogóle wychylać nosa ze swoich barłogów, więc Terry i Tom zmuszali ich do tego siłą. Ale, jak mówił Terry, łatwo było w ten sposób narobić sobie wrogów, a Billy był bardziej drażliwy od innych.

- Tom nie chciał, żebym wzywał dzisiaj gliniarzy choćby z powodu fantów pochowanych w magazynie. - Terry wyjął z kieszeni mały pakuneczek zawinięty w srebrną folię i położył go na stole. - Czasem lubię sobie przypalić. - Ruchem głowy wskazał zawiniątko. - Albo wziąć speeda przed imprezką. Ale to szczegół w porównaniu z tym, co robią niektórzy pacjenci. Bez przerwy kręcą się tam ćpuny. Biorą wszystko, od kwasu do hery, a połowa tych gnojów nawet tam nie mieszka. Przychodzą z ulicy dać sobie w żyłę, bo myślą, że w środku jest bezpieczniej. Poza tym pełno tam trefnego towaru - woda, fajki i inne dziadostwo poutykane w różnych kątach. Trzeba cholernie uważać, żeby nie dogrzebać się do cudzych rzeczy, bo można zarobić kosę jak Walter. Czasami bywa naprawdę ostro. W tym tygodniu były dwie bójki plus sprawa z Denningiem. Po jakimś czasie zaczynasz mieć dość.

- To dlatego zadzwoniłeś dzisiaj na policję?

- Tak. I trochę przez Billy'ego. Ostatnio dużo o nim myślałem. - Wrócił do swojej historii. - W każdym razie wtedy, w styczniu, było tak samo albo nawet gorzej, bo zimniej niż teraz, a w środku większy tłok. Tom i reszta wpuszczali wszystkich, bo na dworze można było zamarznąć.

- Dlaczego nie poszli do schroniska? Łóżko w schronisku jest chyba lepsze niż podłoga w jakiejś ruderze?

- Tak myślisz? - zapytał z przekąsem Terry. - Ja mówię o ćpunach i świrach, którzy boją się własnego cienia. - Wskazał na zawiniątko w srebrnej folii. - Tom nieźle na tym wychodził. Nie wpuszczał do środka nikogo, dopóki nie dostał czegoś w zamian. Jeden facet nie miał zupełnie nic, więc Tom zabrał mu płaszcz. I gość w nocy zamarznął. Wtedy Tom wyniósł go na ulicę, na wypadek, gdyby zjawiły się gliny. Zresztą to samo chciał dzisiaj zrobić z Walterem. I wtedy Billy dostał szału. Miotał się i krzyczał, że to wszystko musi się skończyć.

- Co było dalej? - zapytał Deacon, kiedy chłopiec przerwał.

- Stało się najgorsze. Billy zaczął tłuc butelki i przekopywać ludziom rzeczy. Krzyczał, że musimy się pozbyć zła, zanim do reszty nas pochłonie. Złapałem go za kark i zawlokłem do siebie, żeby nie utłukł go jakiś świr. I wtedy się zaczęło. - Terry sięgnął po kolejnego papierosa i zapalił go lekko drżącą ręką. - Nawet ty uznałbyś go za świra, gdybyś go wtedy zobaczył. Kompletnie mu odwaliło. Cały się telepał i wrzeszczał. - Chłopiec wykrzywił twarz. - Kiedy już zaczął, nie mógł się opamiętać. Kończył dopiero jak zabrakło mu sił. Ale nie tym razem. Pluł na mnie i powtarzał, że jestem najgorszą kanalią i szumowiną, a kiedy nie reagowałem, zaczął wrzeszczeć, że jestem dupą do wynajęcia i każdy, kto chce, może przyjść i mnie zerżnąć. - Zaciągnął się mocno papierosem. - Chciałem go zabić. Złapałem go za szyję i zacisnąłem palce.

- Co cię powstrzymało?

- Nic. Dusilem go dalej, aż w końcu pomyślałem, że nie żyje. - Zapadła długa cisza, której Deacon nie przerywał. - Przestraszyłem się. Nie wiedziałem, co robić. Puściłem go i lekko nim potrząsałem, żeby sprawdzić, czy naprawdę nie żyje, a ten skurwiel otworzył oczy i uśmiechnął się do mnie. I właśnie wtedy powiedział mi o gościu, którego zabił, i o tym, że ludzie pod wpływem gniewu robią rzeczy, które niszczą im życie. Potem powiedział, że chce pokazać bogom, że to on był wszystkiemu winny. Wyszedł na zewnątrz i wsadził rękę do ognia.

Deacon żałował, że nie było z nimi kobiety, która mogłaby Terry'ego objąć, przytulić i powiedzieć mu, że wszystko jest już dobrze, bo właśnie tego, co wydawało się w tej chwili tak naturalne, Deacon nie mógł zrobić. Mógł tylko udawać, że nie widzi łez, które pojawiły się w oczach chłopca, i odwracać uwagę, tłumacząc mu, w jaki sposób wysuszą przez noc jego mokre ubrania.

Reg przyniósł Barry'emu herbatę i postawił kubek na biurku obok książki, którą kupiła jego żona. Wskazał palcem tekst u dołu okładki. „*Czyta się znakomicie*. Charles Lamb, «The Street»”.

- Moja żona od razu czuje się lepiej, gdy widzi coś takiego - powiedział. - Ale zwróciłem jej uwagę, że jak na pana Lamba, cytat jest zaskakująco krótki. Jeśli jakaś książka naprawdę mu się podoba, zwykle jest bardziej wylewny. Zastanawiam się, czy to jedyne ciepłe słowa w całej recenzji? A może to przykład twórczego wykorzystania krytyki przez wydawcę?

Reg lubił towarzystwo Barry'ego także dlatego, że Barry godził się na słuchanie jego

przyciężkawych dowcipów. I tym razem Barry wydał z siebie obowiązkowy chichot, po czym zajrzał na początek książki.

- Wydanie pierwsze w 1994, więc recenzja wyszła w zeszłym roku. Znajdę ci ją - obiecał. - Potraktuj to jako skromny rewanż za książkę i herbatę.

- To może być ciekawe - zauważył proroczno Reg.

„...*Niewyjaśnione zagadki dwudziestego wieku* Rogera Hyde'a to jeszcze jeden zbiór sensacyjnych opowieści. Książkę czyta się znakomicie, ale odkłada się ją z poczuciem niedosytu, ponieważ, zgodnie z tytułem, pozostawiono tu zbyt wiele pytań bez odpowiedzi, ignorując fakt, że inni autorzy zdążyli już rzucić nieco światła przynajmniej na niektóre z «niewyjaśnionych» zagadek. Weźmy chociażby głośną sprawę zabójstwa rodziny Digbych z 1933 roku. Pewnego kwietniowego poranka Gilberta i Fanny Digbych znaleziono martwych w łóżkach wraz z trójką małych dzieci. Zmarli na skutek zatrucia arszenikiem, ale policja nie potrafiła wskazać motywu ani sprawcy zbrodni. Hyde opisuje szczegółowo tło i okoliczności sprawy: opowiada o życiu Gilberta i Fanny, wymienia osoby, o których wiadomo, że odwiedzały ich dom w dniach poprzedzających morderstwo, odtwarza całą scenierię zbrodni. Nie wspomina jednak ani słowem o książce M. G. Dunner *Słodka Fanny Digby* (Gollancz, 1963), z której dowiadujemy się, że na dzień przed tragedią widziano, jak Fanny Digby, która leczyła się wcześniej z powodu depresji, rozpuszczała w emaliowanym kubku lep na muchy.

Inny przykład to sprawa dyplomaty, Petera Fentona, który zniknął z domu w czerwcu 1988 roku, po tym jak jego żona Verity popełniła samobójstwo. I tym razem Hyde drobiazgowo opisuje okoliczności i tło wydarzeń, nawiązując do sprawy syndykatu Driberga i informując o tym, że Fenton miał dostęp do tajemnic NATO, ale nie wspomina o artykule Anne Cattrell w «Sunday Timesie» z 17 czerwca 1990 roku pt. *Prawda o Verity Fenton*, w którym ujawniono wstrząsające szczegóły dotyczące brutalnego traktowania Verity przez jej pierwszego męża, Geoffreya Standisha. Standish zginął w 1971 roku potracony przez samochód, a sprawcy wypadku nigdy nie odnaleziono. Jeśli istotnie, jak twierdzi Anne Cattrell, nie był to wypadek i jeśli Verity rzeczywiście poznała Fentona sześć lat wcześniej, niż oboje twierdzili, to rozwiązanie zagadki jej samobójstwa i jego nagłego zniknięcia kryje się nie w celi Nathana Driberga, ale w grobowcu Geoffreya Standisha”.

Barry, wiedziony czystą ciekawością, zajrzał do archiwum mikrofilmów i odszukał wydanie „Sunday Timesa” z 17 czerwca 1990 roku. Wstrzymał oddech, kiedy na podświetlarce ukazał się artykuł Anne Cattrell opatrzony dużym zdjęciem Petera Fentona, kawalera Ordeai Imperium Brytyjskiego.

Barry miał absolutną pewność, że patrzy na Billy'ego Blake'a.

Prawda o Verity Fenton

Anne Cattrell

Nie tylko Peter Fenton, znikając ze swojego domu 3 lipca 1988 roku i zostawiając na łóżku zwłoki swojej żony, zdołał skutecznie zmylić trop i zatrzeć za sobą wszelkie ślady. Z początku wydawało się, że mamy do czynienia z sensacyjnym pościgiem za mordercą, w stylu pamiętnej sprawy Lucana. Wkrótce stwierdzono jednak, że Verity Fenton popełniła samobójstwo. Kiedy wyszło na jaw, że Peter Fenton miał dostęp do tajnych dokumentów NATO, zaczęto przekopywać się przez jego biografię w poszukiwaniu kochanek i/lub dowodów zdrady. Skupiono się na jego nagłym wyjeździe do Waszyngtonu, który powiązano natychmiast ze sprawą anonimowych członków grupy szpiegowskiej Driberga.

A jaką rolę odegrało w całej sprawie samobójstwo Verity Fenton? Właściwie nie zadano sobie większego trudu, aby udzielić odpowiedzi na to pytanie, ponieważ wszystkich nurtowało nie wyjaśnione zniknięcie Petera Fentona i mało kto interesował się powodami, dla których jakaś „neurotyczka” postanowiła odebrać sobie życie. Jako oficjalną przyczynę zgonu podano „samobójstwo w wyniku załamania nerwowego”, opierając się głównie na słowach córki, która zeznała, że Verity podczas pobytu męża w Waszyngtonie sprawiała wrażenie „niezwykle przygnębionej”. Nie podjęto jednak próby wyjaśnienia faktycznej przyczyny jej depresji, najwidoczniej bowiem

przyjęto za pewnik, że zniknięcie Petera Fentona oznacza, iż zamieszczona w pożegnalnym liście Verity aluzja do tajemniczych zdrad męża miała swoje podstawy w rzeczywistości i że fakt ten był dla kobiety wystarczającym wstrząsem, by skłonić ją do samobójstwa.

W dwa lata po owych tajemniczych zdarzeniach z lipca 1988 roku warto raz jeszcze zastanowić się, co naprawdę wiemy o Peterze i Verity Fentonach. Pierwszą rzeczą, która uderza każdego, kto zajmuje się tą sprawą, jest zupełny brak dowodów świadczących o tym, że Peter Fenton prowadził jakąkolwiek działalność szpiegowską. Z całą pewnością w latach 1985-1987 miał dostęp do poufnych informacji wojskowych, ale źródła NATO-wskie przyznają, że trzy odrębne śledztwa nie wykazały żadnego przecieku informacji, który mógłby mieć związek z osobą Petera Fentona.

Istnieje natomiast obszerna dokumentacja dotycząca jego „nagłego” czerwcowego wyjazdu do Waszyngtonu, który przedstawiano u nas jako „zwiadowczą” ekspedycję mającą na celu uzyskanie informacji na temat tego, czy Driberg ma zamiar wymienić nazwiska swoich informatorów. Szczegóły dotyczące wyjazdu ujawnił prasie bezpośredni przełożony Fentona z Ministerstwa Spraw Zagranicznych, ale dziennikarze pochłonięci zbieraniem dowodów winy całkowicie je zignorowali.

Tymczasem, zgodnie z faktami, Fenton otrzymał 6 czerwca polecenie wzięcia udziału w naradzie wysokich rangą przedstawicieli Paktu, którzy w dniach od 29 czerwca do 2 lipca mieli się spotkać w Waszyngtonie. Z dzisiejszej perspektywy trudno zrozumieć, jak to się stało, że wyjazd zaplanowany z trzytygodniowym wyprzedzeniem uznano w mediach za „nagły”. Nie sposób też odpowiedzieć na pytanie, dlaczego Fenton, będąc członkiem syndykatu, miałby czekać ze swoją „misją” aż osiem tygodni od aresztowania Driberga.

Odrzucenie założenia o rzekomej działalności szpiegowskiej Petera ukazuje tragedię Fentonów w zupełnie innym świetle. Pytanie, które wówczas trzeba postawić, brzmi: o jakich zdradach pisała Verity w swoim pożegnalnym liście? Czytamy w nim: Wybacz mi. Dłużej tego nie zniosę. Nie obwiniaj się, proszę. Twoje zdrady są niczym w porównaniu z moimi.

Dlaczego jednak tak mało uwagi poświęcano dotąd zdradom Verity? Odpowiedź wydaje się prosta. Jako żona dyplomaty wzbudzała zawsze mniejsze zainteresowanie od swojego męża. Jakież to zdrady musiałaby popełnić nieszczęsna „neurotyczka”, by mogły one konkurować z aferą w Ministerstwie Spraw Zagranicznych? Należało jednak już wówczas, w 1988 roku, gruntownie zbadać tę kwestię, ponieważ Verity twierdziła, że jej zdrady były czymś gorszym niż zdrady jej męża, któremu zarzucono przecież szpiegostwo.

Urodziła się 28 września 1937 roku w

Londynie jako Verity Parnell. Po śmierci ojca, pułkownika Parnella, który zginął w 1940 roku podczas ewakuacji wojsk brytyjskich z Dunkierki, wychowywała ją samotnie matka. Wojnę spędziły prawdopodobnie w Suffolk, ale w 1945 roku wróciły do Londynu. Verity uczyła się najpierw w szkole publicznej, a w maju 1950 roku matka zapisała ją do żeńskiego gimnazjum św. Bartłomieja w Barnes. Mimo dobrych wyników w nauce, Verity nie zdecydowała się na studia. Zamiast tego w sierpniu 1955 roku poślubiła Geoffreya Standisha, starszego od siebie o czternaście lat przystojnego, trzydziestodwuletniego maklera giełdowego. Małżeństwo to stało się powodem znacznego ochłodzenia stosunków między nią a jej matką. Nie wiadomo nawet, czy Verity widziała się jeszcze z panią Parnell przed jej śmiercią, która nastąpiła pod koniec lat pięćdziesiątych. W 1960 roku Verity urodziła córkę, Marilyn, a w 1966 roku syna, Anthony'ego.

Małżeństwo okazało się katastrofą. Nawet bliscy przyjaciele Geoffreya uważali go za „nieobliczalnego”. Był hazardzistą, kobieciarzem i pijakiem, wkrótce też stało się jasne, że wszystkie swoje frustracje odreagowuje na młodej żonie. Historia ich małżeństwa to nieprzerwany ciąg ekscesów, kilkudniowych „niedyspozycji”, lęku przed zrobieniem czegoś, co mogłoby zdenerwować Geoffreya, obsesyjnych obaw o bezpieczeństwo dzieci. Nic dziwnego zatem, że - jak utrzymuje jeden z sąsiadów - śmierć swojego męża w marcu 1971 roku Verity nazwała „błogosławieństwem”.

Okoliczności śmierci Geoffreya Standisha, podobnie jak wiele innych elementów tej historii, są niejasne. Z całą pewnością wiadomo jedynie, że Geoffrey zamierzał spędzić weekend ze swoimi przyjaciółmi w Huntington. Zadzwoił do nich w piątek o piątej po południu, uprzedzając, że przyjedzie dopiero następnego dnia. W sobotę o szóstej trzydzieści rano policyjny patrol zauważył jego samochód porzucony na poboczu drogi A 11 niedaleko Newmarket. W baku nie było benzyny. O dziesiątej trzydzieści w przydrożnym rowie, dwie mile dalej, znaleziono jego zmasakrowane zwłoki. Odniesione obrażenia wskazywały, że został potrącony przez samochód.

Na pierwszy rzut oka wszystko wydawało się proste. Geoffrey został uderzony przez rozpędzony samochód, kiedy w ciemności szedł poboczem w poszukiwaniu benzyny, a kierowca zbiegł z miejsca wypadku. Policję zainteresowało jednak, że Geoffrey w ostatniej chwili zmienił swoje plany, próbowano więc ustalić, dlaczego feralnej nocy znalazł się w pobliżu Newmarket. Na pytanie to nie znaleziono odpowiedzi, ale w trakcie dochodzenia wyszły na jaw wstydlive szczegóły dotyczące jego charakteru i postępowania. Chociaż nigdy nie postawiono w tej sprawie żadnych zarzutów, z raportów policji w Cambridgeshire wynika jasno, że podejrzewano, iż Geoffrey Standish został zamordowany.

Sama Verity dysponowała żelaznym alibi. W środę przyjęto ją na oddział szpitala św. Tomasza ze złamanym obojczykiem,

pękniętymi żebrami i przebitym płucem. Wypisano ją stamtąd dopiero w niedzielę. Dziećmi zajęli się sąsiedzi, dlatego nie wiadomo, gdzie przebywał Geoffrey w piątek. Na pewno nie zjawił się tego dnia w pracy, co nasunęło policji podejrzenie, że ktoś, kto był w zмовie z Verity, zabrał go z domu w czwartek w nocy i z zimną krwią zaplanował morderstwo.

Niestety, nikogo takiego nie udało się policji odnaleźć i śledztwo umorzono z braku dowodów. Sprawca zabójstwa pozostał nieznany, a winni przedwczesnej śmierci Geoffreya Standisha do dziś nie zostali ukarani.

Dzisiaj, kiedy dysponujemy już wiedzą na temat wydarzeń, które rozegrały się 3 lipca 1988 roku, próba spojrzenia na śmierć Geoffreya w kontekście samobójstwa Verity i zniknięcia jej drugiego męża wydaje się logiczna. Nie sposób bowiem oprzeć się pytaniu, czy osobą, która pozostawała w zмовie z Verity, nie był przypadkiem pewien młody i wrażliwy student Cambridge nazwiskiem Peter Fenton. Newmarket leży niespełna 20 mil od Cambridge, tymczasem wiadomo, że Peter Fenton gościł często u rodziny swojego kolegi z czasów nauki w Winchester, która mieszkała na Cadogan Square kilka domów od Geoffreya i Verity Standishów. Nie ma świadectw, podważających prawdziwość słów Petera i Verity, którzy utrzymywali, że poznali się na przyjęciu u przyjaciół Petera w 1978 roku, ale byłoby dziwne, gdyby rzeczywiście ich drogi nigdy wcześniej się nie przecięły. Harry

Grisham, przyjaciel Fentona, pamięta w każdym razie doskonale, że Standishowie byli częstymi gośćmi w domu jego rodziców.

Zakładając nawet udział Petera w zabójstwie Geoffreya, trudno wyobrazić sobie, co mogło skłonić siedemnaście lat później Verity do popełnienia samobójstwa, a Petera do zniknięcia. Czy jedno z nich nieumyślnie zdradziło drugie? Czy Verity nie wiedziała o tym, co zrobił Peter, i odkryła przypadkiem, że poślubiła zabójcę swego pierwszego męża?

Być może nigdy się tego nie dowiemy, ale dziwnym zbiegiem okoliczności na dwa dni przed wyjazdem

Petera do Waszyngtonu w dziale ogłoszeń „Timesa” ukazał się następujący anons:

„Geoffrey Standish. Ktokolwiek wie coś o okolicznościach zabójstwa Geoffreya Standisha, do którego doszło na drodze A 11 niedaleko Newmarket 10.03.71, proszony jest o kontakt: skr. 431”.

ROZDZIAŁ 11

Kiedy Terry, ubrany w podkoszulek i krótkie spodenki Deacona, wyszedł wreszcie ze swojej sypialni i poczłapał leniwym krokiem do łazienki, drapiąc się po wygolonej czaszce i ziewając przeciągle, odkrył z niemiłym zaskoczeniem, że jego ubrania są wciąż jeszcze mokre.

- Nie mogę wyjść na dwór w tych kretyńskich ciuchach, Mike. Zrozum, za duży obciach. Będziesz musiał sam zrobić zakupy, a ja poczekam tu, aż wyschną mi rzeczy.

- W porządku. - Deacon spojrział na zegarek. - Ja w każdym razie muszę się zbierać, bo Hugh uzna, że się rozmyśliłem.

- Naprawdę chcesz mu przestawić nos?

- Jasne. Miałem zamiar kupić ci pod choinkę coś do ubrania, ale skoro nie będziesz mógł przymierzyć... - Deacon wzruszył ramionami. - Kupię ci książki do nauki czytania.

Trzy minuty później Terry stał już w drzwiach kompletnie ubrany.

- Gdzie dałeś mój płaszcz?

- Wyrzuciłem go do śmieci, kiedy byłeś w wannie.

- Dlaczego to zrobiłeś?

- Był cały poplamiony krwią. - Deacon zdjął z wieszaka swój trenz. - Możesz wziąć mój, zanim nie kupimy ci czegoś nowego.

- Nie mogę tego włożyć - odparł Terry urażonym tonem. - Chryste, Mike, będę w tym wyglądał jak jakiś alfons, który rozbija się po mieście land-roverem. Co będzie, jeśli spotka mnie ktoś znajomy.

- Szczerze mówiąc - odburknął Deacon - bardziej boję się tego, że spotkamy kogoś z moich znajomych. Nie wiem jeszcze, jak wytłumaczę, dlaczego jakiś młodociany oprych z zakazaną gębą i wygoloną czaszką: mieszka w moim mieszkaniu i chodzi w moich ciuchach.

Terry z wyraźną niechęcią włożył na siebie trenz Deacona.

- Wypaliłeś wczoraj tyle trawki, że powinieneś być w lepszym nastroju - mruknął.

Barry leżał w łóżku i nasłuchiwał ciężkich kroków matki na schodach. Wstrzymał oddech, wiedząc, że po drugiej stronie drzwi kobieta uczyniła to samo.

- Wiem, że nie śpisz - powiedziała skrzekliwym głosem, który brzmiał tak, jakby

wydobywał się gdzieś z wnętrza jej grubego brzucha i z trudem przeciskał się przez mięsiste wargi. Szczęknęła klamka. - Dlaczego zamknąłeś drzwi? - Jej głos przeszedł w karcący szept. - Jeśli znowu brzydsko się bawisz, Barry, dostaniesz za swoje.

Nie odpowiedział. Leżał wpatrzony w zamknięte drzwi i wyobrażał sobie, że jego palce zaciskają się mocno wokół jej szyi. Myślał o tym, jak łatwo można by ją zabić, a następnie ukryć gdzieś ciało: na przykład w saloniku, gdzie mogłoby spoczywać całymi miesiącami nie niepokojone przez żadnych gości. Po co utrzymywać przy życiu kogoś, kto sam nie kocha nikogo i przez nikogo nie jest kochany? I kto by za nią zatęsknił?

Na pewno nie jej syn...

Barry niezdarnym ruchem sięgnął po okulary i przywrócił światu naturalną ostrość. Zauważył że zgrozą, że znów drżą mu ręce.

- Jak to się stało, że nigdy dotąd cię nie aresztowali? - zapytał Deacon, kiedy Terry, wybierając sobie parę lewisów, stwierdził, że „ciężko byłoby je zwinąć”. (Deacon zauważył, że chłopak miał zwyczaj stawać zawsze poza zasięgiem sklepowych kamer).

- Skąd ta pewność?

- Odesłaliby cię do domu dziecka.

Chłopiec potrząsnął przecząco głową.

- Tylko wtedy, gdybym powiedział im prawdę, a tego nigdy nie zrobiłem. Jasne, że nas zwijali, zawsze jednak byłem wtedy z Billym, który brał wszystko na siebie. Bał się, że jak trafię pod celę, dorwą mnie tam pedzie albo że odeślą mnie do tego zboczura w sierocińcu, jeśli podam im prawdziwe nazwisko. Więc kiblował zamiast mnie. - Terry bez przerwy rozglądał się po sklepie. - A co z kurtką? Są na końcu sklepu - oświadczył i ruszył przed siebie zdecydowanym krokiem.

Deacon poszedł za nim. Czy wszyscy chłopcy w jego wieku są tak bezwzględnie egocentryczni? Miał wrażenie, że ten upiorny dzieciak potrafiłby przyssać się do swoich opiekunów jak pijawka i wyciągnąć z nich ostatniego centa, a wszystkie dobre rady Lawrence'a na nic by się zdały. Każdy umiarkowanie przyzwoity człowiek, mający choćby mgliste pojęcie o moralności, byłby w rękach Terry'ego niczym gąbka, którą należy wycisnąć.

- Ta jest niezła - powiedział Terry, zdejmując z wieszaka skórzaną kurtkę i wpychając ręce w rękawy. - Jak myślisz?

- Jest co najmniej dziesięć razy za duża.

- Pamiętaj, że jeszcze rosnę.

- Chyba nie myślisz, że będę chodził po mieście z kimś, kto przypomina balon

zaporowy.

- Nie znasz się na modzie, Mike. Wszyscy noszą dzisiaj za duże ciuchy. - Przymierzył kurtkę o numer mniejszą. - W obcisłych paradowali tacy faceci jak ty w latach siedemdziesiątych, obwieszani błyskotkami i paciorkami, z włosami do ramion. Billy mówił, że to były dobre czasy, ale moim zdaniem musieliście wyglądać jak stado ciot.

Deacon wydał pogardliwie wargi.

- No więc nie masz się czego obawiać - odparł. - Ty wyglądasz jak skinhead.

Terry sprawiał wrażenie zadowolonego z siebie.

- Nie mam nic przeciwko.

Barry stał w drzwiach i wpatrywał się w tył głowy swojej matki, która siedziała przed telewizorem zatopiona w fotelu z nogami wspartymi na niskim taborecie. Z różowej czaszki sterczały rzadkie, szczeciniaste włosy, a z ust wydobywał się zduszony, chrapliwy charkot. W zagraconym pokoju unosił się kwaśny, odstręczający zapach. Barry doznał przejmującego poczucia krzywdy. Okrutny los zabrał mu ojca i zostawił go na pastwę tej...

- jego palce zacisnęły się bezwiednie –

...ŚWINI!

Terry znalazł sklep ze świątecznymi ozdobami i upominkami. Wybrał reprodukcję *Kobiety w koszuli* Picassa i poprosił Deacona, żeby mu ją kupił.

- Dlaczego akurat tę? - zapytał Deacon.

- Bo jest piękna.

Obraz był na pewno piękny, ale uroda przedstawionej na nim kobiety była już kwestią gustu. Płótno pochodziło z fazy przejściowej między okresem niebieskim i różowym, więc postać zachowała jeszcze chłodną, zwiewną melancholię wcześniejszego okresu, którą ożywiały już jednak odcienie różu i ochry, znane z późniejszych obrazów Picassa.

- Osobiście wolę pełniejsze kształty - powiedział Deacon - ale chętnie powieszę ją nad łóżkiem.

- Billy często ją rysował - oświadczył zniecierpliwiony Terry.

- Na chodnikach?

- Nie. Na kartkach, które potem paliliśmy. Najpierw przerysowywał ją z pocztówki, ale nabrał takiej wprawy, że w końcu rysował z pamięci. - Przeciągnął palcem wzdłuż wyraźnych konturów twarzy i tułowia. - Widzisz, naprawdę łatwo ją narysować. Żadnego kitu.

- Nie to co Leonardo?

- Właśnie.

Deacon przyznał w myśli, że chłopak miał rację. Kobieta Picassa była wspaniała w swojej prostocie - i znacznie delikatniejsza od korpulentnej Madonny Leonarda da Vinci.

- Może powinieneś zostać artystą, Terry. Chyba masz oko do malarstwa.

- Byłem parę razy w Green Park, ale wisi tam straszny chłam. Billy zawsze mówił, że zabierze mnie do porządnej galerii, ale skończyło się na gadaniu. I tak pewnie by nas nie wpuścili przez te jego pijackie ryki. - Terry przeglądał stojak z reprodukcjami. - Co myślisz o tym? Może ten, kto to namalował, wyobrażał sobie piekło tak samo jak laska Billy'ego? Samotność i strach w miejscu, które nie ma sensu?

Wyciągnął ze stojaka *Krzyk* Edwarda Muncha, porażające, zniekształcone wyobrażenie człowieka krzyczącego z przerażenia na tle nagiego pejzażu.

- Naprawdę masz oko - przyznał z podziwem Deacon. - Billy też to rysował?

- Nie. Jemu by się nie podobało. Za dużo czerwonego. Billy nie znosił czerwieni, bo przypominała mu krew.

- No cóż, nie powieszę go na ścianie, bo za często myślałbym o piekle. - Albo o krwi, dodał w duchu i pomyślał, że czułby się lepiej, gdyby nie mieli z Billym tylu wspólnych skojarzeń.

Wybrali reprodukcję Picassa (za jej prostotę), *Śniadanie na trawie* Maneta (za starannie wyważoną symetrię: - Dobra robota - powiedział Terry), *Ogród rozkoszy* Hieronima Boscha (za kolorystykę i rozmach: - Ostry czad - powiedział Terry) i *Walczącego Téméraire'a* Turnera (za absolutną artystyczną doskonałość: - Ja pierniczę - powiedział Terry - zupełny odjazd).

- Co się stało z pocztówką Billy'ego? - zapytał Deacon, płacąc za reprodukcje.

- Tom ją spalił.

- Dlaczego?

- Bo był skrojony. Razem z Billym strasznie się urzęnęli i poszło im o kobiety. Tom powiedział, że Billy na pewno nie miał żadnej baby, bo jest za brzydki, a Billy na to, że stara Toma musi być jeszcze brzydsza od niego, bo inaczej Tom nie odszedłby od niej. Wszyscy się śmiali i Tom się wkurzył.

- Co to ma wspólnego z pocztówką?

- Niewiele. Poza tym, że Billy naprawdę ją uwielbiał. Całował ją czasami, kiedy był zalany. Tom nie mógł znieść, że ktoś obraził jego starą, więc chciał się odgryźć. Wiedział, że Billy wpadnie w szal, jeśli spali mu pocztówkę. I miał rację. Billy o mało go nie udusił, a

potem zaczął płakać i powiedział, że prawda zginęła, więc i tak nic nie ma już znaczenia. I tyle.

Minęło sześć lat, od czasu gdy Deacon był po raz ostatni w Czerwonym Lwie. Kiedy razem z Julią mieszkali w Fulham, zaglądał tam często, a Hugh spotykał się z nim kilka razy w miesiącu, wracając do domu w Putney. Na zewnątrz zmieniło się niewiele i Deacon, otwierając drzwi, podświadomie spodziewał się, że zastanie w środku tego samego właściciela i tych samych stałych bywalców. W lokalu byli jednak obcy ludzie, a jedyną znajomą twarzą była twarz Hugh'a. Siedział przy stoliku w najdalszym kącie sali i na widok Deacona wykonał niezdecydowany ruch ręką mający oznaczać pozdrowienie.

- Witaj, Michael - powiedział, wstając, gdy Deacon i Terry podeszli do stolika. - Nie byłem pewien, czy przyjdiesz.

- Za nic nie przepuściłbym takiej okazji. Może to jedyna szansa, żeby dać ci w pysk. - Puścił przodem Terry'ego. - Poznaj Terry'ego Daltona. Spędza ze mną święta. Terry, to jest Hugh Tremayne, mój szwagier.

Terry uśmiechnął się przyjaźnie i wyciągnął przed siebie kościstą rękę.

- Cześć.

Hugh wyglądał na zaskoczonego, ale uściśnął wyciągniętą w swoim kierunku dłoń.

- Cześć. Miło cię poznać. Czy my jesteśmy może... spokrewnieni?

Terry otaksował wzrokiem jego okrągłą twarz i korpulentną figurę.

- Nie wydaje mi się. Chyba, że piętnaście lat temu zahaczyłeś akurat o Birmingham. Zresztą nie - zdecydował. - Myślę, że mój tata był trochę wyższy i chudszy. Bez urazy.

Deacon parsknął śmiechem.

- Hugh miał chyba na myśli to, czy jesteś spokrewniony z moją drugą żoną.

- To czemu od razu tak nie mówi?

Deacon stanął twarzą do ściany i przez kilka sekund bił w nią głową. W końcu wziął głęboki oddech, wytarł oczy chusteczką i obrócił się z powrotem w stronę sali.

- To delikatny temat - wyjaśnił. - Moja rodzina nie przepadała za Klarą.

- Coś z nią było nie tak?

- Nie, nic - odparł szybko Hugh, bojąc się, że Deacon wprawi ich wszystkich w zakłopotanie wzmiankami o „dziwkach” i „wycirusach”. - Co pijecie? Piwo? - Uciekł do baru, a oni zdjęli płaszcze i siedli przy stoliku.

- Nie możesz go sklepać - powiedział Terry. - To rzeczywiście rzadki frajer, ale jest dwadzieścia centymetrów niższy i przynajmniej dziesięć lat starszy od ciebie. A tak w ogóle,

co on takiego zrobił?

Deacon oparł stopy na krześle i założył ręce za głowę.

- Obraził mnie w domu mojej matki, a potem kazał mi się wynosić. - Uśmiechnął się nieznacznie. - Obiecałem, że następnym razem, kiedy się spotkamy, dam mu w mordę. I właśnie dzisiaj jest ten następny raz.

- Na twoim miejscu nie robiłbym tego. Nic na tym nie zyskasz. Ja czułem się jak bydlę po tym, co zrobiłem Billy'emu. - Terry podziękował skinieniem głowy, kiedy Hugh wrócił z pełnymi szklankami.

Zapadła krępująca cisza, podczas której Hugh zastanawiał się, co powiedzieć, a Deacon siedział uśmiechnięty, wpatrując się w sufit i rozkoszując się skrępowaniem swojego szwagra.

Terry poczęstował Hugh'a papierosem, ale ten odmówił.

- Może gdybyś go przeprosił, dałby sobie spokój z biciem - podpowiedział, zapalając papierosa. - Billy zawsze powtarzał, że trudniej uderzyć kogoś, z kim się wcześniej gadało. Dlatego goście, którzy używają przemocy, każą ci siedzieć cicho. Boją się, że wymiękną.

- Kto to jest Billy?

- Taki jeden. Zawsze mówił, że lepiej pogadać, niż walić w mordę, a potem, jak mu odbiło, rzucał się na ludzi. Inna rzecz, że był trochę stuknięty, więc nie można go za to winić. Ale mówił dobrze.

- Przestań się wtrącać, Terry - przerwał łagodnie Deacon. - Zanim zaczniemy się przeproszać, chcę uzyskać odpowiedzi na kilka pytań. - Zdjął nogi z krzesła i pochylił się nad stołem. - Co się dzieje, Hugh? Dlaczego zrobiłem się ostatnio taki popularny?

Hugh pociągnął spory łyk piwa, żeby zyskać nieco na czasie.

- Z twoją matką nie jest najlepiej - odparł ostrożnie.

- Wiem to od Emmy.

- I chciałyby się pogodzić.

- Naprawdę? - Deacon sięgnął po papierosy. - A więc dlatego Emma nagrywa mi codziennie informacje na sekretarce.

Hugh wydawał się zaskoczony.

- Czy ona...?

- Oczywiście, że nie. Nie odezwała się do mnie ani słowem od pięciu lat, odkąd oskarżyła mnie o to, że zabiłem ojca. Przyznasz, że to trochę dziwne, skoro chce się pogodzić.

Pochylił głowę nad płomieniem zapalki.

- Obaj znamy twoją matkę - westchnął Hugh. - Od szesnastu lat nie słyszałem, żeby

przyznała się do błędu i nie sądę, żeby się to nagle zmieniło. Obawiam się, że musisz wykonać pierwszy krok.

Deacon popatrzył podejrzliwie.

- Ale to nie jest pomysł mamy, prawda? To pomysł Emmy. Może Emma czuje się winna, bo oskubała mamę z forsy? Może o to tutaj chodzi?

Hugh nerwowo bawił się swoją szklanką.

- Szczerze mówiąc, Mike, mam już dość waszych rodzinnych kłótni. Wejść do rodziny Deaconów, to jak trafić nagle na pierwszą linię frontu.

Deacon uśmiechnął się z przekąsem.

- Więc dziękuj Bogu, że nie mieszkałeś nigdy z moim ojcem. Było znacznie gorzej. - Strzepnął popiół z papierosa do popielniczki. - Możesz zaoszczędzić sobie czasu. Nie wybiorę się do mamy, jeśli nie dowiem się, dlaczego Emmie tak na tym zależy.

Wydawało się, że Hugh walczy ze sobą.

- A, do diabła z tym wszystkim! - wybuchnął nagle. - Twój ojciec sporządził nowy testament. Emma znalazła go w kawałkach, kiedy sprzątała rzeczy mamy podczas jej pobytu w szpitalu. Prosiła, żebyśmy pod jej nieobecność płacili rachunki i dbali o wszystko. Podejrzewam, że zapomniała o testamencie, chociaż nie wiem, dlaczego go nie spaliła albo po prostu nie wyrzuciła. - Hugh zaśmiał się głucho. - Złożyliśmy go w całość. Dwa pierwsze zapisy zrobił z obowiązku. Zostawił Penelopie domek w Kornwalii i oszczędności, które zapewniały jej dziesięć tysięcy rocznego dochodu. Emma dostawała jednorazowo dwadzieścia tysięcy. Trzeci zapis zrobił z serca. Zostawił ci farmę i resztę majątku, bo, jak napisał, „Michael jest jedyną osobą w tej rodzinie, którą obchodzi to, czy jeszcze żyję”. Zastrzelił się dwa tygodnie potem. Przypuszczamy, że to twoja matka podarła testament, bo zgodnie z pierwszym zapisem była jedyną spadkobierczynią.

Deacon palił przez chwilę w milczeniu.

- Czy wykonawcami testamentu mieli być David i Harriet Price?

- Tak.

- No cóż, wychodzi na to, że stary David miał rację. - Deacon przypomniał sobie straszliwą awanturę między jego matką a ich ówczesnymi sąsiadami, która wybuchła, kiedy David Price odważył się napomknąć o tym, że Francis Deacon wspominał coś o sporządzeniu nowego testamentu, którego on, David, miał być wykonawcą. „Pokaż mi ten testament - wrzeszczała matka. - Powiedz mi, co w nim jest”. I David musiał przyznać, że nigdy go nie widział, a tylko zgodził się wstępnie na rolę wykonawcy, gdyby Francis zmienił swoją wcześniejszą wolę.

- Kto sporządził testament?
- Chyba twój ojciec. Napisał go odręcznie.
- To zgodne z prawem?

- Nasz znajomy prawnik mówi, że testament jest prawidłowo sporządzony i podpisany w obecności dwóch świadków. Świadcami byli dwaj bibliotekarze z miejskiej biblioteki w Bedford. Nasz przyjaciel miał tylko jedną wątpliwość. Czy twój ojciec w trakcie spisywania testamentu był w pełni władz umysłowych, biorąc pod uwagę, że zastrzelił się dwa tygodnie później. - Hugh wzruszył ramionami. - Ale Emma twierdzi, że przez kilka miesięcy przed samobójstwem wasz ojciec czuł się znakomicie i dopiero na dzień przed śmiercią wpadł w głęboką depresję.

Deacon spojrzał na Terry'ego, który przysłuchiwał się ich rozmowie z szeroko otwartymi oczami.

- To długa historia - powiedział. - Znużyłaby cię.
- Możesz ją skrócić. Zrozum, ty wiesz o mnie wszystko. Byłoby fajnie, gdybym też coś o tobie wiedział.

Deacon miał już powiedzieć, że nie zna nawet prawdziwego nazwiska Terry'ego, ale w ostatniej chwili ugryzł się w język.

- Mój ojciec cierpiał na psychozę maniakalno-depresyjną. Powinien przyjmować lekarstwa, które łagodziły objawy choroby, ale on nie bardzo chciał się leczyć i przez to cierpiała reszta rodziny. - Zauważył, że Terry nie zrozumiał. - Psychoza maniakalno-depresyjną to taka huśtawka nastrojów. W fazie maniakalnej rozpiera cię energia, czujesz się trochę jak na dobrej bani, a w fazie depresyjnej masz myśli samobójcze. - Zaciągnął się papierosem, rzucił niedopałek na ziemię i zdusił go obcasem. - W Boże Narodzenie 1976 roku o czwartej nad ranem mój ojciec, w depresji, wsadził sobie do ust strzelbę i pociągnął za spust. - Deacon lekko się uśmiechnął. - Wszystko stało się bardzo szybko. Był straszny huk i straszne zamieszanie. I właśnie dlatego co roku próbuję zapomnieć, że istnieją święta.

Terry był wyraźnie poruszony.

- I dlatego Emma i Michael są tacy trudni we współżyciu - dodał oschle Hugh. - Oboje śmiertelnie się boją, że odziedziczyli po ojcu psychozę, dlatego z niczego nie potrafią się tak naprawdę cieszyć, a lekki smutek uważają za objaw klinicznej depresji.

- A więc to wszystko jest w genach, tak? Billy miał fioła na punkcie genów. Zawsze mówił, że nie ucieknie się przed tym, co przekazali nam nasi rodzice.

- Nie. To nie kwestia genów - przerwał stanowczo Hugh. - Istnieją pewne świadectwa wskazujące na obciążenia dziedziczne, ale żeby u Emmy i Michaela rozwinęła się taka sama

psychoza jak u ich ojca, musiałyby jeszcze zadziałać niezliczona liczba innych czynników.

Deacon roześmiał się.

- Chodzi mu o to, że jeszcze nie jestem świrem - wyjaśnił Terry'emu. - Hugh jest urzędnikiem państwowym i lubi precyzyjne definicje.

Terry zmarszczył brwi.

- No dobrze. Ale dlaczego twoja matka oskarża cię, że zabiłeś ojca, jeśli sam palnął sobie w łeb?

Deacon pił piwo w milczeniu.

- Bo jest suką - powiedział beznamiętnym tonem Hugh.

Deacon wzdrygnął się nerwowo.

- Powiedziała tak, bo to prawda. W Wigilię o jedenastej wieczorem ojciec powiedział mi, że chce umrzeć, a ja dałem mu wolną rękę. Pięć godzin później już nie żył. Moja matka uważa, że powinienem był go powstrzymać.

- Dlaczego tego nie zrobiłeś?

- Bo mnie o to prosił.

- No tak, ale... - chłopak wpatrywał się pytającym wzrokiem w twarz Deacona. - Nie obchodziło cię, że umrze? Ja byłem zdołowany za każdym razem, kiedy Billy próbował zrobić sobie krzywdę. Chodzi o to, że czujesz się jakoś tam odpowiedzialny.

Deacon wytrzymał przez chwilę jego spojrzenie i znów spuścił wzrok.

- To dobre określenie: zdołowany. Właśnie tak się poczułem, kiedy usłyszałem strzał. Oczywiście, że chciałem, żeby żył, ale powstrzymywałem go już wcześniej, a tym razem powiedział, że zrobi to i tak, ale wolałby zrobić to z moim błogosławieństwem. Więc dałem mu swoje błogosławieństwo. - Potrząsnął głową. - Miałem nadzieję, że do tego nie dojdzie, ale chciałem, żeby wiedział, że jeśli jednak to zrobi, nie będę go za to potępiał.

- Tak, ale... - zaczął znowu Terry. Deacon nie spodziewał się, że ta historia aż tak go poruszy i zaczął się zastanawiać, czy Terry nie znalazł w niej podobieństw do swojej przyjaźni z Billym. Czy chłopiec skłamał, kiedy mówił, że Billy nigdy nie próbował się zabić? A może, tak jak Deacon, nie był dość wytrwały i przez swoją beczynność stał się mimowolnym współlnikiem i pomocnikiem śmierci.

- Ale co? - zapytał.

- Czemu nie powiedziałeś o niczym mamie, czemu nie dałeś jej szansy, żeby go powstrzymała?

Deacon spojrzał na zegarek.

- Może odłożymy to pytanie na później? - zaproponował. - Musimy jeszcze kupić coś

do jedzenia, a ja ciągle nie zdecydowałem, co zrobić z nosem Hugh'a. - Zapalił następnego papierosa i przez moment przyglądał się swemu szwagrowi przez kłęb dymu. - Dlaczego Emma nie wyrzuciła tego testamentu do kosza? - Uśmiechnął się cynicznie, widząc wyraz twarzy Hugh'a. - Pozwól, że zgadnę. Dopiero, gdy złożyła go w całość, zorientowała się, że ojciec zostawił jej tylko dwadzieścia tysięcy, a wtedy było już za późno, bo ty i dziewczynki wiedzieliście już o wszystkim.

- Była ciekawa. Rzeczywiście przyniosła go do domu. Ale miała nadzieję... my wszyscy mieliśmy nadzieję, że ojciec zapisał jej sumę, która wystarczy na pokrycie naszego długu wobec twojej matki. Okazało się, że Penelopa dysponowała pieniędzmi, które prawnie należały się tobie, więc w istocie jesteśmy twoimi dłużnikami. Ale przysięgam ci, Michael, nigdy nie prosiliśmy o te pieniądze. Twoja matka bez przerwy powtarzała, że chciałaby coś zrobić dla swoich jedynych wnuczek, a ja któregoś dnia wspomniałem, że martwimy się z Emmą słabymi stopniami Antonii. I to wystarczyło. Penelopa założyła dziewczynkom fundusz stypendialny i po paru miesiącach Antonia i Jessica chodziły już do prywatnej szkoły.

Deacon podszedł do tej historii dość sceptycznie. Hugh i Emma nie byliby sobą, gdyby nie rozmiękczyli wcześniej Penelopy za pomocą niezliczonych drobnych aluzji.

- Dobrze im idzie?

- Tak. Obie świetnie sobie radzą. - Hugh w zakłopotaniu potarł dłonią łysinę. - Fundusz miał pokryć koszty dwunastu lat nauki: pięciu lat dla Ant, ponieważ jest dwa lata starsza i siedmiu dla Jesse. Obie korzystają już z niego prawie pięć lat. Mówimy o ogromnych pieniądzach, Michael. Obawiam się, że nie masz pojęcia, jak drogie są dzisiaj prywatne szkoły.

- Niech zgadnę. Jak dotąd kosztowało was to co najmniej sto pięćdziesiąt tysięcy. - Hugh uniósł brwi w zdumieniu. - Oczywiście nie czytałeś mojego artykułu na temat prywatnego szkolnictwa. Dokładnie zgłębiłem temat, włącznie z kosztami. Czy te pieniądze zostały dobrze spożytkowane?

Hugh wzruszył bezradnie ramionami, jakby bronił się przed ocenianiem zalet swoich córek.

- Są bardzo bystre - odparł wreszcie, ale Deacon miał wrażenie, że Hugh chciał raczej powiedzieć, że są bardzo miłe. - Musimy to wszystko uporządkować, Michael. Szczerze mówiąc, to prawdziwy koszmar. Według mnie sytuacja przedstawia się tak. Twoja matka świadomie zniszczyła testament ojca i przywłaszczyła sobie spadek swoich dzieci, za co może być sądzona, jeśli cała sprawa wyjdzie na jaw. W istotny sposób uszczupliła majątek twojego

ojca, sprzedając domek w Kornwalii i otwierając dziewczynkom fundusz. Poza tym, gdybyś odziedziczył to, co zapisał ci w testamencie Francis, Julii po rozwodzie należałoby się z tego prawdopodobnie połowa, a Klarze kolejna połowa, więc zostałbyś z jedną czwartą swojego spadku. Z tego, co wiem, obie mogłyby się nadal ubiegać o swoją część. - Rozłożył ręce w geście rozpacz. - I co teraz? Co z tym wszystkim zrobić?

- Zapomniałeś powiedzieć, jak bardzo doskwiera ci konieczność płacenia za prywatną opiekę dla mamy - mruknął Deacon. - To chyba jeszcze jeden istotny element w tym skomplikowanym rachunku.

- Masz rację - przyznał uczciwie Hugh. - Przyjęliśmy pieniądze w dobrej wierze, traktując je jako prezent, a tymczasem musimy płacić nie wiadomo jak długo za całodobową opiekę pielęgniarską, na którą nas nie stać. Twoja matka twierdzi, że umiera, co oznacza, że nasze wydatki niedługo się skończą, ale lekarze zapewniają, że pożyje jeszcze wiele lat. - Hugh potarł nerwowo czubek nosa. - Próbowałem jej wytłumaczyć, że gdyby było nas stać na zapewnienie jej takiego poziomu opieki, nie musielibyśmy korzystać z jej pieniędzy, żeby zapłacić chesne za szkołę dziewczynek, ale ona nie słucha żadnych argumentów. Nie zgadza się na sprzedaż domu, nie zgadza się zamieszkać z nami. Sprawdza tylko, czy przysłano nam cotygodniowy rachunek. - Jego głos stał się twardszy. - Zwariuję od tego. Gdybym wiedział, że ujdzie mi to na sucho, już dawno położyłbym jej na twarzy poduszkę i wyświadczył nam wszystkim przysługę.

Deacon przyglądał mu się ciekawie.

- Czego ode mnie oczekujesz? Jeśli nie słucha ciebie, z pewnością nie posłucha i mnie. Hugh westchnął.

- Najprostszym wyjściem z sytuacji byłaby oczywiście sprzedaż farmy, zainwestowanie pieniędzy i umieszczenie twojej matki w domu opieki. Ale Emma uważa, że tobie łatwiej byłoby ją przekonać.

- Zwłaszcza gdybym wymachiwał jej nad głową testamentem taty.

Hugh przytaknął.

- To mogłoby zadziałać. - Deacon sięgnął po swój płaszcz i wstał. - Zakładając oczywiście, że zależałoby mi choć trochę na tym, żeby pomóc wam wykaraskać się z kłopotów. Ale naprawdę trudno mi zrozumieć, dlaczego uważacie, że należy wam się tak duża część majątku taty. Mam dla was inną propozycję. Sprzedajcie swój dom i spłaćcie mamę. - Jego uśmiech nie był przyjazny. - Przynajmniej będziesz mógł spojrzeć jej uczciwie w oczy, kiedy następnym razem nazwiesz ją suką.

ROZDZIAŁ 12

Deacon wziął mrożonego indyka i wrzucił go do wózka. Odkąd wyszli z pubu, zachowywał się jak rozjuszony niedźwiedź, Terry więc wołał go nie prowokować, zwłaszcza po tym jak w samochodzie powiedział, że jeśli wszystkie kobiety w rodzinie Deacona są takimi francami, to nic dziwnego, że jego stary postanowił się zastrzelić.

- Co ty możesz o tym wiedzieć? - zapytał Deacon lodowatym głosem. - Czy Billy pogmatwał ci kiedyś życie do tego stopnia, że nikt nie chciał mieć z tobą nic wspólnego? A zresztą, jakie to ma znaczenie? Leżysz w rynsztoku, więc i tak niżej się już nie stoczysz.

Przez następne pół godziny nie odzywali się do siebie ani słowem, aż w końcu Deacon oparł się o wózek i obrócił twarz w stronę chłopca.

- Przepraszam, Terry, przesadziłem. Byłem wściekły, ale to mnie nie usprawiedliwia.

- Miałeś rację. Niżej rynsztoka człowiek się nie stoczy, taka jest prawda.

Deacon uśmiechnął się.

- Można stoczyć się o wiele niżej. Są jeszcze kanały i piekło, a do nich ci daleko. - Wyprostował się. - Poza tym mieszkasz teraz u mnie, a nie w żadnym rynsztoku, więc wybierz to, co najbardziej lubisz i zrobimy sobie królewską ucztę.

Po pięciu minutach wrócił do tego, co go gryzło.

- Czy Billy mówił ci kiedyś, ile ma lat?

- Nie. Wiem tylko, że mógłby być moim dziadkiem.

Deacon pokręcił głową.

- Patolog stwierdził, że miał około czterdziestu pięciu. Czyli niewiele więcej niż ja.

Terry był naprawdę zaskoczony. Stał z otwartymi ustami, trzymając w dłoni pudełko płatków kukurydzianych.

- Chyba żartujesz. Wyglądał znacznie starzej. Myślałem, że jest w wieku Toma, a Tom ma sześćdziesiąt osiem.

- Powiedział ci przecież, że dobrze było być młodym w latach siedemdziesiątych. - Deacon wyjął chłopcu z ręki pudełko i wrzucił je do wózka. - To było tylko dwadzieścia lat temu.

- Zgoda, ale mnie nie było jeszcze wtedy na świecie.

- A jakie to ma znaczenie?

- Takie, że dla mnie to cholernie dawno.

- Dlaczego Billy powiedział, że prawda umarła? - zapytał Deacon, kiedy wracali już do domu z bagażnikiem pełnym jedzenia. - Co to ma wspólnego z pocztówką? - Przypomniał sobie zdanie wypowiedziane przez Billy'ego w rozmowie z doktorem Irvinem: „Wciąż szukam prawdy”.

- A skąd, do cholery, mam wiedzieć?

Deacon z trudem zachował spokój.

- Mieszkałeś z tym człowiekiem prawie dwa lata i nie zadawałeś mu żadnych pytań. Gdzie się podziała twoja ciekawość? M n i e bez przerwy o coś pytasz.

- Ale ty odpowiadasz - powiedział Terry, gładząc z zadowoleniem klapy swojej kurtki.

- Billy strasznie się wściekał, kiedy pytałem „dlaczego”, więc dałem sobie spokój. Szkoda zachodu.

- Powiedział to w czasie przeszłym?

- Co?

- „Prawda u m a r ł a , więc i tak nic nie ma już znaczenia”.

- Już ci mówiłem.

- Prawda, *veritas*, Verity - Deacon przypominał psa, który złapał właściwy trop. - Verity to imię kobiety. - Spojrzał na Terry'ego z ukosa. - Myślisz, że V to Verity? Czy kiedy powiedział „Prawda umarła”, miał na myśli to, że „Verity umarła”? „Wciąż szukam Verity”? I nie mów mi: „A skąd, do cholery, mam wiedzieć?”, bo zaraz zatrzymam wóz i wepchnę ci tego indyka do gardła.

- Nie jestem, kurwa, jasnowidzem - powiedział płaczliwie Terry. - Jeśli Billy powiedział „Prawda umarła”, to dla mnie znaczy to, że prawda umarła.

- Ale dlaczego tak powiedział? - mruknął pod nosem Deacon. - O jakiej prawdzie mówił? O prawdzie absolutnej, względnej, oczywistej, świętej? A może o konkretnej, na przykład związanej z morderstwem, którego nikt nigdy nie odkrył?

- A skąd... - Terry w porę ugryzł się w język. - Tego mi nie powiedział.

- Więc zakładałam, że V to Verity - zdecydował Deacon. Zatrzymał się na światłach. - I pójdę jeszcze dalej. Założę się, że wyglądała tak jak ta kobieta z obrazu Picassa. Myślisz, że to możliwe? Mówiłeś kiedyś, że Billy uwielbiał tę pocztówkę i że całował ją, kiedy się zalał. Możliwe, że kogoś mu przypominała.

- Niekoniecznie - stwierdził rzeczowo Terry. - Znam kolesia, który nosi przy sobie zdjęcie Madonny. Cały czas się nad nim ślini, ale nigdy, nawet w snach, nie miał takiej dupy.

Widocznie staje mu tylko wtedy, kiedy popatrzy sobie na zdjęcie.

Deacon zwolnił sprzęgło.

- Jest różnica między żywą kobietą, która świadomie rozbudza erotyczne fantazje facetów, a portretem namalowanym prawie sto lat temu.

- Myślę, że wtedy nie było żadnej różnicy - powiedział Terry po dłuższym namyśle. - Kiedy Picasso malował tę laskę, na pewno mu stał, i założę się, że chciał, żeby tak samo było z facetami, którzy będą oglądać obraz. Zresztą, musisz przyznać, że ma niezłe cycki.

13.00 - Kapsztad, Afryka Południowa

- Kim jest ta kobieta? - Elegancka starsza pani wskazała córce ruchem głowy samotną postać siedzącą przy oknie. - Już ją tu widziałam. Zawsze przychodzi sama i wygląda, jakby chciała być gdzie indziej.

Córka podążyła za jej spojrzeniem.

- Gerry kiedyś ją poznał. Nazywa się bodajże Felicity Metcalfe. Jej mąż ma chyba kopalnię diamentów. Nieprzyzwoicie bogata. - Spojrzała z niezadowoleniem na swój skromny pierścionek zaręczynowy z pojedynczym kamieniem.

- Nigdy nie widziałam jej z mężczyzną.

Młodsza z kobiet wzruszyła ramionami.

- Może się rozwiodła. Z taką twarzą to prawie pewne. - Uśmiechnęła się cierpko. - Można by nią przycinać diamenty.

Jej matka uważnie przyjrzała się samotnej postaci.

- Jest bardzo chuda - przyznała - i raczej smutna. Z powrotem zajęła się jedzeniem.

- Przysłowie mówi prawdę, kochanie: pieniądze szczęścia nie dają.

- Bieda też nie - rzuciła z przekąsem córka.

Po południu, kiedy Terry zajął się urządzaniem mieszkania, Deacon usiadł przy stole w kuchni, żeby uporządkować te skąpe informacje, które udało mu się zdobyć. Od czasu do czasu rzucał jakieś pytanie. Dlaczego Billy postanowił spać w magazynie? Pewnie z tego samego powodu, co inni. Czy fascynowały go rzeki? Nigdy nic o tym nie mówił. Czy wymienił kiedyś nazwę miasta, w którym mógł mieszkać? Nie. Czy wspominał o jakimś uniwersytecie, zawodzie albo firmie, w której mógł pracować? Nie znam żadnych uniwersytetów, więc skąd miałbym wiedzieć?

- POWINIENEŚ COŚ WIEDZIEĆ, DO CHOLERY! - wrzasnął Deacon, który tym

razem stracił cierpliwość. - Nigdy w życiu nie spotkałem podobnego ignoranta.

Terry wsunął głowę do kuchni i uśmiechnął się od ucha do ucha.

- Nie przeżyłbyś tygodnia, gdybyś musiał żyć tak jak ja.

- Dlaczego?

- Dlatego. Gość, który myśli, że nazwy uniwersytetów są ważniejsze od tego, jak skombinować jedzenie, nie ma szans na ulicy. Tam chodzi o to, żeby przeżyć, a uniwerkiem nie napchasz sobie brzucha. Chcesz zobaczyć, jak tu urządziłem? Wygląda świetnie.

Terry miał rację. Po raz pierwszy mieszkanie Deacona można było nazwać domem.

Deacon uwzględnił w swoich notatkach jedynie nazwiska i wiek osób, nazwy miejsc i krótkie hasła wywoławcze. Uporządkował to wszystko na kartce papieru A4, umieszczając Billy'ego w samym środku wykresu. Kiedy skończył, oparł kartkę o butelkę z winem.

- Kolej na ciebie. Zobaczymy, czy coś ci się skojarzy. Pomogę ci, jeśli będziesz miał problemy.

Złożył ręce i patrzył, jak chłopiec badawczo przygląda się kartce, a następnie odczytywał na głos każde słowo, które wskazywał mu Terry.

Tamiza (dowolna rzeka?)

Terry Dalton (14 l.)

Tom Beale (68 l.)

Cadogan Square

Paryż

Magazyn

PIEKŁO

(V) - Verity? - (45+1.)

SAMOBÓJSTWO

Billy Blake (45 l.)

TOŻSAMOŚĆ

MORDERSTWO

James Streeter (44 l.)

Amanda Powell (36 l.)

PIENIĄDZE

W. F. Meredith

Nigel de Vriess (?)

(biuro projektowe)

Mieszkania

Bank Lowensteina

w Teddington

Thamesbank Estate

Marianne Filbert (?)

- O co chodzi z tymi rzekami? - zapytał Terry.

- Amanda mówiła mi, że Billy starał się trzymać jak najbliżej Tamizy.

- Kto jej o tym powiedział?

Deacon zajrzał do zapisu rozmowy.

- Pewnie policja.

- Pierwsze słyszę. Billy nie cierpiał rzeki. Narzekał, że od wilgoci łamie go w kościach i że woda przypomina mu krew.

- Dlaczego krew, na litość boską?

- Nie mam pojęcia. Chodziło chyba o to, że rzeka łączy matkę z dzieckiem jak... nie pamiętam nazwy.

- Pępowina.

- Właśnie. Mówił, że Londyn jest pełen gówna i że całe to gówno spływa w dół rzeki i zatruwa niewinne miejsca.

- Mówiłeś, że miał obsesję na punkcie genów. Czy to jakaś analogia?

- Może umiałbym odpowiedzieć - odparł ostro Terry - gdybyś gadał do mnie po ludzku.

Deacon uśmiechnął się.

- Myślisz, że mówił o swojej matce? Czy powiedział kiedyś, że matka przekazała mu złe geny przez pępowinę?

- Wspominał tylko o Londynie.

- A może chodziło mu o to, że wszyscy rodzice przekazują swoim dzieciom złe geny?

- Wspominał tylko o Londynie - powtórzył uparcie Terry.

- Słyszałem. To było pytanie retoryczne.

- Jezu! Jesteś taki sam jak on. E, a, i nikt, kurwa, nie wie, o co chodzi. - Wskazał na znaczek „45+” przy imieniu Verity. - Myślałem, że według ciebie V była młodsza od Billy'ego - powiedział. - Więc dlaczego dałeś jej tyle samo lat co jemu?

- Wstawiłem tu znak plus - odparł Deacon - co oznacza, że teraz jestem przekonany, że była od niego starsza. - Sięgnął po listy V. - Myślałem o tym wczoraj w nocy. Słowa „Zwierciadło nie przekona cię o twej starości, dopóki moja młodość zda się wiecznotrwała” można odczytać na dwa sposoby. Albo posłużyła się dosłownym cytatem z listu do niej, albo sparafrazowała go dla swoich potrzeb. Na początku wydawało mi się, że to jej parafraza, bo nie użyła cudzysłowu, a u Szekspira mamy: „Zwierciadło nie przekona mnie o mej starości, dopóki twoja młodość zda się wiecznotrwała”. Teraz wydaje mi się, że to wierny cytat i że osoba, do której pisała V, miała na myśli jej wiek i jej lustro. - Deacon pokręcił głową, widząc

zdezorientowaną minę Terry'ego. - Nie przejmuj się, słonko. Przyjmij tylko do wiadomości, że z listu wynika, że V jest jednak starsza od tego, do kogo pisze. Młodość jest beztroška, dojrzałość rozważna, a jeśli chodzi o ujawnienie ich romansu, V wydaje się o wiele rozważniejsza od swego przyjaciela.

- Czyli od Billy'ego?

- Prawdopodobnie.

- A więc nie na pewno?

- Nie. Mógł te listy gdzieś znaleźć.

Terry gwizdnął z uznaniem.

- To całkiem ciekawe. Zaczynam żałować, że nie zadałem mu paru pytań.

- Ja też - mruknął z sarkazmem Deacon.

Terry zażądał wyjaśnień na temat zapisków z dolnej części kartki. Kim byli de Vriess, Filbert i Streeter? Co robią tam W. F. Meredith, mieszkania w Teddington i Thamesbank Estate? Deacon opowiedział mu krótko o związku Streetera z Amandą Powell.

- W Thamesbank Estate mieszka Amanda, i tam umarł Billy - zakończył. - W Teddington Amanda z Jamesem chcieli zbudować mieszkania, a W. F. Meredith to firma, w której pracuje Amanda. Ma biura w starym zaadaptowanym magazynie, niecałe dwieście metrów od was.

- Myślisz, że ten Streeter to Billy?

- Nie, chyba że przeszedł poważną operację plastyczną.

- Ale podejrzewasz, że jest tu jakiś związek?

- Musi być. To nie przypadek, że jedną kobietę łączyło coś z dwoma mężczyznami, którzy stracili życie w niejasnych okolicznościach. Między magazynem a posiadłością Amandy są setki garaży i Billy m u s i a ł mieć jakiś powód, żeby pójść właśnie do niej. - Deacon w zamyśleniu potarł dłonią podbródek. - Przychodzą mi do głowy trzy możliwe wyjaśnienia. Pierwsze: z kosza na śmieci wyjął jakieś listy należące do niej i dowiedział się z nich, gdzie mieszka i kim jest. Drugie: zobaczył, jak wychodzi z biura, rozpoznał w niej kogoś, kogo znał w przeszłości i poszedł za nią aż do domu. Trzecie: k t o ś i n n y ją rozpoznał, śledził, a następnie przekazał informacje Billy'emu.

Terry zmarszczył brwi.

- Drugie wyjaśnienie jest kiepskie. Gdyby rozpoznał Amandę, wtedy ona rozpoznałaby jego. Nie wypytywałaby potem o niego, gdyby od początku wiedziała, kim jest.

- To zależy, jak bardzo się zmienił. Nie zapominaj, że sam dawałeś mu dwadzieścia lat więcej. To mogło odbyć się tak: Pewnego dnia Amanda znajduje w swoim garażu martwego

pijaczka, którym okazuje się znany policji Billy Blake, lat sześćdziesiąt pięć. Jest jej przykro, ale nie przejmuje się tym zanedo aż do momentu, kiedy dowiaduje się, że mężczyzna naprawdę nazywał się inaczej, miał czterdzieści pięć lat, nocował w pobliżu jej biura i prawdopodobnie świadomie wybrał jej garaż. Wtedy opłaca kremację zwłok i za wszelką cenę stara się o nim czegoś dowiedzieć. Co to może oznaczać?

- Że pomyślała, że Billy to jej stary.

Deacon przytaknął.

- Ale z pewnością zmieniła zdanie po obejrzeniu policyjnych fotografii. Więc dlaczego ma ciągle obsesję na punkcie Billy'ego?

- Może ją powinieneś o to zapytać.

- Już to zrobiłem. - Deacon posłał chłopcu miazdzące spojrzenie. - Nie chciała mi odpowiedzieć.

Terry wzruszył ramionami.

- Może nie potrafi. Może to dla niej taka sama zagadka jak dla nas. Jeśli dowiedziała się o facecie dopiero po jego śmierci, to znaczy, że nie mogli ze sobą rozmawiać. Dalej nie wiesz, po co tam poszedł. Jeśli ją rozpoznał, dlaczego miałby umierać w jej garażu? Jeśli jej nie rozpoznał, dlaczego miałby umierać w garażu kogoś obcego? Rozumiesz, o co mi chodzi?

- Rozumiem. Ale zakładasz, że mówiła prawdę. A jeżeli kłamała, twierdząc, że nigdy z nim nie rozmawiała? - Deacon przeciągnął się, rozluźniając mięśnie ramion. Przez chwilę obserwował chłopca kątem oka. - Musiał być w bardzo złej formie, skoro umarł tak szybko. Dlaczego pozwoliłeś mu tak odejść?

- Nie możesz mnie o to winić. Billy nigdy mnie nie słuchał. A swoją drogą, kiedy ostatni raz go widziałem, wyglądał całkiem nieźle.

- To niemożliwe. Przecież kilka dni później umarł z głodu.

- Nieprawda. Ostatni raz widzieliśmy go trzy, może cztery tygodnie przed śmiercią. - Terry wyglądał na przybitego, jakby uświadomił sobie, że to jego bezczynność zabiła Billy'ego. Tak jak bezczynność Deacona zabiła starego Francisa. - Zmył się w maju, a następnym razem usłyszeliśmy o nim, kiedy Tom przeczytał w gazecie, że znaleźli go sztywnego w garażu tej kobiety.

Deacon przez dłuższą chwilę zastanawiał się w milczeniu nad tym, co usłyszał. Z jakiegoś powodu zawsze zakładał, że Billy trafił do garażu prosto z magazynu.

- Wiesz może, dokąd poszedł?

- Wtedy myśleliśmy, że wylądował w pierdlu, ale potem... - Zawahał się. - Tom mówił, że pod celą nie daliby mu się zagłodzić, więc pewnie się gdzieś zamelinował i przestał

jeść.

- Robił to już wcześniej?

- Jasne. Wiele razy. Kiedy był zdołowany, albo miał dość typów w rodzaju Denninga. Ale trwało to najwyżej parę dni i zawsze potem wracał. Zaciągałem go wtedy do kuchni dla bezdomnych i kazałem jeść. Naprawdę o niego dbałem i wkurza mnie to, jak umarł. Nie powinien tak skończyć.

- Wiesz, dokąd mógł pójść?

Terry potrząsnął głową.

- Tom powiedział, że na pewno wyjechał z miasta, bo nikt go już więcej nie widział.

- Wiesz, dlaczego wyjechał?

Znów przeczący ruch głową.

- Co robił wcześniej?

- Włączył się, chlał, jak zwykle.

- Coś jeszcze?

- Na przykład?

- Nie wiem - powiedział Deacon. - Ale musiał być jakiś powód, dla którego zniknął na cztery tygodnie. Przypomnij sobie coś. Czy tamtego dnia zebrał? Rozmawiał z kimś? Rozpoznał kogoś na ulicy? Zrobił coś niezwykłego? Powiedział coś przed odejściem? O której godzinie wyszedł? Rano? Wieczorem? Pomyśl, Terry.

- Pamiętam tylko - odparł Terry po kilku sekundach marszczenia czoła, co miało oznaczać wysiłek myślowy - że strasznie podniecił się gazetą, którą znalazł w jakimś koszu. Zwykle przeglądał tylko nagłówki, ale tym razem przeczytał całą stronę, aż rozboleła go głowa. Przez resztę dnia chodził jak struty, a potem walnął sobie flaszkę Smirnoffa. Następnego dnia rano już go nie było i nikt go więcej nie widział.

ROZDZIAŁ 13

Terry zdołał sobie przypomnieć, że Billy zniknął zaraz po piętnastym maja. Gdy tylko Deacon wyciągnął z niego tę informację, wepchnął go do samochodu i pojechali do redakcji „Street”. Terry narzekał przez całą drogę, próbując przekonać Deacona, że wieczorami nie przegląda się gazet, tylko siedzi się w pubach i klubach... Problem w tym, że Deacon jest już za stary i zapomniał, jak się korzysta z życia... To, że nienawidzi Bożego Narodzenia, nie oznacza, że wszyscy dookoła muszą cierpieć razem z nim...

- DOŚĆ! - ryknął udręczony Deacon, gdy dojeżdżali już do Holborn. - To nie potrwa długo, więc, na litość boską, przymknij się! Do pubu możemy wpaść potem.

- Dobra, ale musisz mi opowiedzieć o swojej matce.

- Słuchaj, Terry, czy rozumiesz znaczenie słowa „milczeć”?

- Pewnie że tak, ale obiecałeś mi powiedzieć, dlaczego nie dałeś jej szansy, żeby powstrzymała twojego tatę.

- To dość proste - powiedział Deacon. - Nie odezwała się do niego przez dwa lata i nic nie wskazywało na to, żeby tamtej nocy miało się to zmienić.

- Mieszkali w jednym domu?

- Tak. Mieli oddzielne pokoje, z dala od siebie. Matka opiekowała się nim, prała mu ubrania, gotowała, ścieliła łóżko. Ale nie odzywała się do niego.

- Niezła franca - powiedział oburzony Terry.

- Mogła się z nim rozwieść i zostawić go, żeby sam sobie radził - zauważył łagodnie Deacon. - Gdyby się postarała, mogła go nawet ubezwłasnowolnić. Dwadzieścia lat temu nie było to takie trudne. - Rzucił chłopcu krótkie spojrzenie. - Nie dało się z nim żyć, Terry. Jednego dnia był czarujący, a następnego obrażał wszystkich dookoła. Jeśli ktoś mu się sprzeciwił, stawał się agresywny, zwłaszcza kiedy pił. Nie potrafił utrzymać posady, był zupełnie nieodpowiedzialny, ale bez przerwy krytykował cudze błędy. Biedna mama znosiła to przez dwadzieścia trzy lata, aż wreszcie przestała się odzywać. - Skręcił w Farringdon Street. - Powinna była zrobić to wcześniej. Kiedy przestali się kłócić, atmosfera w domu zrobiła się znośniejsza.

- Jeśli nie pracował, to jakim cudem zostawił wam tyle forsy?

- Dostał ją w spadku po ojcu, który miał kawałek ziemi. Rząd potrzebował go akurat

pod autostradę, więc mój dziadek zbił na tym całkiem niezłą kasę. Zapisał ją jedynemu dziecku wraz z przepięknym wiejskim domem z sześciopasmową autostradą u stóp ogrodu.

- Jezus! I twoja matka gwizdnęła ci to sprzed nosa?

Deacon skręcił w Fleet Street.

- Jeżeli nawet, to należało jej się to. Kiedy mieliśmy osiem lat, wysłała nas z Emmą do szkoły z internatem, żebyśmy nie musieli mieszkać pod jednym dachem z tatą. - Deacon przejechał obok wejścia i zatrzymał się na pustym parkingu na tyłach redakcji. - Pod koniec rozmawialiśmy ze sobą tylko dlatego, że miałem z nim mniej do czynienia niż mama i Emma. Unikałem domu jak zarazy i jeździłem tam tylko na święta. Przemieszkowałem u znajomych ze szkoły i uczelni. - Wyłączył silnik. - Emma dawała z siebie znacznie więcej, dlatego tata zostawił jej tylko dwadzieścia tysięcy. Znienawidził ją, bo stała po stronie mamy. - Popatrzył na chłopca ze słabym uśmiechem. - Widzisz, wszystko wygląda inaczej, niż myślałeś, Terry. Tata złośliwie spisał drugi testament i niewykluczone, że sam go podarł. Hugh wie o tym równie dobrze jak ja, ale jest w tarapatkach i chce się z nich wydostać.

- Czy wszystkie rodziny są takie jak wasza?

- Nie.

- Nic z tego nie rozumiem. Wygląda na to, że lubisz swoją matkę, więc czemu z nią nie rozmawiasz.

Deacon wyłączył przednie światła i ogarnęła ich ciemność.

- Chcesz wyczerpującego uzasadnienia, czy odpowiedzi w trzech słowach?

- W trzech słowach.

- Chcę ją ukarać.

- Co się dziś z wami dzieje? - zapytał Glen Hopkins, gdy Deacon wpisał się już do książki. - Od dwóch godzin jest tu Barry Grover. - Z zainteresowaniem przyjrzał się Terry'emu. - Zaczynam dochodzić do wniosku, że to jedyne miejsce, w którym dobrze się czuje.

Terry uśmiechnął się ujmująco i oparł łokcie na blacie.

- Mój tato - wskazał kciukiem Deacona - chce, żebym zobaczył, gdzie pracuje. Widzi pan, jest strasznie wściekły, bo mama poszła w kurs po tym, jak wywalił ją z domu. Teraz chce mi pokazać, że są lepsze sposoby zarabiania na życie.

Deacon chwycił go za rękę i popchnął w stronę schodów.

- Nie wierz w ani jedno jego słowo, Glen. Gdyby ten gnojek miał choć jeden mój gen, rzuciłbym się z najbliższego mostu.

- Mama ostrzegała, że będziesz agresywny - powiedział płacząco Terry. - Zawsze powtarzała, że najpierw bijesz, a dopiero potem zadajesz pytania.

- Zamknij się, kretynie!

Terry roześmiał się, a Glen Hopkins odprowadził ich wzrokiem z wyrazem autentycznego zaciekawienia na wiecznie ponurej twarzy. Po raz pierwszy, odkąd pamiętał, Deacon wyglądał w miarę pogodnie i pewnie dlatego Glen dostrzegł nieistniejące podobieństwo w budowie twarzy mężczyzny i chłopca.

Barry Grover był równie zaintrygowany osobą Terry'ego, ale ponieważ przez całe życie maskował swoje prawdziwe uczucia, przyjrzał się tylko zza swoich grubych szkieł obu gościom, którzy wpadli z hałasem do jego pokoju. Barry wyglądał osobliwie - siedział samotnie przy biurku na środku zaciemnionego pokoju, a światło lampki odbijało się w soczewkach jego okularów. Podobieństwo do wielkiego chrząszcza o błyszczących oczach było szczególnie uderzające i Deacon zdecydowanym ruchem włączył górne światło, żeby rozproszyć nieprzyjemny obraz.

- Cześć, Barry - powiedział nienaturalnie serdecznym tonem, jakiego zawsze używał w stosunku do tego człowieka. - Poznaj mojego przyjaciela, Terry'ego Daltona. Terry, to prawdziwe oczy redakcji „Street”, Barry Grover. Jeśli choć trochę interesujesz się fotografią, powinieneś pogadać z tym facetem. Wie na ten temat wszystko.

Terry uklonił się przyjaźnie.

- Mike przesadza - powiedział skromnie Barry, starając się pokryć własne skrepowanie. Wchodząc do redakcji, musiał ścierpieć przenikliwe spojrzenie Glena, za którym kryła się słabo maskowana ciekawość. Teraz odwrócił się plecami do swoich nieoczekiwanych gości i wsunął zdjęcia Amandy Powell pod plik wycinków z gazet.

Terry, zupełnie niewrażliwy na tego typu subtelności, zbliżył się do biurka Barry'ego, a Deacon zasiadł przy czytniku i zaczął przeglądać materiały archiwalne z maja 1995 roku. Terry nie znał obyczajów panujących w środowisku dziennikarzy, nie zastanawiał się więc, dlaczego ten otyły, niski człowiek o owadzych oczach i nerwowych ruchach siedzi samotnie w półmroku. Skoro on i Deacon tam byli, obecność Barry'ego Grovera też wydała mu się zupełnie naturalna.

Przysiadł na skraju biurka.

- Mike powiedział mi na schodach, że jesteś rzeczywiście najlepszy - wyznał. - Podobno próbujesz się dowiedzieć, kim był Billy Blake.

Barry odsunął się nieco. Podejrzewał, że krępujące, bezceremonialne zachowanie

Terry'ego to sprawka Deacona.

- Zgadza się - powiedział sztywno.

- Przyjaźniłem się z Billym, więc gdybym mógł ci w czymś pomóc...

- Szczerze mówiąc, wolę pracować w pojedynkę. - Barry zaczął wymachiwać w powietrzu rękami, jakby chciał zmieść intruza z biurka i niechcący odsłonił niedoświetloną odbitkę policyjnego zdjęcia Billy'ego, na którym wyraźnie widać było tylko oczy, nos i linię między wargami.

Terry podniósł zdjęcie i dokładnie je obejrzał.

- Sprytne - powiedział ze szczerym podziwem w głosie. - Widzisz tylko to, czego szukasz. - Podniósł drugą, równie niedoświetloną odbitkę i położył obok pierwszej. Były do siebie bardzo podobne, pomijawszy drobne różnice w rozmieszczeniu rysów. - Niesamowite. - Terry dotknął drugiego zdjęcia. - Co to za koleś?

Barry ściągnął okulary i przetarł je chusteczką. Przeżywał prawdziwe katusze. Nie mógł znieść tego, że jakiś wygolony bandzior wtyka nos w jego zawodowe sprawy.

- Kierowca ciężarówki nazwiskiem Graham Drew - warknął, odkładając zdjęcia na drugi koniec biurka.

- Skąd wiedziałeś, że wygląda jak Billy?

- Mam jego zdjęcie w swoim archiwum.

- Jezul! Naprawdę jesteś niesamowity. Pamiętasz wszystkie zdjęcia?

- Nierozsądnie byłoby polegać na pamięci - odparł surowo Barry. - Oczywiście mam pewien system.

- Jaki?

Barry nie wierzył w szczerotę zainteresowania Terry'ego. Doszedł do wniosku, że jeśli chłopak przyszedł z Deaconem, w rzeczywistości musiał być znacznie bardziej rozgarnięty, a jego dociekliwość wyglądała na udawaną.

- Jest skomplikowany. Nie zrozumiałbyś.

- Szybko się uczę. Mike uważa, że mam wysoki iloraz inteligencji. - Terry przyciągnął sobie nogą wolne krzesło i zasiadł na nim u boku nowego guru. - Niczego nie obiecuję, ale chyba bardziej przydam się tobie niż jemu. - Skinął głową w kierunku Deacona. - Słowa to nie moja działka, kapujesz? Ale z obrazami idzie mi nieźle. Więc na czym polega ten twój system?

Barry'emu drżały nieco ręce, gdy z powrotem zakładał okulary.

- Wychodzę z założenia, że Billy Blake to pseudonim i przeglądam zdjęcia mężczyzn, którzy uniknęli zatrzymania przez policję w ciągu ostatnich dziesięciu lat. Chodzi o ludzi -

zakończył pedantycznie - którzy uznali za konieczną zmianę tożsamości.

- Fantastyczne. Mike mówił, że jesteś genialny.

Barry przysunął sobie segregator z końca biurka.

- Niestety jest ich bardzo wielu, a w niektórych przypadkach dysponuję tylko portretami pamięciowymi.

- Dlaczego gliniarze szukają tego Drewa?

- Odjechał ciężarówką, w której była jego żona, dwójka dzieci, trzydzieści owiec i dwa miliony w złocie, przepłynął promem kanał La Manche i zniknął gdzieś we Francji.

- O w mordę!

Barry zachichotał mimo woli.

- Właśnie. Owce znaleziono na polu jakiegoś francuskiego farmera, ale Drew z żoną, złotem i ciężarówką rozpląnął się w powietrzu. - Barry otworzył nerwowym ruchem segregator z odbitkami i wycinkami prasowymi. - Możemy przejrzeć je razem - zaproponował - i odłożyć te, którym warto się bliżej przyjrzeć. Jest tu około stu mężczyzn poszukiwanych przez policję w 1988 roku.

- Świetnie - zgodził się chętnie Terry. - A później wszyscy pójdziemy się napić. Co ty na to?

Godzinę później Deacon obrócił się na krześle.

- Ej! Wy dwaj! Ruszcie tyłki i chodźcie tutaj. - Uniósł kciuki w triumfalnym geście. - Założę się, że wiem już, co przeczytał Billy. To jedyna wiadomość z pierwszej połowy maja, która ma związek z naszą sprawą.

Nigel-pocieszyciel

Po rozwodzie z restauratorem Timem Graysonem (l. 58), Fiona Grayson zamierza podobno wrócić do swego pierwszego męża, przedsiębiorcy Nigela de Vriessa (l. 48). Według jej przyjaciółki, lady Kay Kinslade, Fiona bywa ostatnio częstym gościem w Halcombe House, wiejskiej posiadłości Nigela niedaleko Andover. „Mają mnóstwo wspólnych cech i dwójkę dorosłych dzieci” - mówi lady Kay, pomijając dyskretnie milczeniem burzliwy rozwód, który miał miejsce dziesięć lat temu, kiedy Nigel porzucił Fionę i związał się na krótko z Amandą Streeter. Mąż Amandy, James, zniknął później z 10 milionami funtów ukradzionymi z banku, w którym pracował również Nigel de Vriess. „Czas goi rany” - mówi lady Kay, która zaprzecza równocześnie, jakoby Fiona miała kłopoty finansowe.

Nigel, który powiedział kiedyś o sobie, że jest „człowiekiem stworzonym do tego, by wygrywać” prowadził swoje interesy ze zmiennym szczęściem. Pierwszy milion zarobił w wieku trzydziestu lat, ale w 1985

roku, po fatalnej inwestycji w transatlantyczne linie lotnicze, która przyniosła mu ogromne straty, przyjął posadę członka zarządu banku Lowensteina. Odszedł z banku w 1991 roku, kupując wcześniej Softworks, małą, niedoinwestowaną firmę z ukrytym potencjałem, dzięki której zaistniał na rynku programów komputerowych. Zmienił nazwę firmy na DVS, zatrudnił nowych pracowników z nowymi pomysłami i w ciągu czterech lat stał się jednym z głównych potentatów na lukratywnym rynku komputerów osobistych.

Mniej szczęśliwy w miłości, Nigel był dwukrotnie żonaty, a jego nazwisko kojarzono często z najpiękniejszymi kobietami w naszym kraju. Najwidoczniej jednak Fiona wspomina go milej niż większość jego byłych przyjaciółek. Jedną z jego eks-kochanek, aktorka Kirstin Olsen, opisała go w pamiętny sposób: „sknerowaty cherlak z małym ptaszkiem”. Nowym przyjacielem Kirstin Olsen jest Bo Madsen, mężczyzna o posturze Arnolda Schwarzeneggera, uznany przez czytelników magazynu „Hello!” za „najseksowniejszego faceta na świecie”.

Deacon przeczytał notatkę na głos ze względu na Terry'ego i zachichotał, kiedy chłopiec wybuchnął śmiechem.

- Pewnie na to zasłużył, ale żal mi drania. Chyba nie wynagrodził właściwie tej całej Olsen za wysiłek, jaki włożyła w swoje orgazmy.

- „Piekielna furia mniejszą budzi zgrozę niżli kobieta wzgardzona” - zacytował z patosem Barry.

- Znam to - powiedział Terry. - Billy mnie tego nauczył. - Naśladując głos Billy'ego, zadeklamował z emfazą. - „«Wściekłością serca kochanków zatruwa miłość w nienawiść zmieniona; / Piekielna furia mniejszą budzi zgrozę niżli kobieta wzgardzona ». Ale furia nie oznacza tu szalu, Terry. To Furia przez duże ef, potwór ze skrzydłami, którego Bóg zsyła na ziemię, żeby zamieniał życie grzeszników w piekło”. - Uśmiechnął się z dumą i powrócił do swojego zwykłego tonu. - Zawsze kiedy się zalał, mówił, że po niego przyjdą. To była jedna z jego kar: kiedy się urzynał, dopadały go Furie.

- Lubił zadawać sobie ból - wyjaśnił Barry'emu Deacon. - Wkładał dłonie do ognia, żeby je oczyścić, ilekroć uważał, że zrobił coś złego.

- Te Furie wyglądają mi raczej na *delirium tremens* - powiedział Barry.

- Billy sam się kaleczył, ale zawsze mówił, że walczy z Furiami. - Terry wskazał palcem na ekran czytnika. - Myślicie, że Billy poszedł szukać tego Nigela? Po co?

Deacon wzruszył ramionami.

- Będziemy musieli zapytać Nigela.

- Moim zdaniem to byłoby za proste - powiedział wolno Barry. - Ale może rzeczywiście Billy chciał zdobyć adres Amandy Streeter. Jeżeli nie wiedział, że nazywa się teraz Amanda Powell, jak inaczej miałby ją odszukać?

- Masz rację - powiedział z podziwem Terry. - A to znaczy, że jeśli Amanda nie знаła Billy'ego, Billy musiał znać Jamesa. Rozumiecie? Teraz musicie tylko znaleźć nazwiska kumpli Jamesa i dowiedzieć się, kim był Billy.

Deacon pokręcił głową, udając rozpacz.

- Moglibyśmy się tego dowiedzieć, w ciągu pięciu minut, gdybyśmy umieli dotrzeć do tego, co masz w głowie. - Uniósł brwi lekko rozbawiony. - Facet odebrał staranne wykształcenie, był kaznodzieją-amatorem, miłośnikiem twórczości Williama Blake'a, cytował Congreve'a, znał się na sztuce, literaturze, miał swoje poglądy polityczne, wierzył w kodeks etyczny. A przede wszystkim był kimś w rodzaju teologa, którego zajmowali szczególnie greccy bogowie ze swym okrutnym i arbitralnym zwyczajem ingerowania w ludzkie życie. No więc? Co to za człowiek?

Barry zdjął okulary i znowu zaczął przecierać szkła. Niechęć do samego siebie narastała w nim do granic fizycznego bólu i bał się tego, co mógłby zrobić, gdyby Deacon zostawił go i tym razem. Wiedział doskonale, że gdyby ujawnił teraz prawdziwą tożsamość Billy'ego, ta resztką zainteresowania, którą Deacon go jeszcze obdarzał, rozwiałyby się bez śladu. Rzuciliby się z Terryem na poszukiwanie Fentona, zostawiając go sam na sam z chaosem, panującym w jego duszy dwadzieścia cztery godziny na dobę. Pomyślał o tym, co czeka go w domu, i kurczowo uchwycił się nadziei, którą dawała mu ukryta wiedza. Deacon nie musiał wiedzieć, kim był Billy - przynajmniej na razie - ale koniecznie musiał wiedzieć, że Barry w końcu mu to powie.

- Mój ojciec lubił parafrazować doktora Johnsona - wymamrotał nerwowo, jak gdyby bał się ośmieszyć. - „Jeśli patriotyzm jest ostatnią deską ratunku dla łotrów”, mówił, „to dla ludzi słabych tą deską jest teizm”. Oczywiście mogą się mylić, ale... - Zawahał się, zerknął na Terry'ego i zamilkł.

- Mów dalej - zachęcił go Deacon.

- Nie wypada mówić źle o zmarłych, Mike, zwłaszcza w obecności ich przyjaciół.

- Billy był mordercą - oświadczył spokojnie Deacon. - Powiedział mi o tym Terry. Wątpię, czy mógł okazać jeszcze większą słabość.

Barry założył okulary i spojrzał na nich z wyraźną satysfakcją.

- Tak myślałem. Billy miał jakąś skazę. Uciekał. Pił. Zabił się. Silny człowiek tak nie postępuje. Silni ludzie zmagają się ze swoimi problemami i rozwiązują je.

- Mógł być chory. Terry często mówi o nim: czubek.

- Mówiłeś, że żył jako Billy Blake co najmniej przez cztery lata.

- Więc?

- Jak człowiek chory psychicznie mógłby zachować fałszywą tożsamość przez cztery lata? Zapominałby o niej przy każdym kryzysie.

To trafna uwaga, przyznał Deacon. A jednak...

- Czy to samo nie odnosi się do alkoholika?

Barry zwrócił się do Terry'ego.

- Co mówił, kiedy pił?

- Niewiele. Przeważnie upijał się w trupa. Myślę, że po to pił.

„Dla mnie szczęście oznacza brak świadomości...”

- Mówiłeś, że po pijanemu bredził i deklamował wiersze - przypomniał mu ostro Deacon. - Teraz mówisz, że tracił przytomność, Więc jak?

Na twarzy chłopca pojawił się grymas.

- Naprawdę staram się wam pomóc. Jak się porządnie urzynał to padał i zasypiał, a jak był jeszcze na chodzie, to deklamował. Recytował wiersze i gadał bzdury o Daewoo seks maszynie...

- Co takiego?! - krzyknął Deacon.

- Daewoo-seks-maszyna - powtórzył wolno Terry, starannie akcentując słowa.

- Co to znaczy?

- Skąd, do cholery, mam wiedzieć?

Deacon zmarszczył brwi, próbując coś z tego zrozumieć.

- *Deus ex machina*? - zapytał.

- Właśnie.

- Co jeszcze mówił?

- Przeważnie same głupoty.

- A dokładnie?

Terry miał już dość.

- Mówił tysiące rzeczy. Może pójdziemy się wreszcie napić? Przy kufelku pamięć mi się odświeża. Barry'ego też już na pewno suszy, prawda?

- No cóż... - odchrząknął. - Najpierw musiałbym to wszystko poskładać.

Deacon spojrzał na zegarek.

- A ja muszę zrobić ksero tego kawałka o de Vriessie. Może mógłbyś przez dziesięć minut ponaśladować nam jeszcze Billy'ego, a my przez ten czas zrobimy to, co mamy do zrobienia. Potem pójdziemy do pubu i do jutra zapomnimy o całej sprawie.

- Obiecujesz?

- Obiecuję.

Występ Terry'ego był swoistym wyczynem artystycznym, który Deacon uwiecznił na taśmie. Chłopak miał niezwykły talent do parodiowania cudzych głosów, choć nie sposób było stwierdzić, czy tak właśnie brzmiał głos Billy'ego. Terry zapewniał Deacona, że naśladuje Billy'ego perfekcyjnie aż do chwili, gdy Deacon odtworzył mu z taśmy pierwsze trzydzieści sekund nagrania. Terry pokładał się ze śmiechu, ponieważ przypominało mu to „gadki ważniaków w gajerkach”. Treść była w większości nieistotna, bo stanowiła jedynie potwierdzenie wiary Billy'ego w bogów i w karę za grzechy. Były tam też fragmenty wierszy, już wcześniej przytaczane przez Terry'ego. Nie powrócił, niestety, do motywu *deus ex machina*, bo, jak sam przyznał, nie rozumiał, o co w tym wszystkim chodzi, więc nie zapamiętał słów, które wypowiadał Billy.

Deacon, rozbawiony spektaklem, poklepał chłopca przyjaźnie po ramieniu, radząc, by się tym nie przejmował, ale Barry wysłuchał Terry'ego ze śmiertelną powagą, po czym przewinał taśmę, aby odszukać fragment, który następował po prezentacji listy bogów.

„...a najstraszliwszy ze wszystkich jest Pan, bóg żądy. Zatkajcie uszy, bo jego czarodziejska muzyka wprawi was w obłąd, a anioł trzymający w dłoni klucz do otchłani sfrunie z nieba i strąci was w nią na wieki. Będziecie czekać na próżno na tego, który ma zstąpić z chmur, by was ocalić. Tylko Pan jest prawdziwy...”

- A może „ten, który ma zstąpić z chmur, by was ocalić” to właśnie *deus ex machina* Billy'ego? - podsunął. - Przypomnijcie sobie przedstawienia, w których dobra wróżka z czarodziejską różdżką wyłania się nagle z obłoku mgły, przynosząc szczęśliwe zakończenie.

- Co w związku z tym? - ponaglił go Deacon.

- No cóż... - Barry uporządkował myśli. - Pan to bóg rzymski, ale, jeśli dobrze pamiętam, „anioł trzymający w dłoni klucz do otchłani” pochodzi z Apokalipsy świętego Jana, a więc z tradycji judeo-chrześcijańskiej. Billy wierzył chyba, że do grzechu nakłaniają człowieka pogańscy bogowie, ale karę wymierza Bóg j u d e o - c h r z e ś c i j a ń s k i . A to musiało utrudniać mu zrozumienie idei zbawienia. Nie wiedział, czy ma zjednywać sobie pogańskich bogów przez akty w rodzaju przypalania sobie dłoni, czy też Boga chrześcijan przez głoszenie Jego słowa.

- Gdzie umieściłbyś „tego, który ma zstąpić z chmur”?

- Sądzę, że to jego symboliczna wizja zbawienia. Mówi o czekaniu „na próżno”, a więc najwyraźniej nie wierzy w zbawienie - a przynajmniej nie w swoje - ale gdyby miało ono jednak nastąpić, to w formie *deus ex machina*, zadziwiającej zjawy, która sięga do otchłani, aby go z niej wydobyć.

- Biedny skurwiel - westchnął Deacon. - Ciekawe, co takiego zrobił, skoro uznał, że nie może być zbawiony. - Nagle przeszedł go dreszcz i zauważył, że Terry zaciera ręce, żeby się rozgrzać. - Strasznie tu zimno. Chodźmy się w końcu napić.

Barry patrzył, jak Terry gra na jednoręcznym bandycie za pieniądze Deacona.

- Fajny z niego chłopak - stwierdził.

Deacon zapalił papierosa i spojrzał w tamtą stronę.

- Od dwunastego roku życia mieszka na ulicy. Wygląda na to, że tylko dzięki Billy'emu jest w miarę normalny.

- Co z nim zrobisz po świętach?

- Nie wiem. Powinien pójść do szkoły, ale nie wyobrażam sobie, żeby mógł wrócić do

sierocińca. Coś trzeba będzie wymyślić. - Deacon odwrócił się do Barry'ego. - Przydał się przy zdjęciach?

- Trochę za szybko wyklucza podobieństwa, ale chyba po prostu nie uświadamia sobie faktycznego wieku Billy'ego. Musiałem uratować ze dwa zdjęcia. - Wyciągnął z kieszeni kopertę z odbitkami i rozłożył je na stoliku. - Co o nich myślisz?

Deacon wybrał odbitkę dobrej jakości przedstawiającą młodego, jasnowłosego mężczyznę, patrzącego wprost w obiektyw aparatu.

- Tego poznaję. Kto to?

Barry roześmiał się wesoło.

- James Streeter, mniej więcej dwadzieścia lat temu, kiedy skończył uniwersytet w Durham. Wychowywał się w Manchesterze, więc z czystej ciekawości zwróciłem się o pomoc do tamtejszych gazet i jedna z nich przesłała mi to. Niesamowite, prawda?

- Kropka w kropkę jak Billy.

- Tylko dlatego, że był chudszy i chyba rozjaśnił sobie włosy.

Deacon wyciągnął zdjęcie Billy'ego i położył je obok młodego Jamesa Streetera.

- Porównałeś to na komputerze?

- Tak, ale to nie jest ten sam człowiek, Mike. Istnieje spore podobieństwo, bo twarz uchwycono pod zbliżonym kątem. Są jednak znaczne różnice. Przede wszystkim uszy. - Sięgnął po paczkę papierosów i zasłonił nią dolną częśći twarzy Billy'ego tak, że górny brzeg paczki dotykał koniuszka ucha. - Oczywiście, wszystko zależy od kąta patrzenia, ale płatki małżowiny Billy'ego są większe niż u Jamesa, a ich dolny kraniec znajduje się mniej więcej na wysokości ust. - Przesunął paczkę na drugą fotografię i ułożył w takiej samej pozycji. - James prawie w ogóle nie ma płatków, a ich dolny kraniec znajduje się na wysokości nozdrzy. Jeśli zsynchronizujesz na komputerze oczy, nos i usta, nie pasują uszy, a jeśli zmienisz kąt, żeby zsynchronizować uszy, nie pasuje cała reszta.

- Jesteś naprawdę dobry.

Na puzatych policzkach Barry'ego pojawił się rumieniec.

- Po prostu lubię to robić. - Trącił dłonią pozostałe odbitki, zręcznie podsuwając Deaconowi pod oczy profil Petera Fentona. - Poznajesz jeszcze kogoś?

Deacon potrząsnął głową. Raz jeszcze spojrzął na Jamesa Streetera, po czym odłożył zdjęcia na bok.

- Porywamy się z motyką na słońce - powiedział znużonym głosem. - Zaczynam zresztą podejrzewać, że Billy odgrywa tu rolę drugoplanową.

- W jakim sensie?

- Wszystko zależy od tego, co chciała zyskać Amanda, mówiąc mi o Billym. Musiała założyć, że dowiem się o Jamesie, więc kim właściwie mam się zajmować? Billym czy Jamesem? - W zamyśleniu zaciągnął się papierosem. - I co tu robi Nigel de Vriess? Dlaczego miałby dać adres Amandy zupełnie obcemu człowiekowi?

- Może jej nie lubi - powiedział Barry, delikatnie ujawniając własne uprzedzenia.

- Kiedyś lubił. Rzucił dla niej żonę. Poza tym, nawet jeśli bardzo kogoś nie lubisz, nie dajesz jego adresu pierwszemu lepszemu świrowi. - Uważnie przypatrzył się Barry'emu. - Mam rację?

- Tak. - Barry spojrzał niespokojnie na zdjęcie Petera Fentona. - Podejrzewam, że mogli się znać wcześniej.

Deacon podążył za jego wzrokiem.

- Nigel i Billy?

- Tak.

Deacon był sceptyczny.

- Dlaczego Nigel miałby to przed nią ukrywać? Po co ze mną rozmawiała, skoro de Vriess mógł podać jej prawdziwe nazwisko Billy'ego?

- Może już się nie kontaktują.

Deacon pokręcił głową.

- Nie sądzę. O takiej kobiecie łatwo się nie zapomina. A de Vriess lubi kobiety.

- A czy ty ją lubisz, Mike?

- Jesteś drugą osobą, która mnie o to pyta. - Ich spojrzenia spotkały się na moment. - A ja nie umiem odpowiedzieć. Jest inna niż większość kobiet, ale nie wiem, czy to zaleta czy wada. - Uśmiechnął się szeroko. - Jest cholernie seksowna. To pewne.

Barry z trudem odwzajemnił uśmiech.

ROZDZIAŁ 14

Terry zapalił lampkę nad łóżkiem w sypialni Deacona i zaczął gwałtownie szarpać śpiącego mężczyznę za ramię. Deacon otworzył jedno oko i spojrzał na swojego podopiecznego ze skrajną dezaprobatą.

- Przestań mną trząść - powiedział powoli i wyraźnie. - Niedobrze mi.

Przewrócił się na drugi bok i z powrotem ułożył się do snu.

- Tak, tak, jasne, ale musisz wstać.

- Czemu?

- Dzwoni Lawrence.

Deacon usiadł z wyraźnym trudem i jęknął, czując w okolicach potylicy tępy ból.

- Czego chce?

- Skąd mam wiedzieć?

- Dlaczego nie dałeś mu się nagrać? - warknął Deacon. Zdążył już spojrzeć na zegarek i zorientować się, że było wpół do siódmej rano. - Od tego jest sekretarka.

- Nagrał się cztery razy, ale dzwoni dalej. Naprawdę nie słyszałeś? Jesteś głuchy czy co?

Deacon, klnąc pod nosem, powlókł się do salonu i podniósł słuchawkę.

- Lawrence, co takiego się stało, że zrywasz mnie z łóżka bladym świtem w Wigilię?

Staruszek miał zaniepokojony głos.

- Właśnie słuchałem radia, Michael. Ostatnio tak mało śpię. Podejrzewam, że możemy spodziewać się wkrótce wizyty policji. Wiem, że Terry tam jest, bo odebrał telefon, ale czy możesz ręczyć za to, co robił wczoraj w nocy?

Deacon energicznie przetarł oczy.

- O co chodzi?

- O kolejny incydent, przypuszczalnie w tym samym magazynie, w którym mieszkał Terry. Włącz radio i posłuchaj informacji. Oczywiście mogę się mylić, ale wygląda na to, że policja poszukuje naszego znajomego. Oddzwonź do mnie jak najszybciej. Możesz mnie potrzebować.

Lawrence odłożył słuchawkę.

W serwisie radiowym była to wiadomość dnia, relacjonowana szczegółowo przy

każdym wejściu spikera na antenę. Wkrótce po piątkowej próbie zabójstwa i aresztowaniu podejrzanego o nie mężczyzny w opuszczonym portowym magazynie zajmowanym przez bezdomnych doszło do kolejnej tragedii. We wczesnych godzinach porannych w Wigilię Bożego Narodzenia kilku mężczyzn zostało oblanym benzyną i podpalonych. Policja poszukuje młodego mężczyzny, około 180 centymetrów wzrostu, ostrzyżonego krótko przy skórze, ubranego w ciemny płaszcz, którego widziano zaraz po zejściu w pobliżu magazynu. Chociaż policja nie ujawniła jego personaliów, wiadomo, że poszukuje konkretnej osoby, która, jak się przypuszcza, po piątkowej próbie morderstwa miała zatarg z pozostałymi członkami wspólnoty zamieszkującej magazyn.

Terry, mimo całej swojej zewnętrznej brawury, miał dopiero czternaście lat. Z przerażeniem w oczach wpatrywał się w radio.

- Ktoś mnie wrobił - wołał spanikowany. - Co ja mam, kurwa, robić? Przyskrzynię mnie.

- Nie bądź idiotą - przerwał ostro Deacon. - Byłeś tu przecież przez całą noc.

- A skąd ty to, kurwa, możesz wiedzieć? - natarł ze złością Terry, u którego rosnący strach napędzał agresję. - Mogłem wyjść i wrócić, a ty byś o niczym nie wiedział. Nie usłyszałeś nawet telefonu.

Deacon wskazał ręką na kanapę.

- Siadaj tu, a ja zadzwonię do Lawrence'a.

- Nie ma mowy. Zmywam się stąd. - Terry zacisnął pięści. - Nie będę tu siedział na dupie i czekał aż mnie zwiną.

- Siadaj - ryknął Deacon - zanim naprawdę mnie wkurzysz!

Ponieważ Deacon obawiał się, że Terry wymknie się z mieszkania, kiedy on pójdzie szukać numeru Lawrence'a, przełączył aparat na system głośno mówiący, wybrał 1471, aby uzyskać przywołanie numeru ostatniej osoby, która do niego dzwoniła, i wcisnął trójkę, żeby wybrać żądany numer.

- Witaj, Lawrence, mówi Michael. Mamy włączony aparat głośno mówiący, więc obaj cię słyszymy i obaj możemy z tobą rozmawiać. Naszym zdaniem, masz rację. Faceci z magazynu podkablowali Terry'ego i lada chwila spodziewamy się tu wizyty policji. Co mamy robić?

- Możesz ręczyć za Terry'ego?

- I tak, i nie. Wróciliśmy do domu taksówką około drugiej w nocy. Zostawiłem samochód na Fleet Street, bo trochę przeholowałem. Mniej więcej do wpół do drugiej siedzieliśmy w pubie z facetem nazwiskiem Barry Grover. Byliśmy kompletnie urzęnięci.

Powiedziałem Terry'emu, żeby przestał chichotać jak panienka i kładł się do łóżka, a potem urwał mi się film. Spałem jak zabity. Obudził mnie dopiero Terry, kiedy zadzwoniłeś. Nie mogę przysiąc, że był tutaj od drugiej w nocy do momentu, w którym się obudziłem - zerknął na zegarek - a to oznacza cztery godziny i piętnaście minut. Istnieje możliwość, że wyszedł w tym czasie z mieszkania, ale praktycznie nie ma mowy. Kiedy wepchnąłem go do jego sypialni, ledwo trzymał się na nogach i jestem w stu procentach pewny, że był tu aż do tej pory.

- Słyszysz mnie, Terry?

- Tak.

- Czy od chwili waszego powrotu opuszczaliście mieszkanie Michaela?

- Nie - odburknął chłopak. - Pęka mi łeb i nie będę odpowiadał na kretyńskie pytania.

Suchy śmiech Lawrence'a wypełnił pokój.

- W takim razie niepotrzebnie się martwimy. Policja szuka pewnie jakiegoś innego wygolonego młodzieńca. Ale nalegam, żebyście wyczyścili mieszkanie. Nasi przyjaciele z policji reagują zwykle niekorzystnie na wszystko, co wymaga identyfikacji chemicznej. Dajcie mi znać, jeśli będą jakieś kłopoty, dobrze?

- Czy on nie mógłby przynajmniej czasami mówić po ludzku? - zachnął się Terry, kiedy Deacon odłożył słuchawkę. - O co mu chodziło? Coś mu się nie podoba?

- Tak. To, że masz przy sobie trawkę. Ile ci zostało?

- Jakaś resztką.

- Nie chcę tu ani grama - Deacon walnął pięścią w stół. - Wszystko ma trafić prosto do kibla. - Gdyby wzrok mógł zabijać, chłopiec leżałby martwy na podłodze. - Zrób to w tej chwili, Terry.

- Dobra już, dobra, ale zapłaciłem za nią mnóstwo kasy.

- Ja zapłacę znacznie więcej, jeśli ją tu znajdą.

Terry'emu powróciła naturalna zaczepność.

- Masz większego cykora ode mnie - powiedział z wymownym spojrzeniem. - Nie lubisz ryzyka, Mike? Nie chcesz sprawdzić, czy nie pęknie, kiedy gliny cię przycisną.

Deacon zaśmiał się krótko i ruszył w stronę sypialni.

- Coś ci powiem, Terry. Bardziej interesuje mnie to, czy ty nie pęknie. To ciebie będą maglować, więc na twoim miejscu nie dawałbym im zbyt wielu powodów do podejrzeń.

Kiedy pół godziny później w mieszkaniu zjawiała się policja w osobach dwóch detektywów, z których jednym był sierżant Harrison, byli już ubrani i jedli śniadanie. Kiedy

Deacon otworzył drzwi i potwierdził, że wie, gdzie jest Terry Dalton (tak się złożyło, że siedzi przy stole w kuchni), Harrison wyraził zdumienie, że w niedzielę rano są tak wcześnie na nogach.

- Jest Wigilia - powiedział Deacon, prowadząc ich przez mieszkanie. - Wybieramy się z wizytą do mojej matki w Bedfordshire, więc wstaliśmy wcześniej. - Usiadł przy stole i zabrał się z powrotem do swoich płatków. - Co możemy dla pana zrobić, sierżancie? Myślałem, że Terry złożył zeznanie w piątek.

Harrison spojrzał na chłopca, który beztrząsowo pałaszował trzecią miskę płatków.

- To prawda. Przyszliśmy w innej sprawie. Czy może nam pan powiedzieć, panie Dalton, gdzie pan był dziś o godzinie trzeciej w nocy?

- Tutaj.

- Potrafi pan to udowodnić?

- Jasne. Byłem z Mike'em. A o co chodzi?

- W magazynie doszło do kolejnego wypadku. Pięciu śpiących mężczyzn zostało oblanych benzyną i podpalonych. Wszyscy trafili do szpitala, a dwóch z nich jest w stanie krytycznym. Czy wie pan coś na ten temat?

- Nic podobnego - odparł z oburzeniem Terry. - Ostatni raz byłem tam w piątek w nocy. Spytajcie Mike'a.

Harrison ponownie zwrócił się do Deacona:

- Czy może pan to potwierdzić?

- Tak. Zaproponowałem Terry'emu, żeby spędził ze mną święta po tym, jak złożył wam swoje zeznanie. W piątek, jadąc do domu, zatrzymaliśmy się przy magazynie, żeby Terry mógł zabrać trochę osobistych rzeczy. Od tej pory cały czas przebywa w moim towarzystwie. - Deacon zmarszczył brwi. - Zapytał pan Terry'ego, czy wie coś na temat tego, co stało się w magazynie. Sugeruje pan, że jest w to zamieszany?

- Na tym etapie niczego jeszcze nie sugerujemy. Po prostu zbieramy informacje.

- Rozumiem.

Przez moment nikt się nie odzywał, a Deacon i Terry jedli dalej śniadanie.

- Co dokładnie miał pan na myśli - zapytał Terry'ego Harrison - mówiąc, że zeszłej nocy był pan z tym gentlemanem?

- A niby co miałem mieć?

- Pozwoli pan, że ujmę to inaczej. Jeśli pan i pan Deacon dzieliliście zeszłej nocy łóżko, wydaje się wątpliwe, żeby mógł pan opuścić je niezauważony. Czy właśnie to miał pan na myśli, mówiąc, że był pan z panem Deaconem? - Sierżant mówił to wszystko z obojętną

miną, ale na twarzy jego kolegi pojawiło się rozbawienie.

Chłopak znieruchomiał, co Deacon uznał za oznakę wzburzenia, ale kiedy Terry podniósł głowę, w jego oczach widać było szelmowskie błyski.

- Myślę, że na to pytanie powinien odpowiedzieć Mike - odparł niedbale. - To nie moja chata.

Deacon zlokalizował pod stołem gołą stopę Terry'ego i nastąpił mu na palec podkutym obcasem buta.

- Przepraszam - powiedział półgłosem, kiedy chłopiec jęknął z bólu. - Zraniłem cię? Obsunęła mi się noga, kochanie.

Złożył usta w ciup, żeby posłać mu całusa.

- Odwal się, Mike! - Terry przeniósł wzrok z twarzy Deacona na twarze policjantów. - Jasne, że nie spaliśmy w jednym łóżku. Nie jestem męską dziwką, a Mike nie jest parową. Zrozumiano? On był w swoim łóżku, a ja w swoim, ale to nie znaczy, że zerwałem się stąd w środku nocy, żeby podpalać gości w magazynie. Wróciliśmy koło drugiej, padłem na łóżko i spałem jak zabity.

- Dlaczego mamy panu wierzyć?

- Spytajcie Mike'a. To on zawlókł mnie do pokoju. Jeśli trzeba, spytajcie Barry'ego. Byliśmy razem do wpół do drugiej. Powie wam, że byłem za bardzo zapruty, żeby latać po nocy do magazynu. Albo porozmawiajcie z taksówkarzem, który nas odwoził. Zabrał nas tylko dlatego, że miał po drodze do domu. Mike zapłacił mu z góry i dorzucił coś ekstra, bo facet bał się, że zhaftujemy mu siedzenia. Nie zhaftowaliśmy. - Zaczerpnął głęboki oddech. - Zawracanie dupy! Po co miałbym kogoś podpalać. Te dziady pilnują mojego materaca.

- Kto to jest Barry?

- Barry Grover - odparł Deacon. - Pracuje w piśmie „Street”, a mieszka gdzieś w Camden. Byliśmy z nim od wpół do dziewiątej do wpół do drugiej.

- Zamawialiście taksówkę?

- Złapaliśmy. Kierowca miał około pięćdziesięciu lat, siwe włosy, był szczupły i nosił zieloną bluzę. Wziął nas z rogu Fleet Street i Farrington Street.

- Mieliście szczęście - powiedział beznamiętnie Harrison. - W święta o tej porze niełatwo o taksówkę.

Deacon po prostu przytaknął. Nie uważał za konieczne wspominać o tym, że położył się na masce taksówki, która zatrzymała się na światłach i nie chciał zejść tak długo, aż w końcu kierowca zgodził się zabrać ich za pięćdziesiąt funtów. Naciągnął ich, ale Deacon wolał zapłacić, niż skończyć w jakiejś bramie.

- Czy pozwoli pan, że rozejrzemy się trochę po mieszkaniu? - zapytał Harrison.

Deacon przyjrzał mu się z uwagą.

- W jakim celu?

- Żeby upewnić się, czy zeszłej nocy istotnie spali panowie w swoich łóżkach.

- Niech ci pokażą nakaz, Mike - powiedział Terry.

- A po co mi nakaz, na Boga? - zapytał Deacon.

- Gliniarze nie mogą grzebać w twoich prywatnych rzeczach tylko dlatego, że tak im się podoba.

- Nie mam nic przeciwko temu, żeby panowie zajrzeli do mojego pokoju, ale jeśli stanowi to dla ciebie problem... - przerwał, wzruszając ramionami.

- Oczywiście, że nie - odparł szybko Terry.

- Więc po co marudzisz? - Deacon wstał. - Tędy, panowie.

Policjanci zgodzili się na filiżankę kawy i uspokoili się na tyle, że wspólnie z Deaconem i Terryem zapalili po papierosie.

- Terry odpowiada rysopisowi mężczyzny, którego widziano w pobliżu magazynu wkrótce po zdarzeniu - oznajmił Harrison.

- On i milion innych - odparł Deacon.

- Skąd może pan to wiedzieć?

- Słyszeliśmy rysopis w radiu.

- Tak też podejrzewałem. Mogę zapytać, kto panów uprzedził?

- Mój adwokat, Lawrence Greenhill - powiedział Deacon. - Słuchał informacji i ostrzegł nas, że możemy spodziewać się wizyty policji.

- Więc skłamał pan, mówiąc, że wybieracie się z wizytą do pańskiej matki.

- Nie. Wyruszamy zaraz po panów wyjściu, ale przyznaję, że obudziliśmy się nieco wcześniej, niż planowałem. Mój budzik zacznie dzwonić - Deacon spojrzął na zegarek - za pół godziny.

- Kiedy planują panowie wrócić?

- Dziś po południu.

- Nie ma pan nic przeciwko temu, że skonsultujemy podaną przez panów wersję wydarzeń z tym, co powiedzą nam Barry Grover i taksówkarz?

- Naturalnie, że nie - odparł Deacon. - Mogą panowie zrobić coś jeszcze. Sprawdźcie, że byliśmy w „Kulawym Żebraku” do wpół do jedenastej, a potem „U Carlosa” na Farringdon Street do pierwszej w nocy, skąd nas w końcu wyrzucili.

- Proszę o adres pańskiej matki.

- Nie chcę jechać do twojej matki - powiedział ponurym głosem Terry, wbity w kąt siedzenia obok kierowcy. Po odbyciu jeszcze jednego kursu taksówką odebrali samochód Deacona z parkingu pod redakcją i wyjeżdżali właśnie na drogę M1. - Ona też nie chce mnie widzieć.

- Ani mnie - mruknął Deacon, który obliczył, że od chwili wprowadzenia się Terry'ego przepuścił majątek na drobne wydatki. Dochodził do przekonania, że nastolatki kosztują więcej niż żony. Już sam apetyt Terry'ego (na śniadanie zjadł tyle, co pułk wojska) zrujnowałby finansowo większość ludzi.

- Więc po co w ogóle tam jedziemy?

- Bo kiedy na to wpadłem, pomyślałem, że to dobry pomysł.

- To miała być tylko wymówka dla gliniarzy.

- Robienie rzeczy, na które się nie ma ochoty, kształtuje charakter.

- Billy też tak mówił.

- Billy był mądrym człowiekiem.

- Nieprawda. Był głupim frajerem. Myślałem o tym wszystkim i wiesz, co ci powiem? Moim zdaniem Billy wcale nie zagłodził się na śmierć, tylko pozwolił, żeby ktoś inny zrobił to za niego. A na to trzeba być skończonym głupkiem.

Deacon spojrzał na niego.

- W jaki sposób ktoś miałby go zagłodzić?

- Uchlewając go na okrągło, tak że zapominał o jedzeniu. Billy troszczył się o żarcie tylko wtedy, jak był trzeźwy - na przykład w pierdłu. Inaczej zapominał, że bez jedzenia się umiera.

- Uważasz, że ktoś dostarczał mu alkohol przez cztery tygodnie, żeby zapił się na śmierć?

- Aha. To jedyne sensowne wyjaśnienie. Inaczej nie mógłby chlać tak długo, żeby paść z głodu. Nie kupował za swoje, bo nie miał forsy, a gdyby wytrzeźwiał, wróciłby do magazynu. Mówiłem ci już, że urywał się od czasu do czasu, ale zawsze wracał, jak kończyła się gorzała i zaczynał być głodny.

Detektyw sierżant Harrison kilkakrotnie naciskał dzwonek u drzwi szeregowego domku państwa Groverów w Camden, zanim w uchylonych drzwiach ukazała się spocona twarz Barry'ego.

- Pan Grover? - zapytał.

Barry skinął głową.

- Detektyw sierżant Harrison z komisariatu na Isle of Dogs. Czy mogę wejść?

- O co chodzi?

- Chciałbym zadać panu kilka pytań na temat Michaela Deacona i Terry'ego Daltona.

- Co takiego zrobili?

- Wolałbym pomówić o tym w środku.

- Jestem nie ubrany.

- Zajmę panu tylko moment.

Po krótkiej chwili ciszy zazgrzytał łańcuch i Barry otworzył szeroko drzwi.

- Moja matka jeszcze śpi - wyszeptał. - Proszę wejść tutaj. - Otworzył drzwi do głównego salonu, a gdy znaleźli się w środku, zamknął je po cichu.

Harrison poczuł w nosie chłodne, stęchłe powietrze i rozejrzał się wokół. Znajdował się w pomieszczeniu, w którym czas zatrzymał się przed wieloma laty. Po obu stronach okna zwisały wyblakłe od słońca brudnobrazowe aksamitne zasłony, a po tapecie piął się grzyb. Na kominku stały ciasno ustawione obok siebie fotografie mężczyzny w mundurze z pierwszej wojny światowej, a nad nimi z portretu uśmiechała się słodko młoda dziewczyna w staromodnej sukience. Ciemne i ciężkie meble przywodziły na myśl epokę wiktoriańską, a w atmosferze czuło się ciężar minionego czasu.

Harrison położył dłoń na oparciu zakurzonego fotela i poczuł pod palcami wilgotny, lepki brud. Z niepokojem pomyślał o ludziach, którzy godzą się mieszkać w tak odrażających warunkach.

- Niech pan niczego nie rusza - wyszeptał Barry. - Matka się wścieknie, jeśli zauważy, że ktoś tu czegoś dotykał. To pokój jej dziadków. - Wskazał na fotografie i obraz. - A to oni. Wychowali ją, kiedy jej matka uciekła z domu.

Wionęło mu z ust źle przetrawionym alkoholem i przedstawiał dosyć żalony widok w swojej piżamie w paski i zarzuconym na nią wytartym szlafroku, który ledwie zakrywał mu wydatny brzuch. Sierżant był rozdarty między uczuciem braterskiej solidarności (uczestniczył w zbyt wielu popijawach, żeby nie znać tego charakterystycznego bólu, który pojawia się nazajutrz rano) a szczególnym rodzajem niemal fizycznej odrazy. Winą za to obarczał dziwną atmosferę panującą w pokoju i nieprzyjemny zapach mężczyzny, ale uczucie wstrętu nie opuszczało go jeszcze długo po zakończeniu rozmowy.

- Michael Deacon utrzymuje, że przebywał pan wczoraj razem z nim oraz z młodzieńcem nazwiskiem Terry Dalton od ósmej trzydzieści wieczorem do mniej więcej

pierwszej piętnaście w nocy. Czy może pan to potwierdzić?

Barry ostrożnie skinął głową.

- Tak.

- Czy może mi pan powiedzieć, co robili, kiedy widział ich pan po raz ostatni?

- Mike zatrzymał taksówkę, wspinając się na maskę samochodu, a następnie wspólnie z Terryem wsiedli do środka. Wybuchła lekka kłótnia, bo kierowca nie chciał wieść pijanych, a Mike upierał się, że nie wolno mu odmówić, jeśli pasażer ma pieniądze. Wydaje mi się, że zapłacili za kurs z góry i odjechali. - Barry poczuł przyływ mdłości i przycisnął rękę do brzucha. - Co się stało? Mieli wypadek?

- Nie, chodzi o coś innego. Zeszłej nocy w opuszczonym magazynie, w którym mieszkał Terry Dalton, doszło do pewnego zdarzenia. Chcieliśmy się upewnić, czy nie był w to zamieszany. Jak opisałby pan jego stan w chwili, kiedy wsiadał do taksówki?

Barry unikał wzroku sierżanta.

- Mike właściwie musiał wciągać go do środka i wydaje mi się, że kiedy odjeżdżali, Terry leżał na podłodze.

- A jak pan dostał się do domu?

Pytanie wyraźnie spłoszyło Barry'ego.

- Ja? - zawahał się. - Też taksówką.

- Z Farrington Street?

- Nie. Z Fleet Street. - Barry zdjął okulary i zaczął przecierać je rękawem szlafroka.

- Złapał pan taksówkę na ulicy?

- Nie. Zamówiłem z redakcji „Street”. Reg Linden pozwolił mi skorzystać z telefonu w recepcji.

- Czy także musiał pan zapłacić z góry?

- Tak.

- No cóż, dziękuję panu za pomoc. Sam trafię do wyjścia.

- Nie, nie. Odprowadzę pana - powiedział Barry z dziwnym nerwowym chichotem. - Nie chciałbym, żeby pomylił pan drzwi, sierżancie. Lepiej nie budzić mojej matki.

Deacon przejechał przez bramę i zatrzymał samochód pod murem z czerwonej cegły biegnącym wzdłuż podjazdu. Ekrany ustawione po obu stronach autostrady tłumiły odgłosy przejeżdżających aut i dom trwał pogrążony w promieniach zimowego słońca, które wyłaniało się zza chmur płynących na północ. Deacon spojrzał w stronę frontowego wejścia, żeby zorientować się, czy zauważono ich przyjazd, ale w oknach nie dostrzegł żadnego ruchu.

Przed bocznym wejściem stał nie znany mu samochód (który należał z pewnością do mieszkającej z matką pielęgniarki), ale poza tym wszystko wyglądało dokładnie tak samo jak przed pięciu laty, kiedy wyjeżdżał w pośpiechu, obiecując sobie nigdy już tam nie wrócić.

- No, co jest? - zagadnął Terry, widząc, że Deacon nie rusza się z miejsca. - Idziemy czy nie?

- Odechciało mi się.

- Jezu, nie denerwuj się tak. Jestem z tobą. Przy mnie cię nie pogryzie.

Deacon uśmiechnął się.

- W porządku. Chodźmy. - Otworzył drzwi auta. - Nie obrażaj się, jeśli będzie dla ciebie niegrzeczna. A przynajmniej nie od razu. Trzymaj język na wodzy, dopóki nie wrócimy do auta. Zgoda?

- A jeśli będzie niegrzeczna dla ciebie?

- Tak samo. Kiedy przyjechałem tu ostatni raz, byłem tak wściekły, że o mało nie rozniosłem tego domu. Nigdy więcej nie chcę się tak czuć. - Patrzył na drzwi kuchenne, przypominając sobie tamten dzień. - Gniew to zabójcza siła, Terry. Niszczy wszystko, co napotka na swojej drodze, także tego, kto czuje gniew.

- Wygląda na to, że złapaliśmy naszych podpalaczy - usłyszał Harrison od swojego partnera, kiedy godzinę później wrócił na posterunek. - Trzech osiłków: Grebe, Daniels i Sharpe. Pół godziny temu, kiedy ich ujęto, śmierdzili jeszcze benzyną. Daniels zrobił błąd, bo pochwalił się swojej dziewczynie, że wspólnie z kumplami oddali miejscowym przysługę, pozbywając się przybłędów, a dziewczyna od razu zadzwoniła do nas. Według niej, Daniels słyszał o piątkowym zajściu w magazynie i zeszłej nocy postanowił podłożyć tam ogień. Twierdzi, że wszyscy bezdomni to męty i że trzeba oczyścić ulice East Endu z tego śmiecia. Urocze, co?

- Zmarnowałem sześć godzin, uganiając się za Terryem Daltonem - powiedział cierpko Harrison - a na koniec trafiłem do najdziwaczniejszego faceta w całym Camden. - Wzdrygnął się teatralnie. - Wiesz, kogo mi przypominał? Richarda Attenborough w roli Christie'ego w *Placu Rillington 10*. Już sam dom wyglądał jak jakaś cholerna dekoracja filmowa.

- Kim był ten Christie?

- Odrażającym zbrojcem, który zabijał kobiety, a potem je gwałcił. Nie pamiętasz?

- A, t e n Christie - przytaknął z powagą policjant.

Pielęgniarka, która mieszkała z matką, była atrakcyjną Irlandką o lekko szpakowatych

włosach i korpulentnej figurze. Słyszając pukanie Deacona, otworzyła drzwi kuchenne i z ciepłym uśmiechem zaprosiła ich do środka.

- Poznałam pana z fotografii - zwróciła się do Deacona, wycierając ręce oblepione mąką w kuchenny fartuch. - Michael Deacon, prawda? - Uścisnęła mu dłoń. - Siobhan O'Brady.

- Miło cię poznać, Siobhan. - Deacon odwrócił się w stronę Terry'ego, który stał schowany za jego plecami. - A to mój przyjaciel, Terry Dalton.

- Witaj, Terry. - Kobieta otoczyła ramieniem plecy chłopca i zamknęła drzwi. - Napijcie się herbaty?

Deacon zgodził się chętnie, ale Terry, który wydawał się skrępowany jej macierzyńskimi odruchami, chciał możliwie szybko i grzecznie wyzwolić się z jej objęć.

- Muszę iść do ubikacji - powiedział stanowczym tonem.

- Na prawo, a potem pierwsze drzwi po lewej - objaśnił Deacon, powstrzymując uśmiech. - I uważaj na głowę. Mają tu niskie drzwi.

Siobhan wstawiła wodę w czajniku.

- Czy twoja matka spodziewała się, że przyjedziesz, Michael? Bo jeśli tak, to o niczym mi nie powiedziała. Ostatnio jest trochę roztargniona, więc mogła zapomnieć, ale nie przejmuj się. Znajdę i dla was coś do jedzenia. - Zaśmiała się pogodnie. - Jakim cudem radziliśmy sobie dawniej bez lodówek i zamrażarek? Zawsze się nad tym zastanawiam. Pamiętam, jak moja matka peklowała jajka na ciężkie czasy. Wyglądały ohydnie. Było nas w domu czternaścioro i żadne z nas nie chciało ich jeść.

Przerwała, żeby wsypać herbatę do czajniczka i Deacon skorzystał z okazji, żeby odpowiedzieć na jej pierwsze pytanie. Jest gadatliwa, pomyślał. Ciekawe, jak matka to znosi?

- Nie - powiedział. - Moja matka nie wie, że przyjechałem. I proszę nie martwić się o lunch. Możliwe, że nie zechce ze mną rozmawiać, a wtedy ja i Terry wyjedziemy natychmiast.

- A więc będziemy trzymać kciuki, żeby nic takiego nie nastąpiło. Szkoda byłoby jechać tak daleko na darmo.

Deacon uśmiechnął się.

- Dlaczego odnoszę wrażenie, że nie jesteś zaskoczona moim przyjazdem?

- Twoja siostra wspominała, że możesz się zjawić. Powiedziała, że jeśli w ogóle przyjedziesz, to na pewno bez uprzedzenia. Może bała się, że najpierw zadzwonię na policję, a dopiero potem zapytam, kim jesteś? - Zalała herbatę gorącą wodą i wyciągnęła z szafki trzy kubki. - Na pewno chcesz wiedzieć, jak się ma twoja matka. No cóż, nie jest już tak sprawna

jak kiedyś, ale kto w jej wieku jest sprawny? Jednak wbrew temu, co mówi, wcale nie stoi nad grobem. Ma słaby wzrok i dlatego nie może czytać. Ma też kłopoty z chodzeniem - cierpi na niedowład jednej nogi. Wymaga stałej opieki, bo z powodu mniejszej sprawności ruchowej zaniedbała dietę, co groziło nawet śpiączką hipoglikemiczną.

Nalała herbatę do kubka i postawiła ją przed nim razem z dzbanuszką mleka i cukiernicą.

- Najlepiej byłoby jej oczywiście w jakimś domu opieki, gdzie mogłaby zachować niezależność, a równocześnie mieć zapewnioną całodobową pomoc, ale nie chce o tym nawet słyszeć. Próbuje jej wszyscy wytłumaczyć, że może żyć jeszcze następnych dziesięć lat, lecz ona jest święcie przekonana, że to jej ostatnie miesiące, i dlatego postanowiła spędzić je tutaj. - Kobieta spojrzała na niego przenikliwym wzrokiem. - Widzę po twoim wyrazie twarzy, że zastanawiasz się, co mi do tego. Dlaczego pielęgniarka trzyma stronę Emmy i Hugh'a, skoro chodzi im tylko o to, żeby wykaraskać się długów. Ale, mój drogi, prawda jest taka, że nie mogę patrzeć spokojnie, jak moja pacjentka cierpi. Całymi dniami siedzi sama w pokoju, nikt jej nie odwiedza i nikt się o nią nie troszczy, a jej jedyną towarzyszką jest gadatliwa Irlandka w średnim wieku, z którą nic ją nie łączy. Serce mi się kraje, kiedy widzę, jak stara się być dla mnie miła, bo boi się, że inaczej spakuję się i wyjadę. Trudno wyobrazić sobie coś smutniejszego. Chyba się ze mną zgodzisz, Michael?

- Tak, to prawda.

- Więc postarasz się ją przekonać, żeby była rozsądna?

Deacon uśmiechnął się przepraszająco i pokręcił głową.

- Nie. Jeśli ma jasny umysł, może sama podejmować decyzje. Nie mam zamiaru się wtrącać. Nie wiem, co jest rozsądne, a co nie. Nie potrafię pomóc sam sobie, a co dopiero innym. Przykro mi.

Deacon spodziewał się, że jego odpowiedź wprawi Siobhan w większe zakłopotanie.

- No więc jak, Michael? Pójdziemy zobaczyć, czy twoja matka cię przyjmie? Tak czy owak, nie ma sensu dłużej tego odkładać.

Deacon domyślił się cynicznie (i trafnie), że swoje dobre samopoczucie Siobhan zawdzięczała intuicji, która podpowiadała jej, że Penelopa Deacon zrobi dokładnie na odwrót, niż poradzi jej syn.

ROZDZIAŁ 15

Sąsiadka Amandy Powell przygotowywała właśnie lunch, kiedy nagle zauważyła przez okno mężczyznę, który majstrował coś przy zamku w drzwiach do garażu pani Powell. Wiedziała, że w domu nie ma nikogo, bo Amanda powiedziała jej rano, że spędzi święta ze swoją matką w Kent. Wkrótce potem wyjechała. Kobieta pobiegła do pokoju, żeby zaalarmować męża, ale kiedy oboje podeszli do okna w kuchni, mężczyzny już nie było.

Mąż, z pewnym ociąganiem, wyszedł na zewnątrz, żeby rozejrzeć się za rzekomym włamywaczem. Sprawdził drzwi do garażu, były jednak dokładnie zamknięte. Drzwi wejściowe również. Wyrzął na spokojną i cichą ulicę, wzruszył ramionami i wrócił do swojej żony.

- Jesteś pewna, że ci się nie przewidziało, kochanie?

- Oczywiście, że mi się nie przewidziało - odparła oburzona. - Nie jestem stetryczalą staruszką. Na pewno uciekł przez ogród i próbuje włamać się gdzie indziej. Sporo osób wyjechało na święta. Musisz zadzwonić na policję.

- Będą chcieli znać rysopis.

Kobieta przerwała obieranie jarzyn i wyjrzała przez okno, odtwarzając w myśli scenę sprzed kilkunastu minut.

- Był średniego wzrostu, szczupły i miał na sobie ciemny płaszcz.

Narzekając, że to niegrzecznie zawracać głowę policji w samą Wigilię i że każdy dom ma przecież system alarmowy, zadzwonił jednak. Otrzymał zapewnienie, że patrol policji przyjedzie sprawdzić zgłoszenie, a po odłożeniu słuchawki wydało mu się, że widział już kiedyś mężczyznę pasującego do tego opisu. Wówczas, kiedy stał przed garażem pani Powell i obserwował, jak policja wynosi na noszach ciało martwego włóczęgi.

Postanowił, że nie wspomni o tym żonie.

- Nie wiem, dlaczego się tym przejmujemy - powiedziała, kiedy wrócił do kuchni. - Nie przypominam sobie, żeby kiedykolwiek Amanda oddała nam jakąś przysługę.

- Masz rację - zgodził się, wyglądając przez okno. - Ale, prawdę mówiąc, ona chyba w ogóle nie przepada za ludźmi.

Było coś surrealistycznego w scenie, która ukazała się oczom Deacona, kiedy

wspólnie z Siobhan stanęli w otwartych drzwiach salonu. Zamiast siedzieć apatycznie w fotelu, jego matka stała pewnie, wsparta na ramieniu Terry'ego i przyglądała się bacznie jednemu z obrazów wiszących na ścianie.

- Teraz naturalnie nie mam pewności - mówiła - ale, o ile dobrze pamiętam, to George Chambers Junior. Czy możesz sprawdzić podpis w lewym dolnym rogu?

Terry udawał przez chwilę, że odczytuje sygnaturę artysty.

- Ma pani zdumiewającą pamięć, pani Deacon. To George Chambers Junior. Czy zawsze malował morze?

- Och, jestem pewna, że malował też inne rzeczy, ale on i jego ojciec byli sławnymi dziewiętnastowiecznymi marynistami. Kupiłam ten obraz przed laty za dwadzieścia funtów w podrzędnej galerii w południowym Londynie, a w tydzień później w Sotheby wycenili go na kilkaset funtów. Bóg jeden wie, ile wart jest dzisiaj. - Ponagliła Terry'ego ruchem dłoni. - Tam wisi mój portret, widzisz? Duży, dosyć śmiały, w bardzo żywych kolorach. Przeczytaj nazwisko malarza - poleciała z dumą. - Był wspaniałym artystą i pozowanie mu do obrazu wiązało się z wielkim przeżyciem.

Terry przeżywał katusze, wpatrując się bezradnie w płótno.

- John Bratby - powiedział Deacon, który wciąż stał w drzwiach pokoju.

Terry odetchnął i spojrzał na Deacona z wdzięcznością.

- Tak! Brawo, Mike. To faktycznie John Bratby. Przepraszam, pani Deacon, ale biorąc pod uwagę pani urodę, czy naprawdę myśli pani, że ten Bratby oddał pani przysługę? Obraz jest rzeczywiście śmiały, ale nie za piękny. Wie pani, o czym mówię?

- Tak, wiem. Ale ja mam nie za piękny charakter, Terry, i myślę, że John uchwycił to znakomicie. Czy możemy się odwrócić?

- Jasne. - Terry pomógł jej stanąć naprzeciwko syna.

- Wejdz, Michael - powiedziała Penelopa. - Czemu zawdzięczam tę nieoczekiwaną wizytę?

Deacon uśmiechnął się niepewnie.

- Dlaczego zawsze na początku zadajesz najtrudniejsze pytania, mamó?

- Odniosłam wrażenie, że dla Terry'ego było ono dosyć proste. Kiedy spytałam go, kim jest i co tu robi, odparł, że dziś rano odwiedzili was... hmmm... gliniarze i uznaliście, że dobrze będzie zniknąć na chwilę z Londynu. Okłamał mnie?

- Nie.

- To dobrze. Wolę, żebyś przyjechał dlatego, że uciekasz przed policją, niż dlatego, że rozmawiałeś z Emmą. Mam już dosyć tej szarpaniny, Michael. - Szturchnęła Terry'ego

łokciem. - Posadź mnie z powrotem w moim fotelu, młody człowieku, a potem idź do kuchni i przygotuj nam coś do picia. Jest gin, sherry i wino, ale jeśli wolisz piwo, myślę, że znajdziesz coś w piwnicy. Siobhan pomoże ci szukać. - Usadowiła się w fotelu. - Usiądź tak, żebym mogła cię zobaczyć, Michael. Ogotiłeś się przed wyjazdem?

Deacon usiadł na krześle naprzeciwko okna.

- Chyba nie. Przed przyjazdem policji nie miałem na to czasu, a potem zapomniałem. - Potarł w zamyśleniu podbródek. - A więc z twoim wzrokiem nie jest wcale tak źle.

Puściła jego uwagę mimo uszu.

- Kim jest Terry i dlaczego jest tu razem z tobą?

- To chłopak, z którym rozmawiałem, kiedy pisałem tekst o bezdomnych. Zorientowałem się, że nie ma gdzie spędzić świąt, więc zaproponowałem, żeby przez kilka dni pomieszkał u mnie.

- Ile ma lat?

- To nie ma nic wspólnego z dzisiejszą wizytą policji, mam.

- A czy powiedziałaś, że ma? Ile, Michael?

- Czternaście.

- Boże święty! Dlaczego rodzice go nie szukają?

Deacon uśmiechnął się smutno.

- Najpierw on musiałby ich odszukać.

Był zaszokowany tym, jak bardzo się zmieniła. Była starszym, mniejszym i chudszy cieniem dawnej siebie, a spojrzenie jej przenikliwych błękitnych oczu wyblakło i zszarzało. Przygotował się na spotkanie ze zranionym smokiem, który wciąż zięje ogniem, ale ten ogień już w niej zgasł.

- Szkoda twojego współczucia, mam. Nawet gdyby wiedział, gdzie są jego rodzice, nie wróciłby do nich. Jest zbyt niezależny.

- Jak ty?

- Niezupełnie. W jego wieku nie byłem taki samodzielny. Przewyższa mnie łatwością nawiązywania kontaktów. Mając czternaście lat, za nic nie odważyłbym się wejść do tego pokoju i nawiązać rozmowy z zupełnie obcą osobą. A tak z czystej ciekawości, co ci powiedział?

Lekki uśmiech uniósł kąciki jej ust.

- Kiedy usłyszałam, że ktoś skrada się na palcach korytarzem, zawołałam: „Czy ten, kto tam jest, może tu przyjść?” A on wszedł do pokoju i powiedział: „Ma pani słuch jak zając”. Potem zadał sobie wiele trudu, żeby przekonać mnie, że nie jest włamywaczem,

zapewniając przy tym, że gdyby nim był, na pewno skusiłyby go niektóre z moich „superowych” obrazów. Wnoszę z tego, że ten dom przypomina pałac w porównaniu z twoim mieszkaniem, które jest pewnie równie przytulne jak publiczna toaleta. Co masz zamiar zrobić z chłopcem po świętach?

- Nie wiem. Jeszcze o tym nie myślałem.

- A powinieneś, Michael. Masz fatalny zwyczaj łatwego podejmowania zobowiązań i porzucania ich, kiedy ci się znudzą. To moja wina. Powinnam była zmusić cię do tego, żebyś nauczył się stawiać czoło niewygodnym sytuacjom, zamiast przyzwyczajając cię do ich unikania.

Popatrzył na nią.

- Ty ich unikałaś?

- Przecież wiesz, że tak.

- Nie, nie wiem. Wiem tylko, że patrzyłem, jak poświęcasz się bez wyraźnego powodu i postanowiłem, że żadna ludzka siła nie zmusi mnie, żeby postępować podobnie. Nienawidziliśmy się z Julią, niezależnie od tego, co mówiła później. Wierz mi, że była tak samo zadowolona z rozvodu jak ja. W porządku, miałem romans, ale nie można spać z kobietą, która nie chce się z tobą kochać, nie chce mieć z tobą dzieci i daje ci jasno do zrozumienia, że wyszła za ciebie tylko dlatego, że pani Deacon brzmiało lepiej niż panna Fitt.

- Wstał z krzesła i zdenerwowany podszedł do okna. - Czy nie zastanawiało cię, dlaczego nigdy nie wyszła powtórnie za męża i dlaczego nadal przedstawia się jako Julia Deacon? - Przez chwilę znów na nią spojrzał. - Bo jedyne, czego chciała, to wyrwać się od swoich rodziców, a ja byłem idiotą, który jej w tym pomógł.

- A dlaczego Klara chciała wyjść za ciebie? Jak długo to trwało, Michael? Trzy lata?

- Przynajmniej dała mi trochę ciepła po ośmiu latach oziębłości Julii.

Penelopa Deacon potrząsnęła głową.

- Więc dlaczego nie dała ci dzieci? - zapytała. - A może to ty ich nie chcesz, Michael?

- Mylisz się. Klara bała się o swoją pieprzoną figurę. - Przycisnął czoło do szyby. - Nie masz pojęcia, jak ja zazdroszczę Emmie. Dałbym sobie uciąć rękę, żeby móc mieć takie córki.

- Całkiem niepotrzebnie - zaśmiała się sucho Penelopa. - Są po prostu koszmarnie. Potrafię z nimi wytrzymać najwyżej kilka minut, dopóki nie rozdrażnią mnie ich umizgi. Mam nadzieję, że doczekam się od ciebie wnuka. Chłopcy nie są tacy egzaltowani.

Detektyw sierżant Harrison, wychodząc z budynku komisariatu, pozdrowił ruchem dłoni dwóch umundurowanych policjantów, którzy wysiadali właśnie z samochodu.

- Koniec - oświadczył. - Pięć dni zasłużonego odpoczynku. I wykorzystam go, co do minuty.

- Szczęściarz - mruknął z zazdrością kierowca, otwierając tylne drzwi auta i wyciągając za ramię pasażera. - Chodź, kochasiu. Pokaż no się.

Z samochodu, mrużąc oczy od słońca, wysiadł Barry Grover.

Harrison zatrzymał się.

- Znam tego faceta - powiedział powoli. - O co chodzi?

- Zachowywał się podejrzanie w ogrodzie pewnej pani. A mówiąc dokładniej, robił sobie dobrze, patrząc na jej zdjęcie. Wie pan może, jak się nazywa?

- Barry Grover.

- W takim razie, sierzancie, może poświęci nam pan kilka minut? Facet twierdzi, że nazywa się Kevin Powell i mieszka w Claremont Cottage, w Easby w hrabstwie Kent. Mówi, że jest krewnym Amandy Powell, właścicielki domu. Uznaliśmy, że to mało prawdopodobne, biorąc pod uwagę, co robił z jej zdjęciem, ale sąsiedzi twierdzą, że pani Powell rzeczywiście ma krewnych w Kent. Pojechała tam dzisiaj rano, żeby spędzić święta z matką.

Harrison spojrzał na Barry'ego z odrazą.

- Nazywa się Barry Grover - powtórzył - i mieszka z matką w Camden. Jezu Chryste! Mam nadzieję, że brandzlowanie to jego najpoważniejsza zbrodnia i nie będziemy wyciągać trupów spod podłogi.

- Nigdy nie zgadzaliśmy się z moim synem - powiedziała Penelopa Deacon do Terry'ego. - Do tego stopnia, że nie potrafię przypomnieć sobie ani jednej jego decyzji, którą bym zaaprobowala.

- Byłaś zachwycona, kiedy oświadczyłem, że żenię się z Julią - mruknął Deacon od okna.

- Zachwycona - to za dużo powiedziane. Ucieszyłam się, że wreszcie postanowiłeś się ustatkować, ale pamiętam, że Julia nie była moją faworytką. Zawsze wolałam Valerię Crewe.

- To prawda - potwierdził. - Bo we wszystkim ci przytakiwała.

- Co dowodziło jej inteligencji.

- Raczej przerażenia. Za każdym razem, kiedy tu wchodziła, cała się trzęsła. - Deacon puścił oko w kierunku Terry'ego. - Wszystkie dziewczyny, które przyprawdzałem do domu, mama traktowała jak potencjalny materiał na żonę. Okrutnie je maglowała, żeby sprawdzić, czy się nadają. Kim są rodzice? Do jakiej szkoły chodzą? Czy w ich rodzinie zdarzały się przypadki chorób psychicznych?

- Gdyby się zdarzały, małżeństwo nie miałyby sensu - oświadczyła cierpko Penelopa. - Wasze dzieci byłyby obciążone genetycznie z obu stron i praktycznie skazane na chorobę.

- Lepiej było nie ryzykować, prawda? - powiedział Deacon równie cierpko. - Wystarczyło, że wspomniałaś o tak zwanych zaburzeniach psychicznych w naszej rodzinie, a dziewczyny natychmiast wpadały w popłoch. To prawdopodobnie wyjaśnia, dlaczego Julia i Klara unikały zajścia w ciążę.

Terry uśmiechnął się szeroko.

- To na pewno nie tak, Mike. Mieszkam z tobą dopiero dwa dni, ale wystarczy kilka godzin, żeby przekonać się, że nie jesteś czubkiem.

- Czy ktoś cię pytał o zdanie?

Terry siedział na podłodze i głaskał starego, wyliniałego kota, który mieszkał tam od tak dawna, że nikt nie pamiętał, ile właściwie miał lat. Kot reagował na pieszczoty Terry'ego, wydając przeciągłe pomruki zadowolenia, co zdaniem Penelopy było niezwykle, bo na starość stał się drażliwy wobec obcych.

- Mike, jesteś uparty jak osioł - powiedział chłopiec. - Powinieneś się kiedyś posłuchać. Ty zawsze musisz wszystkich przegadać. Nigdy cię to nie męczy? Rozumiem, gdyby to miało do czegoś prowadzić, ale nie prowadzi, prawda? Jeśli chcesz wiedzieć, to myślę, że pani Deacon powiedziała pewnie masę niepotrzebnych rzeczy na temat śmierci twojego taty, ale musisz przyznać, że nie myli się specjalnie w tym, co mówi o twoich żonach. Chodzi mi o to, że nie mogły być wiele warte - i jedna, i druga - bo inaczej nadal byłbyś żonaty. Kapujesz?

Rzeczy z kieszeni Barry'ego wraz z zawartością koperty, którą miał przy sobie, rozłożono na stole w pokoju przesłuchań, a sierżanci Harrison i Forbes przyglądali się im w zdumieniu. Były tam wizytówki prostytutek i zużyta prezerwatywa, której zawartość nie budziła wątpliwości, nawet bez wykonywania analizy laboratoryjnej. Było kilkanaście zdjęć różnych mężczyzn, niektóre wyraźne, inne niedoświetlone, książka pod tytułem *Niewyjaśnione zagadki dwudziestego wieku* i złożony we czworo wycinek z gazety. Była rozmiękła fotografia Amandy Powell, zawinięta teraz starannie w przezroczystą folię dla zabezpieczenia śladów hańby Barry'ego, skórzany portfel z pieniędzmi i kartami kredytowymi oraz zdjęcie z zagiętym rogiem, na którym Barry kołysał w ramionach małe dziecko.

Magnetofon był włączony od piętnastu minut, ale Barry nie odezwał się jeszcze ani słowem. Z oczu płynęły mu łzy, a pulchne policzki trzęsły się histerycznie.

- Barry, na miłość boską, odezwij się do nas - powiedział Harrison. - Co robiłeś pod domem pani Powell? Po co tam poszedłeś? - Przesunął dłonią fotografie. - Kim są ci mężczyźni? Oni też cię podniecają? Co to za dziecko? Lubisz też dzieci? Może, kiedy pójdziemy przeszukać dom twojej matki, na ścianie w twoim pokoju znajdziemy pełno zdjęć małych dzieci? Czy tego właśnie się boisz?

Barry westchnął i nieprzytomny osunął się na podłogę.

Lekarz policyjny wyszedł z Harrisonem na korytarz.

- Na pewno nie umiera - powiedział. - Ale jest śmiertelnie przerażony. Dlatego zasłabł. Mówi, że ma trzydzieści cztery lata, ale moim zdaniem, jego rozwój emocjonalny jest o jakieś dwadzieścia lat spóźniony. Najlepsze, co możesz zrobić, to poprosić, żeby któreś z rodziców albo jakiś jego przyjaciel byli z nim podczas przesłuchania. Inaczej gotów ci znowu zemdleć. Przyjmij do wiadomości, że nie masz do czynienia z mężczyzną, tylko z chłopcem, i może do czegoś dojdziecie.

- Jego matka nie odbiera telefonu, zresztą, sądząc po sanktuarium, które urządziła dziadkom w salonie swojego domu, musi być nieźle stuknięta.

- Wyjaśniałoby to jego emocjonalną niedojrzałość.

- A co z adwokatem?

Mężczyzna wzruszył ramionami.

- Jako lekarz uważam, że adwokat dodatkowo go tylko przerazi. Odszukaj jego przyjaciela - musi jakiegoś mieć - inaczej nic z niego nie wyciągniesz. To szczególny przypadek, Greg, uwierz mi. W razie czego w sądzie powtórzę to samo.

W kuchni zadzwonił telefon. Po chwili w drzwiach do salonu ukazała się głowa Siobhan.

- Michael, to do ciebie. Sierżant Harrison chciałby zamienić z tobą kilka słów.

Deacon i Terry wymienili spojrzenia.

- Powiedział, o co chodzi?

- Nie, ale podkreślał, że nie ma to nic wspólnego z Terrym.

Deacon wzruszył ramionami i poszedł za Siobhan.

- Widzę, że Michael utrzymuje ostatnio bliskie stosunki z policją - zauważyła cierpko Penelopa. - To coś nowego.

- Jeśli pyta pani, czy to moja wina, to w pewnym sensie tak. Gdyby nie ja, gliniarze nie wiedzieliby nawet o jego istnieniu. Ale nie musi się pani o niego martwić, pani Deacon.

To porządny gość. Nawet nie prowadzi po pijaku. - Spojrzał na nią kątem oka. - Zajął się mną, kupił mi ubranie, nauczył rzeczy, o których nie miałem pojęcia. Nie każdemu by się chciało.

Nie odezwała się ani słowem, więc Terry drażył dalej.

- Więc myślę, że mogłaby mu pani pokazać, że cieszy się z jego przyjazdu. Pamiętam, jak Billy, mój znajomy, który lubił prawić ludziom kazania, opowiadał mi kiedyś historię o pewnym nadzianym facecie, który zabrał ojcu połowę kasy, przepuścił wszystko na baby i hazard i skończył na ulicy. Kiedy dostał od życia porządnie w kość, przypomniał sobie, że ojciec zawsze dobrze go traktował. Więc pomyślał: po co mam żebrać u obcych o chleb, jeśli tata da mi go bez pytania? I wrócił do domu, a jego ojciec, kiedy go zobaczył, rozplakał się z radości, bo myślał, że synalek już dawno umarł.

Penelopa lekko się uśmiechnęła.

- Streściłeś właśnie przypowieść o synu marnotrawnym.

- Więc wie pani, o co chodzi, pani Deacon. Nieważne, jakiego facet narobił sobie bydła, ojciec i tak skakał na jego widok z radości.

- Ale jak długo? - zapytała. - Syn się nie zmienił. Myślisz, że jego ojciec byłby nadal szczęśliwy, widząc, jak wszystko zaczyna się od nowa?

Terry zastanawiał się przez chwilę.

- Czemu nie? Może czasem się poprzytkali, może nie powinni razem mieszkać, ale ojciec nigdy nie byłby już tak nieszczęśliwy jak wtedy, gdy myślał, że jego syn nie żyje.

Znowu się uśmiechnęła.

- No cóż, Terry, nie zamierzam płakać z radości. Nie znoszę sentymentalnych scen, a poza tym Michael byłby przerażony. Nie radzi sobie z płaczącymi kobietami, dlatego obie jego żony zabrały mu tyle pieniędzy, mimo że żadna z nich nie dała mu dziecka. Julia umiała ronić łzy na zawołanie, a Klara bez wątpienia była w tym równie dobra. Moim zdaniem, Michael już wie, że ucieszyłam się z jego przyjazdu, bo inaczej nie rozmawiałby ze mną tak swobodnie.

- Skoro pani tak mówi - powiedział z wahaniem Terry. - Chodzi o to, że wydajecie się naprawdę uczciwi i, szczerze mówiąc, gdybym szukał mamy, czego nie robię - podkreślił stanowczo - podobałaby mi się pani bardziej niż ta pielęgniarka, która nie potrafi trzymać łap przy sobie, a poza tym gada jak nakręcona. Kiedy szukałem ginu, opowiedziała mi chyba całe swoje życie. - Terry delikatnym ruchem położył dłoń na głowie kota, który kolejny raz wydał z siebie przeciągły pomruk. - Co to są peklowane jajka? Brzmi rzeczywiście okropnie.

Kiedy Deacon wrócił do pokoju, Penelopa śmiała się głośno, a on poczuł się

zaskoczony jej młodym wyglądem. Przypomniawszy sobie swojego przyjaciela z Jamajki, który mówił, że śmiech jest muzyką duszy. Czy jest także źródłem młodości? Czy Penelopa żyłaby dłużej, gdyby znowu nauczyła się śmiać?

- Musimy wracać do Londynu - oświadczył Terry'emu. - Nie znam szczegółów, ale Harrison mówi, że aresztowali Barry'ego, bo kręcił się po ogrodzie Amandy Powell. Barry w ogóle się nie odzywa, a policja chce wiedzieć, czy potrafię powiedzieć coś na temat zdjęć, które przy nim znalezione. - Zmarszczył czoło. - Mówił ci może, że się do niej wybiera?

Terry potrząsnął przecząco głową.

- Nie, ale jeśli nie chce mówić, to jego sprawa. Mamy nagle wszystko rzucać i wracać na gwizdek jakiegoś gliniarza?

- Dzieje się coś dziwnego i chcę wiedzieć, o co tu chodzi. Harrison mówi, że musieli zadzwonić po doktora, bo Barry zemdał, gdy tylko zaczęli zadawać mu pytania. - Odwrócił się w stronę matki. - Przepraszam, mamo, ale naprawdę muszę jechać. Pracuję nad tą sprawą od kilku tygodni. To dzięki niej spotkałem Terry'ego.

- No cóż - westchnęła z rezygnacją. - Może to i lepiej. Po południu ma tu być Emma z całą rodziną. Gdybyście się spotkali, na pewno znowu doszłoby do kłótni. Sam wiesz, jacy jesteście.

Deacon w porę ugryzł się w język. Na ogół bowiem to właśnie Penelopa napuszczała ich na siebie.

- Jestem innym człowiekiem - powiedział. - Przestałem się kłócić z rodziną przed pięciu laty. - Pochylił się, żeby pocałować ją w policzek. - Dbaj o siebie.

Złapała go za rękę i przytrzymała stanowczym gestem.

- Jeśli sprzedam ten dom i przeniosę się do domu opieki - powiedziała - nie dostaniesz niczego po mojej śmierci, zwłaszcza jeśli będę żyła tak długo, jak mówią lekarze.

Uśmiechnął się.

- A więc blefowałaś, grożąc, że mnie wydziedziczysz, jeśli poślubię Klarę?

- Była pazerna - oświadczyła gorzko Penelopa. - Miałam nadzieję, że to ją zniechęci.

- I może by tak było, gdybym jej to powtórzył. - Przez chwilę ścisnął mocniej jej rękę.

- Czy tylko to cię powstrzymuje?

Nie odpowiedziała wprost.

- Martwi mnie, że Emma dostanie tak dużo, a ty prawie nic. Twój ojciec zawsze chciał, żebyś ty odziedziczył dom i powiedziałam to wyraźnie Emmie, kiedy zakładałam fundusz dla jej córek. Teraz naciska na mnie, żebym sprzedała dom, odłożyła dla ciebie tyle, ile sama już dostała, a za resztę opłaciła sobie pobyt w domu opieki.

- Więc zrób tak - powiedział Deacon. - To brzmi uczciwie.

- Twój ojciec chciał, żebyś to ty odziedziczył dom - powtórzyła z uporem Penelopa i poirytowana wyswobodziła swoją dłoń z jego uścisku. - Od dwóch wieków należy do Deaconów.

Spojrzał z góry na jej miękkie siwe włosy i przez chwilę miał ochotę zanurzyć w nich twarz, tak jak to robił w dzieciństwie. Uświadomił sobie, że usłyszał właśnie coś na kształt przeprosin za zniszczenie testamentu ojca.

- A więc go nie sprzedawaj - powiedział.

- Niewiele mi pomogłeś.

- Przepraszam - powiedział, wzruszając obojętnie ramionami - ale jeśli zrujnujesz swoją córkę i spędzisz resztę życia pod opieką pielęgniarek, to ja i tak następnego dnia po twojej śmierci opchnę komuś ten dom. Nie czarujmy się. W odróżnieniu od ciebie nigdy nie pociągała mnie perspektywa mieszkania przy autostradzie, więc za te pieniądze kupiłbym sobie coś porządnego w Londynie. - Znów puścił oko do Terry'ego. - W historii moich rozwodów najbardziej wkurza mnie to, że wylądowałem w nędznym wynajętym mieszkaniu, tracąc wcześniej dwa zupełnie przyzwoite domy.

- I właśnie dlatego nie powinno ci się zostawiać następnego - powiedziała Penelopa, posłusznie chwytając przynętę. - Łatwo przyszło, łatwo poszło. To twoja filozofia, Michael.

- Więc weź to pod uwagę, kiedy będziesz podejmować ostateczną decyzję. Jeśli chcesz, żeby Deaconowie mieszkali tu przez następne dwa wieki, powinnaś raczej zapisać dom bocznej gałęzi rodziny. Tej z Wimbledonu. Wydaje mi się, że jakieś dziesięć lat temu urodził im się syn. - Spojrzał na zegarek. - Naprawdę musimy już iść. Obiecałem sierżantowi, że będziemy u niego w ciągu dwóch godzin.

Uśmiechnęła się raczej cierpko.

- Mówiłam przecież: łatwo przyszło, łatwo poszło. - Wyciągnęła dłoń do Terry'ego. - Do widzenia, młody człowieku. Cieszę się, że cię poznałam.

- Ja też. Mam nadzieję, że wszystko dobrze się ułoży, pani Deacon.

- Dziękuję. - Podniosła oczy, żeby na niego spojrzeć, a Terry zdumiał się, widząc, jak stały się nagle przejrzyste błękitne w świetle promieni słonecznych wpadających przez okno. - Jaka szkoda, że straciłeś swoją matkę, Terry. Byłaby dumna z mężczyzny, którym staje się jej syn.

- Myślisz, że to prawda? - zapytał Terry po kilku minutach intensywnego namysłu, kiedy siedzieli już w samochodzie. - Myślisz, że moja mama byłaby ze mnie dumna?

- Tak.

- Tylko że to już bez znaczenia. Pewnie przedawkowała albo siedzi w pierdłu.

Deacon milczał.

- W każdym razie zapomniała o mnie. Nie pozbyłaby się mnie, gdybym coś dla niej znaczył. - Patrzył smętnie przez okno. - Prawda?

Prawda, pomyślał Deacon, ale zamiast tego, kiedy znaleźli się już na wjeździe na autostradę, powiedział:

- Niekoniecznie. Jeśli zabrali cię do domu dziecka dlatego, że twoja matka poszła do więzienia, nie znaczy to wcale, że nic jej nie obchodzisz. Po prostu nie mogła się tobą opiekować.

- Więc czemu mnie nie odszukała, kiedy wyszła z więzienia? Byłem tam prawie sześć lat. Nie mogła przecież siedzieć tak długo, chyba że kogoś zabiła.

- Może myślała, że bez niej będzie ci lepiej.

- Mógłbym ją odszukać.

- A chcesz?

- Czasem o tym myślę, ale boję się tego. Szkoda, że jej nie pamiętam. Nie chcę zobaczyć jakiejś starej zaćpanej zdziury, która otwiera drzwi przed byle fiutem.

- A czego c h c e s z ?

Terry uśmiechnął się szeroko.

- Bogatej laski z szybkim porschakiem, którego nie ma komu zostawić.

Deacon roześmiał się.

- Witaj w klubie - powiedział, zjeżdżając na lewy pas i dociskając pedał gazu. - Ale moja nie musi mi matkować.

Amanda Powell otworzyła drzwi i zmarszczyła pytająco brwi na widok policjanta stojącego na progu. Jej zdziwienie wzrosło, kiedy wysłuchała tego, co miał jej do powiedzenia.

- Nie znam żadnego Barry'ego Grovera i nie mam pojęcia, dlaczego miał moje zdjęcia. Czy udało mu się włamać do garażu?

- Nie. Z informacji, które dostaliśmy, wynika, że aresztowano go w pani ogrodzie, ale nie stwierdzono nigdzie śladów włamania.

- Czy policja w Londynie chce, żebym wróciła i odpowiedziała na jakieś pytania?

- To zależy od pani. Poproszono nas jedynie o przekazanie wiadomości.

Wyglądała na zatroskaną.

- Sąsiadom powiedziałam tylko, że wyjeżdżam na kilka dni do matki do Kent, więc skąd ma pan ten adres?

Policjant zajrzał do swoich notatek.

- Kiedy aresztowano Grovera, powiedział, że nazywa się Kevin Powell i mieszka w Claremont Cottage w Easeby. Poproszono nas o sprawdzenie tego adresu i wtedy odkryliśmy, że mieszka tu pani Glenda Powell. Doszliśmy do wniosku, że to pani matka. - Teraz on zmarszczył brwi. - Wygląda na to, że Grover sporo o pani wie. Na pewno go pani nie zna?

- Na pewno. - Zastanawiała się przez chwilę. - Dlaczego miałabym go znać? Czym on się zajmuje?

Mężczyzna raz jeszcze zajrzał do notatek.

- Pracuje dla pisma „Street”. - Usłyszał, jak wstrzymała oddech i spojrzał na nią. - Coś to pani mówi?

- Nie. Słyszałam o tym piśmie. To wszystko.

Zapisał coś na kartce, którą następnie wyrwał z notatnika.

- Oficer prowadzący śledztwo nazywa się Harrison, znajdzie go pani pod tym numerem telefonu. Ja nazywam się Colin Dutton. Swoją numer zapisałem pod spodem. Myślę, że nie ma powodów do obaw, pani Powell. Grovera zatrzymano, więc na razie nie będzie pani niepokoił. W razie czego, proszę dzwonić do sierżanta Harrisona albo do mnie. Życzę wesołych świąt.

Patrzyła, jak mija jej BMW, idąc w kierunku bramy, i kiedy odwrócił się, żeby raz jeszcze na nią spojrzeć, posłała mu promienny uśmiech.

- Wesołych świąt - powiedziała.

- Czy coś się stało? - zawołała z pokoju zaniepokojonym głosem matka.

- Nie, nic - odparła spokojnie Amanda, odpinając broszkę od zakietu i wbijając sobie boleśnie szpilkę pod paznokieć dużego palca. - Wszystko w porządku.

Deacon potrząsnął głową, kiedy Harrison skończył mówić.

- Nie wiem zbyt wiele o Barrym - powiedział. - Nie sądzę, żeby ktokolwiek wiedział o nim coś więcej. Nigdy o sobie nie opowiada. - Spojrzał z niesmakiem na poplamione zdjęcie Amandy Powell, które tkwiło niczym samotna wyspa na środku stołu. - Z tego, co wiem, jego związki z panią Powell ograniczały się do wywołania filmu wykonanego w czasie rozmowy, którą z nią przeprowadziłem. Nasza reporterka zrobiła wtedy kilka zdjęć - skinął głową w stronę stołu - a to wyszło najlepiej.

- Dlaczego pan z nią rozmawiał?

- Pisałem artykuł na temat bezdomnych, a Amanda Powell trafiła w czerwcu na czołówki gazet, kiedy człowiek nazwiskiem Billy Blake zagłodził się na śmierć w jej garażu. Myśleliśmy, że będzie mogła powiedzieć nam coś ciekawego, ale nic z tego nie wyszło.

Harrisonowi zaświeciły się oczy.

- Wiedziałem, że skądś znam jej nazwisko, ale nie mogłem sobie przypomnieć. Pamiętam to zdarzenie. Ale w takim razie, dlaczego Barry wciąż się nią interesuje?

Deacon zapalił papierosa.

- Nie wiem. Być może ma to coś wspólnego z tym, że próbował mi pomóc zidentyfikować Billy'ego Blake'a. - Wyjął z wewnętrznej kieszeni marynarki jedno ze zdjęć Billy'ego i podał je Harrisonowi. - Tak wyglądał, kiedy aresztowano go cztery lata temu. Przypuszczamy, że Billy Blake to jego przybrane nazwisko i że w przeszłości mógł popełnić jakąś zbrodnię. Mieszkał w starym magazynie z Terrym Daltonem i Tomem Beale'em.

Harrison podniósł z podłogi kopertę i wysypał jej zawartość na stół.

- Więc ci mężczyźni to zapewne wasi podejrzani? - Sięgnął po niedoświetloną odbitkę zdjęcia Billy'ego. - A to wasz nieboszczyk?

Deacon skinął głową.

Harrison wyciągnął złożoną we czworo kserokopię, rozprostował ją i położył na stole.

- Ten jest całkiem podobny.

Mimo iż Deacon patrzył na fotografię odwróconą do góry nogami, od razu rozpoznał twarz Billy'ego i przez moment nie mógł otrząsnąć się z wrażenia.

(Cholera jasna!)

Na stole leżała powiększona kserokopia zdjęcia Petera Fentona z artykułu Anne Cattrell.

(Ten zasrany gnojek ukrywał to przede mną!)

- Rzeczywiście jest podobny - przyznał. - Ale żeby mieć pewność, trzeba zrobić komputerową analizę obu zdjęć. (Przysięgam, Barry, że cię zabiję, jeśli policja rozwiąże tę sprawę przede mną!) Czy pamięta pan Jamesa Streetera? - Harrison przytaknął. - To raczej nim się interesujemy. - Sugestywnym ruchem obrócił zdjęcie Jamesa w stronę Harrisona i ustawił obok fotografii Billy'ego. - Pewnie dlatego Barry'ego tak bardzo interesuje Amanda Powell. Nazywała się Amanda Streeter, zanim James nie ukraść dziesięciu milionów i nie wystawił jej do wiatru.

Po twarzy sierżanta błąkał się niepewny uśmiech.

- To ten sam facet.

- Na to wygląda.

- Chce mi pan powiedzieć, że James wrócił, a ona zagłodziła go w swoim garażu?

- Mogło być i tak.

Harrison zastanawiał się przez chwilę.

- To nadal nie wyjaśnia, dlaczego Barry był w jej ogrodzie i masturbował się nad jej zdjęciem. - Niedbałym ruchem wskazał na wizytówki prostytutek. - Faceci, którzy noszą takie rzeczy w kieszeniach, budzą mój niepokój. I dlaczego miał przy sobie zdjęcie, na którym jest z jakimś dzieckiem. Co to za dziecko i co się z nim stało?

Deacon przesunął palcem po brodzie.

- Mówi pan, że odkąd się tu znalazł, nie odezwał się ani słowem?

- Milczy jak grób.

- Więc niech mi pan pozwoli z nim pomówić. On mi ufa. Przekonam go, żeby zaczął odpowiadać na pańskie pytania.

- Nawet gdyby miało to oznaczać, że zostanie oskarżony?

- Nawet gdyby miało to oznaczać, że zostanie oskarżony - potwierdził Deacon nieco już poirytowany. - Nie lubię zbrojeńców tak samo jak pan, a już na pewno nie mam ochoty z nimi pracować.

ROZDZIAŁ 16

Bez okularów Barry wyglądał jeszcze bardziej bezradnie niż zwykle. Siedział na łóżku w celi ze zwieszoną głową i żałośnie zgarbionymi plecami. Deacon dowiedział się później, że obawiano się próby samobójstwa i zabrano mu okulary, żeby nie stłukł soczewek i nie próbował sobie podciąć żył. Tłumaczyło to również brak szelek i sznurówek. Kiedy otwarto drzwi do celi, Barry spojrział nie widzącym wzrokiem w ich kierunku, bardziej jak smutny kłown niż karaluch, a jego pulchnym ciałem wstrząsnął nagły dreszcz.

- Ma pan gościa - powiedział dyżurny policjant, wpuszczając Deacona do celi i zostawiając otwarte drzwi. - Dziesięć minut.

Deacon odprowadził policjanta wzrokiem i usiadł na łóżku obok Barry'ego. Spodziewał się, że odezwie się w nim naturalna niechęć, ale doznał czegoś w rodzaju współczucia. Nietrudno było sobie wyobrazić koszmar, który przeżywał Barry. Znalezienie się w policyjnym areszcie nigdy nie należy do przyjemności, a szczególnie gdy trafia się tam po raz pierwszy w życiu za dopuszczenie się czynów lubieżnych w miejscu publicznym.

- To ja, Mike Deacon - powiedział, nie mając pewności, czy Barry widzi cokolwiek bez okularów. - Zadzwoił do mnie sierżant Harrison i powiedział, że potrzebujesz pomocy przyjaciela. - Wyjął z kieszeni papierosa. - Pozwolisz mi zapalić? - Zobaczył, jak oczy Barry'ego wypełniają się łzami i łagodnie poklepał go po plecach. - Czy to oznacza tak?

Barry skinął głową.

- Wielkie dzięki. - Pochylił się nad zapalniczką. - Nie mamy wiele czasu, więc jeśli chcesz, żebym ci pomógł, musisz zacząć mówić. Na początek proponuję coś prostego. Znaleziono przy tobie zdjęcie mężczyzny trzymającego na rękach dziecko. Sierżant sądzi, że mężczyzną na fotografii jesteś ty, ale moim zdaniem może to być twój ojciec, który trzyma na rękach ciebie. Kto ma rację?

- Ty - wyszeptał Barry.

- Mógłbyś być jego sobowtórem.

- Tak.

- No, dobrze. Następne pytanie. Dlaczego nosisz w kieszeni wizytówki prostytutek? Czy tak właśnie spędzasz wolny czas?

Barry potrząsnął przecząco głową.

- Więc skąd się wzięły w twojej kieszeni? - Przez chwilę bezskutecznie czekał na odpowiedź. - Rozmawiaj ze mną - powiedział łagodnie. - Nie jesteś pierwszym człowiekiem na świecie, którego przyłapano na masturbacji, i z pewnością nie ostatnim, ale policjanci są wobec ciebie bardzo podejrzliwi. Boją się, że możesz być niebezpieczny.

- Glen Hopkins dał mi je w piątek - wyszeptał Barry.

- Po co?

- Powiedział, że to żaden wstyd robić to za pieniądze. - Drżał na całym ciele. - Ale mnie było wstyd. Nie podobało mi się. - Barry zaczął płakać.

- Wcale ci się nie dziwię - zauważył rzeczowo Deacon. - Przypuszczam, że jednym okiem patrzyła na zegarek, a drugim na twój portfel. Wszyscy to znamy, Barry. - Uśmiechnął się delikatnie. - Nawet Nigel de Vriess musi za to płacić. Jedyna różnica polega na tym, że ludzie jego pokroju nazywają swoje kurewki kochankami, a ich wstyd staje się publiczną własnością. - Pochylił się do przodu, opuszczając ręce między kolana, jakby chciał upodobnić się do Barry'ego. - Może poczujesz się lepiej, jeśli ci powiem, że Glen rozrzuca te wizytówki na lewo i prawo, jak confetti. Wręczył mi cały plik parę miesięcy temu, kiedy doszedł do wniosku, że powodem mojego złego samopoczucia jest brak seksu. Powiedziałem, żeby wsadził je sobie do dupy, bo tam jest ich miejsce. - Popatrzył na Barry'ego z ukosa. - Trafił na twój zły dzień i dałeś się oskubać. Najlepiej potraktuj to jako nowe doświadczenie, a następnym razem powiedz Glenowi, żeby się wypchał.

- Powiedział, że to... niezdrowo... - wypowiedzenie właściwego słowa najwyraźniej sprawiało mu trudność - oglądać zdjęcia. Powiedział, że w rzeczywistości jest znacznie lepiej. Ale... - Barry zawiesił głos.

- Nie było? - podpowiedział Deacon, podając mu chusteczkę, żeby mógł wytrzeć oczy.

- Nie.

Deacon przypomniał sobie swój pierwszy stosunek, który odbył w wieku szesnastu lat. Nie troszczył się wtedy specjalnie o zaspokojenie potrzeb dziewczyny, ponieważ był tak podniecony, że koncentrował się wyłącznie na tym, żeby dostać się do środka, zanim dojdzie do wytrysku. Do dzisiejszego dnia nie potrafił myśleć bez zażenowania o dniu, w którym wspólnie z Mary Higgins stracili dziewictwo. Mary oświadczyła, że było to najgorsze doświadczenie w jej życiu i nigdy więcej już się do niego nie odezwała.

- Nie jesteś wyjątkiem - powiedział ze współczuciem. - Większość mężczyzn wspomina swój pierwszy raz z niesmakiem. No więc, co zaszło dziś rano? Po co poszedłeś do Amandy?

Opowieść Barry'ego była pogmatwana, ale Deacon zdołał się jakoś w niej połapać. Po

upokorzeniu, którego doznał u prostytutki, Barry, zamiast odreagować swój gniew na Fatimie lub Glenie, obrócił go przeciwko Amandzie. (Była w tym pewna przewrotna logika. Barry oglądał jej zdjęcia, kiedy Glen oskarżył go o niezdrowe zabawy i może dlatego Amanda przybrała w jego wyobraźni postać nowej Jezabel).

Gdyby mniej o niej wiedział, wszystko to nie miałooby takiego znaczenia, ale z powodu Billy'ego Blake'a i Jamesa Streetera zgromadził na jej temat całą teczkę wycinków prasowych. Powody, dla których chciał ją zobaczyć, były niejasne, ale wydawały się mieć związek z jego wcześniejszym doświadczeniem seksualnym. Barry nie potrafił odpowiedzieć sobie na pytanie, czy akt płciowy jest przyjemny, czy odrażający. Z pewnością nie pojechałby tam, gdyby nie nabrał pijackiej odwagi po sobotniej nocy spędzonej z Deaconem i Terrym. Zalany w pestkę, pomachał im na pożegnanie, po czym zamówił dla siebie taksówkę i kazał się zawieźć do Thamesbank Estate.

Nie potrafił określić precyzyjnie swoich zamiarów - z pewnością nie spodziewał się, że zostanie zapalone światło - w każdym razie o drugiej w nocy stał w jej ogrodzie i podglądał przez rozchylone zasłony, jak kocha się z jakimś mężczyzną na dywanie w salonie. (Deacon zapytał go, czy rozpoznał tego mężczyznę, ale Barry zaprzeczył. Co ciekawe, opisał go szczegółowo, nie wspominając niemal o Amandzie).

- To było ekscytujące - stwierdził po prostu.

Bez wątpienia, pomyślał Deacon.

- Ale niezgodne z prawem - powiedział. - Nie jestem pewien, czy mogą cię oskarżyć o podglądactwo, ale na pewno o wtargnięcie na teren prywatny i nieobyczajne zachowanie. Po co wracałeś tam dziś rano? W dziennym świetle ktoś przecież musiał cię zauważyć.

Barry wyjaśnił, że poprzedniej nocy położył na ziemi kopertę ze zdjęciami (żeby mieć wolne ręce - pomyślał Deacon) i zapomniał ją stamtąd zabrać. Tak brzmiała prosta odpowiedź. Bardziej złożone wyjaśnienie wydawało się wiązać z wyjątkowo ambiwalentnym stosunkiem Barry'ego do matki („Nie chcę tam wracać” - powtarzał w kółko), niejasnym wspomnieniem miłości ojca i nie w pełni uświadomionym pragnieniem ponownego przeżycia podniecenia, którego zaznał kilka godzin wcześniej. Ale dom okazał się zupełnie pusty i aby zaspokoić rozbudzoną fantazję, Barry musiał posłużyć się zdjęciem Amandy.

- Tak mi wstyd - powiedział. - Nie wiem, dlaczego to zrobiłem.

- Według mnie dobrze się stało, że złapała cię policja - powiedział bez ogródek Deacon, gasząc papierosa. - Może dzięki temu zastanowisz się nad swoim życiem. Chyba że chcesz skończyć jako flejtuchowaty człowieczek, któremu staje tylko wtedy, kiedy gapi się w czyjeś okno. Oczywiście nie jestem psychiatrą, ale wydaje mi się, że przynajmniej kilka

spraw powinieneś uporządkować naprawdę szybko. Po pierwsze, wynieś się od swojej matki, po drugie, pogódź się ze swoją seksualnością. Nie ma sensu, żebyś zwracał swoją agresję przeciwko kobietom, jeśli wolisz mężczyzn.

Barry potrząsnął bezradnie głową.

- Co by na to powiedziała moja matka?

- Dowiesz się, jeśli będziesz na tyle głupi, żeby jej o tym powiedzieć. - Deacon poklepał go po plecach. - Jesteś dorosłym mężczyzną, Barry. Już czas, żebyś zaczął się tak zachowywać. - Uśmiechnął się. - A tak, na marginesie, co zamierzałeś? Poczekać, aż umrze i dopiero wtedy stać się tym, kim chciałbyś być?

- Tak.

- To zły plan. Ten ktoś umarłby na długo przed nią. - Deacon wstał. - Czy mam przekazać sierżantowi to, o czym mi mówiłeś? Zobaczmy, co powie, ale być może będziesz potrzebował adwokata. I pogódź się z myślą, że Glen Hopkins będzie musiał potwierdzić, że dał ci w piątek te wizytówki. Jesteś na to przygotowany?

- Wypuszczą mnie, jeśli powiem prawdę?

- Nie wiem.

- Gdzie ja się potem podzieję? Nie mogę wrócić do matki. - Z jego oczu znów trysnęły łzy. - Wolę zostać tutaj, niż iść do domu.

(Na miłość Boską, nie mów tego, Deacon).

- Dopóki czegoś nie wymyślimy, możesz spać u mnie na kanapie.

(No, cóż... Są święta...

A poza tym...

... Barry wie, kim był Billy Blake...)

Harrison był sceptyczny.

- Jest pan naiwny. Znam ten typ. To klasyczny przypadek przestępcy seksualnego. Zakompleksiony samotnik z niezdrową potrzebą podglądania innych. Mieszka z matką, ale jej nie znosi. Ma kłopoty z nawiązywaniem dojrzałych kontaktów emocjonalnych. Dzisiaj obnaża się w miejscu publicznym. Jutro zamknijemy go za gwałt albo seksualne molestowanie dzieci. Albo za jedno i drugie.

- Na tej podstawie powinniście przymknąć również mnie - powiedział Deacon z uśmiechem. - Jestem samotnikiem. Nie znoszę swojej matki do tego stopnia, że nie rozmawiałem z nią przez pięć lat. Nie potrafię nawiązywać dojrzałych kontaktów emocjonalnych, o czym świadczą moje dwa rozwody, a najpoważniejsze przestępstwo,

jakiego się dopuściłem, sądząc po laniu, które mi spuszczone, polegało na nabyciu pisemka pornograficznego i próbie przeszmurowania go do domu, gdzie miałem zamiar w spokoju kontemplować przed lustrem swoją erekcję.

Sierżant zaśmiał się rozbawiony.

- Istnieje jednak pewna zasadnicza różnica. Pan miał dwanaście lat, Barry ma trzydzieści cztery. Pan miał zamiar bawić się w swoim pokoju, Barry zabawiał się w cudzym ogrodzie. W wieku dwunastu lat ma się na ogół ograniczone możliwości wyrządzenia krzywdy drugiej osobie. Trzydziestoczteroletni mężczyzna potrafi być bardzo niebezpieczny, zwłaszcza kiedy wejdzie mu się w paradę.

- Nie może go pan oskarżyć o to, co mógłby zrobić. W najgorszym razie można mu zarzucić wtargnięcie na teren prywatny i obrazę moralności, a za to długo nie posiedzi. Niech pan posłucha, sierżancie - powiedział z przekonaniem, pochylając się do przodu - nie może pan uznać człowieka za zbrojnego na podstawie jednego wybryku. Nie doszłoby do tego, gdyby Glen Hopkins zachował swoje kretyńskie pomysły dla siebie, albo gdyby Barry miał dość oleju w głowie, żeby nie brać się za coś, co nie sprawi mu przyjemności. Ten nieszczęśnik jest kompletnie poplątany. Kochał swojego ojca, który zmarł, kiedy Barry miał dziesięć lat. Jest zastraszonej przez matkę i zapłacił właśnie sto funtów za utratę dziewictwa kobiecie, która potraktowała go jak kawał mięsa. Na domiar złego upił się z nami w sobotę - z tego, co wiem, po raz pierwszy w życiu - a potem przez przypadek zobaczył dwoje ludzi uprawiających seks. - Deacon uśmiechnął się pod nosem. - A dziś rano zjawia się pan u niego w domu i napędza mu niezłego stracha, bo Barry sądzi, że Amanda musiała go zauważyć. Na miłość boską, sierżancie, wrócił tylko po swoje zdjęcia i ulżył sobie pod drzewem, bo dalej był podniecony. Czy to naprawdę klasyczny przypadek przestępstwa seksualnego?

Harrison stukał ołówkiem o zęby.

- Próbował się włamać do garażu pani Powell. Jak pan to wytłumaczy?

Deacon zmarszczył brwi.

- Nie wspominał pan o tym wcześniej.

- Tak go złapaliśmy. Sąsiedzi zawiadomili nas, że ktoś kręci się wokół domu pani Powell, więc wysłaliśmy tam patrol. - Harrison podsunął Deaconowi kartkę papieru. - Ma pan tu wszystko czarno na białym.

Deacon przeczytał raport.

- Z rysopisu wynika, że ten mężczyzna miał metr osiemdziesiąt, był szczupły i nosił ciemny płaszcz. Barry ma o jakieś piętnaście centymetrów mniej, jest gruby, a jedyne, w czym go widuję, to niebieska kurtka. Ma ją ze sobą w celi.

Sierżant wzruszył ramionami.

- Nie przywiązywałbym większej wagi do tego rysopisu. Sąsiedzi są po osiemdziesiątce.

Deacon popatrzył na niego z rozbawieniem.

- Ma pan szczęście, że nie słyszy tego moja matka. Naprawdę nie widzi pan, że chodzi o dwie różne osoby? Zgarnęliście tego łajzę, bo sam się o to prosił. Ale teraz powinniście poszukać tego drugiego, wysokiego.

- O ile on istnieje - zauważył sceptycznie Harrison.

Terry miał już serdecznie dość czekania, kiedy wreszcie Barry i Deacon wynurzyli się z czeluści komisariatu.

- Nie było was dwie godziny - powiedział poirytowany, wskazując na zegar w poczekalni. - Co on takiego zmalował? Musiał nieźle narozrabiać, jeśli to tyle trwało.

Deacon potrząsnął przecząco głową.

- Obserwował dom Amandy i zwinęli go przez pomyłkę. Wzięli go za faceta, który pół godziny wcześniej próbował włamać się do jej garażu. Tyle czasu zajęło nam ustalenie, że Barry nie jest wysokim chudzielcem w ciemnym płaszczu i nie pasuje do rysopisu.

- Poważnie? Trzeba o tym powiedzieć Lawrence'owi. Zrobiłby z nimi porządek. To szykanowanie. Nie wolno zamykać ludzi bez powodu. Wszystko w porządku, Barry? Wyglądasz nieciekawie.

Deacon wyprowadził Terry'ego na powietrze, zanim dyżurny policjant zdążył podnieść głowę znad biurka.

- Barry jedź z nami do domu - szepnął Terry'emu do ucha. - Rodzina zrobiła mu piekło, bo nasłaliśmy tam dzisiaj rano Harrisona, więc powiedziałem, że jedną, dwie noce może się przespać na kanapie. Nie masz nic przeciwko temu?

- A czemu miałbym mieć? - zapytał podejrzliwie chłopiec.

- Będzie trochę ciasno.

- Nie żartuj sobie - powiedział z politowaniem Terry. - C i a s n o to było w magazynie. - Spojrzał wyczekująco na Barry'ego, który wyszedł za nimi z budynku. - Mam nadzieję, kolego, że umiesz gotować, bo Mike jest pod tym względem do niczego. Nie potrafi nawet usmażyć jajecznicy.

Barry wyglądał na zdenerwowanego.

- Obawiam się, że jestem samoukiem.

- My z Mike'em jesteśmy kompletnie niedouczeni, więc nie ma sprawy. - Terry skinął

niecierpliwie głową w stronę samochodu. - Jedźmy wreszcie. Konam z głodu. Wiesz, że od siódmej rano nie mieliśmy nic w ustach?

Terry zaprowadził Barry'ego do kuchni i kazał mu przygotować coś do jedzenia. Tymczasem Deacon zabrał telefon do sypialni i zadzwonił do Lawrence'a.

- Przepraszam, że zawracam ci głowę - powiedział - ale potrzebuję rady i nie wiem do kogo prócz ciebie mógłbym się zwrócić.

- Jestem zaszczycony - odparł Lawrence.

- Nie wiesz jeszcze, jaki mam kłopot. - Deacon możliwie zwięźle przedstawił Lawrence'owi szczegóły zatrzymania Barry'ego. - Przekonałem ich, żeby dali mu szansę, więc strzelili mu gadkę i wypuścili. Jest czysty, o ile nic nowego nie wyjdzie na jaw.

- Więc w czym problem?

- Powiedziałem mu, że może przez jakiś czas zamieszkać ze mną i z Terryem.

- Ładna historia. Kryptohomoseksualista dopuszczający się poważnego naruszenia moralności pod jednym dachem z trudnym młodzieńcem, który prawdopodobnie wyciągnie z niego prawdę i nie zawaha się przed szantażem. Najwyraźniej szukasz kłopotów, Michael.

Deacon westchnął.

- Wiedziałem, że mogę liczyć na twój obiektywizm. Co robić? Powiedziałem Barry'emu, żeby pod żadnym pozorem nie zdradził Terry'emu, za co został aresztowany, ale Terry nie jest idiotą i do jutra sam się wszystkiego domyśli.

W słuchawce rozległ się wesoły śmiech Lawrence'a.

- Zacząłeś się już modlić?

- Ha! Ha! Bardzo śmieszne. Posłuchaj, Lawrence, co byś powiedział na to, żeby wpaść tu jutro na świąteczny obiad i pomóc mi zapanować nad sytuacją? Jako samotny, stary Żyd bez rodziny, który rzadko czuje się potrzebny, nie masz chyba na jutro żadnych szczególnych planów? No więc jak?

- Mój drogi, nawet gdybym je miał, nie potrafiłbym odrzucić tak uroczego zaproszenia.

*

Sierżant Harrison wkładał właśnie płaszcz, kiedy jeden z jego kolegów wsunął głowę do pokoju i oświadczył, że pani Powell chce się z nim widzieć.

- Powiedz jej, że wyszedłem - warknął. - Niech to szlag. Straciłem już przez to wszystko sześć godzin urlopu.

- Za późno - odparł tamten, skinąwszy głową za siebie. - Dyżurny powiedział jej, że jesteś. Pani Powell czeka w korytarzu.

- Jasna cholera! - Harrison wyszedł z pokoju.

- Detektyw sierżant Harrison - przedstawił się kobiecie. - W czym mogę pomóc, pani Powell? - Nieźle wygląda, pomyślał. Na żywo znacznie atrakcyjniej niż na zdjęciu. Nic dziwnego, że Barry'emu zagrały hormony, kiedy zobaczył ją z facetem na dywanie.

Uśmiechnęła się niepewnie.

- Boję się wracać do domu - powiedziała po prostu. - Mieszkam sama - wskazała bezradnie na okno - a jest ciemno. Ten mężczyzna, którego złapaliście w moim ogrodzie? Jest w areszcie, prawda?

Harrison potrząsnął głową.

- Zwolniliśmy go do czasu dalszych wyjaśnień. Sądziliśmy, że zamierzała pani wrócić dopiero po świętach, dlatego prosiliśmy policję w Kent, żeby powiadomiono panią o naszej decyzji i wyjaśniono jej powody. Musiało zajść jakieś niedopatrzenie. - Harrison zniecierpliwionym gestem potarł twarz. - Myślę, że nie ma powodu do obaw, pani Powell. Naszym zdaniem był to jednorazowy wybryk spowodowany nadużyciem alkoholu i ze strony tego człowieka nic już pani nie grozi. Zatrzymał się teraz u swojego przyjaciela, Michaela Deacona, którego chyba pani zna. Nie spodziewamy się żadnych dalszych kłopotów.

Kobieta otworzyła szeroko oczy.

- Ależ Michael Deacon zaledwie cztery dni temu wdarł się siłą do mojego domu! Wtedy to on był pijany. - Wzdrygnęła się. - Nie rozumiem. Dlaczego nikt nie chciał ze mną o tym wszystkim porozmawiać? Nigdy nie słyszałam o żadnym Barrym Groverze, ale jeśli jest przyjacielem Michaela Deacona... - Złapała Harrisona za rękaw płaszcza. - Jestem pewna, że ktoś mnie obserwuje. - Jej ton stał się natarczywy. - Widziałam go przynajmniej dwa razy. Jest niski, nosi okulary i niebieską kurtkę. Jakies dziesięć dni temu, kiedy skręcałam na podjazd do garażu, stał pod moim domem. Czy to ten sam człowiek, którego aresztowaliście?

Harrison z zakłopotaniem zmarszczył czoło.

- Na to wygląda. Ale twierdzi, że nigdy wcześniej nie zbliżał się do pani domu.

- Kłamie - powiedziała stanowczo. - Jakiś tydzień temu widziałam go znowu. Było ciemno, ale jestem pewna, że to był on. Stał pod drzewem przy bramie wjazdowej. Kiedy nadjechałam, światła mojego samochodu odbiły się w jego okularach.

- Dlaczego nie powiadomiła pani policji?

Przycisnęła do czoła drżące palce, jakby rozboleła ją głowa.

- Nie mogę informować policji o każdym mężczyźnie, który mi się przygląda -

powiedziała. - Zaczynam się niepokoić dopiero wtedy, gdy dzieje się coś podejrzanego. Policjant, który powiadomił mnie o wszystkim, powiedział, że ten człowiek obnażał się, patrząc na moje zdjęcie. - Podniosła nieco głos. - Jeżeli to prawda, dlaczego go nie oskarżycie? Nie przestanie tego robić, skoro uszło mu to płazem. Puszczając go wolno, pozwoliliście, żeby mnie terroryzował.

Harrison odwrócił się i otworzył przed nią drzwi do swojego pokoju.

- Będę potrzebował pani zeznania z informacją o tym, kiedy i gdzie widziała go pani wcześniej. I proszę wspomnieć o incydencie z Michaeliem Deaconem.

Ukradkiem spojrzął na zegarek i w ostatniej chwili powstrzymał westchnienie. Żona mu tego nie wybaczy.

Terry wyjął z kieszeni swoje srebrne foliowe zawiniątko.

- Kto chce jointa? - zapytał.

- Mówiłem ci, żebyś to wyrzucił - powiedział Deacon.

- Spokojnie. Schowałem w gaciach, zanim tu przyszli. - Spojrzął na Barry'ego. - Barry chętnie sobie zapali, prawda? Po takim obiedzie naprawdę mu się należy - zwrócił się do Deacona. - Pierwsza klasa. Sto razy lepsze od wszystkiego, co robiłeś. - Terry zmieszał trawkę z tytoniem papierosowym Deacona. - A teraz powiedz, Barry, co naprawdę tam robiłeś? Wcisnęliście mi z Mike'em kit. Nawet mendziarz nie potrzebuje sześciu godzin, żeby dostrzec różnicę między małym grubasem i wysokim chudzielcem. - Przerwał, żeby zmierzyć chłodnym (i deprymującym) spojrzeniem mężczyznę siedzącego naprzeciwko. - Miałeś straszego cykora, kiedy stamtąd wychodziłeś.

Duma z powodu sukcesu kulinarnego, którą jeszcze przed chwilą odczuwał Barry, pękła jak mydlana bańka. Strach przed tym, że zostanie wyrzucony z mieszkania, jeśli chłopak dowie się prawdy, był większy od strachu przed policją.

- Ja... No więc...

- Miał prawo być przestraszony - powiedział chłodno Deacon, mierząc palcem prosto w twarz Barry'ego. - Odkrył, kim jest Billy, a nawet nosił w kieszeni zdjęcie tego człowieka, i wiedział, że utnę mu głowę, jeżeli policja dowie się tego przede mną. - Jego głos stwardniał. - Jezu, ależ z ciebie dupek, Barry. Nie mogę uwierzyć, że o mały włos nie zaprzepaściłeś całej naszej pracy tylko dlatego, że chciałeś zobaczyć, jak naprawdę wygląda ta głupia suka.

- Wyluzuj trochę - powiedział Terry, zwijając skręta w pergaminowej bibułce. - Skąd miał wiedzieć, że akurat napatoczą się gliny? Mów, Barry, kto to był? Ktoś, o kim słyszałem?

Deacon rzucił Barry'emu krótkie spojrzenie i w jego zapadniętych oczach dostrzegł

wyraz wdzięczności.

- Nie sądzę - odparł Barry. - Ten mężczyzna zaginął, kiedy miałes siedem lat. - Zdjął okulary i zaczął nerwowo przecierać szkła. - Widziałeś to zdjęcie? - zapytał Deacona. - I jesteś pewien, że to Billy?

- Tak.

- Wczoraj pokazałem ci go na innym zdjęciu i nawet nie zatrzymałeś na nim wzroku.

Deacon wyciągnął z szuflady długi nóż kuchenny i przez chwilę ważył go w ręce.

- Kiedy powiedziałem, że utnę ci głowę, nie żartowałem - mruknął. - Powiesz mi, kto to jest, czy mamy zrobić z ciebie mokrą plamę.

Policjantka objęła ramieniem płaczącą Amandę i spojrzała z wyrzutem na Harrisona.

- Powiedzmy sobie uczciwie, sierzancie, dalszcie się podejść jak dziecko. Powiedział wam, że patrzył, jak ta pani kochała się z jakimś mężczyzną na dywanie, a wyście mu uwierzyli, chociaż wiadomo było, że powie właśnie coś takiego. Dla takich zbrojeńców kobieta chodząca w negliżu lub nago po własnym domu stanowi zawsze usprawiedliwienie. „To nie moja wina, panie władzo, to wina tej kobiety. Nie zasłoniła okna. Wiedziała, że tam jestem i chciała mnie podniecić”. Przecież to bzdury, na litość boską. - Wydawała się naprawdę wściekła. - Mam już dość facetów, którzy próbują się usprawiedliwiać, zwalając całą winę na kobiety. A poza tym, jakie to ma znaczenie, czy pani Amanda uprawiała tej nocy seks, czy nie? To jeszcze nie powód, żeby jakiś zbrojeńca masturbował się, gapiąc się na jej zdjęcia.

Harrison, który czuł się już zmęczony, uniósł ręce do góry.

- Zgadzam się. W porządku? Zgadzam się. - Zamknął oczy. - Staralem się tylko ustalić parę faktów i bardzo przepraszam, jeśli pani Amanda poczuła się urażona czymś, co powiedziałem.

Istnieje pewien rodzaj opresji, z których wychodzi się obronną ręką jedynie wówczas, gdy okaże się własną słabość.

Deacon przeczytał wszystkie materiały zebrane przez Barry'ego, dotyczące Petera Fentona, włącznie z artykułem Anne Cattrell. Oparł brodę na dłoni i wpatrywał się przybitym wzrokiem w okładkę *Niewyjaśnionych zagadek dwudziestego wieku*.

- Jest tu wszystko: sto powodów, żeby zniknąć i zadręczać się przez resztę życia, ale żadnego, żeby wybrać na miejsce swojej śmierci garaż Amandy Powell.

Spośród własnych notatek i materiałów, które rozłożył na stole, wybrał wycinek prasowy na temat Nigela de Vriessa.

- Dlaczego tak go to poruszyło? Co łączy historię Streetera z historią Fentona?

- Możliwe, że nie - powiedział Barry. - Domyślasz się tylko, że przed opuszczeniem magazynu Billy przeczytał właśnie tę notatkę, bo chcesz, żeby wszystko złożyło ci się w spójną całość. A ja wciąż się zastanawiam, dlaczego pani Powell opowiedziała ci o Billym, jeśli miała podstawy, żeby obawiać się tego, co mogłeś odkryć. - Barry położył zdjęcie Billy'ego obok fotografii młodego Jamesa Streetera. - Z pozoru to też składa się w całość, ale komputer udowodnił ci, że to tylko złudzenie. - Uśmiechnął się przepraszająco. - Być może w tym przypadku prawda jest dziwniejsza, niż przypuszczamy, Mike.

- W życiu nie słyszałem podobnych pierdół - odezwał się Terry, który siedział otoczony błękitnawym obłokiem dymu i w spokoju rozkoszował się swoim jointem, korzystając z tego, że Deacon i Barry zamiast palić trawkę woleli otworzyć sobie następną butelkę wina. - Bierzesz się za to z dupy strony, kolego.

- A ty co o tym myślisz?

- Popatrzcie na to w ten sposób: mąż robi z niej wała i znika z kasą, pakując ją w niezłe bagno. Ktoś, kto siedzi po uszy w gównie, raczej nie pachnie fiołkami.

- Ona pachnie różami - powiedział z przekonaniem Deacon. - Zalatuje od niej na kilometr.

- No widzisz - powiedział Terry, udając, że rozumie, co Deacon miał na myśli.

- I co z tego?

- To, że jest do przodu. Że nie jest palanciarą. - Terry szukał właściwych słów. - Że olewa frajerów. Co jest z wami? - zniecierpliwił się, widząc ich zdezorientowane miny. - Nie rozumiecie?

- Może byśmy coś zrozumieli, gdybyś mówił jak człowiek - odparł oschle Deacon. - Ludzie nie po to pracowali przez stulecia nad wzbogaceniem języka, żebyś sprowadzał go teraz do postękiwań, pomruków i kilku słów pozbawionych znaczenia. Zastanów się nad tym, co chcesz powiedzieć i spróbuj jeszcze raz.

- Jezu, zachowujesz się czasem jak ostatni kutas - powiedział z wyrzutem Terry, ale mimo to postarał się zebrać myśli. - Dobra, spróbujmy tak. Billy, nawet kiedy był pijany, miał swoje powody, dla których robił to, co robił. Może nie były to słuszne powody, ale były. Rozumiecie?

Skinęli głowami.

- W porządku. Punkt drugi. Amanda niezłe się ustawiła, mimo że jej mąż popełnił przestępstwo i narobił jej kłopotów. To znaczy, że jest naprawdę cwana. Rozumiecie?

Jeszcze raz skinęli głowami.

- Połączcie jedno z drugim i co wam wyjdzie? Macie Billy'ego, który idzie do Amandy, bo ma konkretny powód, i Amandę, która zaczyna potem kombinować.

Deacon zgrzytnął zębami.

- I to wszystko?

Terry zaciągnął się głęboko.

- Stawiam na Amandę. Jeśli jest mądrzejsza od ciebie i Billy'ego razem wziętych, to musi wygrać, prawda?

- Wygrać co?

- A skąd ja mam to wiedzieć? To ty z nią w coś grasz, nie ja. Ja tu tylko sprzątam.

ROZDZIAŁ 17

Kiedy niespodziewanie odezwał się dzwonek u drzwi, każdy z nich okazał różny stopień zdenerwowania. Nie mieli wątpliwości, że to policja. Terry czmychnął do ubikacji i czym prędzej pozbył się dowodów winy, spuszczać je z wodą w muszli klozetowej. Deacon otworzył na oścież okno w kuchni i zaczął gorączkowo szukać odświeżacza powietrza. Barry, który zachował najwięcej zimnej krwi, zapalił gaz pod brudną patelnią stojącą na kuchence, wycisnął czosnek na skwierczący tłuszcz i zabrał się do krojenia cebuli.

- Spodziewałem się tego - przyznał załamany. - Nigdy sobie nie wybaczę, jeśli ciebie też aresztują, Mike. To przecież nie twoja wina.

Harrison stracił nad sobą panowanie, kiedy zorientował się, że Deacon ma zamiar trzymać go na progu.

- Jeśli będzie się pan tak zachowywał - ostrzegł - wrócę tu za pół godziny z nakazem aresztowania was wszystkich. No już, niech mnie pan wpuści. Muszę jeszcze raz pomówić z Barrym, a pańskie zachowanie wzbudza tylko moje podejrzenia. Co tam się, do cholery, dzieje? Czyżby Barry dogadzał sobie z pańskim chłoptasiem?

Deacon pozwolił mu wejść.

- Myślał pan może o emeryturze, sierzancie? - zapytał beznamiętnie. - Nawet ja nie zniżyłbym się do takiego poziomu, a jestem dziennikarzem.

Harrison przyjrzał mu się z cynicznym rozbawieniem.

- Jest pan amatorem, panie Deacon. Pierwszy lepszy poborowy zakasowałby pana.

W mieszkaniu unosił się nieznośny zapach: mieszanka przypalonego tłuszczu, czosnku, cebuli i dominująca nad tym wszystkim, egzotyczna woń wody po goleniu „Jazz”, którą Terry skropił obficie kanapę. Drzwi do kuchni były zamknięte, a Barry z Terry, którzy nie wyglądali na specjalnie zrelaksowanych, siedzieli w kącie pokoju i oglądali telewizję.

Sierzant stał przez chwilę w progu, po czym wyciągnął papierosy i poczęstował Deacona.

- Miła atmosfera - zauważył.

Deacon przyznał mu rację i z pewną ulgą wziął papierosa.

- Sierzant Harrison ma jeszcze kilka pytań do Barry'ego - oświadczył. - Więc może my z Terry'ym wyniesiemy się stąd na dziesięć minut?

Harrison zamknął drzwi do mieszkania.

- Wolałbym, żeby pan został, panie Deacon. Do pana też mam kilka pytań.

- Ale do Terry'ego nie. - Deacon wyjął z kieszeni pięć funtów i skinął głową w kierunku chłopca. - Na rogu jest pub. Dołączymy do ciebie, kiedy skończymy.

Terry potrząsnął głową.

- Nie ma mowy. Co zrobię, jeśli nie przyjdziecie?

- Dlaczego mielibyśmy nie przyjść?

Terry posłał sierzantowi podejrzliwe spojrzenie.

- On tu nie wpadł dla rozrywki, Mike. Myślę, że chce znów aresztować Barry'ego z powodu tej całej Powell. Mam rację, panie Harrison?

Sierzant wykonał nieokreślony ruch ręką.

- Chcę tylko uzyskać odpowiedzi na kilka pytań. To wszystko. Póki co, nie jesteś w to zamieszany, więc możesz wyjść albo zostać. Mnie jest wszystko jedno.

- Ale mnie nie jest - powiedział stanowczo Deacon, ściągając z półki nad drzwiami zapasowe klucze. - No już, chłopie, zmykaj stąd. Jeśli nie przyjdziemy za pół godziny, możesz tu wrócić.

- Nie - powtórzył uparcie Terry. - Zostaję. Billy był moim kumplem i wy jesteście moimi kumplami, a kumpli nie zostawia się w potrzebie.

- Dajmy już temu spokój - zniecierpliwiał się Harrison, który usiadł na krześle i pochylił się do przodu, patrząc Barry'emu w oczy. - Pani Powell podała mi zupełnie inną wersję zdarzeń, przyjacielu. Według niej kręcisz się za nią od dwóch tygodni i napędziłeś jej już porządnego stracha. Widziała cię przynajmniej dwa razy, opisała cię dokładnie, podając nawet kolor twoich butów, twierdzi też, że zeszłej nocy była sama i że nie kochała się z nikim na dywanie w salonie o drugiej nad ranem. Chce, żebyśmy cię przymknęli, bo dopóki jesteś na wolności, boi się przebywać we własnym domu. - Przeniósł wzrok na Deacona. - Opisała również szczegółowo, jak pański przyjaciel wdarł się siłą do jej mieszkania w czwartek w nocy, a następnie nie chciał go opuścić. Twierdzi, że był pijany, agresywny i napastliwy, i nie chciał wyjaśnić powodów swojego najścia. No więc? O co wam chodzi z tą kobietą?

Zapadła krótka cisza.

- Jest bardzo piękna - powiedział powoli Deacon - a ja rzeczywiście byłem bardzo pijany. Rano powiedziałem jej, że nic nie pamiętam. - Podeszedł do telewizora, wyłączył go i stanął obok oparty plecami o ścianę. - Wtedy była to prawda, ale porządne śniadanie i kilka filiżanek kawy przywróciły mi pamięć. Ostatecznie można się zgodzić z tym, że wdarłem się siłą do jej mieszkania, bo opierałem się o drzwi i kiedy je otworzyła, po prostu wpadłem do

środku. Ale nie byłem ani agresywny, ani napastliwy i nic nie stało na przeszkodzie, żeby zawiadomiła policję, jeśli rzeczywiście się mnie bała. Zanim zasnęłam na jej kanapie, odbyliśmy krótką pogawędkę, a następnego rana, przed moim wyjściem, zmusiła mnie, żebym wypił filiżankę kawy. Przepraszałem ją tyle razy, aż w końcu zaczęło ją to denerwować, a kiedy zapytałem, czy ją przestraszyłem, odparła, że już dawno przestała się bać czegokolwiek. - Deacon uśmiechnął się pod nosem. - Może mi zarzucić brak wyczucia i kiepskie maniery - przymrużył oczy - ale nic ponad to. Po alkoholu nigdy nie bywam agresywny, sierżancie. Najwyżej upierdliwy.

- To prawda - przyznał Terry. - Zeszłej nocy, kiedy się zalał, mówił nam, że chciałby mieć dzieci. Płakał jak bóbr.

Deacon spojrzał na niego z wyrzutem.

- Wcale nie płakałem.

- Niewiele ci brakowało - powiedział Terry ze złośliwym uśmiechem.

Harrison zignorował tę wymianę zdań i zwrócił się do Barry'ego.

- Przysięgałeś, że nigdy wcześniej nie zbliżałeś się do domu pani Powell.

Barry zaczerwienił się jak ktoś przyłapany na kłamstwie.

- Bo tak było.

- Nie wierzę ci.

Barry wzdrygnął się nerwowo.

- Tak było - powtórzył.

- Opisała cię szczegółowo i powiedziała mi, gdzie stałeś, kiedy cię zobaczyła. Jak to możliwe, skoro cię tam nie było?

- Nie wiem - odparł bezradnie Barry.

- Czy powiedziała, kiedy to było? - zapytał Deacon.

- Nie pamięta dokładnie. Mniej więcej dziesięć dni temu i jakieś dwa, trzy dni później.

- Wyciągnął z kieszeni notatnik i szybko go przekartkował. - Opisała go jako niskiego mężczyznę w okularach, ubranego w niebieską ortalionową kurtkę, szare spodnie i jasne buty, prawdopodobnie zamszowe. Kiedy nadjechała, stał pod jej domem, ale zniknął, gdy tylko skręciła na podjazd. Dalej twierdzisz, że to nie byłeś ty, Barry?

- Tak. - Popatrzył rozpaczliwym wzrokiem na Deacona. - To nie mogłem być ja, Mike. Nigdy wcześniej tam nie jeździłem.

Deacon zmarszczył brwi.

- Wygląda na to, że chodzi o ciebie - zauważył, zastanawiając się, czy Harrison nie ma przypadkiem racji. - Rysopis pasuje jak ulał.

- Jezu, dobrze, że tu zostałem - powiedział nieco protekcyjnym tonem Terry. - Zginęlibyście beze mnie. - Zwrócił się ostro do Barry'ego. - Co ci powiedziałem, kiedy siedzieliśmy w kuchni? Że ortalionowe kurtki noszą tylko smutasy, ale p r a w d z i w e smutasy chodzą w zamszowych butach. A ty co mi odpowiedziałeś? Że powinieneś być mnie spotkać we wtorek, bo właśnie wtedy kupiłeś sobie buty. Mówiłem wam, że to cwana sztuka. Poprosiła jakiegoś gliniarza, żeby podał jej twój rysopis, a potem wcisnęła ten kit panu Harrisonowi. Jeśli zapłaciłeś za te buty kartą, jesteś czysty, kolego. Nie mogłeś w nich chodzić dziesięć dni temu.

Barry rozpromienił się.

- Płaciłem kartą - powiedział. - Mam nawet rachunek. Jest w domu, w moim pokoju.

- Ile par zamszowych butów masz jeszcze w domu? - zapytał Harrison, na którym wywód Terry'ego nie zrobił większego wrażenia.

- Ani jednej - odparł Barry z rosnącym podnieceniem. - Kupiłem je sobie na gwiazdkę, bo wszystkie pozostałe buty mam czarne. Mike o tym wie. To on mi powiedział, że powinienem sobie sprawić buty w innym kolorze.

- Tak - potwierdził w zamyśleniu Deacon. - Rzeczywiście tak powiedziałem. - Pochylił się, żeby strzepnąć popiół do popielniczki stojącej na stole i korzystając z chwili ciszy, zaczął się nad czymś intensywnie zastanawiać. - Opisz mi tego mężczyznę, z którym była wczoraj w nocy - poprosił Barry'ego. - Tego, który rzekomo nie istnieje.

- Już ci go opisywałem - powiedział skrepowany Barry.

- Zrób to jeszcze raz.

- Przystojny, dobrze zbudowany... - Barry przerwał zażenowany, nie chcąc raz jeszcze przeżywać swojego wstydu. Dreszcz podniecenia, który towarzyszył tamtemu zdarzeniu, był już tylko przykrym wspomnieniem.

- Dziś po południu - powiedział Deacon, zwracając się do Harrisona - Barry opisał mi go jako wysokiego, szczupłego, mocno opalonego blondyna z tatuażem lub znamieniem na prawej łopatce. Barry nie rozpoznał tego mężczyzny. Ja też nie znam nikogo o takim rysopisie, ale powiedzmy, że potrafię panu udowodnić, że ten człowiek istnieje i że Amanda Powell pozostaje z nim w bliskich stosunkach.

Harrison nie miał nic przeciwko temu. Wciąż jeszcze pamiętał reprimendę, którą otrzymał, kiedy ośmielił się zadać jej kilka dodatkowych pytań. Ale z drugiej strony...

- Co to zmieni?

- Być może dojdzie pan do wniosku, że należy zapytać ją, dlaczego skłamała.

- Powtarzam: co to zmieni? Nie ma takiego prawa, które zabraniałoby jej przyjmować

w domu mężczyzn, a Barry mógł go widzieć kiedy indziej. Istnienie tego człowieka samo w sobie niczego jeszcze nie udowadnia.

- Załóżmy jednak przez chwilę, że Barry mówi prawdę. Przyjmijmy, że nigdy wcześniej nie było go pod domem pani Powell, a zeszłej nocy rzeczywiście widział u niej jakiegoś mężczyznę. Nie zastanawia pana, dlaczego skłamała? Bo mnie tak.

Harrison przyglądał mu się przez chwilę.

- Pani Powell jest bardzo - starał się znaleźć odpowiednie słowo - przekonująca.

Sprawiał wrażenie, jakby chciał powiedzieć coś zupełnie innego i w ostatniej chwili zmienił zdanie.

- Za bardzo? - podsunął Deacon.

- Ja tego nie powiedziałem.

Deacon zgasił papierosa, podszedł do telefonu i zajrzał do leżącej obok aparatu książki telefonicznej. Wybrał numer.

- Cześć, Maggie, mówi Mike Deacon. Tak, wiem, że jest późno, ale muszę koniecznie porozmawiać z Alanem. - Czekał przez chwilę. - Tak, staruszk, to znowu ja. Jak się czujesz? - Roześmiał się. - Pozwoliła ci się napić whisky? A więc nie jest tak źle. Potrzebuję twojej pomocy. Przełączę na aparat głośno mówiący, bo są tu jeszcze trzy osoby zainteresowane tym, co mam nadzieję od ciebie usłyszeć. Chcę, żebyś opisał mi Nigela de Vriessa. - Deacon wcisnął przycisk w aparacie i odłożył słuchawkę.

- Chodzi ci o to, jak wygląda? - odezwał się zachrypniętym głosem Alan Parker.

- Tak. I chcę, żebyś potwierdził, że nigdy wcześniej mi go nie opisywałeś.

- Powiedz mi najpierw, o co chodzi. Może i stoję nad grobem, ale nie zapominaj, że wciąż jestem dziennikarzem. Co takiego zmalował nasz przyjaciel?

- Jeszcze nie wiem. Ale jak już do tego dojdę, dowiesz się pierwszy.

- Akurat - Alan zarechotał. - W porządku. Nigdy wcześniej ci go nie opisywałem. O ile dobrze pamiętam, jest mniej więcej mojego wzrostu, a więc ma jakieś metr osiemdziesiąt, blond włosy, które farbuję, żeby ukryć siwiznę. Zawsze nienagannie ubrany. Nosi ciemne garnitury, prawdopodobnie od Harrodsa. W butonierce nieodłączny biały goździk. Przystojny, dystygowany. Przypomnij sobie Rogera Moore'a w roli Bonda i będziesz miał pewne wyobrażenie. Chcesz wiedzieć coś jeszcze?

- Mamy rysopis człowieka, którym moim zdaniem jest de Vriess. - W głosie Deacona można było wyczuć rozbawienie. - Tyle tylko, że facet był nagi, więc to, jak chodzi ubrany, nie ma dla nas specjalnego znaczenia. Z opisu wynika, że ma silną opaleniznę na całym ciele i tatuaż albo znamię na prawej łopacie. Wiesz coś na ten temat?

- Ha! O opaleniznie nic nie wiem, ale na pewno ma znamię na prawej łopatce. Legenda, rozpowszechniana oczywiście przez niego samego, głosi, że znamię ma kształt trzech szóstek, które są symbolem diabła. Ma to tłumaczyć, dlaczego został milionerem w wieku trzydziestu lat. Diabeł dba o swoich, i takie tam bzdury. Zdaniem jednej z jego panienek, kształtem przypomina raczej psie gówno. Sam nie widziałem, więc nie mogę rozstrzygnąć. Daj spokój, Mike - odezwał się przymilnym tonem. - O co tu naprawdę chodzi? Obedrę cię ze skóry, jeśli DVS jest w tarapatkach, a ty nie chcesz mi tego powiedzieć. Mam tam, do cholery, udziały.

- Z tego, co wiem, nie ma to nic wspólnego z jego interesami. - Deacon obiecał raz jeszcze Alanowi, że poinformuje go o wszystkim, po czym rozłączył się i uniósł brwi, patrząc na Harrisona. - Rodzina męża Amandy utrzymuje od pięciu lat, że ona i Nigel de Vriess okradli bank Lowensteina na dziesięć milionów funtów, a następnie obciążyli winą jej męża i zamordowali go. Nikt, włącznie z policją, nie brał tego poważnie, ponieważ nie było dowodów na to, że Nigel i Amanda utrzymywali ze sobą jakiegokolwiek kontakty, od czasu gdy Amanda wyszła za Jamesa.

Harrison zastanawiał się nad tym przez chwilę w milczeniu.

- I nadal ich nie ma - zauważył. - Wszystko, o czym mówił pański przyjaciel, jest prawdopodobnie publicznie znane. Dlaczego nie mielibyście dotrzeć do tych informacji, żeby wykorzystać je potem przeciwko pani Powell?

- Słuszne spostrzeżenie - odparł spokojnie Deacon, zapalając następnego papierosa. - Właściwie chciałem się tym zająć zaraz po świętach. Przy pierwszej nadarzającej się okazji miałem zamiar umówić się z de Vriessem na wywiad. Musi mi pan uwierzyć na słowo, że jedyne informacje, które zebrałem do tej pory na jego temat, pochodzą od Alana Parkera; zeszłej niedzieli zaprosiłem go na drinka, żeby zapytać, skąd de Vriess wziął pieniądze na zakup posiadłości w Hampshire, bo ta kwestia szczególnie interesuje rodzinę Streeterów.

- A ja do dzisiaj nie wiedziałem nawet o jego istnieniu - wtrącił nieśmiało Barry.

Deacon zabrał z kuchni swoje notatki, szybko zamykając za sobą drzwi, bo ze środka wydobywał się fetor przypominający zapach starego oleju silnikowego. Wręczył Harrisonowi wycinek z rubryki towarzyskiej „Maila” i wyjaśnił krótko, dlaczego szukał właśnie czegoś takiego.

- Rozglądamy się za wszystkim, co mogłoby potwierdzić istnienie związku łączącego Billy'ego Blake'a z Amandą Powell - zakończył.

- I znaleźliście taki związek?

Deacon udzielił wymijającej odpowiedzi.

- Pracujemy nad tym. Jak już panu dzisiaj mówiłem, najbardziej prawdopodobne wydaje się to, że Billy był jej mężem. Ale nie potrafimy tego udowodnić.

Przez dłuższą chwilę Harrison zastanawiał się nad słowami Deacona.

- Jeśli Billy to James, to rodzina jej męża jest w błędzie - zauważył. - Amanda i de Vriess nie mogli zamordować go pięć lat temu, jeśli w czerwcu wciąż jeszcze żył.

Deacon uśmiechnął się szeroko.

- Nawet my doszliśmy do podobnego wniosku, dlatego zaczynam podejrzewać, że właśnie tu kryje się rozwiązanie całej zagadki.

Znów oparł się o ścianę i szczegółowo wyjaśnił Harrisonowi, że jego zdaniem Amanda skorzystała z przypadkowej śmierci obcego mężczyzny, który zmarł w jej garażu i który osobliwym zrządzeniem losu przypominał z wyglądu jej męża, żeby oczyścić się z ciężących na niej podejrzeń o morderstwo, a równocześnie uzyskać formalny status wdowy.

- Ja sam widziałem się jedynie w roli obiektywnego obserwatora, który nada sprawie właściwy rozgłos - zakończył. - Amanda musi być teraz bardzo niespokojna, jeśli sądzi, że Barry widział ją razem z de Vriessem. Ich związek z pewnością wywoła spekulacje.

Harrison najwidoczniej uznał tę argumentację za przekonującą, bo zapytał, czy mógłby pożyczyć zdjęcia Billy'ego i młodego Jamesa Streetera.

- Jak pan myśli, jak zareaguje, kiedy jej to pokażę? - zapytał, wsuwając zdjęcia do kieszeni płaszcza.

Deacon potrząsnął głową.

- Nie mam pojęcia - przyznał uczciwie, przypominając sobie, jak wbiła mu paznokcie w brodę, kiedy pozwolił sobie na podobne sugestie.

- Dlaczego nie powiedziałeś panu Harrisonowi, że Billy to Peter Fenton? - zapytał Terry po wyjściu sierżanta.

- Wiesz, co to jest news?

- Jasne.

- Więc właśnie dlatego mu nie powiedziałem.

- Wcisnąłeś mu za to niezły kit. Amanda nie jest przecież głupia. Nie mogła pomyśleć, że tak łatwo uznają Jamesa za zmarłego. Gliniarzom nie wystarczy parę fotek.

Deacon uśmiechnął się.

- Kiedy przedstawiłem jej swoją teorię, powiedziała, że jestem mądrym człowiekiem.

- Masz na nią ochotę?

- Skąd ci to przyszło do głowy?

- Inaczej nie łądowałbyś się na jej kanapę.

Deacon pogładził podbródek.

- Ma takie same błękitne oczy jak moja matka - powiedział rozmarzonym głosem. - Po prostu zateśniłem za domem.

Harrison, zanim udał się do domu Amandy, zajrzał jeszcze do komisariatu. Zadał kilka pytań kolegom i zadzwonił do Kent do posterunkowego Duttona. Czy panią Powell powiadomiono o zwolnieniu Barry'ego Grovera? Tak. Jakich informacji na jego temat udzielił jej Dutton? Podał jej pełny rysopis zatrzymanego i dokładną godzinę jego aresztowania. Czy zrobił coś nie tak? W faksie, który otrzymał, nie było mowy o tym, że te informacje są poufne, a pani Powell zauważyła całkiem rozsądnie, że musi znać wygląd tego człowieka, na wypadek gdyby w przyszłości znów ją niepokoił.

Kiedy Harrison dotarł wreszcie do Thamesbank Estate, był już naprawdę wściekły.

Drzwi otworzyła mu policjantka, która miała opiekować się Amandą do czasu jego powrotu z powtórnej rozmowy z Barrym.

- Gdzie ona jest? - zapytał niecierpliwie, odsuwając ją na bok.

- W salonie.

- Dobrze. Chcę mieć świadka tej rozmowy. Zanotujesz wszystko, co powie, a jeśli wtrącis się choćby słowem, przysięgam, że tego pożałujesz. Zrozumiano?

Harrison wpadł do salonu i bez słowa usiadł na kanapie na wprost Amandy.

- Okłamała mnie pani.

Odsunęła się zaskoczona.

- Zeszłej nocy ktoś jednak był u pani.

Amanda pochyliła się do przodu i zanurzyła wysmukłe palce w miseczce pełnej różanych płatków, napełniając pokój ich zapachem.

- Myli się pan, sierżancie. Byłam sama.

Harrison nie zwrócił uwagi na jej słowa.

- Zidentyfikowaliśmy wstępnie pani... - starał się dobrać odpowiednie słowo - ...pani t o w a r z y s z a . Sądzymy, że mógł to być Nigel de Vriess. Czy on również zaprzeczy, że był tu zeszłej nocy?

Dostrzegł nagły błysk w jej oczach i poczuł jak jeżą mu się włosy na karku. Przypominała mu teraz syjamską kotkę jego babci. Kiedy zostawiało się ją w spokoju, była po prostu piękna, ale gdy ktoś próbował ją dotknąć, drapała i prychała. Gdy któregoś dnia podrapała babcię dotkliwie po twarzy, babcia kazała ją uspić. Jeśli była piękna, powinna się

była pięknie zachowywać, stwierdziła bez żalu.

- Tak przypuszczam - odparła Amanda.

- Kiedy widziała go pani po raz ostatni?

- Nie mam pojęcia. To było tak dawno, że nie potrafię odpowiedzieć.

- Przed czy po zniknięciu pani męża?

- Przed. - Wzruszyła ramionami. - Na długo przed.

- Więc jeśli zapytam jego przyjaciółkę, gdzie Nigel spędził zeszłą noc, odpowie mi prawdopodobnie, że był razem z nią w domu?

Przesunęła koniuszkiem języka po wargach, lekko je zwilżając.

- Nie wiem.

- Zapytam ją o to, pani Powell, i jestem pewien, że będzie chciała wiedzieć, dlaczego zadaję jej to pytanie.

Jeszcze raz wzruszyła ramionami.

- Nie obchodzi mnie, co pan robi.

- W takim razie, czemu tak bardzo zależało pani na podważeniu zeznań Barry'ego Grovera?

Nie odpowiedziała.

Harrison zanurzył rękę w kieszeni.

- Proszę mi opowiedzieć o Billym Blake'u - zachęcił. - Czy rozpoznała go pani wtedy w garażu?

Na zmianę tematu zareagowała jedynie lekkim zmarszczeniem brwi.

- Billy'ego Blake'a? - powtórzyła. - Oczywiście, że nie. Jak mogłabym go rozpoznać?

To był obcy człowiek.

Harrison wyciągnął pożyczone zdjęcia i położył je obok siebie na stoliku.

- Czy to ten sam mężczyzna? - zapytał.

Jej zaskoczenie było tak wielkie, że Harrison ani przez chwilę nie wątpił w jego autentyczność. Być może rzeczywiście miała coś na sumieniu, pomyślał, ale z pewnością nigdy nie przyszło jej na myśl, że ktoś mógłby wziąć Billy'ego Blake'a za jej zaginionego męża.

Ale Deacon zapomniał poinformować sierżanta Harrisona, że Amanda słyszała już tę samą teorię w czwartek w nocy.

Deacon odłożył słuchawkę z wyrazem rozbawienia w oczach.

- Harrison jest wkurzony, że znowu dał się wypuścić - oświadczył. - Widocznie pani

Powell zrobiła wielkie oczy, kiedy pokazał jej zdjęcia.

- Nic dziwnego - powiedział Terry. - Barry miał rację. Jeśli zapomnisz o różnicy wieku, bez pomocy komputera trudno się połapać, że to dwaj różni faceci. Może teraz świruje, bo nagle przyszło jej do głowy, że to mógł być James.

- Nie - powiedział wolno Deacon. - Nie mrugnęła nawet okiem, kiedy podsunąłem jej tę myśl. Od początku wiedziała, że to nie on, więc po co ten cyrk dla Harrisona? - Spojrzał na zegarek. - Wychodzę - zdecydował nagle. - Możecie sobie pooglądać telewizję, dopóki nie wrócę.

- Gdzie idziesz? - zapytał Terry.

- Nieważne.

- Będziesz się bawił w podglądacza jak Barry? Zakradniesz się do ogrodu i będziesz się ślinił, kiedy Nigel będzie ją posuwał?

Deacon spojrzał na niego z góry.

- Masz ptasi mózdzek, Terry. - Uniósł palec w kierunku chłopca. - Nie będzie mnie najwyżej parę godzin, więc zachowuj się. Obedrę cię ze skóry, jeśli coś tu zmalujesz do mojego powrotu.

Terry zmierzył wzrokiem Barry'ego.

- M n i e możesz zaufać, Mike.

O tej porze na ulicach nie było korków, więc zaledwie w pół godziny przejechał przez centrum i skierował się na wschód wzdłuż rzeki w kierunku Isle of Dogs. Przez cały czas spoglądał przezornie w lusterko, żalując, że otworzył drugą butelkę wina. W domu Amandy paliły się światła i Deacon bawił się przez chwilę myślą, że mógłby rzeczywiście zakraść się od tyłu i zajrzeć przez okna salonu. Myśl o tym okazała się bardziej ekscytująca niż przypuszczał, ale porzucił ją ze strachu przed konsekwencjami. Postąpił zgodnie z tym, co głosił Billy: „Nie robisz tego, na co naprawdę masz ochotę, bo ulegasz woli zbiorowości”.

Nacisnął dzwonek i nasłuchiwał odgłosu jej kroków w korytarzu. Kroki ucichły, kiedy przyłożyła oko do wizjera.

- Nie otworzę drzwi, panie Deacon - usłyszał jej głos - więc proponuję, żeby pan sobie poszedł, zanim wezwę policję.

- Wątpię, żeby przyjechali - powiedział, zaglądając w oko wizjera i uśmiechając się przyjaźnie. - Są już nami trochę znudzeni. W tej chwili sami jeszcze nie wiedzą, które z nas bardziej kłamie, ale typują chyba panią. Sierżant Harrison jest bardzo zawiedziony, że nie chce pani przyznać, iż Nigel de Vriess był tu wczorajszej nocy.

- Nie było go tu.
- Barry go widział.
- Pański przyjaciel jest chory.

Deacon oparł się ramieniem o drzwi i wyciągnął papierosa.

- Może trochę zagubiony. Podobnie jak ja. Nie miałem pojęcia, Amando, że tak bardzo przestraszyłem panią w czwartek w nocy. Zwłaszcza że rano była pani taka czarująca.

- Zawiesił głos, czekając na odpowiedź. - Sierżant Harrison był zaskoczony, że nie wezwała pani policji, kiedy zasnąłem na pani kanapie. Większość kobiet napastowanych przez agresywnego intruza tak właśnie by postąpiła.

- Czego pan chce, panie Deacon?

- Porozmawiać. Najlepiej w środku, bo jest tu trochę zimno. Wiem, kim był Billy.

Zapadła dłuższa cisza, zanim wreszcie zazgrzytał łańcuch i otworzyły się drzwi. Światło w hallu było bardzo mocne i Deacon był zaskoczony tym, co zobaczył. Sprawiała wrażenie chorej. Miała ściągniętą, bladą twarz i w niczym nie przypominała promiennej kobiety w żółtej sukience, która olśniła go swoim wyglądem trzy dni wcześniej.

Zmarszczył czoło.

- Dobrze się pani czuje?

- Tak. - Przyglądała mu się w napięciu, wyczekująco, a kiedy nie zareagował, wyraźnie się rozluźniła. Zrobiła krok do tyłu. - Niech pan wejdzie.

Deacon rozejrzał się po hallu i zauważył walizkę stojącą u dołu schodów.

- Wyjeżdża pani?

- Nie. Właśnie wróciłam od matki.

- Coś się stało?

- Nie, nic.

Wszedł za nią do salonu i po raz pierwszy nie poczuł w nim woni róż. Przez otwarte okno wraz z nocnym powietrzem wpadał do pokoju zgnięły zapach unoszący się z rzeki.

- Na pewno jest odpływ - powiedział. - Powinna pani była zatrzymać dla siebie jedno z mieszkań w Teddington, Amando. W górze rzeki nie ma odpływów.

Jej twarz stała się kredowobiała.

- O czym pan mówi?

- O zapachu. Nie jest zbyt przyjemny. Powinna pani zamknąć okno.

Usiadł na kanapie i zapalił papierosa, patrząc jak Amanda spryskuje pokój odświeżaczem powietrza, a następnie przesypuje w palcach pot-pourri.

- Teraz lepiej? - zapytała.

- Nie czuje pani?

- Właściwie nie. Zdażyłam się przyzwyczać. - Usiadła w fotelu naprzeciwko. - Powie mi pan, kim był Billy?

Mimowolny ruch w kąciку jej ust przybrał na sile i Deacon zaczął się zastanawiać nad faktycznym powodem jej zdenerwowania i trupiej bledosci. Niezależnie od tego, co powiedział Harrisonowi, to, że Barry przypadkowo zobaczył ją z Nigelem de Vriessem, nie uwiarygodniało jeszcze spiskowej teorii Streeterów. Zrobiła na nim wrażenie osoby bardzo powściągliwej, dlatego był zdziwiony jej brakiem opanowania. Paradoks polegał na tym, że teraz wydawała mu się nieporównanie mniej atrakcyjna - do tego stopnia, że zastanawiał się, jak mogła w ogóle wzbudzić jego pożądanie - za to znacznie sympatyczniejsza. Bezsilność była cechą, którą znał i rozumiał.

- Nazywał się Peter Fenton. Pamięta pani pewnie tę historię. Był dyplomata podejrzewanym o szpiegostwo. Zniknął z domu w 1988 roku i nigdy więcej już go nie widziano. A w każdym razie nie jako Petera Fentona.

Nie odezwała się ani słowem.

- Mam wrażenie, że nie zrobiło to na pani szczególnego wrażenia.

Na moment przytknęła ręce do ust i Deacon zorientował się, że nie tyle nie chciała, co raczej nie mogła przemówić.

- Dlaczego przyszedł właśnie tu? - zdołała wreszcie wykrztusić.

- Nie wiem. Miałem nadzieję, że p a n i mi to powie. Czy pani albo James znaliście go?

Potrząsnęła przecząco głową.

- Jest pani pewna? Znała pani wszystkich znajomych Jamesa?

- Tak.

Deacon wyjął z kieszeni wycinek z rubryki towarzyskiej „Maila” dotyczący de Vriessa i wręczył go Amandzie.

- Billy przeczytał to trzy tygodnie przed swoją śmiercią. Powiedzmy, że wybrał się do Halcombe House, żeby dostać od Nigela adres Amandy Streeter, ponieważ nie wiedział, że nazywa się pani teraz Amanda Powell oraz że mieszka pani i pracuje niespełna milę od miejsca, w którym on nocuje. - Zastanowił się przez chwilę i nie widząc nigdzie popielniczki, strzepnął popiół na swoją dłoń. - To, że tu przyszedł, oznacza, że Nigel musiał mu powiedzieć, gdzie panią znaleźć, co świadczy nie najlepiej o pani kochanku, Amando. Po pierwsze dlatego, że dał pani adres pierwszemu lepszemu menelowi, który o to poprosił, a po drugie dlatego, że nie uprzedził pani o ewentualnej wizycie. Nie zrobił tego, prawda?

Zwilżyła usta językiem.

- Skąd pan wie, że Billy to przeczytał?

- Od pewnego człowieka z magazynu - skłamał Deacon. - O co tu chodzi? Dlaczego Peter Fenton uparł się, żeby odszukać Amandę Streeter? I dlaczego Nigel mu w tym pomógł? Może to o n i się znali?

Potarła skronie drżącymi palcami.

- Nie wiem.

- Dobrze, spróbujmy inaczej. Co takiego mógł wiedzieć Peter, że zaczął pani szukać, kiedy znalazł pani nazwisko w gazecie? Może to coś dotyczyło pani i Nigela, a Nigel wykręcił się, przekonując go, że powinien porozmawiać z panią?

Osunęła się w fotelu i zamknęła oczy.

- Nigdy nie rozmawiałam z Billym. Nie wiedziałam, że tu jest, dopóki nie znalazłam jego ciała. Nie wiem, kim był ani dlaczego przyszedł do mojego domu. Przede wszystkim nie wiem, dlaczego... - urwała.

- Proszę mówić.

- Źle się czuję.

Deacon spojrzał w stronę okna.

- Niech mi pani opowie o Nigelu - zaproponował. - Dlaczego dał pani adres Peterowi i nie powiedział pani o tym?

- Nie wiem. - Potrząsnęła z zakłopotaniem głową. - Dlaczego pan uważa, że znał go jako Petera Fentona? To był Billy Blake, który zmarł w moim garażu.

- Dobrze. Dlaczego dał pani adres Billy'emu?

- Nie wiem - powtórzyła. - Co z niego za człowiek? - Otworzyła szeroko oczy i Deacon przestraszył się, że kobieta za chwilę wymiotuje.

- Jeśli chodzi pani o Billy'ego, to był porządnym człowiekiem. - Wyciągnął z kieszeni chusteczkę. - Radziłbym to przetrzymać - powiedział z lekkim uśmiechem - ale w razie czego, wie pani, gdzie jest ubikacja. - Poczekał, aż minęły jej nudności. - Psychiatra, który rozmawiał z nim trzykrotnie, powiedział, że był w połowie świętym, w połowie fanatykiem. Czytałem fragment zapisu ich rozmowy. Billy wierzył w zbawienie duszy i w umartwianie ciała, ale sam uważał się za potępionego. - Przyglądał się jej przez chwilę. - Na podstawie tego, co udało mi się o nim dowiedzieć od Terry'ego Daltona, młodzieńca, z którym Billy się przyjaźnił i którym się opiekował, uważam, że był prawym i uczciwym człowiekiem, choć równocześnie pijakiem i złodziejem.

- To nie tłumaczy, dlaczego postanowił tutaj przyjść.

Deacon wstał i podszedł do okna, żeby wyrzucić niedopałek do ogrodu. Powietrze na zewnątrz było rześkie i czyste, a podmuchy wiatru niosły z sobą delikatny zapach morza. Pomyślał o duszącej, słodkawej woni, którą przesiąknięty był jej dom, i zaczął rozumieć, dlaczego parkuje swój samochód na podjeździe, dlaczego spryskuje pokój różanym odświeżaczem powietrza i wreszcie, dlaczego w sześć miesięcy po śmierci Billy'ego tak bardzo zależało jej na tym, by dowiedzieć się, kim był jej nieproszony gość. Domyślił się tego już wcześniej, ale wtedy nie chciał jeszcze w to uwierzyć. Przyłożył dłoń do nosa i dostrzegł w jej oczach zrozumienie, ponieważ zareagował tak, jak tego oczekiwała, kiedy po raz pierwszy wszedł do jej domu.

- Co pani mu zrobiła, Amando?

- Nic. Gdybym wiedziała, że tam jest, pomogłabym mu, tak jak pomogłam panu.

Przed paroma godzinami odegrała przedstawienie przed Harrisonem, ale czy grała teraz? Deacon nie odniósł takiego wrażenia, ale mógł polegać jedynie na swojej intuicji.

- Dlaczego naopowiadała pani Harrisonowi kłamstw o mnie i o Barrym? - zapytał, otwierając na oścież okno, żeby wpuścić do pokoju nieco mroźnego powietrza. Wszystko było lepsze od słodkiego, mdlącego zapachu śmierci.

Potrząsnęła głową zaskoczona nagłą zmianą tematu.

- Czy Streeterowie mają rację? Czy wspólnie z Nigelem okradliście bank, a potem zabiliście Jamesa?

Odsunęła chusteczkę od twarzy.

- To James okradł bank. Wiedzą o tym wszyscy z wyjątkiem jego rodziny. Byli tacy dumni z tego, co osiągnął, że zapomnieli, jaki był naprawdę. Gardził nimi i praktycznie się do nich nie przyznawał, żeby nie mieć nic wspólnego z ich upokarzającą biedą. - Jej słowa brzmiały bardzo gorzko. - Bez przerwy myślał o pieniądzach, o tym, żeby zdobyć poufne informacje o akcjach, które w ciągu nocy mogły podwoić swoją wartość. Nie byłam wcale zdziwiona, kiedy policja powiedziała mi, że zdefraudował 10 milionów.

- Skąd wiedział, jak oszukać system komputerowy? Czy pomogła mu Marianne Filbert?

Amanda wzruszyła ramionami.

- Z pewnością. A któż by inny?

- Nigel de Vriess? - podsunął Deacon. - To chyba nie przypadek, że wykupił Softworks wkrótce po zniknięciu Jamesa i Marianny.

Odchyliła głowę na oparcie fotela.

- Jeśli Nigel był w to zamieszany - powiedziała zmęczonym głosem - to wyjątkowo

dobrze zatarł za sobą ślady. Przesłuchiwano go razem z innymi, ale wszystkie dowody wskazywały na Jamesa. Przykro mi, że Streeterowie nie chcą tego dostrzec, ale taka jest prawda.

- Jeśli tak bardzo nie lubi pani Jamesa, dlaczego jest pani wciąż jego żoną?

- Chciałam uniknąć rozgłosu. Poza tym, po co się rozwodzić, jeśli nie chce się powtórnie wychodzić za mąż? - Uśmiechnęła się nieoczekiwanie. - Wszystko ma swoje proste wyjaśnienie, panie Deacon, nawet historia tego domu. Lowndes, spółka, która wykonała mieszkania w Teddington, zbudowała także ten dom. Wynegocjowałam z nimi prostą zamianę. Dałam im pełne prawa do nieruchomości w Teddington w zamian za ten dom. Wyszli na tym lepiej ode mnie. Adaptacja szkoły była prosta, bo zrobiłam już projekty i uzyskałam pozwolenia na budowę, a mieszkania sprzedano jeszcze przed ich wykończeniem. Lowndes miał znacznie większe kłopoty z pozbyciem się tych domów, bo wyceniono je za drogo, a w 1991 roku na rynku nieruchomości panował zastój. Może mi pan nie uwierzyć, ale oddałam im przysługę, godząc się na tę zamianę. - Znów przybrała swój poprzedni zgorzkniały ton. - Gdyby nie szykany ze strony banku w związku z podejrzeniami wobec Jamesa, zarobiłabym znacznie więcej, doprowadzając inwestycję do końca, niż przejmując od nich ten dom.

Czy wszystkie wyjaśnienia były tak proste? Dlaczego nie walczyła zacieklej o możliwość dokończenia swojego projektu? Bo bez wątpienia nie była naiwna. „A kiedy już oczyściła się z podejrzeń o udział w kradzieży...”

- Powiedziała mi pani, że Billy lubił trzymać się możliwie blisko rzeki - powiedział Deacon. - Ale to samo dotyczy pani. Teddington jest nad rzeką. Ten dom stoi nad rzeką. Pani biuro jest nad rzeką. Może łączy was rzeka?

Uniosła chusteczkę do ust. Jej twarz miała nadal ziemisty kolor, a jedynym barwnym akcentem były błękitne oczy, które śledziły każdy jego ruch.

- Gdybym знаła odpowiedź na to pytanie... - urwała w połowie zdania. - Myślałam... mam nadzieję, że wystarczy mi jego prawdziwe nazwisko. Jeśli będę mogła umieścić je na tabliczce przy urnie, będzie...

- Spoczywał w pokoju?

Skinęła głową.

- Nie zawsze jest tak jak teraz. - Wskazała bezradnym ruchem dłoni w kierunku okna.

- Pogorszyło się od chwili pana przyjścia.

- Czy on coś pani powiedział?

- Nie.

- Mam wrażenie, że go słyszałem - powiedział beznamiętnie Deacon. - Chyba, że mi się to przyśniło. „Ojcobójco, oto się odnawia niewysłowiona męka” - wyjaśnił. - Słyszałem to.

- Dlaczego Billy miałby to powiedzieć?

- Nie wiem. Miał obsesję na punkcie religii. Myślę, że mógł kogoś zabić i dlatego uważał się za potępionego. Najwyraźniej oboje z żoną sądzili, że piekło jest ich przeznaczeniem. - „Nie interesuje mnie moje własne zbawienie...” A więc czyje? Verity? Amandy? Deacon uważnie zmierzył ją wzrokiem. - Wzywał innych do skruchy, ale swoje własne zbawienie pozostawiał Bogu, który miał wydobyć go z bezdennej otchłani. Twierdził, że tylko miłosierdzie Boga może wybawić człowieka z piekła.

Zmieniła w palcach chusteczkę, zwijając ją w kulkę.

- Co to ma wspólnego ze mną?

Albo ze mną, pomyślał Deacon. „Dlaczego mam wrażenie, że mój los upodabnia się do losu Billy'ego?...” „Mówił, że Londyn jest pełen gówna...” „Widziałem ludzi, którzy umarli gwałtowną śmiercią...” „Woda przypominała mu krew...” „Całe to gówno spływa w dół rzeki i zatruwa niewinne miejsca...”

- Muszę porozmawiać z Nigelem de Vriessem - powiedział nagle Deacon. - Jeśli dał Billy'emu pani adres, możliwe, że Billy wyjaśnił mu, dlaczego go potrzebuje. - Zastanowił się przez chwilę. - Chociaż to nie tłumaczy, dlaczego Nigel nie ostrzegł pani przed nim. - Uśmiechnął się nieznacznie. - Gdyby Barry nie widział, czym zajmowaliście się zeszłej nocy, pomyślałbym, że Nigel pani nie lubi, Amando.

Obojętnie wzruszyła ramionami.

- Pański przyjaciel może sobie do woli fantazjować na temat tego, co widział przez moje okno. To, co zrobił z moim zdjęciem, było odrażające. Nawet pan musi przyznać, że ten człowiek nie jest wiarygodnym świadkiem.

Deacon otulił się szczelniej płaszczem. W pokoju było bardzo zimno, chociaż Amanda wydawała się tego nie zauważać.

- Bynajmniej. Tam, gdzie chodzi o spostrzegawczość, jest absolutnie wiarygodny. Czy spiskowa teoria Streeterów jest prawdziwa? Czy dlatego z takim uporem zaprzecza pani temu, że Nigel był tu wczoraj w nocy?

- Już mnie pan o to pytał i udzieliłam odpowiedzi.

- Czy ma pani numer telefonu de Vriessa?

- Oczywiście, że nie. Nie widziałam go od pięciu lat.

Deacon zaśmiał się cicho.

- W takim razie mam nadzieję, że potrafi kłamać nie gorzej od pani. - Uniósł dłoń na pożegnanie. - Wesołych świąt, Amando.

- Wesołych świąt, panie Deacon. - Wyciągnęła rękę, żeby oddać mu chusteczkę.

- Proszę ją zatrzymać - powiedział. - Coś mi mówi, że będzie jej pani potrzebować bardziej niż ja.

Terry Dalton (14)		
Mieszkał z Billym od 1993	Cadogan Square Dom Geoffreya Standisha?	Paryż Ambasada? Peter Fenton
Tom Beale (68)	ślub (1955)	ślub (1980)
Mieszkał z Billym od -?		
	Verity (1937-1988) Anthony & Marilyn	
Magazyn SAMOBÓJSTWO	PIEKŁO Peter Fenton/Billy Blake (45) (Winchester, Cambridge, Ministerstwo Spraw Zagranicznych) (1950-1995) (Zniknął 3 lipca 1988) Geoffrey Standish zginął 10.03.71 - 20 mil od Cambridge	TOŻSAMOŚĆ
Tamiza	MORDERSTWO	Nigel de Vriess (48) (Softworks/DVS/ odszedł z banku Lowensteina - 1990) Amanda Streeter-Powell (36) ślub (1986) James Streeter (44) (Zniknął 27 kwietnia 1990)
	PIENIĄDZE Bank Lowensteina	
W. F. Meredith (biuro projektowe) Mieszkania w Teddington (ok. 1990) Thamesbank Estate (Amanda – przeprowadzka w 1991) (Skąd?)	Marianne Gilbert (Wyjazd do USA - 1989) (Zniknęła w kwietniu 1990)	
	<u>Gdzie był Billy w kwietniu 1990?</u>	

ROZDZIAŁ 18

- Myślę, że obaj z Mike'em wciskacie mi kit - powiedział Terry, otwierając kolejną puszkę piwa i rozwalając się na kanapie. - Nie wierzę, że chciałeś się tylko przekonać, jak wygląda Amanda. Widziałem, jak patrzysz na Mike'a i widziałem, jak on patrzy na ciebie. Myślę, że miałbyś ochotę trochę się z nim zabawić, a jemu nie bardzo się to podoba.

Barry nie spojrzał na niego.

- Nie rozumiem, o czym mówisz - powiedział.

- Jasne, że rozumiesz. Jesteś pedałem, Barry. Więc czego szukałeś u Amandy? I za co zwinęli cię gliniarze? - Włożył do ust papierosa i przesunął go między wargami koniuszkiem języka. - Wiesz, co myślę? Że dałeś sobie wtedy w pubie ostro w szyję i postanowiłeś nabrudzić trochę konkurencji. Założę się, że skreca cię na myśl, że Mike woli Amandę od ciebie. Mam rację?

Barry sięgnął po pilota, żeby pogłodzić fonię.

- Nie chcę tego słuchać - powiedział.

- Nie dziwię się. Mógłbyś usłyszeć coś, o czym wolałbyś nie wiedzieć. Na przykład, że Mike nie jest wcale taki niedostępny, jakiego udaje. - Ściągnął pogardliwie usta, zapalając papierosa. - Mike na mnie leci, to jasne.

Barry nie odezwał się słowem.

- A ty? Też na mnie lecisz? Wczoraj w nocy, kiedy przeglądaliśmy zdjęcia, przysunąłeś się bardzo blisko. - Terry podparł się na łokciu i z głośnym siorbnięciem pociągnął z puszki łyk piwa.

- Nie powinieneś tak mówić.

- Dlaczego? Bo cię to podnieca? - zapytał chłopiec z szyderyczym uśmiechem.

Barry wątpił, żeby cokolwiek mogło go jeszcze kiedyś podniecić. Jedynym uczuciem, jakiego doznawał, był strach. Gdyby zaufał pierwszemu wrażeniu, które mówiło mu, że Terry to zwykły wygolony bandzior, oszczędziłby sobie kolejnego zawodu. Zdjął okulary i wpatrywał się niewidzącym wzrokiem w ekran telewizora.

- Gdybym był inny... odważniejszy - odezwał się po chwili - nie podarowałbym ci tego. Nie ze względu na siebie, ale na Mike'a. To, co mówisz o mnie, nie ma znaczenia. Przez całe życie ludzie obgadują mnie za plecami. Ale Mike zasługuje na coś więcej. Smutne jest

to, że uważa cię za porządnego chłopaka. - Barry ścisnął palcami koniuszek nosa, jakby starał się powstrzymać łzy. - Ale gorzko się myli, prawda?

- Nie będzie mnie uczył moralności ktoś, kogo przymknęli za o b r a z ę moralności.

- Czy przyjaźni Billy'ego nadużywałeś tak samo jak przyjaźni Mike'a?

- Może bym ci odpowiedział, gdybym wiedział, o co ci chodzi.

- No tak, zapomniałem, że jesteś nie tylko podły, ale i prymitywny.

Terry uśmiechnął się.

- Lepiej uważaj, jak się do mnie odzywasz, Barry. Myślisz, że mnie nastraszysz, lewusie? - Z lekceważącym wyrazem twarzy dmuchnął Barry'emu dymem prosto w twarz.

- Nie rób tego - powiedział zduszonym głosem Barry. - Choruję na astmę.

- Jezu Chryste! Gdybyś nie był taką ciotą, przywaliłbyś mi. Nie masz w ogóle jaj?

Terry był całkowicie zaskoczony szybkością, z jaką Barry rzucił mu się do gardła, i zupełnie nie wziął pod uwagę jego wagi i siły. Kiedy przyduszony ciasnym uchwytem i przyciśnięty twardym kolaniem, które wbijało mu się w piersi, zaczął z trudem łapać powietrze w płuca, zrozumiał, że porwał się na niewłaściwego człowieka. Spojrzał rozpaczliwym wzrokiem w niewidzące oczy Barry'ego i zobaczył w nich jedynie wściekłą furię.

- Gdzie Terry? - zapytał Deacon, wróciwszy do mieszkania.

- W swoim pokoju.

- Śpi?

- Chyba tak. Jest tam od pół godziny. Napijesz się czegoś, Mike? Kawy? Drinka?

Deacon rozejrzał się po pokoju, zauważył papierosy Terry'ego leżące na podłodze i płamę na dywanie w miejscu, gdzie wywróciła się puszka z piwem.

- Co się tu działo?

Barry podążył za jego wzrokiem.

- Przepraszam cię za to. Terry przewrócił puszkę przez przypadek. Jest zmęczony, Mike. Nie zapominaj, że ma tylko czternaście lat.

- Próbował tu coś kombinować?

- Wolałbym, żebyś sam go spytał.

- W porządku. Zrób mi kawę, dobrze? A ja przez ten czas sprawdzę, co u niego. - Deacon poczekał, aż Barry zniknie w kuchni, po czym podszedł do drzwi sypialni i lekko w nie zastukał.

- Jeśli to ty, porypańcu - odezwał się podejrzliwy głos Terry'ego z drugiej strony drzwi

- możesz spierdalać. Nie wyjdę, dopóki nie wróci Mike.

- To ja, Mike.

- Jezu - powiedział z ulgą chłopak, otwierając szeroko drzwi - dobrze, że jesteś. Barry'emu odbiło. Próbował mnie zabić. - Wskazał na swoje gardło. - Popatrz na to. O mało mnie nie udusił.

- Nieładnie - powiedział Deacon, patrząc na czerwone ślady na szyi chłopca. - Dlaczego to zrobił?

- Bo jest stuknięty. Dlatego. - Terry niepewnie wychylił głowę z pokoju. - Właściwie powinienem wezwać policję. Jest niebezpieczny.

- Czemu tego nie zrobisz? - Deacon spojrzał na Terry'ego spod przymrużonych powiek. - Nie miałeś specjalnych oporów, kiedy Denning dostał szau.

- To co innego.

- Bo Denning, w odróżnieniu od Barry'ego, zaatakował bez powodu? Jesteś głupi, Terry. Ostrzegalem cię, żebyś uważał. Powiem wprost: jeśli nie potrafisz traktować Barry'ego z szacunkiem, lepiej żebyś od razu sobie poszedł.

- Skąd wiesz, że to nie on zaczął?

- Bo takie jest prawo dżungli. Króliki nie atakują łasic, chyba że nie mają innego wyjścia. Poza tym, jesteś żywy, a gdyby Barry był rzeczywiście stuknięty, byłoby już po tobie. - Odwrócił się do wyjścia. - Masz dwie możliwości, słonko - rzucił przez ramię. - Przeprzić albo odejść.

- Nie będę przepraszał jakiegoś zbrojnego. To on próbował zabić mnie.

Deacon odwrócił się.

- Billy niczego cię nie nauczył - powiedział zmęczonym głosem. - Włożył sobie rękę do ognia, żebyś zapamiętał, jak groźną rzeczą jest gniew, nad którym nie umiemy zapanować, nieważne, twój czy kogoś innego. Ale byłeś za głupi, żeby to zrozumieć. Myślę, że tracę z tobą czas tak samo jak on. Lepiej zacznij się pakować.

Po dziesięciu minutach Terry, już znacznie spokojniejszy, pojawił się w kuchni. Miał zaczerwienione oczy, a jego ruchy były mniej nonszalanckie niż zwykle. Deacon, który uzupełniał wykres, spojrzał na niego obojętnym wzrokiem i wrócił do swojego zajęcia. Terry wyciągnął kościstą rękę w stronę Barry'ego.

- Przepraszam, stary - powiedział. - To było nie fair. Bez urazy, okey?

Barry, który od paru minut siedział w krępującej ciszy, ponieważ Deacon nie zwracał na niego uwagi, był zaskoczony wyciągniętą ręką Terry'ego.

- Myślę... - popatrzył na ślady palców na szyi chłopca. - No cóż, myślę, że to ja powinienem przeprosić.

- Nie. Mike ma rację. Sprowokowałem cię. Jesteś odważniejszy, niż myślisz. Powiedziałeś, że dałbyś mi chętnie nauczkę i zrobiłeś to. To wszystko moja wina.

Barry sprawiał wrażenie, jakby chciał się z nim zgodzić, ale poczuł na sobie spojrzenie Deacona i szybko zmienił zdanie. Po powrocie do kuchni Deacon powiedział tylko: „Nie obchodzi mnie, co zaszło, Barry, ale jeśli jeszcze raz podniesiesz rękę na dziecko, rozerwę cię na strzępy”.

Deacon wskazał Terry'emu puste krzesło i odłożył na bok swój wykres.

- Siadaj - powiedział, wsłuchując się w odległy odgłos dzwonów wzywających wiernych na pasterkę. - Może powinniśmy pójść do kościoła? - dodał po chwili, wskazując ruchem głowy w kierunku okna. - Kiedy byłem dzieckiem, zawsze chodziliśmy na pasterkę i pamiętam, że tylko wtedy zachowywaliśmy się jak normalna rodzina.

Terry, który zgodnie z intencją Deacona uznał jego słowa za zawieszenie broni, nabrał znowu dawnego animuszu.

- Czy tej nocy, kiedy twój ojciec się zastrzelił, też byliście na pasterce?

Deacon uśmiechnął się nieznacznie, widząc przerażony wyraz twarzy Barry'ego, ale jego przerażenie, pomyślał, wywołała raczej gruboskórność Terry'ego, a nie sama wzmianka o tragicznej śmierci ojca.

- Nie. Gdybyśmy poszli na pasterkę, nie zrobiłby tego. Przestaliśmy chodzić do kościoła, kiedy on i mama przestali ze sobą rozmawiać.

- Billy mówił, że rodzina, która wspólnie się modli, zawsze trzyma się razem.

Deacon nie zareagował, bo nie chciał rozczarować Terry'ego. Często wydawało mu się, że to właśnie rosnący zawód spowodowany tysiącem nie wysłuchanych modlitw doprowadził do rozpadu jego rodziny. „Panie Boże, proszę cię, spraw, żeby tata był miły dla moich kolegów... Panie Boże, proszę cię, spraw, żeby tata był chory i nie mógł przyjść na zawody... Panie Boże, proszę cię, spraw, żeby tata umarł...”

- Mój ojciec był niewierzący - powiedział Barry przepaszającym tonem, jakby i on nie chciał rozczarowywać chłopca.

- Co się z nim stało?

- Zmarł na atak serca, kiedy miałem dziesięć lat. - Barry westchnął. - Szkoda. Moja matka bardzo się potem zmieniła. Była kiedyś taka pogodna, ale teraz, no cóż... Problem w tym, że jestem bardzo podobny do ojca. Myślę, że czuje się tym urażona.

Umilkli i słuchali w milczeniu odgłosu dzwonów. Deacon mimo wszystko żałował, że

obudził w sobie dawne wspomnienia. Przez dwadzieścia lat nie uwolnił się od upiornego obrazu zbryzganego krwią gabinetu ojca i bezkształtnej masy, która kiedyś była Francisem. Samobójstwo, pomyślał, jest najbardziej niewybaczalnym rodzajem śmierci, ponieważ nie pozostawia czasu na oswojenie się ze stratą. Od wszelkiego żalu silniejsze było w nim zawsze uczucie wstrętu, którego doznał, ścierając krew i mózg ojca ze ściany, obrazów, półek i książek.

Wspomnienia sprawiły, że Deacon zaczął myśleć o samobójstwie Verity.

- Zastanawiam się, dlaczego się powiesiła - wymamrotał.

- Myślę, że się nie powiesiła - powiedział Terry. - Myślę, że to Billy ją zabił. -

Wyciągnął przed siebie ręce i zacisnął w powietrzu tak samo jak wtedy, w magazynie, gdy Deacon zobaczył go po raz pierwszy. - Może dlatego tak mu odbiło?

Deacon potrząsnął głową.

- To pierwsza rzecz, którą sprawdziłaby policja. Dowody musiały być bardzo przekonujące, skoro uznali, że było to samobójstwo.

- Anne Cattrell na pewno ma rację - powiedział Barry. - Gdyby Verity odkryła przez przypadek, że poślubiła zabójcę swojego męża, czy nie byłby to wystarczający powód do samobójstwa?

- Wątpię. Przecież nienawidziła Geoffreya. - Deacon zastukał ołówkiem o zęby. - Z tego, co pisze Roger Hyde, wynika, że jej syn podejrzewał, że to ona miała romans. - Zakreślił kółkiem imię Verity i poprowadził od niego linię do Jamesa Streetera. - Co wy na to? Pomyślcie, jak podobni byli James i Peter. Już sam wygląd Jamesa mógł ją pociągać. To wyjaśnialoby, dlaczego Billy chciał zdobyć adres Amandy.

- Myślisz, że chciał się zemścić? - zapytał z powątpiewaniem Terry. - Nie wierzę w to, Mike. Po pierwsze, mściłby się na niewłaściwej osobie, a po drugie, Billy miał gdzieś rozkosze bogów.

Deacon zaśmiał się krótko. Nigdy nie przyznałby się przed Terrym, jak bardzo zaimponował mu, wyciągając rękę do Barry'ego, ale w duchu naprawdę go podziwiał. Czy to echa relacji z matką? Ostatecznie, może miłość jest silniejsza niż myślimy. Klara nie przestawała powtarzać, że go kocha, aż do dnia, w którym w końcu odeszła.

- W porządku, pudło. Wymyśl coś lepszego.

- Myślę, że to wszystko ma związek z przeznaczeniem. Amanda najpierw w ogóle nie chciała gadać z dziennikarzami, ale w końcu dorwała kogoś, kto przejął się tą sprawą naprawdę. Sam powiedziałaś, że z Billym wiele cię łączy.

- To nie ona mnie „dorwała” - poprawił Deacon. - To ja „dorwałem” ją, a dokładnie,

zrobił to mój naczelny, który kazał mi, wbrew mojej woli, zrobić z nią wywiad. W zależności od tego, co chciała osiągnąć, miała szczęście lub pecha, że trafiła akurat na kogoś, kto dostrzegł w życiu Billy'ego słabe echa własnego życia.

Terry nie dawał za wygraną.

- A co ze mną? Nie zadzwoniłbym do ciebie w sprawie Billy'ego, ale musiałem to zrobić z powodu Walta. Gdyby pan Harrison nie rozpoznał Toma, nie bałbym się, że Tom może mnie sypnąć, a gdybyś ty nie spotkał Lawrence'a i nie przekonał go, żeby przyszedł nam pomóc, Lawrence nie mądrzyłby się na temat ojcostwa... - Terry przerwał, żeby zaczerpnąć powietrza - ...i nie siedziałbym teraz tutaj. Poza tym, Barry nie urznąłby się z nami i nie pojechałby gapić się na Amandę i nikt z nas nie wiedziałby o tym, że Nigel dalej ją posuwa. To właśnie jest przeznaczenie - zakończył triumfalnie. - Mam rację, Barry?

Barry pochylił głowę, żeby zdjąć okulary. Był tak zmęczony wszystkim, co przytrafiło mu się w ciągu ostatnich dwudziestu czterech godzin, że coraz trudniej było mu śledzić przebieg rozmowy.

- To zależy, czy wierzysz, tak jak mój ojciec, że wszystko dzieje się przypadkowo - powiedział powoli. - Mój ojciec uważał, że jedynym prawem, które obowiązuje w życiu, jest prawo zachowania gatunków, a nasze bezcelowe istnienie może być dla nas źródłem udręki albo radości. Żeby cieszyć się życiem, musimy starać się unikać nieprzyjemnych zdarzeń. - Uśmiechnął się smutno. - I zmarł na atak serca.

- Zgadzasz się z nim? - zapytał z zaciekawieniem Deacon.

- O, nie. Zgadzam się z Terrym. Myślę, że przeznaczenie odgrywa istotną rolę w naszym życiu. - Nerwowym ruchem nałożył okulary, chowając się za ich wielkimi szklami niczym niedoświadczony wojownik szykujący się do bitwy. - Nie mogę oprzeć się wrażeniu, że przyczyna samobójstwa Verity nie ma większego znaczenia, przynajmniej tak długo, jak długo mówimy o Amandzie. - Położył pulchny palec na wykresie Deacona w miejscu, w którym widniało pytanie: *Gdzie był Billy w kwietniu 1990?* - To los Billy'ego Blake'a, nie Petera Fentona. Peter Fenton zmarł w tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym ósmym.

Dalekie odgłosy dzwonów umilkły. Nadeszło Boże Narodzenie.

Deacon miał tamtej nocy dziwne sny. Tłumaczył to sobie tym, że zdecydował się spać na kanapie, żeby Barry i Terry, bezpiecznie zamknięci w swoich sypialniach, mieli świadomość jego czujnej obecności. Gdy myślał o tym później, doszedł do wniosku, że nie tylko zła noc, podświadomy lęk przed oskarżeniem o homoseksualny gwałt na nieletnim i wspomnienia związane z ojcem sprawiły, że przyśnił mu się zakrwawiony James Streeter.

Ocknął się ze snu o czwartej nad ranem, cały rozdygotany, przekonany, że jest Jamesem i że obudził się w ostatniej chwili, unikając śmiertelnego ciosu, który pozbawiłby go życia. Twarz miał zlaną potem - krwią? - a w ciemności słyszał łomotanie własnego serca. „I kiedy serce bić zaczęło, / Co dłoń, co łapy trwogą zdjęło?”... Czy to był tylko sen? „Matka jęczała, ojciec łkał, / Straszny był świat, gdzieś susa dał”... Kim jestem? „Ojcobójco, oto się odnawia niewysłowiona męka”...

„Gdzie kucharek sześć, tam nie ma co jeść” - wszyscy trzej mieli się szybko przekonać o prawdziwości tego przysłowia. Z początku Barry wykazywał wiele cierpliwości, ale absolutna nieudolność Deacona i Terry'ego szybko wywołała jego irytację, a następnie niczym nie maskowaną wściekłość.

- Moja matka zabiłaby cię za to - zauważył cierpko, odsuwając Deacona od miski z rozmoczonym nadzieniem i wkładając ją do zlewu.

- Jak mam to zrobić, jeśli nie mam miarki? - zapytał urażony Deacon.

- Pomyśl przez chwilę i dolewaj wodę trochę wolniej - powiedział Barry, który przełożył brejowatą masę na sitko i zaczął odciskać z niej nadmiar wody. - Może cię to zdziwi, Mike, ale farszu nie wlewa się do indyka, farszem się faszkuje. Dlatego nazywamy tę czynność faszerowaniem, a nie zalewaniem.

- Dobrze już, dobrze, dotarło do mnie. Nie jestem idiotą.

- Mówiłem ci, że nie umie gotować - powiedział obłudnie Terry.

Oburzenie Barry'ego przeniosło się teraz na niego. Barry podniósł maleńką brukselkę ze skromnej kupki leżącej na suszarce do naczyń.

- Co to jest? - zapytał twardo.

- Brukselka.

- Nieprawda. To była brukselka. Teraz to jest groszek. Kiedy kazałem ci zdjąć zewnętrzne liście, miałem na myśli jedną warstwę. Mamy to jeść, a nie połykać jak pastylki.

- Powinieneś się napić - powiedział bez ogródek Deacon. - Na trzeźwo strasznie łatwo się wkurzasz.

- Napić się? - zapiszczał Barry, tupiąc nogami. - Jest dziewiąta, a nawet nie wstawiliśmy jeszcze indyka. - Dramatycznym gestem wskazał na drzwi: - Wynocha stąd, obaj - rozkazał - albo zapomnijcie o świątecznym obiedzie.

Deacon potrząsnął głową.

- To niemożliwe. Zaprosiłem Lawrence'a Greenhilla. Będzie bardzo zawiedziony, jeśli nie dostanie nic do jedzenia. - Zobaczył, jak krew napływa Barry'emu do twarzy, więc wycofując się w stronę drzwi, zaczął wykonywać rękoma pojednawcze gesty. - Nie wpadaj w

panikę. To świetny facet. Polubisz go. Jestem pewien, że zaczeka, jeśli jedzenie nie będzie gotowe punktualnie na pierwszą. Posłuchaj, mam pomysł - powiedział, jakby pierwszy wpadł na tę myśl. - Może znikniemy z Terryem na jakiś czas, żebyś mógł spokojnie ze wszystkim się uporać? Wrócimy o dwunastej, żeby nakryć do stołu.

- Dobra myśl - przytaknął Terry, unosząc w górę oba kciuki. - Trzymaj się, Barry. I nie zapomnij o zapiekanych ziemniakach. Naprawdę je uwielbiam.

Deacon złapał go za kołnierz i wyciągnął z kuchni, zanim ich nadworny kucharz zniknął w kłębach dymu, który wydobył się nagle nie wiadomo skąd.

- Gdzie jedziemy? - zapytał Terry, kiedy wsiedli już do samochodu. - Mamy przed sobą trzy godziny.

- Najpierw napsujemy komuś trochę krwi. - Deacon sięgnął po telefon komórkowy i zadzwonił na informację. - Proszę mi podać numer Nigela de Vriessa. Halcomb House koło Andover. Dziękuję. - Wyjął pióro z wewnętrznej kieszeni marynarki, zapisał numer na mankiecie koszuli i wyłączył telefon.

- Co chcesz zrobić?

- Zadzwoń do niego i zapytaj, co robił w domu Amandy Powell w sobotę w nocy.

- A jeśli odbierze jego żona?

- Wtedy rozmowa może być jeszcze ciekawsza.

- To okrutne. Jest Boże Narodzenie.

Deacon zaśmiał się.

- Nie sądzę, żeby ktoś odebrał. To na pewno numer jego sekretarki. Tacy goście jak de Vriess mają zastrzeżone numery. - Zerknął na mankiet, wystukując kolejne cyfry. - W każdym razie, rozłączę się, jeśli odbierze Fiona - obiecał, przykładając telefon do ucha. - Halo? - Deacon sprawiał wrażenie zaskoczonego. - Czy mówię z Nigelem de Vriessem?... Czy może podejść?... Wyjechał? Tak, to dosyć ważne. Próbuję się z nim skontaktować od piątku... Nazywam się Michael Deacon... Nie, dzwonię z komórki... - Dłuższe milczenie. - Czy mógłbym rozmawiać z jego żoną?... Czy może mi pan podać numer, pod którym mógłbym zastać Nigela?... Więc może potrafi mi pan powiedzieć, kiedy wróci?... Mój domowy telefon? Tak, będę tam od południa. Dziękuję. - Podał swój domowy numer telefonu, rozłączył się i zamyślony zmarszczył brwi. - Nigel wyjechał na kilka dni, a jego żona jest niedysponowana i nie chce z nikim rozmawiać.

- Jezu, ale skurwiel! Założę się, że olał swoją starą i zabawia się z Amandą.

Deacon zabębnił palcami po kierownicy.

- A ja stawiam wszystkie pieniądze, że telefon odebrał policjant, a nie wzywa się policji tylko dlatego, że szanowny małżonek posuwa inną panienkę.

- Skąd wiesz, że to gliniarz?

- Był bardzo dociekliwy. Kiedy się przedstawiłem, rozłączył się na moment, żeby sprawdzić, czy moje nazwisko mówi coś osobie, która była z nim w pokoju.

- Może to lokaj. Tacy faceci fundują sobie czasem lokajów.

Deacon uruchomił silnik.

- Lokaj odzywa się pierwszy - powiedział. - A gość po drugiej stronie milczał, dopóki nie zapytałem o Nigela de Vriessa. - Wyjechał na ulicę. - Myślisz, że nawiał?

- Jak James?

- Tak.

- Czemu miałyby to robić?

- Bo Amanda ostrzegła go, że Barry widział ich u niej w domu.

- Więc dlaczego nie uciekła razem z nim?

Deacon przypomniał sobie walizkę, którą widział w korytarzu u Amandy.

- Może uciekła - powiedział ponuro. - Pojedziemy to sprawdzić.

Podjechali do Thamesbank Estate i zaparkowali pod domem Amandy po przeciwległej stronie ulicy. Zaslony były odsunięte, ale pomimo porannej szarówki w środku nie paliły się światła, a z podjazdu przed garażem zniknął samochód.

- Może jest w kościele - powiedział bez przekonania Terry.

- Zostań tu - rozkazał Deacon. - Zajrzę do środka przez okno.

- Aha. Tylko nie zapomnij o tym, co przydarzyło się Barry'emu - powiedział posepnie chłopiec. - Jeśli zobaczą cię sąsiedzi, zwiną nas i znowu będziemy musieli się tłumaczyć, a ja nie mam zamiaru chodzić bez obiadu drugi dzień z rzędu.

- To nie potrwa długo. - Deacon, zgodnie z obietnicą, wrócił po pięciu minutach. - Ani śladu - powiedział, siadając za kierownicą i wyciągając papierosy. - Co robić, do cholery?

- Nic - odparł stanowczo Terry. - Zostaw to glinom. Wyjdiesz na głupka, jeśli sprzedasz im historię o ucieczce Nigela i Amandy, a potem okaże się, że po prostu zaszyli się w jakimś hotelu, żeby sobie poużywać. Odbiło ci na jej punkcie, nie wiem tylko, czemu. Tak czy owak, na pewno nie podoba ci się to, że dalej pieprzy się z Nigelem. - Rzucił Deaconowi złośliwe spojrzenie. - Zawsze kiedy o niej mówimy, masz strasznie skwaszoną minę.

Deacon zignorował jego słowa.

- Wszystkie te domy są identyczne, a jej jest dziesiąty z kolei. Czemu Billy wybrał

właśnie jej dom?

- Bo drzwi do garażu były otwarte.
- Pod ósmym też są teraz otwarte.
- I co z tego? Wtedy były zamknięte.

Deacon spojrział na niego.

- Skąd wiesz?

Terry nie odpowiedział od razu.

- Tak myślę... Masz zamiar siedzieć tu przez cały dzień? Barry nie będzie zachwycony, jeśli Lawrence zjawi się przed nami.

Mimo protestów Terry'ego Deacon wstąpił jeszcze po drodze na komisariat, żeby zapytać o domowy numer telefonu sierżanta Harrisona. „Pan naturalnie żartuje. Myśli pan, że prywatne numery telefonów daje się pierwszemu lepszemu człowiekowi, który wejdzie tu z ulicy? Zapomniał pan, że mamy Boże Narodzenie i policjanci, jak wszyscy inni śmiertelnicy, mają prawo spędzić ten dzień w spokoju ze swoimi rodzinami?” Deacon nalegał i w końcu uzyskał zapewnienie, że oficer dyżurny „w odpowiednim czasie” zadzwoni do Harrisona i przekaze mu, że Michael Deacon musi pilnie z nim porozmawiać w sprawie Amandy Streeter i Nigela de Vriessa.

- Jest wpół do jedenastej - powiedział Deacon, wskazując palcem na zegarek. - Dlaczego to nie jest odpowiedni czas?

- N i e k t ó r z y ludzie chodzą do kościoła w dniu narodzin naszego Pana - brzmiała ostra odpowiedź.

- Ale większość nie chodzi - mruknął Deacon.
- Tym gorzej. Wśród pobożnych ludzi jest mniej przestępców.
- I całe mnóstwo pobielanych grobów.
- Czy chce pan, żebym wykonał ten telefon?
- Tak, tak, przepraszam - odparł potulnie Deacon.

Kiedy byli mniej więcej milę od domu, Deacon zjechał na chodnik i wyłączył silnik.

- Okłamywałeś mnie - powiedział łagodnie. - Teraz chcę usłyszeć prawdę.

Terry był głęboko dotknięty.

- Nie okłamywałem cię.
- Oddam cię ludziom z opieki społecznej, jeśli natychmiast nie zaczniesz mówić.
- To jest szantaż.

- Właśnie.
- Myślałem, że mnie lubisz.
- Lubię.
- Otóż to.
- Co to znaczy? - zapytał cierpliwie Deacon.
- Że chcę z tobą zostać.
- Nie mogę mieszkać pod jednym dachem z kłamcą.
- No tak. Ale pozwolisz mi zostać, jeśli powiem prawdę?

Jego słowa zabrzmiały jak niewyraźne echo wczorajszych słów Barry'ego... „Wypuszczą mnie, jeśli powiem prawdę?”... Lecz co to jest prawda?... Verity?...

- Orzeł - wygrywasz, reszka - przegrywam, tak?
- Nie rozumiem.

- Podejrzewam, że przez ostatnie trzy dni robiłeś wszystko, żeby zostać, nie mówiąc mi prawdy. - Deacon zastanawiał się przez chwilę, czy nie wrócić do wczorajszego zachowania Terry'ego, ale w porę się rozmyślił. Wiedział z własnego doświadczenia, że rozpamiętywanie przeszłości jest nie tylko bolesne, ale przede wszystkim przynosi niewiele pożytku i dodatkowo zaoğnia sytuację.

- Myślałem, że będziesz potrzebował trochę czasu, żeby mnie poznać. Billy potrzebował paru miesięcy, zanim zaczął mnie doceniać. Tak czy owak, nie możesz się mnie pozbyć. Jeszcze nie teraz. Nie nauczyłem się czytać, a chcę zarobić forszę, którą mi obiecałeś.

- Wydałem już na ciebie majątek.

- Racja. Ale jesteś bogaty. Sam dom twojej mamy jest wart parę funtów, więc stać cię na wykarmienie jednej osoby.

- Powiedziałem jej, żeby go sprzedała.

- Ale tego nie zrobi. Łyso jej, że podarła testament twojego taty i podarowała twoją dolę siostrze. Kiedy nadejdzie pora - a według niej stanie się to za parę miesięcy - odejdzie. Jest już na to przygotowana i nic jej przed tym nie powstrzyma, chyba że przekonasz ją, że warto się jeszcze trochę pomęczyć.

- Jak miałbym to zrobić?

W jasnych oczach chłopca pojawiło się coś na kształt pierwotnej mądrości.

- Billy mówił, że to ciekawość trzyma ludzi przy życiu, bo wszyscy chcemy wiedzieć, co będzie dalej. I że ludzie zabijają się albo kładą się do łóżek i umierają, żeby nie dożyć chwili, w której nic nie będzie ich już ciekawiło. - Terry mówił poważnym tonem. - Ty i twoja mama nie macie o czym rozmawiać. Umiecie tylko bez końca rozgrzebywać stare

sprawy. Dlatego musisz podsunąć jej coś, o czym będzie mogła myśleć. Na przykład mnie. Na pewno byłaby przejęta, gdybyś jej powiedział, że chcesz się mną zająć. Dzwoniłaby bez przerwy, żeby wtykać nos w nasze sprawy.

- Już to wystarczy, żeby zrazić mnie do tego pomysłu.

- Tyle tylko, że jeśli nie dasz jej powodu do rozmowy, stracie następne pięć lat. A żadne z was tego nie chce.

- Na pewno masz tylko czternaście lat? - zapytał podejrzliwie Deacon. - Czasami mówisz, jakbyś miał czterdzieści.

Terry wyglądał na urażonego.

- Jestem dojrzały. A poza tym - mam już prawie piętnaście.

- Opieka społeczna nie pozwoli ci ze mną zostać - powiedział Deacon, częstując go papierosem. - Wystarczy, żebym tylko zasugerował, że chcę się tobą zająć, a zrobią ze mnie pedofila. Przyjaźń z kimś poniżej szesnastego roku życia jest dziś dla mężczyzn bardzo niebezpieczna. - Przyłożył zapalną do papierosa. - Poza tym jestem nieodpowiedzialny. Nie powinienem pozwalać ci palić.

- Daj spokój. Billy nigdy nie truł takich smutków. Po prostu przyjął mnie jak syna, takiego, jaki jestem. Nie proszę cię, żebyś mnie adoptował, a poza tym za kilka miesięcy równie dobrze może mnie tu nie być. Chcę tylko zostać trochę dłużej, nauczyć się czytać, spotkać znowu panią D. To wolny kraj, więc jeśli dajesz bezdomnemu dach nad głową i nie robisz przy tym nic złego, dlaczego ktoś z opieki miałby się w to wtrącać?

- Bo za to im płacą - odparł cynicznie Deacon, patrząc w przestrzeń przez przednią szybę samochodu. - Ciekawe, ile musiałbym wydać na twoje jedzenie, ubranie, piwo i papierosy?

- Będę zebrał. Pomogę ci.

- Nie ma mowy. Nie będę mieszkał pod jednym dachem z żebrakiem i analfabetą o zubożonym słownictwie. Musisz się uczyć. (Nie mów tego, Deacon...) Chcesz mnie zrujnować, może nawet wpakować do więzienia, i na koniec po prostu się zmyjesz, a ja będę się zastanawiał, co mnie opętało.

- Nie jestem taki. Nie zostawiłem Billy'ego. A z nim nie było się tak łatwo dogadać.

Deacon spojrział na niego.

- Jeśli zrobisz choć jeden fałszywy ruch i ściągniesz mi na głowę opiekę społeczną albo policję, ukatrupię cię natychmiast po wyjściu z więzienia. Zrozumiano? - Deacon wyciągnął rękę, obracając otwartą dłoń ku górze.

Terry uściśnął ją podekscytowany.

- Zrozumiano. Czy mogę teraz zadzwonić do pani D. i złożyć jej życzenia? - Sięgnął po telefon komórkowy. - Jaki numer?

Deacon podyktował mu cyfry.

- Chyba naprawdę ją polubiłeś - powiedział zaintrygowany.

- Jest taka sama jak ty, tylko starsza - stwierdził rzeczowo Terry. - Poza tym nigdy nie spotkałem ludzi, którzy od początku traktowaliby mnie z takim szacunkiem. Nawet Hugh był okey, więc może wszyscy do kupy nie jesteście tacy straszni, jak mówisz. Pomyślałeś o tym kiedyś?

ROZDZIAŁ 19

Terry zataił przed Deaconem, że jednak w i d z i a ł Billy'ego przed śmiercią - jeden raz, przy magazynie. Był wczesny poranek i chłopiec siedział na tyłach budynku, gapiąc się na rzekę. Nad wodą unosiła się poranna mgła, która zaczynała już parować w ciepłych promieniach słońca. Terry był tego dnia „kompletnie zdołowany”.

- Życie bez Billy'ego nie było już takie samo. Pewnie, że często bywał upierdliwy, ale jakoś tam do niego przywykłem. Lawrence dobrze to ujął. Billy był dla mnie jak ojciec... no, może raczej jak dziadek. W każdym razie... odwróciłem się, a on siedział obok mnie. Przestraszyłem się, bo nie słyszałem, jak podchodził. Naprawdę, o mało nie dostałem zawału.

- Terry zastanowił się przez chwilę. - Szczerze mówiąc, myślałem, że to duch - przyznał. - Nigdy jeszcze tak źle nie wyglądał. Skórę i usta miał białe jak kreda. - Chłopiec wzdrygnął się na samo wspomnienie. - Spytałem go, co robił przez cały ten czas, a on na to: „Pokutowałem”.

Deacon odczekał chwilę.

- Powiedział coś jeszcze? - zapytał, gdy milczenie Terry'ego zaczęło się przedłużać.

- Tak, ale nie było w tym wiele sensu. Powiedział: „Nie odpokutowany grzech to niewidzialny robak”.

Deacon potarł w zamyśleniu podbródek i przez chwilę, skupiony, szukał w pamięci odpowiednich skojarzeń.

- Blake napisał kiedyś wiersz *Chora róża* - powiedział w końcu. - Wiersz mówi o pięknej róży, która umiera, bo niewidzialny robak toczy ją od środka. Można to interpretować w różny sposób, ale dla Billy'ego tym niewidzialnym robakiem był chyba nie odpokutowany grzech. - Znów zamilkł na chwilę. - Nie mógł mówić o swojej pokucie, bo cały czas wymierzał sobie karę za grzechy - powiedział w zamyśleniu. - A to oznacza, że mogło chodzić tylko o Amandę. Rozumiesz, o czym mówię?

- Jasne. Nie jestem durniem. Poza tym powiedziałaś, że od Amandy zalatuje różami. W każdym razie... to właśnie do niej kazał mi się zaprowadzić.

- Co znaczy „kazał”?

- Po prostu wstał i poszedł. Mogłem tylko iść za nim. Przez całą drogę nie odezwał się ani słowem, a potem po prostu wszedł do garażu i zamknął za sobą drzwi.

Deacon zmierzył go wzrokiem.

- Wiedziałeś, że to jej dom?

- Nie. To był po prostu dom.

- Skąd Billy wiedział, że drzwi do garażu będą otwarte?

Terry wzruszył ramionami.

- Może to przypadek? Inne były zamknięte.

- Czy powiedział coś, zanim wszedł do środka?

- Pożegnał się.

Deacon pokręcił głową zdumiony tym, że chłopiec tak łatwo pogodził się z dziwnym zachowaniem Billy'ego.

- Nie pytałeś go, co zamierza? Dlaczego tam poszedł? O co mu chodzi?

- Jasne, że pytałem, ale nie odpowiedział. Wyglądał tak fatalnie, że myślałem, że za chwilę mi wykituje. Nie chciałem go dręczyć, żeby nie pogarszać sprawy. Billy i tak robił zawsze to, co chciał.

- Nie bałeś się, że nie przyjdzie już więcej do magazynu? Dlaczego nie wróciłeś po niego?

Terry wyglądał na urażonego.

- Wróciłem. W pewnym sensie. Następnego dnia kręciłem się wokół domu, ale po Billym nie było śladu. Bałem się przychodzić tam przez dwa dni z rzędu, żeby gliniarze nie pomyśleli, że coś kombinuję. Poza tym, nie chciałem narobić dziadostwa Billy'emu. Skąd miałem wiedzieć, po co się tam zamknął? Obgadałem sprawę z Tomem i ustaliliśmy, że pójdziemy tam razem i porządnie się rozejrzemy. I wtedy Tom przeczytał w gazecie, że Billy wykorkował w garażu Amandy. - Wzruszył ramionami. - To wszystko.

- Pamiętasz, którego dnia poszedłeś tam z Billym?

Terry wyglądał na zakłopotanego.

- Tak, ale Tom mówi, że przez cały tydzień chodziłem upalony i wszystko pokręciłem. To nieprawda, ale tylko tak można to wytłumaczyć. Kiedy Amanda powiedziała nam, że urządziła Billy'emu pogrzeb, poszliśmy z Tomem, żeby sprawdzić, czy nas nie okłamała. Na tabliczce było czarno na białym: Billy Blake, zmarł dwunastego czerwca 1995.

Deacon zajrzał do kalendarza.

- Dwunastego było w poniedziałek, ciało Billy'ego znaleziono w piątek, a lekarz stwierdził, że nie żył już wtedy od pięciu dni. Więc kiedy go widziałeś?

- We wtorek. W środę kręciłem się przed domem, w czwartek obgadałem sprawę z Tomem, a w piątek postanowiliśmy iść na zwiady. Była mniej więcej ósma wieczorem,

szliśmy ulicą, Tom zwinął ze stojaka „Evening Standard”, a tam wielki nagłówek: „Bezdomny umiera z głodu”. Tom czyta i mówi: Jezu, Terry, ale z ciebie fiut. Skurwiel nie żyje od paru dni, a ty ciągniesz mnie, żebym szukał trupa”.

Deacon milczał tak długo, aż w końcu Terry odezwał się ponownie.

- No cóż, może Tom miał rację. Może to był poprzedni wtorek, a ja byłem tak upalony, że zanim cokolwiek zrobiłem, minął tydzień.

- Według policji, Billy dostał się do garażu w sobotę, dziesiątego.

- Nie mogłem się z nim widzieć w sobotę - powiedział stanowczo chłopiec. - W soboty jest pełno turystów, więc poszedłbym zebrać.

Deacon wymacał dłonią kluczyk w stacyjce.

- Kiedy odwiedziła was Amanda?

- W kilka tygodni po śmierci Billy'ego. Zapłaciła już wtedy za pogrzeb, bo powiedziała nam o tym.

Silnik zapalił i Deacon wrzucił bieg.

- Dlaczego jej nie powiedziałaś, że Billy żył jeszcze we wtorek?

Terry patrzył smętnie przez szybę samochodu.

- Z tego samego powodu, dla którego nie powiedziałem tobie. Bo myślę, że wtedy już nie żył. Właściwie... nie lubię o tym za dużo myśleć. Wierzysz w duchy, Mike?

Deacon przypomniał sobie zapach śmierci, który unosił się w domu Amandy i z niepokojem pomyślał o *deus ex machina* Billy'ego.

„...Wierzę w piekło...”

„.....Miewam czasem koszmarnie sny. Unoszę się w czarnej otchłani, dokąd nie sięga już miłość...”

„...Tylko boska interwencja może uratować dusze skazane na wieczną samotność w bezdennej otchłani...”

„...Błagam, błagam, nie zostawiaj mnie samej ani chwili dłużej niż to konieczne...”

Sierżant Harrison spał źle. Przez całą noc dręczyło go poczucie, że przeoczył coś istotnego. Rano na pewien czas oderwał się od swoich myśli, kiedy zaaferowane dzieci otwierały swoje świąteczne prezenty, a żona zabrała się do przygotowywania obiadu, ale krótko po jedenastej zadzwonił telefon i przekazano mu wiadomość od Deacona.

- Nie chciał powiedzieć, co to za pilna sprawa - oświadczył dyżurny - i, prawdę mówiąc, nie potraktowałem tego zbyt poważnie. Ale nazwisko Nigela de Vriessa pojawiło się dzisiaj po raz drugi. Policja w Hampshire i w Kent poszukuje go na południu kraju. Zeszłej

nocy niedaleko Dover znaleziono jego rolls-royce'a. Co mam z tym zrobić? Czy chce pan, żebym przekazał numer tego Deacona centrali?

- Nie. Sam się tym zajmę. Zaraz będę na miejscu.

*

- Amanda musiała zrobić coś naprawdę złego, jeśli Billy posunął się tak daleko - odezwał się nagle Terry. - Chodzi o to, że Billy nie pochwałał być może kradzieży i narkotyków, ale nie przejmował się tym specjalnie. Rozumiesz? Świrował dopiero wtedy, gdy chodziło o morderstwo. Wówczas wkładał ręce do ognia i gadał o pokucie. Jak wtedy, gdy Tom ściągnął z gościa płaszcz i facet zamarznął. Billy chodził przez całą noc goły, żeby wziąć winę na siebie. O mało nie umarł. Dał się z powrotem ubrać tylko dlatego, że Tom naprawdę przejął się tym, co zrobił. Myślisz, że zabiła Billy'ego? Że dała mu umrzeć z głodu?

- Nie - odparł Deacon, którego myśli biegły podobnym torem. - Barry ma rację. Nie opowiedziałyby mi o Billym, gdyby bała się tego, co mogę odkryć. Poza tym nie sądzę, żeby Billy martwił się specjalnie swoją śmiercią.

„.....Nie interesuje mnie moje własne zbawienie...”

- Więc czyją?

„...Wciąż szukam prawdy... Tylko miłosierdzie Boga może wydobyć nas z piekła... Wciąż szukam prawdy... Po co w ogóle zstępować do piekła?... Wciąż szukam Verity...”

- Verity? - podsunął Deacon.

Terry potrząsnął przecząco głową.

- Verity popełniła samobójstwo.

„...Pan i ja będziemy sądzeni za to, co zrobiliśmy dla ratowania duszy drugiego człowieka przed wieczną rozpaczą... Dobrze jest cierpieć? Tak, jeśli cierpienie skłania do współczucia. Tylko miłosierdzie Boga może wydobyć nas z piekła... Wciąż szukam Verity...”

- Jamesa?

- Tak. - Terry skinął głową. - Myślę, że Billy widział, jak ta suka zamordowała swojego starego. Wspominał kiedyś, że zanim przyszedł do magazynu, mieszkał w zachodniej części Londynu. Nie zwróciłem na to uwagi. Wtedy to nie miało znaczenia. Ale teraz zaczyna to mieć sens.

- Tak - powiedział Deacon, myśląc o biegu rzeki powyżej Teddington, gdzie jest stały poziom wody, bo śluzy zatrzymują fale przyływu.

Harrison połączył się z nadinspektorem Fortune'em z Hampshire.

- Mamy zeznania, z których wynika, że de Vriess spędził prawdopodobnie sobotnią

noc z kobietą nazwiskiem Amanda Powell, znaną wcześniej jako Amanda Streeter - powiedział. - To żona Jamesa Streetera, który zniknął w 1990 roku z dziesięcioma milionami funtów. Według moich informacji, ona i de Vriess utrzymywali bliskie stosunki od połowy lat osiemdziesiątych.

- Skąd ma pan te informacje?

- Od dziennikarza Michaela Deacona. Zajmuje się sprawą zniknięcia Streetera.

Po drugiej stronie zapadła krótka cisza.

- Dzwonił dziś rano do de Vriessa, podając się za jego współnika. Wysyłamy kogoś, żeby go przesłuchał. Co to za człowiek?

- Podejrzewam, że coś przed nami ukrywa. Wydaje mi się jednak, że pański człowiek powinien najpierw pomówić ze mną. Sytuacja jest dosyć skomplikowana i będzie lepiej, jeśli przesłuchacie Deacona w mojej obecności. Nie tylko on jest zamieszany w tę sprawę. - Harrison streścił krótko rolę, jaką odegrał Barry Grover. - Grover nie stwierdził jednoznacznie, że mężczyzna, którego widział, to de Vriess - zaznaczył. - Ale powiedział nam, że miał znamie na łopatce, a o tym samym wspomina wasz komunikat.

- Gdzie możemy znaleźć Grovera?

- Zatrzymał się u Deacona.

- A co z Amandą Powell? Powiedział pan, że zeszłej nocy była w domu. Dalej tam jest?

- Nie jesteśmy pewni. Od pół godziny mamy tam swój samochód, ale w środku nic się nie dzieje. Poprosiliśmy też policję w Kent, żeby obserwowali dom jej matki w Easeby. Była tam wczoraj przez większą część dnia. Do Londynu wróciła dopiero późnym popołudniem.

- Jak daleko od Dover leży Easeby?

- Jakieś dwadzieścia mil.

- Dobrze. Zjawimy się u pana obaj. - Jednym tchem podyktował numer telefonu. - Zostawiam tę linię do pańskiej dyspozycji. Nie powinno być korków, więc będziemy na miejscu prawdopodobnie między pierwszą a wpół do drugiej.

Kiedy Deacon i Terry wrócili, zastali Barry'ego w znakomitym humorze. Zdany na własne siły, mając przed sobą jasno wytyczony cel, szybko zapanował nad sytuacją, o czym świadczyły zachęcające zapachy wydobywające się z piekarnika. Barry rozpromienił się na ich widok, a Deacona uderzyło, jak bardzo różnił się teraz od nieszczęśnika, który przemierzał codziennie korytarze redakcji „Street”.

- Jesteś genialny - powiedział szczerze, odbierając od Barry'ego kieliszek

schłodzonego białego wina.

- To nie takie trudne, Mike. Przeczytałem kiedyś, że indyka należy przyrządzać w bardzo gorącym piekarniku i właśnie tak postanowiłem zrobić. Najważniejsze, żeby mięso nie wyschło, więc pod skórę wsadziłem trochę nadzienia z boczku i grzybów.

Mówił tym samym nieco protekcjonalnym tonem, którego używał, kiedy rozmawiali o fotografii, i Deaconowi zrobiło się go żal, ponieważ zrozumiał, że Barry czuje satysfakcję jedynie wówczas, gdy może pokazać swoją wyższość. Deacon wolał jednak Barry'ego-pyszalka od Barry'ego-cierpiętnika, dlatego nie powiedział mu, że Lawrence jest Żydem i że boczek może nie przypaść mu do gustu.

- Dla Terry'ego mam dodatkową porcję zapiekanych ziemniaków.

- Ekstra! - zawołał z podziwem chłopak.

- Mam nadzieję, że wybaczysz mi śmiałość, Mike, ale pozwoliłem sobie skorzystać z telefonu, żeby zadzwonić do matki. Pomyślałem, że może się o mnie martwić.

- I co, martwiła się?

Barry nie potrafił ukryć zadowolenia.

- Tak - odparł. - Odchodziła od zmysłów. Trochę mnie to zdziwiło. Kiedy zostają do późna w biurze, nigdy się tym nie przejmuje.

Deacon miał ochotę go ostrzec (Spójrz na to chłodnym okiem... Miłość matek jest zaborcza... Twoja matka boi się zostać sama... Gra na twoich emocjach...), ale doszedł do wniosku, że Barry w dużej mierze zawdzięcza dopiero co odzyskaną pewność siebie rozmowie z matką, dlatego ugryzł się w język.

Terry, którego nie powstrzymywało poczucie taktu ani wrażliwość, wypalił bez ogródek:

- Jezu, co za wredne babsko! Nie kiwnęła nawet palcem, kiedy miałeś kłopoty, a teraz, kiedy pomogli ci kumple, udaje kochaną mamuszkę. Założę się, że wariuje tylko dlatego, że mieszkasz u Mike'a. Mam nadzieję, że kazałeś jej spadać - zakończył surowo.

- Ona nie jest taka zła - wymamrotał Barry.

- Moja matka też pewnie nie - powiedział Terry. - Ale trudno byłoby się tego domyślić po tym, jak mnie potraktowała. Najbardziej podoba mi się mama Mike'a. Jest trochę jędzowata, ale przynajmniej szczerza. - Odwrócił się i poszedł do łazienki.

Deacon patrzył, jak Barry bawi się nerwowo sztucami rozłożonymi na stole.

- Dla niego wszystko jest czarno-białe - powiedział. - Kieruje się pierwszym wrażeniem i wydaje mu się, że ludzie są tacy, na jakich wyglądają.

I, o dziwo, często ma rację, pomyślał Deacon. Telefoniczna rozmowa Terry'ego z

Penelopą była tego najlepszym dowodem. („Dzień dobry, pani Deacon. Wesołych świąt. Wie pani co? Zostaję na jakiś czas z Mike'em. Wiedziałem, że będzie pani zadowolona. No tak, oczywiście, że panią odwiedzimy. Może w następny weekend? Jasna rzecz. Urządzimy sobie razem Sylwestra”. I jego matka, w chwilę później, do niego: „Po raz pierwszy w życiu, Michael, zrobiłeś coś, co pochwalam, ale będę bardzo zawiedziona, jeśli nie staniesz na wysokości zadania. Mam nadzieję, że nie zostawisz tego dziecka samopas przy pierwszej lepszej okazji”).

- Myślisz, że miał rację, kiedy mówił o mojej matce? - zapytał Barry. Od lat nie rozmawiała z nim tak czule i Barry pragnął, żeby Deacon podtrzymał go na duchu.

Ale Deacon nie potrafił zapomnieć o uczuciowym rozdarciu, jakiego doświadczał Barry na posterunku policji, kiedy mówił o swoim lęku i nienawiści do matki, by po chwili rozplakać się na jej wspomnienie. Harrison był tak zaniepokojony dziwnym zachowaniem Barry'ego, że wysłał wóz policyjny, żeby sprawdzić, czy pani Grover jeszcze żyje.

- Nie wiem - odparł szczerze Deacon, kładąc dłoń na ramieniu Barry'ego. - Ale to naturalne, że dzieci muszą wybrać w życiu własną drogę, więc na twoim miejscu przetrzymałbym ją trochę. Jeśli po jednej nocy spędzonej poza domem tak bardzo za tobą tęskni, to za tydzień będzie ci jadła z ręki.

- Nie mam dokąd pójść.

- Możesz tu zostać, dopóki czegoś nie wymyślimy.

Barry odwrócił się, żeby zajrzeć do piekarnika.

- W twoich ustach jest to takie proste - powiedział udreńczonym głosem, otwierając drzwiczki piekarnika i przyglądając się indykowi.

- Bo to jest proste - powiedział pogodnie Deacon. - Na litość boską, jeśli potrafisz znieść Terry'ego, na pewno zniosę i ciebie.

Ale Barry nie chciał „być znoszony”; Barry chciał być kochany.

- Prawdę mówiąc, podejrzewaliśmy raczej, że mamy do czynienia z porwaniem - powiedział nadinspektor Fortune. - Ani żona de Vriessa, ani jego wspólnicy nie wspominali o żadnych kłopotach finansowych, de Vriess nie cierpiał na depresję i, mimo swojej fatalnej reputacji, od maja, a więc od czasu powrotu byłej żony, prowadził się podobno bez zarzutu. Oczywiście nie można przywiązywać przesadnej wagi do słów jego małżonki, bo nie sądzę, żeby de Vriess informował ją na bieżąco o swoich romansach, niemniej jednak jest ona absolutnie przekonana, że w ciągu ostatnich siedmiu miesięcy ani razu nie spotkał się z Amandą Powell.

- Aż do soboty - wtrącił Harrison. - Co do siedmimiesięcznej abstinencji jego żona ma prawdopodobnie rację. To nie tak długo, jeśli rzeczywiście chciał się z nią pogodzić.

- Więc dlaczego złamał się w sobotę?

Harrison pokręcił głową.

- Nie wiem. Może zaczęli panikować, kiedy Michael Deacon wpadł tam w czwartek w nocy?

- Niepokoi mnie rozpiętość czasowa - powiedział nadinspektor. - Według policji z Kent rolls-royce'a stojącego w polu zauważono po raz pierwszy wczoraj w porze lunchu, ale farmer nie zareagował, ponieważ doszedł do wniosku, że to jakaś para zakochanych. Zawiadomił policję dopiero wtedy, gdy zorientował się, że mimo zmierzchu samochód dalej stoi w tym samym miejscu. Poszedł sprawdzić i stwierdził, że drzwi były otwarte, a samochód pusty. Panią Powell poinformowano o szczegółach dotyczących zatrzymania Barry'ego Grovera dopiero około piątej po południu, więc nie da się połączyć ze sobą obu tych zdarzeń. Mówiąc krótko, Nigel zniknął kilka godzin w c z e ś n i e j , zanim cokolwiek wskazywało, że powinien to uczynić.

- Zakładając, że byli w zмовie i wspólnie zaplanowali zabójstwo jej męża w 1990 roku?

- Właśnie. A nie ma żadnych dowodów, że to zrobili. - Fortune zastanowił się przez chwilę. - Mówiąc szczerze, panowie, nie bardzo wiem, do czego zmierzamy. Przed rozmową z sierżantem Harrisonem miałem mężczyznę, który zniknął dwa dni wcześniej, i porzuconego w polu rolls-royce'a. Teraz słyszę o jego byłej kochance, z którą widział się trzydzieści sześć godzin temu, a jedyny motyw, jaki mógłby go skłonić do ucieczki lub ją do pozbycia się kochanka (tej możliwości nie należy, jak sądzę, wykluczać), został zakwestionowany, ponieważ samochód porzucono za wcześnie. Nie sądzę, aby w tej sytuacji wskazane było podejmowanie jakichkolwiek radykalnych kroków. Na dobrą sprawę nie wiemy nawet, czy w ogóle popełniono jakieś przestępstwo.

- Zostaje jeszcze Michael Deacon - powiedział Harrison.

- Tak - potwierdził Fortune. - I dom Amandy Powell. Sądzę, że ze względu na dobro pana de Vriessa powinniśmy dostać się do środka, biorąc pod uwagę, że było to ostatnie miejsce, w którym widziano go żywego.

Lawrence przyjechał tak obładowany prezentami, że o własnych siłach nie był w stanie pokonać trzech kondygnacji schodów.

- Ajajaj - westchnął, ściskając mocno dłoń Deacona i opadając na kanapę. - Lata robią swoje. Sam nie dałbym rady.

- To samo mówiłem Mike'owi - powiedział Terry, pomijając milczeniem, że odmówił podtrzymywania Lawrence'a na schodach, bojąc się, żeby „stary cieplak nie próbował się do niego dobierać”. - Możemy je otworzyć? - dopytywał się niecierpliwie, pokazując na prezenty. - Tylko że nie mamy nic dla ciebie.

Staruszek uśmiechnął się pogodnie.

- Zaprosiliście mnie na świąteczny obiad. Czegóż więcej miałbym chcieć? Czy mógłbyś jednak przedstawić mnie najpierw Barry'emu? Tak bardzo chciałem go poznać.

- Pewnie. - Terry chwycił Barry'ego za ramię i pociągnął go do przodu. - To mój kumpel, Barry, a to mój drugi kumpel, Lawrence. Na pewno się polubicie, bo obaj jesteście naszymi kumplami.

Lawrence, który przyjął tę naiwną prezentację bez zmrużenia oka, ujął wyciągniętą dłoń Barry'ego i potrząsnął nią z zapalem.

- To dla mnie wielka przyjemność. Mike mówił mi, że jest pan ekspertem w dziedzinie fotografii. Naprawdę, zazdroszczę panu, mój drogi. Oko artysty to bezcenny dar.

Deacon odwrócił się z uśmiechem, kiedy na twarzy Barry'ego pojawił się obowiązkowy rumieniec. Sekret Lawrence'a polegał na tym, że wszystko, co mówił, brzmiało szczerze, choć nie sposób było stwierdzić, czy rzeczywiście mówił to, co myślał.

- Napijesz się whisky, Lawrence? - zapytał Deacon, wychodząc do kuchni.

- Chętnie - Lawrence poklepał miejsce obok siebie. - Usiądź obok mnie, Barry, a Terry powie mi w tym czasie, kto tak wspaniale przystroił mieszkanie.

- Ja - powiedział Terry. - Ładnie, prawda? Szkoda, że nie widziałeś, jak tu było przedtem. Nieprzyjemnie. Szaro. Wiesz, o co mi chodzi?

- Brakowało domowej atmosfery? - podsunął staruszek.

- Właśnie.

Lawrence spojrzał w kierunku kominka, na którym Terry ustawił swoje „dzieła sztuki” przyniesione z magazynu. Była tam mała gipsowa kopia Big Bena, muszla morska i pstrokato pomalowany ogrodowy krasnal siedzący w kucki na muchomorze. Lawrence nie podejrzewał Deacona o zamiłowanie do tego rodzaju drobiazgów i słusznie skojarzył je z Terryem.

- Gratuluję. Teraz jest tu bardzo przytulnie. Szczególnie podoba mi się ten krasnal - powiedział, posyłając figlarne spojrzenie Deaconowi, który wrócił właśnie z kuchni, niosąc drinki.

- Cieszę się, że to powiedziałaś - mruknął Deacon, stawiając przed Lawrence'em jego szklanekę i biorąc do ręki swoją. - Łamałem sobie głowę nad prezentem dla ciebie, a zapomnieliśmy przecież o krasnalu. Prawda, Terry?

- Mike go nie znosi - wyznał chłopiec, ściągnając krasnała z kominka. - Może dlatego, że zwinąłem go komuś z ogrodu. Proszę, Lawrence, jest twój. Wesołych świąt, stary.

Deacon uśmiechnął się złośliwie.

- Jeśli masz w salonie kominek, będzie pasował jak znalazł. Jak mówi Terry, mieszkanie trzeba trochę ożywić. - Uniósł szklanke, pijąc zdrowie gości.

Lawrence ustawił krasnała na stole.

- Jestem zakłopotany waszą wielkodusznością - powiedział. - Najpierw przyjęcie, teraz prezent. Chyba na to nie zasłużyłem. W porównaniu z tym wszystkim moje prezenty wyglądają tak skromnie.

Deacon ściągnął usta. Miał nieprzyjemne przeczucie, że stary lis za chwilę ich zawstydzi.

- Możemy je już otworzyć? - zapytał Terry.

- Oczywiście. Twój jest największy, w czerwonym papierze dla Barry'ego, a w zielonym dla Michaela.

Terry podał Deaconowi i Barry'emu ich pakunki i rozerwał papier, w który zawinięty był jego prezent.

- O w mordę! - zawołał osłupiały. - Co ty na to, Mike? - Terry trzymał w ręce wytartą skórzaną kurtkę lotniczą z futrzanym kołnierzem i emblematami RAF-u naszytymi na piersiach. - Na Covent Garden takie coś kosztuje majątek.

Deacon zmarszczył brwi, kiedy chłopak wsunął ręce w rękawy kurtki i spojrzał na staruszkę pytającym wzrokiem, jakby upewniał się, czy ten wie, co robi. Lawrence skinął głową.

- Takiej kurtki nie znalazłbyś na Covent Garden - powiedział Deacon. - To oryginał. Na czym latałeś? - zapytał. - Na spitfire'ach?

Lawrence przytaknął raz jeszcze.

- Ale to było dawno, a kurtka szukała nowego właściciela od lat. - Spojrzał na Barry'ego, który trzymał swoją paczkę na kolanach i przebierał po niej palcami. - Nie otworzysz, Barry?

- Nie spodziewałem się prezentu - odparł onieśmielony.

- A więc to podwójna niespodzianka. Proszę. Nie trzymaj mnie dłużej w napięciu. Chcę wiedzieć, czy ci się spodoba.

Barry z typową dla siebie pedanterią oderwał taśmę klejącą i ostrożnie rozchylił papier, odsłaniając aparat fotograficzny marki Brownie, zabezpieczony kilkoma warstwami miękkiej bibuły.

- To przedwojenny aparat - wykrztusił osłupiały Barry, z nadzwyczajną delikatnością obracając go w dłoniach. - Nie mogę tego przyjąć.

- Ależ musisz. Ktoś, kto potrafi określić wiek aparatu na podstawie jednego spojrzenia, z pewnością zasługuje na to, by go posiadać.

Lawrence obrócił się w stronę Deacona.

- Teraz twoja kolej, Michael.

- Jestem równie zakłopotany jak Barry.

- A ja jestem z a c h w y c o n y moim krasnalem. - W jego oczach pojawił się figlarny błysk. - I zrobię dokładnie tak, jak mi poradziłeś. Postawię go na kominku w salonie. Będzie świetnie pasował do mojej kolekcji miśnieńskiej porcelany.

Deacon z trudem powstrzymał śmiech i odpakował swój prezent. Nie wiedział, czy powinien poczuć ulgę czy przerażenie, bo choć prezent nie przedstawiał żadnej wartości materialnej, jego wartość sentymentalna była bez wątpienia ogromna. Deacon trzymał w rękach zapisany drobnym pismem pamiętnik, obejmujący wiele lat życia Lawrence'a.

- To dla mnie zaszczyt - powiedział po prostu - ale wolałbym, żebyś zapisał mi to w testamencie jako pamiątkę po sobie.

- Wtedy nie miałbym z tego żadnego pożytku. Zależy mi na tym, żebyś przeczytał to teraz, kiedy jeszcze żyję, bo chcę mieć kogoś, z kim mógłbym czasem powspominać. Jak widzisz, Michael, wybierając prezent, kierowałem się wyłącznie własnym egoizmem.

Deacon pokręcił głową.

- Oddałem ci duszę, stary draniu. Czego jeszcze chcesz?

Lawrence wyciągnął do niego kruchą dłoń.

- Syna, który zmówi kadysz za moją duszę.

*

Fetor zgnilizny, jaki buchnął z wnętrza domu Amandy Powell, był tak intensywny, że policjanci, którzy wyważali drzwi, odruchowo cofnęli się kilka kroków. Zapach był tak silny i tak obrzydliwy, że wwierał się w nozdrza i wywoływał torsje. Cały dom wydawał się przesiąknięty odorem rozkładu.

Nadinspektor Fortune przytknął do ust chusteczkę i obrócił się wściekły w kierunku Harrisona.

- Ma mnie pan za idiotę? Nie mógł pan tego nie poczuć, jeśli był pan tu wczoraj wieczorem.

Harrison zgiął się w pół, próbując zapanować nad mdłościami.

- Była ze mną koleżanka - wymamrotał. - Poprosiłem ją, żeby została z panią Powell, kiedy rozmawiałem z Deaconem. Niech mi pan wierzy, ona też niczego nie poczuła.

- Jakby trochę zelżało, sir - powiedział partner Fortune'a z Hampshire, ostrożnie zbliżając się do drzwi. - Widocznie przeciąg wywiewa to na zewnątrz. - Niepewnym ruchem głowy wskazał w stronę hallu. - Zdaje się, że wewnętrzne drzwi do garażu są otwarte.

Pozostali nie zareagowali od razu. Wszyscy bez wyjątku bali się widoku, który miał ukazać się ich oczom, wiedzieli bowiem, że to nie piękno zostało obdarzone przez naturę zapachem śmierci. Spodziewali się rzeki krwi i śladów brutalnej rzezi.

Gdy jednak zdobyli się w końcu na odwagę, by wejść do domu i zajrzeć do garażu, znaleźli w nim tylko jedno nagie ciało, nietknięte rozkładem, oparte o stertę nie rozpakowanych worków z cementem i patrzące w ich stronę martwymi, szeroko otwartymi oczami. I choć nikt nie powiedział tego głośno, wszyscy zastanawiali się, jakim cudem chłodne i nienaruszone zwłoki mogły wydawać tak ohydny fetor zgnilizny.

ROZDZIAŁ 20

- Zaczynam żałować, że w ogóle pana spotkałem - oświadczył sierżant Harrison, przekraczając próg mieszkania Deacona i przedstawiając swojego towarzysza. - Nadinspektor Fortune z policji w Hampshire.

- Prosiłem, żeby pan do mnie zadzwonił.

- Zdarzenia trochę nas przerosły - odparł lakonicznie Harrison.

Kiedy Deacon spojrział na ich posępne oblicza, zdjął z głowy papierowy kapelusik i wcisnął go do kieszeni. Proste przyjemności: lekki rausz, pieczony indyk przyrządzony przez Barry'ego i opowiadanie starych dowcipów zbladły w obliczu urzędowej powagi policjantów.

- Czy coś się stało?

Nadinspektor, szczupły mężczyzna o nieco władczym wyglądzie i przenikliwym chłodnym spojrzeniu, wykonał zachęcający gest w kierunku Deacona.

- Może porozmawiamy o tym w środku, jeśli nie ma pan nic przeciwko temu.

Deacon wzruszył ramionami, wprowadził ich do pokoju i przedstawił swoim gościom.

- Skoro jest pan z Hampshire - powiedział do Fortune'a, siadając ponownie na swoim miejscu - to sprawa musi dotyczyć Nigela de Vriessa.

- Co pan o nim wie? - zapytał nadinspektor.

- Bardzo niewiele.

- Więc dlaczego dzwonił pan do niego dziś rano?

Deacon spojrział na Terry'ego, zastanawiając się, czy chłopiec potrafi trzymać język za zębami. „Zaufaj mi” wydawał się mówić jego rozbijającą niewinny wyraz twarzy.

- Przyszło mi na myśl, że mężczyzną, który majstrował przy drzwiach garażu pani Powell, i którego zauważyli jej sąsiedzi, mógł być Nigel, więc postanowiłem sprawdzić, czy dotarł już do domu. - Deacon potarł palcem nos. - Najwidoczniej nie dotarł.

- Później zostawił pan wiadomość w komisariacie, że chce się pan ze mną skontaktować w pilnej sprawie dotyczącej Amandy i Nigela - powiedział Harrison. - O co chodziło?

Deacon zerknął na zegarek.

- Jest po trzeciej. Sprawa przestała być pilna. - Dostrzegł wyraz zniecierpliwienia na twarzy Harrisona i lekko tym rozbawiony przedstawił mu swoją teorię, zgodnie z którą

Amanda i Nigel uciekli, gdy dowiedzieli się o tym, że Barry widział ich razem. - Podjechaliśmy dziś rano z Terryem pod jej dom - wyjaśnił. - Wydawał się pusty, a na podjeździe nie było samochodu. Pomyślałem, że warto byłoby przekazać panu tę informację, ale dyżurny policjant nie chciał panu przeszkadzać.

- Mamy tu chyba jakąś epidemię - powiedział Harrison. - Najpierw znikną James, potem Amanda i Nigel. Czy mówi pan to serio, panie Deacon?

Terry uśmiechnął się szeroko.

- Mówiłem ci, że wyjdiesz na głupka.

Deacon zaproponował policjantom drinka, ale ci odmówili.

- Przepraszam, że niepotrzebnie zabrałem panom czas - powiedział, napełniając szklanki pozostałym. - To dlatego, że od paru tygodni zajmuję się bez przerwy zaginionymi osobami.

- Ma pan na myśli Jamesa Streetera.

- Między innymi.

Lawrence poruszył się niecierpliwie.

- Wątpię, czy bylibyście tutaj, panowie, gdybyście wiedzieli, gdzie przebywają teraz Amanda i Nigel. Czy zatem udzielicie nam jakichś wyjaśnień, czy też będziecie nas trzymać w nieświadomości? Chciałbym też dodać, że uważam za nieco niesprawiedliwe, że lekceważycie koncepcję Michaela, skoro nie posiadacie własnej.

Policjanci wymienili spojrzenia.

- Myślę, że jednak się napiję - powiedział niespodziewanie nadinspektor. - Zapieprzam bez przerwy od dwudziestu czterech godzin.

Harrisonowi wyraźnie ulżyło, Deacon nie potrafił jednak powiedzieć, czy stało się tak dlatego, że sam miał ochotę na drinka, czy też dlatego, że jego kolega okazał słabość.

- W takim razie i ja nie odmówię.

Poprosili o piwo i podczas gdy Terry napełniał ich szklanki, Fortune przedstawił w skrócie przebieg wypadków, które sprowadziły go do Londynu.

- Kilkadziesiąt minut temu zdecydowaliśmy się wejść do domu Amandy Powell. - Przerwał, żeby napić się ze szklanki, którą wręczył mu Terry. - W kącie garażu znaleźliśmy martwego Nigela de Vriessa - oświadczył bez ogródek. - Był nagi, a przyczyną śmierci było prawdopodobnie uderzenie w tył głowy. Według naszych wstępnych szacunków de Vriess zmarł mniej więcej trzydzieści sześć godzin temu, przypuszczalnie w jakiś czas po tym, jak pan Grover widział go w salonie.

Zapadła długa cisza.

Deacon zastanawiał się, jak zareagowałoby, gdyby przyznał, że zeszłej nocy odwiedził Amandę w jej domu. Podejrzał, że teorie o ślepym przeznaczeniu mogłyby nie znaleźć uznania w oczach policyjnych tuzów Londynu i Hampshire, zwłaszcza że Harrison miał już wcześniej wątpliwości, co do natury związków łączących jego i Barry'ego z tą przekłętą kobietą. Przypomniał sobie jej bladość i sposób, w jaki śledziła każdy jego ruch. Bała się, że przypadkiem natknie się na ciało? Jak blisko obok niego przeszedł? I jak, na litość boską, mogła być tak spokojna i opanowana, jeśli ciało jej martwego kochanka leżało ukryte w domu?

Obracał nóżkę swojego kieliszka między kciukiem a palcem wskazującym, przesuwając go powolnym okrężnym ruchem po obrusie.

- Jeśli miała w domu martwe ciało, dziwię się, że przyszła do pana w sprawie Barry'ego - powiedział do Harrisona. - Jest albo bardzo wyrachowana, albo bardzo głupia.

- Wyrachowana - powiedział Harrison, przypominając sobie spokój, z jakim Amanda przyjęła ich poprzedniego dnia. - Myślę, że przed podjęciem decyzji chciała się dowiedzieć, jak wiele powiedział nam Barry. Z początku zamierzała pewnie porzucić samochód de Vriessa w Dover, a następnie pozbyć się ciała, uciekła jednak, kiedy zrozumiała, że nie zdoła podważyć zeznania Barry'ego. - Przerwał. - Mam jednak nadal pewien kłopot natury logistycznej. Kto odprowadził rolls-royce'a do Kent, skoro jego właściciel leżał martwy w garażu w Londynie?

Nikt nie udzielił odpowiedzi.

- Jeśli zrobiła to Amanda - ciągnął Harrison - jakim cudem zdołała wrócić tak prędko, że o dziewiątej rano rozmawiali z nią sąsiedzi i widzieli, jak wyjeżdża, żeby spędzić święta z matką? Z pewnością nie mogła zrobić tego po swoim wyjeździe, bo o dwunastej, kiedy policja z Kent zawiadomiła ją o aresztowaniu Barry'ego, była już u matki. To zbyt mało czasu, żeby przesiąść się do rollsa, odstawić go do Dover i wrócić po swoje BMW.

- Mogła wyjechać z domu o trzeciej w nocy i złapać w Dover poranny pociąg do Londynu - zauważył Deacon. - Wróciłyby wtedy przed dziewiątą.

Sierżant potrząsnął przecząco głową.

- Pierwszy pociąg w niedzielę przyjeżdża na Waterloo dopiero po dziewiątej.

- Mogła złapać okazję.

- Nad ranem w Wigilię Bożego Narodzenia? Po ciemku? Ktoś podwiózł ją pod same drzwi, żeby zdążyła pokazać się sąsiadom świeża i uczesana?

Lawrence przyglądał mu się uważnie.

- A jak brzmi pańska teoria, sierżancie?

- Uważamy, że ktoś jeszcze był w to zamieszany. Naturalnie to tylko przypuszczenie, ale założmy, że de Vriess został uderzony w tył głowy w trakcie odbywania stosunku z Amandą, co wyjaśniałoby, dlaczego był nagi. Założmy dalej, że to jej współnik odwiózł rolls-royce'a de Vriessa z miejsca, w którym tamten go zostawił, do Dover. De Vriess z pewnością nie zaparkował pod domem Amandy, bo gdyby tak było, sąsiedzi zauważyliby auto. Przyzna pan, jak sądzę, że w świetle tego, czym dysponujemy, to bardziej prawdopodobna wersja wypadków.

Lawrence uśmiechnął się.

- Jestem prawnikiem, drogi panie, więc nie może pan oczekiwać, że zadowolę się czymś takim. Równie prawdopodobna wersja wypadków zakłada, że de Vriess był tak zaabsorbowany spotkaniem z Amandą, że zapomniał zamknąć samochód i ktoś postanowił się nim przejechać. W tym czasie, po spędzeniu przyjemnych chwil na podłodze salonu, de Vriess brał prysznic, poślizgnął się na mokrych kafelkach i zabił się przez przypadek. Amanda, przerażona tym, co się stało, ukryła ciało w garażu i zniknęła z miasta, żeby wszystko przemyśleć. Czy dysponuje pan dowodami, które podważałyby moją wersję wypadków?

Obaj policjanci spojrzeli na Barry'ego.

- Może pan Grover będzie mógł nam pomóc - zasugerował nadinspektor Fortune. - Jak długo obserwował pan to, co działo się w pokoju?

Barry patrzył na swoje ręce.

- Niedługo.

- Odszedł pan, zanim skończyli?

Barry skinął głową.

- Jest pan tego pewien? Większość osób w pańskiej sytuacji poczekalaby do końca. Nikt pana nie widział. Natknął się pan na to przez przypadek. Przyznał pan, że było to podniecające. Do tego stopnia - Fortune rzucił okiem na pozostałą trójkę, jakby chciał sprawdzić, czy mówi dostatecznie obrazowo - że po kilku godzinach poszedł pan tam po raz drugi. Dlaczego nie został pan dłużej?

Barry obliznął usta.

- Myślałem, że mnie zauważyła. Mężczyzna nagle wstał i zasłonił okno.

Fortune pokazał mu zdjęcie Nigela de Vriessa.

- Czy to ten mężczyzna?

- Tak.

- Dlaczego pomyślał pan, że Amanda pana zauważyła?

- Bo tamten wstał zaraz po tym, jak kobieta spojrzała w stronę okna.

- Czy w pokoju był ktoś jeszcze?

Barry potrząsnął przecząco głową.

- Czy zaglądał pan w inne okna?

- Nie. Bałem się, że ktoś mnie nakryje. Poszedłem prosto do głównej ulicy i złapałem taksówkę.

- Tak bardzo się znowu nie bałeś - wtrącił bez ogródek Harrison - skoro wróciłeś tam po ośmiu godzinach.

- Zostawił tam kopertę ze zdjęciami - zauważył przytomnie Deacon. - Dlatego wrócił.

- Spojrzał uważnie na Barry'ego. - Amanda jeździ czarnym BMW, które parkuje zawsze na podjeździe. Czy tamtej nocy auto tam stało?

Barry ponownie potrząsnął głową.

- A więc było to zaplanowane zabójstwo i nie potrzebowała współnika - stwierdził z przekonaniem Deacon. - Pojechała do Dover dwukrotnie. Po raz pierwszy w sobotę własnym samochodem. Zostawiła go w Dover i wróciła do Londynu pociągiem. Po raz drugi wczesnym rankiem w niedzielę rolls-royce'em. Wróciła swoim BMW. - Wyciągnął z paczki papierosa, zastanawiając się, czy sześć lat temu wykonała tę samą trasę. - Interesujące jest to, co zamierzała zrobić z ciałem Nigela. - Przytknął płomień zapalniczki do papierosa. - Musiała być bardzo pewna swojej kryjówki, bo inaczej nie zostawiałaby samochodu w pobliżu portu.

Nadinspektor przyglądał mu się uważnie.

- Kłopot w tym, że sąsiedzi pani Powell twierdzą, że jej samochód stał pod domem przez całą sobotę.

Deacon wzruszył ramionami.

- Jeśli Barry mówi, że go tam nie było, to znaczy, że go nie było.

- Wygląda, jakby chcieli go zrobić w to zabójstwo - powiedział napastliwie Terry i trącił łokciem Lawrence'a. - Nie pozwól im zadawać takich pytań. Nie przeczytali mu nawet jego praw.

- Och, Terry, myślę, że jesteś niesprawiedliwy wobec naszych przyjaciół z policji. Wiedzą tak samo dobrze jak my, że gdyby Barry rzeczywiście zabił tego mężczyznę, nie powiedzieliby im o tym, że widział go w domu Amandy. - Lawrence lekko zmarszczył brwi. - Jest pewien kłopot, prawda? Jeśli założymy, że Nigel został zamordowany, musimy też przyjąć, że Amanda miała w tym swój udział. A jest przecież taką piękną młodą kobietą.

- Zna ją pan?

- Widziałem ją raz czy dwa. Jesteśmy dalekimi sąsiadami, a ja, co potwierdzi Michael,

lubię siadywać nad rzeką i przyglądać się ludziom.

- Proszę mówić dalej - zachęcił Fortune, kiedy Lawrence zamilkł.

- Wybaczcie mi, panowie. Zastanawiałem się nad tym, jak głęboki poziom deprawacji można ukryć przed innymi ludźmi. Bo jeśli Michael ma rację, znaczyłoby to, że pani Powell nakłoniła Nigela do stosunku, aby ułatwić sobie zabójstwo, co rzeczywiście świadczyłoby o jej głębokiej deprawacji. - Uśmiechnął się nieco melancholijnie. - A ja na ogół wolę dobrze myśleć o ludziach.

Nadinspektor uśmiechnął się grzecznie, skrywając w ten sposób swoje zniecierpliwienie.

- Z doświadczenia wiem, że nie istnieje związek między wyglądem a zachowaniem człowieka.

- Normalnie przyznałbym panu rację. - Lawrence wyjął z rąk Barry'ego zdjęcie Nigela de Vriessa i przyjrzał mu się uważnie. - Bezwzględna twarz, nieprawdaż? Poza tym był człowiekiem bardzo aroganckim, a arogancja jest niebezpieczną cechą. Mogę powiedzieć z pełną odpowiedzialnością, że Nigel de Vriess był jednym z najohydniejszych produktów współczesnej cywilizacji.

- Znal go pan?

- W pewnym sensie. Jeden z moich młodszych kolegów przez siedem lat prowadził jego sprawę. - Zastukał palcem w zdjęcie. - Odmówił dalszego reprezentowania de Vriessa, kiedy jego klient kazał mu kupić milczenie pewnej młodej kobiety, która została nieomal zakatowana na śmierć w trakcie stosunku seksualnego. De Vriess wycenił jej fizyczne i psychiczne zdrowie na dziesięć tysięcy funtów, ale mój kolega był tak zszokowany jej obrażeniami, że zerwał z nim wszelkie kontakty zawodowe. Nazwał de Vriessa psychopatą i wszystko, co kiedykolwiek czytałem lub słyszałem na jego temat, utwierdza mnie w przekonaniu, że miał rację. Społeczeństwo nie powinno pozwolić, żeby taki człowiek stał się bogaty. Kiedy pieniądze trafiają w niewłaściwe ręce, wówczas sprawiedliwość, ta opoka, na której wspiera się nasza demokracja, zostaje narażona na korupcję.

Deacon patrzył zamyślony na swojego starszego przyjaciela.

- Nie jestem pewien, czy rozumiem, do czego pan zmierza - powiedział Fortune.

Lawrence wyglądał na zaskoczonego.

- Przepraszam. Wydawało mi się, że to oczywiste. Widzi pan, chodzi o to, że łatwiej przychodzi mi uwierzyć w deprawację de Vriessa niż pani Powell.

- Ale to de Vriess, a nie jego przyjaciółka, nie żyje.

Barry odchrząknął nerwowo.

- Ona wcale nie wyglądała na zadowoloną - wyznał. - Ten mężczyzna najpierw ciągnął ją za włosy po pokoju, a potem położył na brzuchu na stoliku i... - Barry zająknął się i zamilkł. - Wydaje mi się, że ją zgwałcił - dodał szeptem.

Pięć par oczu obróciło się w jego kierunku.

- Dlaczego, do cholery, nie powiedziałeś nam o tym wczoraj? - wybuchnął Harrison.

Barry wyglądał na przerażonego.

- Nie pytał go pan o to - zauważył Deacon. Ale, na Boga, to w znacznym stopniu tłumaczyło dziwne zachowanie Barry'ego w ciągu ostatnich dwudziestu czterech godzin. Nic dziwnego, że tak dokładnie potrafił opisać brutalnego, dominującego mężczyznę.

Daily Express

27.12.95

Z ostatniej chwili. Dziś po południu policja zdecydowała się ujawnić nazwisko i twarz kobiety, którą pragnie przesłuchać w związku z tajemniczym zniknięciem przedsiębiorcy Nigela de Vriessa, którego rolls-royce'a znaleziono porzuconego w Dover. Policja poszukuje Amandy Powell, znanej wcześniej jako Amanda Streeter, zamieszkałej w Thamesbank Estate, Londyn E14. Podejrzewa się, że kobieta ukrywa się gdzieś na terenie kraju.

Daily Express

30.12.95

Z ostatniej chwili. Dzięki pomocy okolicznych mieszkańców policja zatrzymała Amandę Powell-Streeter i oskarżyła ją o zamordowanie swojego byłego kochanka, Nigela de Vriessa. Kobieta ukrywała się w Sway w New Forest, które leży zaledwie 40 mil od domu de Vriessa w Andover. Sąsiedzi twierdzą, że często spędzała tam weekendy. Jej londyńscy sąsiedzi i koledzy z pracy są, jak twierdzą, „zszokowani” jej aresztowaniem. „Jest miłą kobietą - powiedział jeden z nich. - Nie wierzę, by kogoś zamordowała”.

Wiadomość telefoniczna

Od: Detektyw sierżant Greg Harrison Dnia: 3.01.96

Dla: Michael Deacon (pokój 104)

Odebrała: Mary Petty

Greg Harrison ma dość twoich telefonów. Twierdzi, że rozmawia z tobą częściej niż ze swoją żoną, a kocha ją, a nie ciebie!

Amanda Powell została oskarżona o morderstwo i przebywa w areszcie śledczym w Holloway. Nie, nie możesz się z nią zobaczyć, ponieważ będziecie prawdopodobnie z Barrym zeznawać jako świadkowie podczas jej procesu. Tak czy owak, rozmowa z nią byłaby stratą czasu, ponieważ wszystko, co miała do powiedzenia policji na temat zniknięcia Jamesa, powiedziała już prawie sześć lat temu. Weekend 27-29 kwietnia 1990 spędziła z matką w Kent, i jej matka to potwierdza. Jej alibi zadowalało oficerów śledczych wtedy i zadowala ich także teraz. Nie ma sensu, by bez dodatkowych dowodów marnować pieniądze podatników na przeszukiwanie dna Tamizy w Teddington.

Jeśli chodzi o zabójstwo de Vriessa (na litość boską, nie powołuj się na Grega, bo postępowanie nie jest jeszcze zakończone i mogą go zwolnić za udzielanie poufnych informacji - prosił, żebym to podkreśliła), to Amanda potwierdza słowa Fiony Grayson. Od miesięcy nie utrzymywała kontaktów z Nigelem. Amanda twierdzi, że spotkała go przypadkiem w sobotę przed południem w Knightsbridge (najwidoczniej oboje robili tam świąteczne zakupy), on bardzo chciał znowu się z nią zobaczyć i dwanaście godzin później wtargnął do jej domu, żeby ją zgwałcić. Zeznanie Barry'ego to potwierdza. Gdy w końcu się uwolniła, uderzyła go w twarz, a on upadł i uderzył głową w mosiężny odbój drzwiowy. Wyniki obdukcji (zadrapania i siniaki na klatce piersiowej de Vriessa / ślady krwi na odboju) potwierdzają jej wersję. Cały czas szukają świadków, którzy w sobotę w Dover mogli widzieć jej BMW, ale jak dotąd nie znaleźli nikogo. Sąsiedzi nadal utrzymują, że samochód stał zaparkowany na podjeździe (choć nie są już tego tak pewni jak poprzednio, bo, jak twierdzą, przywykli do tego, że Amanda zawsze go tam zostawiała).

Amanda nie zawiadomiła policji, bo wpadła w panikę. Mówi, że od razu przyszło jej na myśl, że musi pozbyć się rolls-royce'a Nigela, więc zawiozła go do Dover, miasta, które dobrze знаła, ponieważ jej matka mieszka zaledwie 20 kilometrów dalej. Przyznaje, że to śmieszne, iż pozbycie się samochodu uznała za ważniejsze od pozbycia się ciała, ale była oszołomiona i przerażona tym, co się wydarzyło. Z Dover podwiózł ją kierowca francuskiej

ciężarówki. W domu była o 8.30.

W tej chwili nie sposób podważyć jej zeznań, ale Greg cały czas nad tym pracuje.

W przyszłości proszę porozumiewać się za pośrednictwem faksu. Policjanci nie mają czasu, żeby godzinami rozmawiać przez telefon.

ROZDZIAŁ 21

Deacon zadzwonił ponownie do Edynburga.

- Mówi Michael Deacon - przedstawił się, gdy John Streeter odebrał telefon. - Pewnie czytał pan o tym, że pańska szwagierka została oskarżona o zabójstwo Nigela de Vriessa.

- Tak.

- Czy domyśla się pan, dlaczego to zrobiła?

- Nie mam pojęcia. Rozmawiałem z nią w piątek przed świętami, proponując rozejm.

Była zaskakująco ugodowa.

- Jaki znów rozejm?

Zapadła krótka cisza.

- Zrobiłem tak, jak pan radził - odparł wreszcie. - Powiedziałem, że jej wierzymy i poprosiłem, żeby użyła swoich wpływów i przekonała de Vriessa, aby udostępnił nam dane personalne pracowników DVS, co mogłoby nam pomóc w dotarciu do Marianne Filbert. Zgodziła się i poprosiła, żebym zadzwonił po Nowym Roku.

- Czy sprawiała wrażenie zaniepokojonej tą propozycją?

- Była nią raczej zaskoczona. Zapytała, dlaczego uwierzyliśmy jej teraz, skoro nie wierzyliśmy wcześniej, a ja odparłem, że zainteresował się pan historią Jamesa i przekonał nas do tego, abyśmy działali wspólnie z nią, a nie przeciwko niej.

- Co panu odpowiedziała?

- O ile pamiętam, powiedziała, że żałuje, że nie zainteresował się pan tą sprawą pięć lat temu, bo od tego czasu wiele wody upłynęło w rzece.

- Zapytał ją pan, co miała na myśli?

- Nie. Sądzę, że chodziło jej o to, że gdyby prawda od razu wyszła na jaw, oszczędziłoby to nam wszystkim wielu cierpień.

- Powiedziała coś jeszcze?

- Nie. Złożyliśmy sobie życzenia i skończyliśmy rozmowę. - Streeter znowu zamilkł. -

Czy policja przesłuchiwała ją ponownie w sprawie Jamesa?

- Tak. Ale podtrzymuje swoje zeznania. Nadal twierdzi, że nie wie, co się z nim stało.

Mężczyzna westchnął.

- Mam nadzieję, że będzie nas pan informował.

- Oczywiście. Do widzenia, panie Streeter.

Deacon przekonał Lawrence'a, żeby porozmawiał ze swoim kolegą na temat kobiety, której de Vriess zaoferował dziesięć tysięcy funtów za milczenie, dając staruszkowi słowo honoru, że nie wspomni o niej ani słowem w swoim artykule.

- Chcę tylko wiedzieć - powiedział - czy zawiadomiła policję, a jeśli nie, to dlaczego.

Lawrence zmarszczył brwi.

- Myślę, że skusiły ją pieniądze.

- Jak to się stało, że Nigel miał czas, żeby pójść z tym do adwokata? Większość kobiet dzwoni na policję natychmiast po wyjściu napastnika i nie zostawia mu czasu na zasięgnięcie porady prawnej. Te dziesięć tysięcy wygląda mi raczej na odprawę.

Lawrence oddzwonił z odpowiedzią kilka dni później.

- Miałeś rację, Michael. To było coś w rodzaju odprawy, a kobieta nie zgłosiła zdarzenia policji. Biedaczka od jakiegoś czasu była maltretowana, co skończyło się ciężkimi obrażeniami, które widział mój kolega. Prawdę mówiąc, zachęcał ją do wniesienia sprawy - Lawrence radośnie zachichotał - co, muszę przyznać, było trochę nieetyczne, bo wciąż jeszcze reprezentował wtedy de Vriessa, ale kobieta była zbyt przestraszona.

- Bała się de Vriessa?

- I tak, i nie. Nie chciała ujawniać żadnych szczegółów, ale mój kolega sądzi, że de Vriess ją szantażował. Była maklerem giełdowym i prawdopodobnie przy zakupie akcji korzystała z niejawnych informacji, o czym dowiedział się de Vriess.

- Dlaczego przestał ją szantażować? Dlaczego jej zapłacił?

- De Vriess twierdził, że był to jednorazowy incydent spowodowany nadużyciem alkoholu. Kobieta utrzymywała, że była to kulminacja całej serii podobnych incydentów. Mój kolega uwierzył jej i czym prędzej zerwał wszelkie związki naszej firmy z człowiekiem, którego uznał za wyjątkowo niebezpiecznego. Jego zdaniem de Vriess zorientował się, że tym razem posunął się za daleko (złamał jej rękę i szczękę) i postanowił kupić sobie spokój. Poleciał zaoferować kobiecie dziesięć tysięcy funtów w zamian za milczenie i zerwał z nią wszelkie stosunki.

- Dostała te pieniądze?

Jeszcze jeden zduszony chichot.

- O, tak. Mój kolega wydusił z de Vriessa dwadzieścia pięć tysięcy i dopiero wtedy odmówił dalszego prowadzenia jego spraw.

- Myślisz, że jej zeznania mogłyby pomóc Amandzie? To dowodzi, że Nigel był

brutalny.

- Och, nie sądzę, żeby zależało jej na rozgłaszaniu tego, że Nigel szantażował kobiety i wykorzystywał je potem seksualnie. O ile rozumiem, Amanda utrzymuje, że nigdy przedtem się to nie zdarzyło, że Nigel wtargnął do jej domu w stanie wyjątkowego pobudzenia i że jego śmierć nastąpiła przypadkiem, kiedy uderzyła go podczas szamotaniny.

- Kłamie.

- Z pewnością, przyjacielu, ale biedaczka walczy o życie.

- Poradzi sobie?

- Bez wątpienia. Już samo zeznanie Barry'ego przekona ławę przysięgłych, że należy ją uniewinnić.

- Gdyby nie on, pewnie by jej nie aresztowali - powiedział Deacon - a teraz jego zeznania mogą ją uratować. Niezłe jaja, jakby to ujął Terry.

Lawrence roześmiał się.

- Jak sobie radzi z czytaniem?

- Lepiej niż sądziłem - powiedział oschle Deacon. - Ostatnio wyszukuje w słowniku wszystkie wulgaryzmy i doprowadza mnie do szału, czytając mi na głos definicje.

- A jak się miewa Barry?

Zapadła długa cisza.

- Barry postanowił wyznać mi swoje uczucia - odparł Deacon jeszcze oschlejszym tonem. - I jeśli w porę się nie opamięta, urwę mu jaja. Wiesz, że jestem tolerancyjny, ale to nie znaczy, że zgodzę się być obiektem jego erotycznych fantazji.

THE STREET, FLEET STREET, LONDON EC4

Od: Michael Deacon

Do: Detektyw sierżant Greg Harrison

Uwaga! Nie jest pan jedyną osobą, do której ostatnio dzwoniłem!

1. John Streeter telefonował do Amandy tydzień przed świętami (za moją poradą), proponując jej rozejm i informując, że Towarzystwo Przyjaciół Jamesa Streetera zamierza zwrócić się do Nigela de Vriessa o udostępnienie akt personalnych pracowników firmy Softworks/DVS, aby dowiedzieć się czegoś więcej o Marianne Filbert.
2. Niech pan ruszy głową! To, że Amanda spotkała Nigela przypadkiem w Knightsbridge w sobotę przed Bożym Narodzeniem, jest tak samo prawdopodobne jak to, że pan lub ja wygramy jutro na loterii. Na litość boską! Pół Londynu na czele z jego żoną robiło tam ostatnie przedświąteczne zakupy. Umówili się u niej w domu na świąteczne baraszkowanie. Patrz niżej.
3. Kto jest właścicielem domku w Sway? Amanda czy Nigel? Jeśli Nigel, to jego żona nic o tym nie wiedziała, a więc jej zapewnienia, że Nigel i Amanda nie utrzymywali ze sobą kontaktów, nie mają żadnej wartości. Założę się, że Amanda musiała się tam stawiać na każde wezwanie Nigela. (Wiedział, że zamordowała Jamesa i używał jej jak worka treningowego, ilekroć miał ochotę na seks. Lawrence powiedział panu, jakim draniem był Nigel, a Barry potwierdza, że był świadkiem gwałtu - to oczywiste, że Nigel trzymał ją w garści.)
4. Jeśli Nigel nie zaparkował pod jej domem, skąd wiedziała, gdzie szukać jego rollsa? A może przerwał gwałt w połowie, żeby jej to powiedzieć?
5. Jeśli jej samochód stał zaparkowany na podjeździe, dlaczego nie wjechała do garażu, nie zapakowała Nigela do bagażnika i nie pozbyła się ciała, zamiast zajmować się rolls-royce'em? To, że tego nie zrobiła, dowodzi, że jej BMW tam nie było.
6. Jak wytłumaczyć obecność worków z cementem w garażu, jeśli dysponujemy zdjęciami, które pokazują, że na początku grudnia garaż był jeszcze pusty?

7. Po co urządzać schadzki w Londynie, jeśli można było pojechać do Sway, tym bardziej że Amanda i tak się tam wybierała, a to zaledwie 40 mil od Halcombe House? Bo w Sway trudniej byłoby zaaranżować zniknięcie Nigela! Musiał to być Londyn, bo stamtąd łatwo dostać się do Dover; i musiało to być miejsce, gdzie nikt go nie znał. Więc zadzwoniła do niego i przekonała go, żeby dla odmiany przyjechał do Londynu!

Amanda zaplanowała morderstwo i jej plan mógłby się powieść, gdyby Barry nie pokrzyżował jej szyków. Podczas gdy policja z Kent i Hampshire uganiałaby się po okolicy, szukając porwanego/zaginionego przedsiębiorcy, ona spędzałaby spokojnie święta ze swoją matką (która zapewnia solidne alibi!). Jedynym ryzykiem było pozostawienie ciała na święta w garażu, ale Amanda nie miała dość czasu, by pozbyć się tej samej nocy rolls-royce'a i Nigela, więc doszła prawdopodobnie do wniosku, że warto zaryzykować. Nie było to tak łatwe, jak pozbycie się Jamesa. Gdyby przerzuciła Nigela przez mur ogrodu, następnego rana siedziałby na brzegu odsłoniętym przez odpływ, a ktoś mógłby chcieć sprawdzić, co takiego kryje się pod warstwą betonu. Musi pan przeszukać dno rzeki w Teddington. Gwarantuję, że znajdzie pan tam worek pełen kości obciążony stwardniałym cementem. Do badań DNA może pan użyć Johna Streetera. Nawiasem mówiąc, widziałem się z matką Amandy i uważam, że alibi jest kiepskie. Biedna staruszka cierpi od lat na artretyzm i co noc połyka tonę proszków nasennych. Amanda mogłaby wymordować połowę Anglii, a starsza pani Powell nie miałaby o tym bladego pojęcia.

Serdecznie pozdrawiam

Mike

Mike

Od: Greg Harrison

Do: Michael Deacon

1. Niesprawdzone pogłoski. Amanda twierdzi, że John Streeter nic takiego nie powiedział. Utrzymuje natomiast, że obrażał ją przez telefon tak jak w każde święta od czasu zniknięcia Jamesa.
2. Nie potrafimy udowodnić, że nie spotkali się w Knightsbridge.
3. Domek w Sway należy do niejkiej Agnes Broadbent. Amanda Powell dzierżawi go od niej od pięciu lat.
4. Powiedziała Nigelowi, że nie chce się z nim widzieć i chciała zadzwonić po taksówkę. On na to: „Nie trzeba, dam sobie radę. Mój samochód stoi na Harbour Lane”. Potem rzucił się na nią. Mamy świadka, który widział tamtej nocy rolls-royce'a stojącego na Harbour Lane.
5. Myślała o tym, żeby wsadzić Nigela do bagażnika, ale okazał się za ciężki. Zdołała tylko zaciągnąć go do garażu.
6. Zamierza przebudować patio w ogrodzie. Część kamieni się oblużowała.
7. Sway nie ma tu nic do rzeczy. De Vriess chciał ją zgwałcić, więc wtargnął do jej domu. Zginął przez przypadek. (Oczywiście niezupełnie w to wierzę, ale cytuję panu tylko jej słowa).

Zdaje pan sobie sprawę, ile kosztuje przeszukanie dna rzeki? Nie ma powodu, żeby robić to właśnie w Teddington. Najpierw musimy mieć dowód, że ciało rzeczywiście tam jest. Zdaje się, że ma pan coś przeciwko Amandzie. Dlaczegoż to?

Pozdrawiam



Greg

PS. Ma pan dużo zaufania do Barry'ego i Lawrence'a. A dowody świadczące o „brutalności” Nigela są bardzo kruche. Chce pan mieć kłopoty z jego rodziną?

THE STREET, FLEET STREET, LONDON EC4

Od: Michael Deacon

Do: Detektyw sierżant Greg Harrison

W odróżnieniu od rodziny Nigela, Lawrence i Barry nie mają powodów, żeby kłamać. Myli się pan, twierdząc, że „mam coś przeciwko Amandzie”. Przeciwnie, staram się jej pomóc, dlatego, jakby powiedział Terry, „jest mi łyso”, że pomogłem ją panu odnaleźć. Powinienem był trzymać język za zębami, tak jak robiłem to w przypadku Billy'ego, a wtedy pewnie miałbym okazję z nią porozmawiać. Dlaczego, zamiast trzymać ją w więzieniu, nie oskarżyliście jej o zabójstwo w afekcie i nie zgodziliście się na zwolnienie za kaucją? Mógłbym wtedy zaaranżować przypadkowe spotkanie. Gwarantuję, że wyciągnąłbym z niej więcej niż pańscy ludzie.

Nawiasem mówiąc, czy to pański pomysł, żebym zeznawał jako świadek? Niech pan będzie poważny! A co ja właściwie widziałem? Zgoda, byłem u niej w domu w Wigilię, ale z tego, co wiem, uważacie, że Amanda próbowała poradzić sobie z zapachem, który miało wydawać ciało Nigela. Niech pan posłucha. Nawet ja, prosty dziennikarz, wiem, że w środku mroźnej zimy żadne ciało nie ulega rozkładowi w ciągu 36 godzin. To Billy Blake towarzyszył jej przez cały ten czas od czerwca, próbując wymóc na niej, jak dotąd bez rezultatu, przyznanie się do zabójstwa. Wiem, że wygląda to na szaleństwo, ale „są dziwy w niebie i na ziemi, o których ani śniło się naszym filozofom”!

Przeszukajcie dno rzeki w Teddington i znajdźcie ciało Jamesa. To jest jej prawdziwa zbrodnia: nie wytrzymała i zabiła zakłamanego drania, który miał zamiar prysnąć do swojej kochanki z 10 milionami funtów na prywatnym koncie w Szwajcarii. Nie obwiniam jej o to szczególnie. Im więcej dowiaduję się o Jamesie, tym mniej mi go żal, a Amanda z pewnością zapłaciła za to, co zrobiła, będąc przez ostatnie sześć lat zabawką Nigela de Vriessa.

Jeśli chodzi o te bzdury, które przesłał mi pan w zeszłym tygodniu, to:

Żona Johna Streetera słyszała jego słowa, więc jest świadek, który może potwierdzić to, co powiedział: sprawdźcie konto bankowe Nigela, a na pewno

znajdziecie przekazy za dzierżawę Sway; to Amanda kazała mu zaparkować na Harbour Lane; jeśli potrafiła wciągnąć go na stertę worków z cementem, potrafiłaby też włożyć go do bagażnika (jest architektem, więc musi co nieco wiedzieć na temat zasad mechaniki); nikt nie przebudowuje patia w środku zimy - cement pęka pod wpływem mrozu. Niech się pan zda na swój instynkt. Niech pan postawi sobie pytanie, dlaczego Nigel zgwałcił Amandę. **PONIEWAŻ WIEDZIAŁ, ŻE NIE ZGŁOSI TEGO POLICJI. Dlaczego? PONIEWAŻ DRAŃ TRZYMAŁ JĄ W GARŚCI.**

Podaję, że historia Jamesa wyglądała mniej więcej tak:

- James Streeter był złodziejem i kłamcą. Zaczął od oszustw na małą skalę, żeby sfinansować swoje operacje giełdowe. Kiedy w 88 roku spotkał Marianne Filbert, nauczył się robienia milionowych przekrętów i jego oszustwa stały się bardziej wyrafinowane.
- W tym czasie poślubił Amandę, którą poznał przez Nigela da Vriessa. Małżeństwo to można wyjaśnić jedynie chęcią ucieczki, bo Amanda musiała już wtedy znać prawdziwą twarz Nigela. Trudniej wskazać motywy, którymi kierował się James. Może chodziło o rodzaj nobilitacji społecznej (jeśli Amanda była wystarczająco dobra dla szefa, to znaczy, że warto było ją mieć). Ojciec Jamesa powiedział mi, że jego syn „dbał o prestiż”.
- Małżeństwo było burzliwe i James zaczął się wkrótce rozglądać za kimś bardziej pokornym. Nakłonił jednak Amandę, aby zajęła się przygotowaniem projektu adaptacji szkoły w Teddington, widząc w tym, być może, okazję do „wyprania” części swoich „brudnych” pieniędzy.
(Na wszystkich dokumentach widniało jedynie jej nazwisko - z przyczyn podatkowych? - dlatego bez trudu mogła później wymienić swoje prawo własności za dom w Thamesbank).
- Kiedy oszustwo wyszło na jaw, Nigel, dzięki swojej pozycji w zarządzie banku, domyślił się, że sprawcą malwersacji był James. Być może na właściwy trop naprowadził go łańcuch Marianne Filbert-Softworks-DVS - podczas wewnętrznego dochodzenia przypomniano sobie o nie ukończonym raporcie firmy Softworks dotyczącym bezpieczeństwa systemu bankowego. Niewykluczone też, że Nigel dostał swoją dolę w zamian za to, że ostrzegł Jamesa o grożącym mu niebezpieczeństwie.

- Myślę, że przez czystą złośliwość ostrzegł również Amandę, bo Amanda z całą pewnością zdawała sobie sprawę, że James zamierza zniknąć, nie oglądając się na nią.
- Powodowana gniewem zabiła Jamesa, a następnie wykorzystała fakt, że wszystkie poszlaki wskazywały na jego ucieczkę. Problem w tym, że Nigel wiedział o tym, co zrobiła, i bezlitośnie to wykorzystywał. Przypuszczam, że ostrzegł Amandę i dostał swoją działkę od Jamesa i Marianne. Kiedy Marianne poinformowała go, że James nie dotarł na miejsce, Nigel zrozumiał, że mąż Amandy nigdy nie opuścił Wielkiej Brytanii. Połączył ze sobą fakty, domyślił się, że Amanda pozbyła się ciała Jamesa, wrzucając je do rzeki, obciążone workami cementu z budowy, i zagroził, że pójdzie na policję. (Wszystko poszło wtedy tak gładko, że Amanda zamierzała powtórzyć całą operację z Nigelem).
- Pośrednim dowodem słuszności mojego rozumowania jest sposób, w jaki Nigel traktował Amandę - o czym zaświadcza Barry. Czy człowiek z pozycją de Vriessa pozwoliłby sobie na robienie czegoś takiego, gdyby nie miał pewności, że Amanda nie pójdzie na policję? Gdyby po jego wyjściu zgłosiła gwałt, mógłby stracić wszystko, co miał.

Serdecznie pozdrawiam,

Mike

Mike

THE STREET, FLEET STREET, LONDON EC4

Amanda Powell
IX Parkhurst Road
Holloway
London N7 ONU

15 stycznia 1996

Droga Amando,
nie mam pojęcia, czy wyobrażenia Billy'ego na temat piekła i potępienia mają jakąś wartość. Billy wyobrażał sobie piekło jako „miejsce wieczystej rozpacz, w którym nie ma miłości”. Ale widział je nie jako miejsce wiecznego zapomnienia, lecz wiecznej, przerażającej świadomości. Potępiona dusza wie, że istnieje miłość, ale jest skazana na wieczne trwanie bez miłości. Sądzę, że był tak poruszony tą wizją, że, jako Billy Blake, postanowił ratować grzeszników przed groźbą nie odpokutowanego grzechu.

Dla ratowania innych wkładał ręce do ognia albo wystawiał swoje ciało na działanie mrozu. Dla ratowania pani oddał życie. Nie znaczy to, że powinna pani obwiniać się o jego śmierć, ponieważ śmierć była tym, czego pragnął. Bez niej nie mógł mieć nadziei na uratowanie swojej ukochanej żony, Verity, z bezdennej otchłani, do której, jako samobójczyni, miała zostać strącona. Billy wierzył, że wybawić człowieka z tego potwornego miejsca może jedynie Boskie współczucie i miał nadzieję, że jeśli będzie wiódł życie pełne skruchy i umrze dobrowolnie, odmawiając sobie jedzenia, stanie się cud i Bóg za sprawą swego miłosierdzia wydobędzie Verity z piekła.

Może pani uznać, że jego umysł był kompletnie rozstrojony przez szok, smutek, nadużywanie alkoholu i ciągłe niedożywienie. Rzeczywiście, część osób, które go znały, uważa, że Billy był schizofrenikiem. Ale zgadzam się z tym, co powiedziała pani podczas naszego pierwszego spotkania: „Jesteśmy chorym społeczeństwem, jeżeli sądzimy, że życie człowieka może być tak bezwartościowe, by interesujące okazały się dla nas jedynie okoliczności jego śmierci”. Wartość jego życia

leżała w wysiłkach, które podjął, aby panią ratować. Odszukał panią tylko po to, żeby mogła pani odpokutować za zabójstwo Jamesa jeszcze w tym życiu i nie skazywała się na wieczne potępienie po śmierci.

Paradoks polega na tym, że była pani gotowa przyznać obcemu włóczędze prawo do godnego pochówku, którego odmówiła pani Jamesowi, i może właśnie Billy'emu od początku o to chodziło. W końcu to właśnie o tym przez cały czas chciał pani przypomnieć. Billy musiał wiedzieć, że wyprawa do Andover w środku upalnego lata w celu zdobycia pani adresu od Nigela de Vriessa (choć Nigel był wtedy akurat za granicą i to Fiona powiedziała mu, gdzie panią znaleźć) doszczętnie go wyniszczy. Oznaczało to, że jego śmierć w pani garażu będzie nieuchronną konsekwencją jego postępowania. Przyznała pani sama, że mógł wezwać panią na pomoc albo zjeść zapasy z pani zamrażarki, nie zrobił tego jednak. Zaspokoił tylko pragnienie kostkami lodu i położył się, aby spokojnie umrzeć. Nie przyszedł pani osądzać - sam był mordercą - chciał tylko przypomnieć pani o tamtym człowieku: nie pogrzebanym i nie oplakany.

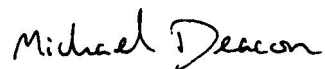
Załączam streszczenie wydarzeń, które, moim zdaniem, nastąpiły. Przekazałem je również sierżantowi Gregowi Harrisonowi. W streszczeniu pominąłem rolę Billy'ego Blake'a, ponieważ nie podzielił się on z nikim swoją wiedzą, a wątpię, żeby policja była zainteresowana zmarłym świadkiem. Jestem jednak przekonany, że Billy widział, jak zabiła pani Jamesa. Okoliczni mieszkańcy z Teddington przypominają sobie człowieka, który nocował w starej szkole, a Tom Beale, który mieszkał w magazynie, mówił mi, że Billy wspominał, iż zanim przeniósł się na Isle of Dogs „przemieszkiwał trochę nad rzeką, gdzieś za Richmond”.

Może pani zapytać, dlaczego nie próbował odszukać pani wcześniej. Jest na to prosta odpowiedź. Billy znał panią jako Amandę Streeter, kobietę, która kupiła szkołę, gdzie nocował. Kiedy wróciła pani do panińskiego nazwiska i przeniósła się do nowego domu, stracił panią z oczu. Przeczytał o pani dopiero w związku z de Vriessem. Ale prawdziwa odpowiedź jest inna. Billy nie był jeszcze gotowy. Rozmawiałem kiedyś z pewną starszą kobietą na temat samobójstwa. Ta kobieta powiedziała mi: „Czy wziął pan pod uwagę, że po tamtej stronie może czekać coś, na co nie jest pan jeszcze przygotowany?” Sądzę, że Billy lepiej niż ktokolwiek inny rozumiał, że musi być przygotowany, a przygotowywał się do tego poprzez cierpienie. Zawsze powtarzał, że za mało wycierpiał. Nie zamierzam robić nic ponad to, co zrobiłem do tej pory - wymierzenie sprawiedliwości pozostawiam sądowi.

Postanowiłem tylko powiedzieć Streeterom, że ich syn został zamordowany. Nikt z nas nie jest do końca zły, Amando, i każdy zasługuje na to, by najbliżsi mogli go opłakać. Zbawienie Billy'ego pozostawiam w pani rękach. Jego zdrowie psychiczne, moim zdaniem, nie ma tu nic do rzeczy. Wierzył, że ocalenie duszy drugiego człowieka przed wiecznym potępieniem budzi współczucie Boga.

Prosiła mnie pani, abym udowodnił, że życie Billy'ego miało jakąś wartość. Jestem jednak pewien, że teraz tylko pani może to uczynić. Od pani zależy, czy odkupiwszy własne winy, odkupi pani również jego i Verity.

Serdecznie panią pozdrawiam,

Handwritten signature of Michael Deacon in cursive script.

Michael Deacon

PS. Proszę nie sądzić, że żywię do pani jakąś urazę. Zawsze panią lubiłem.

POSTERUNEK POLICJI

ISLE OF DOGS

FAX 19.01.96

16.18

Od: Detektyw sierżant Greg Harrison

Do: Michael Deacon

Amanda Powell przyznała się do zabójstwa Jamesa.

Zaczynamy przeszukiwać dno rzeki o 3.30.

Do zobaczenia w Teddington

Pozdrawiam

A handwritten signature in black ink, appearing to read "Greg." with a period at the end. The letters are cursive and somewhat stylized.

Greg

ROZDZIAŁ 22

Kiedy Deacon wyłonił się zza rogu budynku dawnej szkoły, przypomniał sobie swoją pierwszą wizytę w starym portowym magazynie. Jego oczom ukazał się taki sam ponury krajobraz, ożywiony przez ludzi w bezkształtnych, ciemnych płaszczach. Kilka metrów od brzegu rzeki stała grupka mężczyzn. Wpatrywali się w szarą taflę wody, a postawione kołnierze płaszczy chroniły ich przed przenikliwymi uderzeniami wiatru. Byli młodsi i schludniej ubrani, ale chłód smagał ich twarze nie mniej zajadle niż twarze włóczęgów z magazynu. Nieco dalej policyjni nurkowie w kombinezonach wynurzali się i znikali w wodzie obok pontonu, który kołysał się, walcząc z prądem, kilkanaście metrów od miejsca, gdzie szeroki pas zieleni opadał w kierunku rzeki, oddzielony od niej jedynie wykładaną deskami spacerową alejką biegnącą wzdłuż całej długości budynku. Trawnik obsadzono krzewami i kwietnikami, które okalały go z obu stron, i Deacon zastanawiał się przez chwilę, czy tak właśnie wyobrażała sobie to miejsce Amanda, kiedy pracowała nad planami adaptacji szkoły.

Zauważył ją nagle. Ubrana na czarno, stała nieco z boku w towarzystwie strażnika i wpatrywała się w wodę z takim samym napięciem jak policjanci. Obróciła się, żeby spojrzeć w kierunku Deacona, w chwili gdy właśnie przecinał trawnik, a kąci jej ust uniosły się w ledwie widocznym porozumiewawczym uśmiechu. Uniosła dłoń w geście pozdrowienia i szybko ją opuściła, obawiając się, być może, że nie zasłużyła na odruch ludzkiej sympatii. Deacon odwzajemnił pozdrowienie.

Detektyw sierżant Harrison oderwał się od swojej grupy, żeby uniemożliwić mu kontakt z Amandą. Spojrzał na aparat fotograficzny, który Deacon trzymał w ręku i potrząsnął głową.

- Tym razem żadnych zdjęć, kolego - powiedział.

- Jedno jedyne? - mruknął Deacon, wskazując ruchem głowy Amandę. - Na własny użytek. Nie do publikacji. Świetnie wygląda w czarnym.

- Nic dziwnego - powiedział sierżant. - Po kopulacji zabija swoich kochanków.

- No więc tak czy nie?

Harrison wzruszył ramionami.

- Rób, jak uważasz. Ona jest niebezpieczna, Mike.

Deacon uśmiechnął się.

- Na litość boską, jesteś w końcu mężczyzną. Nie pomyślałeś nigdy, że samiec, którego pożera czarna wdowa, dostaje w zamian najlepsze dymanko w całym swoim życiu?

- To jego j e d y n e dymanko w życiu - zauważył cierpko Harrison. - W każdym razie kiedy odsiedzi dwa wyroki za zabójstwo, będzie już brzydka i stara.

Nurek wynurzył z wody swoją lśniąca głowę przypominającą łeb foki i patrząc w kierunku mężczyzn stojących na brzegu, opuścił kciuk. Cała scena była równocześnie bezbarwna i piękna. Szare niebo nad szarą taflą wody, z kołyszącą się na niej sylwetką pontonu na tle białego zimowego słońca. Nim Harrison zdołał go powstrzymać, Deacon uniósł aparat i utrwalił ten obraz na zdjęciu.

- W życiu nic nie jest brzydkie - powiedział, obracając aparat w kierunku Amandy i wysuwając obiektyw, żeby zrobić zbliżenie - chyba że sami zechcemy to tak widzieć.

- Poczekaj, aż wyciągniemy Jamesa. Wtedy zmienisz zdanie. - Poczęstował Deacona papierosem. - De Vriess rzeczywiście ją ostrzegł - powiedział, osłaniając dłońmi płomień zapalki. - Tyle tylko, że Amanda nie wiedziała jeszcze wówczas, kto dostarczył jej tę informację. De Vriess przesłał jej fotokopię oryginalnego dokumentu przygotowanego na zakończenie wewnętrznego dochodzenia bankowego, w którym James wymieniony został jako podejrzany. Amanda dostała przesyłkę w piątek rano, dwudziestego siódmego kwietnia, i wpadła w panikę. - Przerwał, żeby zapalić swojego papierosa. - Wieczorem miała być u matki, ale zadzwoniła do Jamesa do biura i poprosiła go, żeby spotkał się z nią o szóstej w szkole, podając jako pretekst konieczność omówienia paru problemów związanych z planami adaptacji budynku. Twierdzi, że chciała tylko dowiedzieć się prawdy, ale kiedy James zaczął przechwalać się swoim sprytem, doszło do szamotaniny. Byli wtedy w środku i Amanda zepchnęła go ze schodów. Podobno, spadając, skręcił sobie kark. - Przerwał, bo z wody wynurzył się drugi nurek. - Amanda twierdzi, że ciało Jamesa leży zaklinowane pod alejką, której wykonanie było warunkiem przystąpienia do dalszych prac. Odbudowanie zniszczonej promenady w zamian za pozwolenie na adaptację szkoły. W wodzie stały już pale, podtrzymujące konstrukcję i Amanda wrzuciła Jamesa pomiędzy nie.

- W kwietniu, o szóstej wieczorem? - zapytał z niedowierzaniem Deacon. - O tej porze musiało być jeszcze zupełnie jasno.

- Nie zrobiła tego od razu. - Harrison zaciągnął się mocno papierosem, zasłaniając się przed wiatrem połą płaszcza. - Zostawiła zwłoki Jamesa w szkole i w stanie szoku dojechała do Kent, gdzie spodziewała się zastać policję. Ale policja się nie zjawiała, więc Amanda opanowała zdenerwowanie i doszła do wniosku, że może albo przyznać się do morderstwa, albo pozbyć się ciała. Wróciła do Londynu o drugiej w nocy, kiedy jej matka już spała, i

usunęła zwłoki.

Kiedy Harrison mówił, Deacon uważnie przyglądał się Amandzie.

- Jak? Nie jest Arnoldem Schwarzeneggerem, a w dodatku było ciemno.

- To zaradna kobieta - odparł Harrison - i zabrała ze sobą latarkę. Potrafię sobie wyobrazić, że zdołała położyć go na starych drzwiach, a potem, korzystając z zasady dźwigni i sterty pustaków, podniosła drzwi na tyle wysoko, że mogła zsunąć go z nich na taczkę. Amanda chciała zrzucić go do rzeki, licząc na to, że kiedy ciało wypłynie gdzieś dalej na powierzchnię, uznają to za tragiczny wypadek. Ale była już zmęczona, nie utrzymała równowagi i James zsunął się na drugą stronę chodnika. - Harrison wskazał dłonią krzewy po lewej stronie. - Pięć lat temu był tu blisko dwumetrowy pas wody, więc zamiast męczyć się jeszcze raz z drzwiami i pustakami, spuściła ciało do wody głową w dół, sądząc, że porwie je prąd.

- Ale nie porwał? - zapytał Deacon.

Harrison wzruszył ramionami.

- Nigdy nie wypłynął, więc prawdopodobnie zaczepił się o któryś z pali, a potem przysypano go gruzem i cementem, którym wypełniono przestrzeli między chodnikiem a brzegiem.

- Nie zauważyli ciała?

- Amanda mówi, że wróciła tu w poniedziałek rano i po ciele nie było już śladu. Dlatego spodziewała się, że któregoś dnia ktoś z policji zapuka w końcu do jej drzwi i powie, że James nie żyje od wielu tygodni.

- Ale nigdy do tego nie doszło.

- Nie.

- Jeśli przysypali go tonami gruzu, to czego właściwie szukają nurkowie?

- Czegoś, co potwierdziłoby, że Amanda mówi prawdę. Szukają metalowych przedmiotów: jego rolexa, sprzączki od paska, spinek, guzików, suwaka. Jeśli coś znajdą, zaczniemy przekopywać gruz, żeby wydobyć szkielet.

Deacon ponownie spojrzał na Amandę.

- Po co miałyby kłamać?

- Nikt z nas nie rozumie, dlaczego nagle zdecydowała się przyznać. Ma wszelkie szanse, żeby wykręcić się od zabójstwa de Vriessa, bo jeśli Barry zezna, że została zgwałcona, może powołać się na prawo do samoobrony. Cały czas staramy się udowodnić, że działała z premedytacją, ale nie mamy zbyt wielu sukcesów. Nie dzwoniła do de Vriessa, nikt nie widział jej auta w Dover, a jeśli Nigel bywał u niej w Sway, nikt go tam nie zapamiętał. -

Skinął głową w kierunku rzeki. - Więc dlaczego nam o tym powiedziała? Co chce przez to uzyskać?

- Czyste sumienie? - podsunął Deacon.

Harrison rzucił niedopałek na trawę i rozdeptał go czubkiem buta.

- Jesteś romantykiem, Mike. Mamy koniec dwudziestego wieku i ludzie nie mają już sumień. Zamiast tego mają cwanych prawników. Naprawdę myślisz, że Amanda powiedziała nam o Jamesie, gdyby nie była oskarżona o zabójstwo Nigela? - Harrison pokręcił głową. - Amanda nie może sobie pozwolić na dwa osobne procesy za dwa osobne morderstwa. Mogą ją uniewinnić raz, ale nie dwa razy, a najgorsze dla niej byłoby to, gdybyśmy odnaleźli Jamesa już po jej wygranej w sprawie de Vriessa. Założę się, że to, co zostało z Jamesa, nie wystarczy do wskazania przyczyny śmierci. Zanim znajdzie się w sądzie, Amanda chce mieć pewność, że nikt nie postawi jej dodatkowych zarzutów. I kto tu mówi o sumieniu?

Deacon nie odpowiedział od razu i przez chwilę stali w milczeniu, obserwując pracę pletwonurków.

- Jak się dowiedziała, że to Nigel przysłał jej fotokopię raportu? - zapytał wreszcie.

- Zadzwoił, żeby złożyć wyrazy współczucia po zniknięciu Jamesa, i sam o tym wspomniał. Podobno chciał ją ostrzec, że James może zostać aresztowany, ale nie mógł zrobić tego otwarcie, ponieważ zasiadał w zarządzie banku. Amanda twierdzi, że Nigel nie miał nad nią żadnej władzy - ciągnął Harrison. - Mówi, że nie wiedział o śmierci Jamesa i upiera się, że ich kontakty miały zawsze przyjacielski charakter, aż do dnia, w którym Nigel wdarł się do jej domu i zgwałcił ją.

Nagły podmuch wiatru zagłuszył śmiech Deacona.

- Nie może mówić nic innego, jeśli chce przekonać sąd, że działała w samoobronie.

Harrison zmierzył go uważnie wzrokiem.

- Dlaczego koniecznie chcesz dowieść, że było inaczej?

- Już nie chcę.

- Nie rozumiem.

Deacon przydeptał swój niedopałek.

- Interesuje mnie tylko to, żeby przyznała się do zabójstwa Jamesa. Co do Nigela, uważam, że dostał to, na co zasłużył, i nieważne, czy zgwałcił ją raz, czy sto razy.

- Ale jesteś pewien, że zrobił to więcej niż raz.

- Tak. - Deacon schował ręce do kieszeni. - Myślę, że robił z nią, co chciał, bo wiedział, że zamordowała swojego męża. Kolega Lawrence'a, z którym rozmawiałem,

powiedział mi, że de Vriess był jak zwierzę. Jego zdaniem Nigel nie wahałby się wykorzystać kobiety, nad którą miałby władzę. - Uniósł w rozbawieniu brwi. - Przecież musi być jakiś powód, dla którego zamordowała drania. Możesz sobie wierzyć, że zabiła dwóch ludzi przez przypadek w obronie własnej, ale ja w to nie uwierzę. Podejrzewam, że przez ostatnie pięć lat myślała o tym, żeby pozbyć się Nigela, ale ostateczną decyzję podjęła wtedy, gdy John Streeter zadzwonił i poinformował ją o zmianie taktyki. Co innego być obiektem oszczerczych oświadczeń prasowych, których żaden rozsądny wydawca nie potraktuje poważnie, co innego patrzeć spokojnie, jak ludzie, których się obawiasz, za namową dziennikarza zawiązują sojusz.

Harrison skrzywił się z niesmakiem.

- Gdzie dowody? Dochodzenie sprawiedliwości nie polega na jałowych spekulacjach.

- Tym razem jest inaczej - powiedział przyjaźnie Deacon. - Sprawiedliwości stało się zadość w chwili, kiedy Amanda przyznała się do zabicia Jamesa i możesz za to podziękować Billy'emu Blake'owi. To on nakłonił ją do mówienia.

- Nie chcesz chyba powiedzieć, że jego też zabiła?

- Nie. Billy zmarł z wycieńczenia.

- Dlaczego, twoim zdaniem, Nigel dał Billy'emu adres Amandy?

- Nie dał. Ostatnie dwa tygodnie maja spędził za granicą. - Deacon przywołał w myślach obraz rozszalonej kobiety, która kilka dni wcześniej wyznała mu całą prawdę. - To Fiona powiedziała Billy'emu, jak odszukać Amandę.

„Boże, jak ja jej nienawidzę... Zrujnowała mi życie... Przez nią rozwiedliśmy się z Nigelem, a teraz go zabiła... Tak, powiedziałam temu włóczędze, gdzie mieszka... Był całkiem obłąkany... Powiedział, że jest narzędziem Boga... A potem zapytał o jej adres... Czy nie miałam wyrzutów sumienia, że nasłałam na nią szaleńca?... Ani trochę. Bawiło mnie to... Och, zawsze wiedziałam, gdzie mieszka i jak się teraz nazywa... Musiałabym oszaleć, żeby...”

Nagle jeden z pływunurków, który wynurzył się właśnie na powierzchnię wody, zaczął w podnieceniu gestykulować w kierunku osób zebranych na brzegu. Harrison wraz z grupą policjantów ruszył w kierunku rzeki, zapominając o Deaconie, który mógł teraz pokonać dwudziestometrową przestrzeń oddzielającą go od Amandy Powell. Patrzyła na niego, nie na rzekę, i nagle wydała mu się tak samo pociągająca jak wtedy, gdy ujrzał ją po raz pierwszy.

Często zastanawiał się później, dlaczego do niej nie podszedł.

Zamiast tego zaczął wspinać się z powrotem na nadbrzeżną skarpe, nie oglądając się za siebie.

THE STREET, FLEET STREET, LONDON EC4

Lawrence Greenhill
23 Wharf Way
LONDON E14

22 stycznia 1996

Drogi Lawrensie,
co powiesz na to? Znalazłem to wczoraj wieczorem w twoim pamiętniku.

Londyn - 19 grudnia 1949. Nowa klientka, pani P, wdowa wojenna, przyszła do mnie dzisiaj, prosząc o poradę w sprawie ciąży swojej trzynastoletniej córki. Czy powinna skarżyć przed sądem sprawcę, czy też zachować milczenie dla dobra dziecka? Cięża jest już zbyt zaawansowana - siódmy miesiąc, więc aborcja nie wchodzi w rachubę. Mój Boże, biedaczka myśli, że to nadwaga. Serce się kraje. Pani P. traktowała G. S. jak przyjaciela domu. Ma 27 lat, a więc jest tylko pięć lat młodszy od niej i pani P. życzliwie przyjmowała jego zaloty. Jest tym bardziej rozdarta, że najwyraźniej sama miała nadzieję na małżeństwo, tymczasem odkryła ze zgrozą, że G. S. był bardziej zainteresowany uwodzeniem jej córki, V. Doradziłem jej milczenie i adopcję. Podalem adres żeńskiego klasztoru w Colchester, gdzie jej córka może się schronić, zanim jej stan zauważą koleżanki i nauczyciele. Kiedy przyjdzie czas, siostry zakonne znajdą odpowiednich rodziców do adopcji. Ale targają mną sprzeczne uczucia. Co to za świat, w którym niewinne dzieci, osierocone przez wojnę, padają ofiarą potworów? Ten człowiek z pewnością powinien zostać skazany, ale czy trzeba zniszczyć przy okazji reputację jego nieszczęsnej ofiary?

Terry mówi, że to przeznaczenie. Czyżby? A może to sprawka twojego Boga? W centrum mojego wykresu powinienem był umieścić ciebie, a nie Billy'ego Blake'a, bo to ty miałeś w ręku klucze do obu historii. Billy „wciąż szukał prawdy”, którą ty znalazłeś od początku.

Zawsze ci oddany,

Michael Deacon

Michael Deacon

PS. Posłuchałem twojej rady i odesłałem Barry'ego do domu, do matki, kiedy upił się trzecią noc z rzędu. To wina Terry'ego. Pastwił się nad nim niemiłosiernie. Tak czy owak, nie zniosę więcej jego miłosnych wyznań!

Środa, 7 lutego 1996 - godz. 21.00 –

Kapsztad, Afryka Południowa

Młody kelner wzruszył ramionami i skinął głową w kierunku postaci siedzącej przy stole pod oknem.

- Odkąd przyszła, cały czas płacze - powiedział. - Nie wiem, co robić. Nie zamawia, nie wychodzi.

Kierownik sali podszedł do stolika.

- Czy coś się stało, pani Metcalfe? Czy mogę coś dla pani zrobić?

Popatrzyła na niego przez łzy i z trudem podniosła się z krzesła.

- Nie - powiedziała. - Wszystko w porządku.

Kiedy odeszła, mężczyzna spojrzął na angielską gazetę, którą pani Metcalfe wzięła z hotelowego stojaka z prasą. Nie zrozumiał jednak niczego z treści nagłówka.

Badania DNA potwierdziły, że kości znalezione w rzece to szczątki Jamesa Streetera

Przypowieść całkiem współczesna

Michael Deacon

Tragiczna historia samobójstwa Verity Fenton i późniejszego zniknięcia Petera Fentona jest powszechnie znana. Nieznany pozostawał jednak do niedawna los Petera, ponieważ prawda leżała pogrzebana w grobie samobójczyńi.

„BILLY BLAKE - zmarł z głodu 12 czerwca 1995”. Tak głosi napis na tabliczce w londyńskim krematorium upamiętniający śmierć pewnego bezdomnego mężczyzny. Powinien on jednak brzmieć: „PETER FENTON. Urodzony 5 marca 1950 - zmarł 13 czerwca 1995 z powodu dobrowolnego zagłodzenia”.

Trudno pojąć, jak człowiek pokroju Petera Fentona, znany i ceniony zarówno w środowisku Knightsbridge, jak i w Ministerstwie Spraw Zagranicznych, mógł wyjść z domu i z dnia na dzień dosłownie rozpląnąć się w powietrzu. Dlatego musimy zrozumieć przyczyny tego, co się stało. Swego czasu przyjęto tezę o jego rzekomej ucieczce, prowadząc intensywne poszukiwania poza granicami kraju. Nikomu nie przyszło na myśl, że Peter Fenton wybrał życie pokutnika, skazując się dobrowolnie na nędzę i bezdomność.

Czy może nas dziwić, że zniknął bez śladu, skoro nikt z nas nie przygląda się zbyt nędzarzom, obawiając się, że kontakt wzrokowy okaże się niebezpieczny lub krepujący?

Ale przemiana wymaga czasu i

musiało minąć wiele tygodni, zanim Peter, przystojny, czarnowłosy 38-latek, wskutek braku właściwej higieny i chronicznego niedożywienia zmienił się w chodzący ludzki szkielet, w Billy'ego Blake'a, dobrze znanego policji 60-letniego kloszarda i ulicznego kaznodzieję. Jakim cudem zmienił się tak bardzo w tak krótkim czasie? Myślę, że odpowiedzi należy szukać w szoku, którego doznał po samobójczej śmierci Verity. Kiedy wkraczał w anonimowy świat londyńskich włóczęgów, był już przedwcześnie postarzały i w niczym nie przypominał dawnego Petera Fentona.

Nie mylilibyśmy się, mówiąc, że Peter Fenton zmarł 3 lipca 1988 roku, kiedy wyszedł ze swego domu na Cadogan Square. To jasne, że nie chciał być już dłużej tym samym człowiekiem. Peter Fenton był zawodowym dyplomata, człowiekiem o imponującej inteligencji, przebojowym i pewnym siebie, pozbawionym nałogów. Tymczasem Billy Blake był udęczonym osobnikiem, który lubował się w zadawaniu sobie bólu i ostrzegał przed wiecznym potępieniem każdego, kto chciał go słuchać. Był niepoprawnym alkoholikiem, złodziejem i żebrakiem, ale starał się, płacąc za to często ogromną cenę, chronić innych przed złem, któremu sam się oddawał. Ironia losu polega na tym, że żyjący na marginesie Billy Blake, w odróżnieniu od powszechnie szanowanego Petera Fentona, był dobrym człowiekiem.

Peter był mordercą, który uwiódł, a następnie poślubił żonę swej ofiary, Geoffreya Standisha. Nie ma wątpliwości, że wiedział, kim jest Verity, kiedy kochał się z nią po raz pierwszy, bo nawet jeśli w chwili zabójstwa nie zdawał sobie sprawy, że Geoffrey Standish był jej mężem, musiał przeczytać o tym później w gazetach. Możemy podejrzewać, że ta wiedza dodała tylko pikanterii romansowi z Verity Standish lub, wykazując więcej dobrej woli, założyć, że Peter zakochał się od pierwszego wejrzenia w kruchej i słabej kobiecie, na której cierpienia doznane z rąk brutalnego męża odcisnęły swoje niezatarte piętno.

Była drobną, subtelną kobietą o wielkich łagodnych oczach i Peter z pewnością nie był pierwszym mężczyzną, który okazał jej swoje zainteresowanie. Był jednak najmłodszy i Verity, po latach upokorzeń z Geoffreym, który był od niej czternaście lat starszy, poczuła się bezpiecznie z młodszym od siebie mężczyzną. Nie chciała jednak odkrywać przed światem swojej miłości. Istnieją dowody, że opierała się przed zalegalizowaniem związku, ponieważ obawiała się reakcji ludzi. Lecz nawet jeśli poślubiła Petera wbrew własnemu rozsądkowi, jej obawy związane z różnicą wieku szybko się rozwiały. Przyjaciele opisywali ich małżeństwo jako „idyllę”, „największą miłość od czasów Heloizy i Abelarda”, „tak silną, że bliską uwielbienia”, „w pełni odwzajemnioną”.

Niestety Verity, całkowicie pochłonięta miłością Petera, zaczęła

zaniedbywać dwójkę dzieci ze związku z Geoffreym. Łatwo zrozumieć dlaczego.

Kiedy wychodziła powtórnie za mąż, jej dwudziestoletnia córka Marilyn studiowała na uniwersytecie, a czternastoletni syn Anthony chodził do szkoły z internatem. Nie była im już tak potrzebna jak kiedyś, a obowiązki zawodowe Petera sprawiały, że często przebywali za granicą.

„Zawsze zapraszali nas do siebie na wakacje, jeśli tylko mieliśmy na to ochotę - mówi Marilyn - ale czuliśmy się tam niepotrzebni. Anthony był młodszy, więc gorzej to znosił. Nigdy jednak nie winił Petera. Miał żal do matki, ponieważ nie ukrywała, jak bardzo nienawidziła naszego ojca. Wreszcie, kiedy Anthony załamał się po rozstaniu z dziewczyną, nie wytrzymał i zamieścił ogłoszenie w «Timesie». Wiedział, że matka je przeczyta i chciał popsuć jej dobre samopoczucie. Oboje słyszeliśmy plotki o tym, że to ona zabiła ojca, i Anthony chciał jej o tym przypomnieć. W 1971 roku miał tylko pięć lat i nigdy nie uwierzył, że Geoffrey był aż tak zły, jak mówiono”.

W 1988 roku Anthony Standish miał 22 lata. Był nieszczęśliwym młodym człowiekiem, który swój zawód miłosny podświadomie połączył z urazem do matki. Jego gorycz znalazła wyraz w postaci następującego ogłoszenia:

„**Geoffrey Standish.** Ktokolwiek wie coś o okolicznościach zabójstwa Geoffreya Standisha, do którego doszło na drodze A11 niedaleko Newmarket 10.03.71, proszony jest o kontakt: skr. 431”.

Anne Cattrell w tekście *Prawda o Verity Fenton* („Sunday Times”, 17 czerwca 1990 r.) jako pierwsza postawiła tezę, że Peter zamordował Geoffreya. Twierdziła, że Peter i Verity mogli znać się wcześniej, niż to oficjalnie przedstawili, i że Peter postanowił uwolnić ją od Geoffreya. Nie ma na to żadnych dowodów. Istnieją natomiast dowody, które świadczą, że w 1971 roku Geoffreya i Petera łączyło coś zupełnie innego. Tym czymś było zamiłowanie do hazardu.

Peter, już jako Billy Blake, przyznał się do zabicia człowieka i mamy podstawy, by twierdzić, że człowiekiem tym był Geoffrey Standish. Pokuta Billy'ego była zbyt długa i zbyt surowa, aby nie wiązać jej z samobójstwem Verity. Ale Billy Blake w swoich „kazaniach” ostrzegał również przed niebezpieczeństwem nagłego i niekontrolowanego wybuchu gniewu, który sprawia, że ludzie dopuszczają się aktów przemocy. Sugerowałyby to, że zabójstwo Geoffreya było efektem takiego właśnie wybuchu gniewu, a nie działaniem z premedytacją.

Po dwudziestu pięciu latach, które upłynęły od tego zdarzenia, pozostają nam jedynie domysły, ale uniwersyteccy przyjaciele Petera jeszcze dziś wspominają o „nielegalnych piątkowych pokerach w prywatnym domu gdzieś w Cambridge”, które pozwalały mu realizować marzenia o „pieniądzach” i „wygodnym życiu”. Jest całkiem prawdopodobne, że Geoffrey, który w piątek 9 marca 1971 roku znajdował się w

drodze do przyjaciół mieszkających w Huntingdon, dowiedział się o istnieniu tego domu gry i zaszedł tam, uprzedzwszy wcześniej przyjaciół o swoim spóźnieniu. Możliwe też, że podczas gry wybuchła kłótnia o pieniądze, która skończyła się jego śmiercią.

Przy całym tym zdarzeniu musieli być obecni jacyś świadkowie. Możliwe jednak, że Peter nie był jedyną osobą odpowiedzialną za to zabójstwo, co wyjaśniałoby, dlaczego udało się tak dobrze upozorować wypadek samochodowy. Najprawdopodobniej jednak Geoffrey zaatakował pierwszy - wiadomo, że był agresywny - co uwolniło pozostałych uczestników bójki, przynajmniej w ich własnym mniemaniu, przed oskarżeniami o umyślne zabójstwo. Niezależnie od tego, jak było naprawdę, zdecydowano się chronić wszystkich zamieszanych w sprawę, porzucając ciało możliwie daleko od nielegalnego domu gry i pozorując śmierć na skutek potrącenia przez samochód.

Chociaż nie ma dowodów, potwierdzających tę wersję zdarzeń (z wyjątkiem, być może, nagłej decyzji Petera o zerwaniu z hazardem, którą, zdaniem przyjaciół, podjął „chyba w 1971”), pozwala ona przyjąć, że Verity mogła poślubić Petera, nie wiedząc nic o jego zbrodni. Czy jednak istotnie, jak utrzymuje w swoim tekście Anne Cattrell, Verity popełniła samobójstwo, ponieważ dowiedziała się przez przypadek, że poślubiła zabójcę swojego pierwszego męża?

Rzecz w tym, że nie doszło do tego przez przypadek. Peter powiedział jej o tym sam podczas ostrej wymiany zdań, do jakiej

doszło między Verity a Anthonym po ukazaniu się ogłoszenia w „Timesie”.

„Oskarżyłem ją o zabicie mojego ojca, a kiedy zaczęła płakać, Peter wpadł w złość i przyznał się do wszystkiego. Wiem, że to brzmi śmiesznie - mówi dzisiaj Anthony - ale mu nie uwierzyłem. Myślałem, że próbuje tylko zażegnać naszą kłótnię. Zawsze tak robił. Ile razy posprzeczaliśmy się o coś z matką, Peter brał winę na siebie. Drażniło mnie to. Moja matka pod wieloma względami była bardzo dziecinna. Nie chciała za nic odpowiadać.

Przez osiem lat żyłem z poczuciem winy. Wyrzucałem sobie, że zamiast napadać na nią dzień przed wyjazdem Petera, mogłem poczekać z tym do jego powrotu. To jeden z tych okropnych truizmów: dopiero gdy kogoś tracimy, przekonujemy się, jak bardzo go kochaliśmy. Po rozstaniu z dziewczyną bardzo cierpiałem, ale to nie usprawiedliwia tego, co zrobiłem. Nigdy tak naprawdę nie wierzyłem w to, że matka zabiła mojego ojca, ale kiedy się powiesiła, doszedłem do wniosku, że jednak to zrobiła i że Peter zostawił ją z tego powodu. Zawsze miałem nadzieję, że któregoś dnia wróci, dlatego nigdy z nikim o tym nie rozmawiałem”.

Dlaczego zatem Verity popełniła samobójstwo? Czy poczuła nagłą odrazę do człowieka, którego wcześniej uwielbiała? Czy wpadła w panikę, bojąc się, że teraz, kiedy Anthony poznał prawdę, jej mąż będzie musiał zapłacić za swoją zbrodnię? Każda z tych odpowiedzi może być prawdziwa, ale żadna nie brzmi do końca przekonująco. Przy

całej swej kruchości Verity była na swój sposób silna. Zniosła lata udręki z Geoffreyem i wydaje się mało prawdopodobne, żeby odraza lub panika pchnęły ją do samobójstwa.

Moim zdaniem skłoniło ją do tego kroku coś nieskończenie bardziej przerażającego. Była to tajemnica, którą Verity skrywała przez czterdzieści lat. Dowiedziałem się o niej przypadkiem od adwokata, Lawrence'a Greenhilla, do którego w 1949 roku zgłosiła się matka Verity, pani Isobel Parnell, prosząc o poradę w sprawie uwiedzenia jej trzynastoletniej córki przez Geoffreya Standisha.

„To była straszna historia - powiedział mi Greenhill. - Isobel liczyła na to, że sama poślubi Geoffreya i znenawidziła Verity za ból, który ta jej sprawiła. Dziecko, chłopczyk, zostało oddane do adopcji, a Verity trafiła do szkoły z internatem. Tragedia polegała na tym, że nikt nie brał pod uwagę bólu Verity. Za jednym zamachem Isobel pozbawiła ją dziecka, kochanka i matki i można się tylko domyślać, jak samotna musiała się czuć ta biedna dziewczyna. Z dzisiejszej perspektywy wydaje się oczywiste, że postanowiła odplacić Isobel, wychodząc za mąż za człowieka, który zrujnował im życie. W jaki sposób tak ciężko doświadczona przez los nastolatka miała odróżnić miłość od pożądania, skoro kobieta, która darzyła ją kiedyś miłością, wyparła się jej, a mężczyzna, który kiedyś ją uwiódł, nadal ją prześladował?”

W tej historii nie ma jednak prostych rozwiązań. Peter nie był utraconym synem Verity, a ona ani przez chwilę nie mogła tak

pomyśleć. Urząd Stanu Cywilnego ma obowiązek sprawdzić taką ewentualność przed wydaniem zgody na małżeństwo, a w przypadku ślubu Petera i Verity nie pojawiły się żadne wątpliwości.

Verity musiała wiedzieć, że w ich związku nie było nic niewłaściwego, poza intensywnością jej uczucia. Ale czy podświadomie, po wyjeździe Petera do Ameryki, w samotności i nieznośnej ciszy pustego domu, nie zaczęła przypadkiem zastanawiać się nad nienaturalną miłością, jaką obdarzała zabójcę swojego pierwszego męża i czy nie zaczęła podawać w wątpliwość prawdziwości dokumentów adopcyjnych?

W pożegnalnym liście Verity wspomina o swoich zdradach i naturalne wydaje się założenie, że, pisząc to, miała na myśli swoją matkę i swojego oddanego do adopcji syna. Być może jednak doszła w końcu do przekonania, że zdradzała wszystkich, n a w e t P e t e r a , nie umiając okazywać miłości w sposób naturalny. Peter nie musiałby prawdopodobnie zdradzać Anthony'emu prawdy, gdyby Verity równie mocno potrafiła

kochać ich obu.

Lawrence Greenhill ma rację. Prawdziwą tragedią Verity była nieumiejętność odróżniania miłości i pożądania. Verity nie potrafiła okazywać miłości Anthony'emu, ponieważ nie wolno odczuwać pożądania wobec własnych dzieci. Postanowiła więc obdarzyć miłością swojego zastępczego syna, Petera, z całą namiętnością, w jaką wyposaża ją natura. Kiedy jednak, samotna i opuszczona w swoim domu na Cadogan Square, rozmyślała nad konsekwencjami jego wyznania, czy nie doszła przypadkiem do wniosku, że jej uwielbienie dla człowieka, który zabił ojca w s z y s t k i c h jej dzieci, jest już zbyt wielką zdradą?

I czy postanowiła popełnić samobójstwo dlatego, że uznała, iż nie ma to dla niej żadnego znaczenia, i że przez resztę swojego życia będzie chciała należeć do tego właśnie mężczyzny - nawet gdyby był jej synem i ojcobójcą?

(Fragment książki Michaela Deacona *Edyp*, która ukaże się nakładem wydawnictwa Macmillan 8 listopada 1996 roku).

EPILOG

Deacon poczuł ulgę, kiedy po powrocie z redakcji nie zastał nikogo w swoim mieszkaniu. Po trzeciej z rzędu kłótni z nowym redaktorem naczelnym „Street” nie był w nastroju do wysłuchiwania głupstw, które po trawce wygadywał Terry. Kto mógł przypuszczać, że zatęskni jeszcze kiedyś za JP?

- Nowe czasy, nowe obyczaje, Mike - powiedział mu na odchodnym Pearce. - Nowa ekipa zadziała na was kojąco. Nie będzie już ganiań za prostytutkami. Zamiast tego czerstwe gadki szczerwanych polityków.

- Jakoś to przeżyję - odparł Deacon.

- Nie bądź taki pewny - ostrzegł proroczco JP. - Mogliśmy mieć różne poglądy na temat tego, o czym należy pisać, ale zawsze pozwalałem ci pisać tak, jak chciałeś. - Podniósł z biurka maszynopis artykułu o Peterze Fentonie i wyciągnął z niego dwie ostatnie strony, na których Deacon wyjaśniał, dlaczego Billy Blake postanowił umrzeć w garażu Amandy Powell. - Gwarantuję ci, że nie puszczą ci tych ostatnich siedmiuset słów. Wiem, że chcesz powiedzieć ludziom, jak i dlaczego wykorkował, ale nikt nie będzie ryzykował procesu, zwłaszcza z kimś, kto siedzi w areszcie. Śledztwo jest w toku i Amanda oskarżyłaby was o naruszenie jej praw do uczciwego procesu w sprawie o zabójstwo de Vriessa. Nie mówiąc już o kłopotach, które miałbyś z rodziną de Vriessa, gdybyś opisał go jako wielokrotnego gwałciciela.

- Ty byś zaryzykował?

- Naturalnie. Przekonywałbym, że nie ma żadnej sprawy, bo nikt nie oskarżył jeszcze Amandy o zamordowanie Jamesa. - Przybrał cyniczny ton. - I nie oskarży, jeśli mądrale z sądówki nie odkryją przyczyny jego śmierci. Czy to prawda, że wycofała zeznania?

Deacon skinął głową.

- Tym bardziej należałoby to opublikować.

- A gdyby gazeta przegrała proces o zniesławienie?

- Wtedy zostałyby nam przynajmniej satysfakcja, że napisaliśmy prawdę o niej i o tym bydlaku de Vriessie. - JP zaśmiał się pod nosem. - Dlatego mnie wykopali. Dzisiaj liczy się tylko zysk, a rola sumienia społecznego bywa kosztowna.

Deacon wcisnął guzik, żeby odsłuchać wiadomości z automatycznej sekretarki.

- Aresztowaliśmy znowu Barry'ego - odezwał się beznamiętny głos Grega Harrisona. - Tym razem awanturował się po pijanemu niemal przed samym komisariatem. Matka nie chce nawet słyszeć o jego powrocie, więc Barry chce podać twój adres jako miejsce zamieszkania. Będziesz musiał to jakoś załatwić, Mike. On mówi, że upija się dlatego, że cię kocha. - Przerwał na chwilę. „Żeby opanować śmiech?” - Słuchaj, najlepiej oddzwoń do mnie, jak wrócisz.

Potem głos Lawrence'a.

- Tak mi przykro, mój drogi. Widziałem, jak pocięli twój artykuł. Jaka szkoda. Wiem, jak bardzo chciałeś pokazać, że życie Billy'ego miało sens. Czy myślisz o tym, że był opiekunem Terry'ego jest dla ciebie jakimś pocieszeniem? Ostatecznie, to chyba największa zasługa Billy'ego.

Kiedy wiadomości dobiegły końca, pustka panująca w mieszkaniu stała się bardziej odczuwalna. *Kobieta w koszuli Picassa* zniknęła wraz z telewizorem i wieżą, które Terry przeniósł z sypialni do salonu. Na kominku nie było już Big Bena ani muszli morskiej, a *Walczący Téméraire* Turnera był już tylko wspomnieniem na pustej ścianie. Deacon wszedł do kuchni i zajrzał do puszki po herbatnikach. W środku leżała złożona kartka.

Cześć. Chyba zarobiłem je uczciwie, bo nauczyłem się czytać i pisać. Tak czy owak to znacznie mniej niż pięć paczek, które mogłem wyciągnąć od ciebie na początku. Pozdrów ode mnie Lawrence'a i panią D. To dobrzy ludzie. Ty też jesteś w porządku. Wpadnę jeszcze kiedyś. Twój przyjaciel, Terry.

PS. Powiedz swojemu szefowi, żeby spadał na drzewo i skup się na pisaniu książki. Rób swoje. Pamiętaj, co mówił Billy: każdy człowiek, który umiera w łańcuchach, prawdopodobnie sam na to zasłużył.